

ARTUR OLCHOWY
CZAROWNICA
ZNAD KAŁUŻY



GENIUS
CREATIONS

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA OKARTOWO

CZĘŚĆ DRUGA JAÑSBORG

EPILOG OKARTOWO

Artur Olchowy

CZAROWNICA ZNAD KAŁUŻY

Czarownica znad Kałuży
Copyright © Artur Olchowy
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Paweł Dobkowski
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2017

druk ISBN 978-83-7995-102-4
epub ISBN 978-83-7995-103-1
mobi ISBN 978-83-7995-104-8

Redakcja: Małgorzata Holender
Korekta: dr Marta Kładź-Kocot
Projekt okładki Paweł Dobkowski
Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski
Skład i typografia: Studio Grafpa, www.grafpa.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana
ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie,
fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie,
ani odczytywana środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Podmiejska 13 box 27
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka dostępna w księgarni: www.MadBooks.pl,
www.eBook.MadBooks.pl i eBooks4U.pl

CZĘŚĆ PIERWSZA

OKARTOWO

Mnie wtedy jeszcze na świecie nie było, ale babka mi opowiadała, że mieszkała nad Kałużą wiedźma, która pysk miała tak okropny, że nazywali ją Koślawa. No i ona zasadniczo nieszkodliwa była, choć pono pyskata. Ale za to leczyła ludzi, i to tanio. Gorzej mieli ci, co jej zależli za skórę. O, wtedy to nie odpuściła. Nikomu. Nieważne było, czy to sołtys, burgmajster, ksiądz czy nawet diabeł. Koślawa nie bała się nikogo. Jak szłem kiedyś spać, jeszcze jak byłem małym srelem, to mi babka opowiedziała taką historię:

Razu pewnego, jak Koślawa szła skrajem lasu za pruskim cmentarzem, to spotkała urodziwego młodzieńca w porządnym ubraniu i czapce z takim dużym daszkiem, ale naobkoło. Jak tylko ją zobaczył, ukłonił się głęboko i uśmiechnięty podszedł bliżej.

– Dzień dobry, babciu – przywitał się grzecznie. – A co babcia taka zatroskana? Wszak słońko świeci i kości grzeje.

Koślawa wiedziała, że to diabeł jest, ale wcale nie dała tego po sobie poznać. Za to twarz ukryła w dłoniach i zapłakała:

– O, my nieszczęśliwi! Taka susza, że na Czarcu Ostrów suchą stopą można przejść, ryby się duszą i wypływają brzuchami do góry. Na polach wszystko wypalone, do lasu strach wchodzić. Jagód w tym roku nie było, grzybów też nie będzie. I ja żadnych ziół zebrać nie mogę, bo wszystko się zeschło, zanim zakwitło. Co my zrobimy, biedacy? – biadoliła.

Widząc zapłakaną starowinkę, diabeł podał jej białą chustkę. Zielarka przyjęła ją, ale nadal ryczała i wygrażała niebu, na którym nie było ani jednej chmurki.

– Babciu, to może ja pomogę? – zaproponował kusy. – Przyrzekam ci, że z rana zacznie tak padać, że do wieczora Kałuża odetnie Czarcu Ostrów i znów będzie jak dawniej. Ale nic za darmo – zastrzegł.

Koślawa już się uspokoiła i podejrzliwie popatrzyła na biesa.

– Jeśli uratujesz plony, wioskę i Kałużę, to możemy dobić targu.

Diabeł aż podskoczył z zadowolenia.

– Jeśli spadnie deszcz, tak jak powiedziałem, to wrócę, a ty, babciu, oddasz mi duszę.

Koślawa zaśmiała się głośno, chrypiąc, krztusząc się i klepiąc po udach z tego rozbawienia. Czort nagle poczuł się niepewnie.

– Tylko duszę? – zakpiła. – Chłopcze, co ci po takiej starej duszy? Nie będę się targować, tylko proponuję jeszcze coś, bo jestem uczciwa i nie

pozwalam, żeby głupi ludzie sami sobie szkodzili. Jeśli spadnie deszcz, jak powiedziałaś, to przyjdź do mnie. Ale nie w dzień i nie na kolonię, bo cię jeszcze ktoś zobaczy. Przyjdź na Szeroki Ostrów po zmroku, gdy nie ma tam rybaków, a ja ci ugotuję kaszy gryczanej ze skwarkami, grzybami, ziołami i różnymi różnościami, jakich nigdy nie jadłeś.

Diabeł aż się zaślinił, widząc już w myślach ten kociołek gotowanej miękkiej kaszy z chrupiącymi skwarkami, majerankiem i borowikami, a może nawet z soczewicą.

– Mamy umowę? – Kośława wyrwała go z zadumy

Zły energicznie pokiwał głową, aż ochlapał sobie koszulę cieknącą po brodzie śliną

– Czyli sprowadzasz deszcz, zjadasz kaszę i oddajesz ci duszę – upewniła się jeszcze.

Podali sobie ręce i diabeł zniknął, rozplywając się w chmurze cuchnącego siarką dymu.

Kośława natomiast powoli poszła w stronę swojej kolonii, a dobry humor nie opuszczał jej aż do zmroku.

Następnego dnia obudziła ją ulewa. Deszcz najpierw siekł, zrywając suche liście z drzew, kładąc bladożółte trzciny i zboża, potem zelżał. Staruszka, jak tylko wstała, szybko się umyła, wyszykowała, wyciągnęła stary, połatany parasol i wyszła z domu. Skoro diabeł dotrzymał swojej części umowy, to ona też musiała dotrzymać swojej.

We wiosce poszła najpierw do myśliwego, od którego kupiła słój dziczego smalcu, do połowy wypełniony skwarkami, na widok których żołądek wywijał fikołki. Od jego żony, która uprawiała różne zioła, a miała do tego rękę, kupiła trochę pietruszki, wonny majeranek i soczystą kolendrę. Od starego Kani wzięła worek kaszy gryczanej, bo u niego zawsze była zdrowa i bez robaków. A skoro już była we wiosce, to odwiedziła również kowala, a potem zbadała kilka dzieciaków, czy ich nie przełamało. W drodze powrotnej skręciła z polnej drogi w las poszukać grzybów.

Wieczorem przestało padać, jak gdyby diabeł chciał pokazać zielarce, że to jego piekielne sztuczki były. O zmroku staruszka z kociołkiem wypełnionym różnościami i wiązka suchych sosnowych szczapek dotarła na Szeroki Ostrów. Głodny i zniecierpliwiony diabeł już tam czekał. Przesępował z kopyta na kopyto, gdy powoli klęknęła, rozgarnęła mokre liście i mchy, i zaczęła przygotowywać ognisko pod kociołek. Parskał i złorzeczył, gdy dokładnie odmierzała wszystkie składniki, co w nocy wcale

nie było takie łatwe, bo od płomieni cienie skakały i mamły wzrok. A już otwarcie protestował, kiedy rozgrzebała szczapki, żeby na zbyt dużym płomieniu kaszy nie przypalić.

– Strasznie się guzdrzesz, starucho. Ale nic to. Kasza w końcu się ugotuje, a ja zjem ją ze smakiem. Zaraz potem zabiorę ci duszę i wrócę do piekła. A im bardziej będziesz zwlekać, tym dłużej ta twoja Kałuża deszczu nie uświadczy.

– Kasza miała być dobra, to będzie dobra. Siądź wreszcie na ogonie, gówniarzu, i starszych nie pouczaj! – wrzasnęła Koślawa na czarciego młokosa, a ten zamilkł i przysiadł na pieńku.

I faktycznie, kilka minut później głosem słodszy od miodu zaprosiła wygłodniałego czarta do ogniska.

Ten nawet nie czekał, aż mu nałoży kaszy do miski, tylko od razu z łapami rzucił się do kociołka. Po pierwszym kęsie coś zachrząściło, po drugim rozległ się odgłos, jakby ktoś kości łamał, coby szpik wyssać, a po trzecim diabeł wypluł jedzenie i chwycił się za głowę.

– Moje zęby! – zawył ze złości i bólu tak potężnie, że aż na przeciwnym brzegu Kałuży było go słychać.

Koślawa uśmiechnięta nakładała mu porcję.

– Zgodnie z umową kasza jest smaczna i miękka, skwarki chrupiące, zioła świeże i soczyste. No i są tam takie różności, jakich nigdy nie próbowałeś, chyba że w piekle jadłeś kaszę z żuzłem od kowala, z sarnimi bobkami i trującymi grzybami z uroczyska zdorskiego – żartowała zadowolona, że wykiwała piekielnika. – A teraz żryj do ostatniego ziarenka albo o mojej duszy zapomnij.

Diabeł, który zdążył już połamać prawie wszystkie zęby, tylko popatrzył z wściekłością na staruszkę.

– Jeszcze tu wrócę – zapewnił i wskoczył do jeziora.

Od tamtej pory po każdej ulewie na powierzchni jeziora wokół Szerokiego Ostrowa snuje się dym. Ludzie omijają wtedy półwysep, bo mówią, że to Koślawa gotuje kaszę biesowi, który wciąż ma chrapkę na jej duszę.

Przełom sierpnia i września jest dla mieszkańców Okartowa okresem wyętej pracy, nie tylko z powodu kończących się już żniw, chociaż te zabierają najwięcej czasu. Dzieci przepędzają bydło na pastwiska, a potem szukają w lesie grzybów, jeżyn i malin. Kobiety zbierają w przydomowych

ogródkach i zdziczałych sadach skarłowaciałe jabłka i śliwki, rwą pomidory i ostatnie ogórki, robią dzemy, kiszonki, octy, nalewki i inne przetwory. Mężczyźni rąbią drewno na opał na całą zimę, łąatają dachy, zbijają koryta, szykują sanie, reperują wozy. Rżyska pod lasami przejmują drwale i smolarze, przygotowujący mielerze do wypalania węgla drzewnego. Dołączają do nich cieśle ze swoimi narzędziami, którzy w polu wstępnie obrabiają belki i krokwie. Stuletnie budynki trzeba zabezpieczyć przed chłodem i sztormowymi podmuchami wiatru od jeziora, dlatego potrafiący obchodzić się z drewnem mają pełne ręce roboty.

Sama wioska też wymaga pracy. Gospodarze zwożą kamienie, którymi wiejska biedota łąata dziury wybite kołami wozów i kopytami koni w wiekowej drodze. Droga była kiedyś kamienna, ale później, łąata temu, przykryto ją asfaltem, który z każdym rokiem kruszeje i w sumie zostało go już niewiele. Także most z popękanego betonu co roku potrzebuje nowych podpór z pni, które są już tak gęsto ustawione, że nie da się pod nim przepłynąć nawet kajakiem. Dlatego rybacy wybudowali dwa koryta. Z jednej strony wciągają łodzie na górę i spuszczaą z drugiej. To jedyny szlak między dwoma akwenami.

W bezdeszczowe dni całe rodziny wyjeżdżają o świcie na pola. Poranna mgła, kapuśniaczek lub ulewa więżą całą wieś w domach, w kuchni przy piecach i kominkach, gdzie ludzie czekają, aż po deszczu nieutwardzone drogi wyschną na tyle, żeby wozy nie utknęły w błocie. W taką pogodę cerują pościel i odzież, naprawiają sieci, wyciągają nadgryzione przez mole stare kurtki i kozuchy, często jeszcze przedwojenne. Sprzątają domy, a czasami po prostu spotykają się u kogoś na ganku i wymieniają uwagi na temat zawsze złej pogody, zawsze złego zdrowia i zawsze złych dzieci.

Poza tym trzeba połąatać łodzie po całym sezonie, wzmocnić żagle przetrzepane porywistymi szkwałami, naprawić drewniane slipy przy moście i uwędzić połów, nasycając powietrze w wiosce dymem z wędzarek.

Jadąc polnymi i leśnymi drogami, mieszkańcy czasami napotykają przygarbioną staruszkę. Wolnym krokiem przemierza łąaki, zagląda do otoczonych trzcinaą tonsur stawów ukrytych w zagłębieniach pomiędzy pagórkami, przeciska się przez zarośnięte brzegi Kałuży, w skupieniu wpatruje się w leśną ściółkę. Od czasu do czasu klęka na ziemi i sprawnie wykopuje lub zrywa jakąś roślinę. Starannie otrzepuje ją z ziemi, a następnie wyciera korzeń ściereczką i ogląda listki lub kwiaty przez okulary z grubymi szklami. Wkłada zdobycz do koszyka, po czym z trudem wstaje i

kontynuuje marsz. O tej porze roku szuka liści i łodyg piołunu, pokrzywy, skrzypu, kozłka, wyrywa korzenie mniszka, wykopuje czosnek, jaskólcze ziele i żywokost, zrywa owoce jałowca, dzikiej róży i głogu. Innym razem cały kosz ma pełen baldachów jagód czarnego bzu.

Kiedy do staruszki podejść bliżej lub jeżeli wiatr zawieje od jej strony, można usłyszeć, jak mruczy coś pod nosem. Niektórzy twierdzą, że po prostu gada do siebie, inni, że zaklina zioła lub przeprasza je za wyrządzoną krzywdę.

Z pełnym koszykiem kobieta wraca do swojego gospodarstwa, położonego kilka kilometrów od wioski, za sosnowym lasem, w którym gnije porośnięta mchem i trawą wojskowa ciężarówka, i za brzozowym zagajnikiem skrywającym pruski cmentarz. W domu zebrane rośliny czyści i myje, potem część wiąże w luźne pęki i wiesza na sznurze na poddaszu. Kwiaty rzuca luzem na rozciągnięte pomiędzy krokwiemi prześcieradła. Niektóre owoce i łodygi zalewa spirytusem, jeszcze inne zanurza w oleju. Gotowe preparaty przelewa do butelek po wódce i piwie. Korzenie i kłącza tnie na grube plastry i nanizane na nici rozwiesza na ścianach kominka. W wiosce nazywają ją różnie: Starsza, Wiedząca, Lekarka lub Koślawa, no i wiedźma, bo tak mówi o niej proboszcz. Jak naprawdę się nazywa, nikt nie wie. Skąd się wzięła w Okartowie? Nikt nie pamięta. Wiadomo tylko, że była tu od zawsze, może nawet od wojny.

Staruszka też czuła w kościach, że jesień zbliża się wielkimi krokami.

Michaś, najstarszy syn Staszka Kani, bimbrownika, nie lubił tej pory roku. Podobnie jak każdej innej, ale teraz akurat zbliżała się jesień, dlatego nie lubił jesieni. Uważał się za nieszczęśliwego. Znowu spędzał całe dni, karnie wykonując polecenia rodziców. Nie były to polecenia bezsensowne, o nie, ale banalne. Przyziemne i bezmyślne jak młócka.

Tłukł zboże rozrzucone na klepisku w stodole, bujając w obłokach, bo przecież nie musiał skupiać uwagi na waleniu kijem. No, nie do końca, bo przecież tłukł naprzemiennie z ojcem, co wymagało synchronizacji. Rytmiczne łup, łup, łup pozwalało odpłynąć myślami gdzieś daleko. Przez to czasem uderzał w cep ojca, co opóźniało pracę. Na nowo musieli rozbijać dębowe bijaki i po chwili rytmiczne łupanie znowu rozbrzmiewało na całe gospodarstwo, przeplatając się z podobnymi odgłosami, dobiegającymi z co drugiej stodoły. Staszek już nawet nie strofował syna. Wzdychał tylko ciężko, bo co miał robić? Dzieciak był karny, posłuszny i

niegłupi, to pewne, ale nieuważny i ta jego nieuwaga stanowiła nie tylko problem, lecz także zagrożenie. Jak wtedy, gdy zamiast pilnować destylatora, dłużał przy jakimś żelastwie wygrzebanym w lesie z przedwojennego pojazdu. A miał jedynie patrzeć na wskazówkę manometru i w razie potrzeby otworzyć zawór. Nawet temu zadaniu nie podołał. Wprawdzie nie odszedł od aparatury, ale znalazł sobie coś tak zajmującego, że o poleceniu po prostu zapomniał. Ręka Pańska i tarcza anielska, że nic mu się wtedy nie stało. Po tym wypadku prawie cała wieś śmiała się z chłopaka, ze Staszka zresztą też. Później zaczęły się narzekania, bo nowy sprzęt nie był już tej samej jakości – wódki było mniej, a i paliła jakoś inaczej. Złość wsi skupiła się na Michale, który zaczął jeszcze częściej chodzić własnymi drogami, a z każdej wyprawy znosił pordzewiałe urządzenia, ciekawe kamyki, jakieś rośliny.

Chłopca nie wyśmiewał tylko sołtys. Wesoły pięćdziesięciolatek często odwiedzał Staszka i czasami zagadywał Michasia z sympatią i zainteresowaniem. W swojej wiosce starał się zagospodarować każdego. Wyznawał zasadę, że skoro już Bóg zesłał do wioski kobietę lub mężczyznę, chromego lub zdrowego, starca lub dziecko, to miał w tym swój cel, a sołtysa zadaniem było ten cel odkryć. Dlatego właśnie biedota bez ziemi lub z niewielkim nieurodzajnym poletkiem łątała drogę i zabezpieczała most za chleb, rybę lub dziczyznę. Dlatego też proboszcz na jego prośbę zbierał datki na dziecko Zarembów, kalekie, odkąd wpadło pod wóz – żeby mieszkańcy mogli być chrześcijanami nie tylko w słowie, ale i w czynie. Pomysły na sposoby zagospodarowania mieszkańców czasem nie pojawiały się od razu. Nieraz sołtys nieźle się nafrasował, zanim znalazł komuś przynależne mu miejsce. Tak też od dłuższego czasu łamał sobie głowę nad Staszkowym pierworodnym. Aż wreszcie znalazł rozwiązanie.

Któregoś wrześnieowego dnia przyszedł do Staszkowej chałupy ubrany w marynarkę, co oznaczało, że jest to wizyta urzędowa i o sprawach urzędowych będzie rozmawiał. Usiadł w kuchni, za pięknie wyszlifowanym drewnianym stołem, zwrócony plecami do rozpalonej kuchni z garem bobu na fajerce. Jednym haustem wychylił podaną przez gospodarza czarę wódki i odstawiwszy ją, rozłożył dłonie na blacie. Dzieci Staszkowej z kuchni wygonili, ale sołtys domyślał się, że pewnie wszystkie stały za drzwiami z uszami tuż przy szparach w deskach, dlatego zamierzał być delikatny. Jak zawsze.

– Staszek, twój najstarszy chłopak nie nadaje się na rolę. Nie nadaje się do gorzelni. Rybakom czy drwalom też nie ma co go oddawać. Wiesz o tym. – Widział, jak mięśnie na zuchwie bimbrownika pulsowały, a jego twarz naprzemiennie wyrażała gniew i rozczarowanie. – Ale nie jest głupi. Kto wie, może jest mądrzejszy od nas obu razem, dlatego nie może się zmarnować – dodał.

Czekał, aż Staszek kiwnie głową, ale nie podjął tematu, dopóki gospodarz nie zorientował się, że sołtysowi zaschło w gardle. Po wypiciu porcji płynnego ognia gość na moment stracił oddech, po czym wrócił do tematu.

– No... dlatego pomyśl, czy może nie dać go na naukę na Wiedzącego. Sam wiesz, że chłopak kwiatki znosi i jakieś urządzenia, prawda? Masz tego całą szopę. To może dać go Koślawej? Ta go nauczy. Ona lubi takich zadumanych. Masz jeszcze czwórkę dzieci. Któreś się nada do przejęcia gospodarki, bo przecież nie wszystkie. A najstarszy na Wiedzącego. Jaki zaszczyt! Uczony, i to jedyny na całą wioskę, a nawet na kilka wiosek! Taki zaszczyt – powtórzył. – Będziesz miał chłopaka uczonego bardziej niż wielebny. Przecie Kośława czyta, tak?

Nie czekając na potwierdzenie, przesunął puste naczynie w stronę rozmówcy. Znów wypił gorzałkę jednym haustem i zaczerpnął ze świstem powietrza.

– To ja jutro idę do Wiedzącej. Mam twoją zgodę?

– Masz – odpowiedział Staszek bez zastanowienia.

Bimbrownik od dawna rozmyślał nad przyszłością syna. Kto wie? Może pomyśl sołtysa wcale nie był taki absurdalny, skoro chłopak, gdy się zastanowił, czasem faktycznie zachowywał się jak stara lekarka z kolonii: gadał dziwnie, skupiał się na rzeczach zupełnie bez sensu. No i dużo czasu spędzał na mamrotaniu pod nosem. Po prawdzie nie gadał do siebie, ale po jego twarzy, zmarszczonych brwiach i dziwnych grymasach widać było, że usilnie nad czymś duma, że w myślach rozmawia ze sobą na tematy, których może nikt we wsi nie rozumie.

Za drzwiami chłopak w napięciu chwycił każde słowo. Przyciskał ucho do starych desek, starając się zachować ostrożność, żeby nie zaskrzypiały. Słuchał z mieszaniną podniecenia i strachu. Wiedział, że sołtys ma rację, gdy mówi o nim, że nie jest głupi. Sam doszedł do tego, jak działa aparatura w warsztacie ojca. Rozwiązywał w mig zagadki Milewskiego, które tamten usłyszał w dzieciństwie od dziadka-gawędziarza. Rozmowy z

mieszkającym za płotem sympatycznym staruszkiem były zresztą jedną z ulubionych rozrywek młodego samotnika.

Michał dostrzegał też zjawiska, które inni wokół ignorowali. Jak to jest, że gruba mucha lata na takich małych skrzydełkach, a chuda czapla musi mieć takie wielkie? Czemu psy mają taki dobry węch, a ludzie nie? Gdzie znikają gwiazdy, gdy wychodzi słońce? Zdawał też sobie sprawę, że niektórzy dorośli są głębsi od niego. Nawet ksiądz, co wydało mu się szczególnie szokujące. Odkąd pamiętał, na mszy zamiast słuchać wielebnego oglądał polichromię, wyobrażając sobie, jak wyglądało życie przed wojną, wszak kościół był przedwojenny. Z pewnym rozczarowaniem dochodził do wniosku, że wtedy ludzie żyli podobnie jak dziś. Dziwiło go, że nikt nie namalował tam obrazków przedstawiających pojazdy, które gniły w lasach, a z których wyciągał tajemnicze urządzenia. Potem w szopie lub w piwnicy rozbierał je na części, starając się odkryć ich przeznaczenie i sposób działania.

Koślawą widywał na targach – antypatyczną staruszkę pomarszczoną jak suszona śliwka, która urywanymi zdaniami przepędzała wszystkich klientów i za każdym razem kłóciła się z wielebnym, mającym w starej Wiedzącej swojego umiłowanego wroga. Umiłowanego, bo stanowiła wdzięczny i niewyczerpany temat kazań i homilii. Michaś nie znał jej zbyt dobrze i chyba nie lubił. Była u nich w domu kilka razy. Kazała mu wtedy rozebrać się do samych majtek, stanąć prosto, odwrócić się i schylić najgłębiej jak potrafi, do tego zaglądała mu w zęby i uszy. Potem wieszała na ścianie izby planszę z wymalowanymi rzędami różnych obrazków, z których każdy kolejny był mniejszy. Kazała zakrywać jedno oko i zgadywać, a potem to samo z drugim. Nie wiedział, co się stanie, jeżeli nie zgadnie, dlatego starał się z całych sił. Krowa, kaczka, ryba jakaś, dzik, żuk...

Poza tym miał wrażenie, że rodzice się jej boją, przynajmniej tak to zapamiętał. Zanim przyszła, przez cały dzień sprząтали dom i obejście. Nie pamiętał szczegółów – to było tak dawno – ale stara kobieta różniła się od innych mieszkańców wioski.

Rodzeństwo patrzyło na niego z szeroko otwartymi oczami i ustami. Wiedziało, że decyzja już zapadła. Wszyscy też rozumieli jej nieodwołalność. To nie jest tak, że dzieci brata nie lubiły, ale w porównaniu z pozostałymi rówieśnikami we wsi był dziwny. Nie chciał się bawić, bo twierdził, że zabawy na podwórzu są nudne. Nie spotykał się z innymi

rówieśnikami, nie psocił, tylko siedział w szopie zakopany po uszy w zardzewiałych gratach, które pracowicie zbierał po leśnych wykrotach. Sam zainteresowany nie mógł się zdecydować, czy bardziej jest podniecony czy przestraszony. Wiedział tylko, że zostanie Wiedzącym i będzie znał czary.

1.

Dawno temu babcia mi opowiadała do snu, że przychodziła do jej matki w nocy stara baba z wielkim garbem i wylupiastym okiem. Siadała okrakiem na piersi i zaczynała dusić. Babka mówiła, że wtedy pono nawet ręką i nogą nie można poruszać, takie robią się ciężkie. W końcu udało się jej krzyknąć: „Odejdź, zły duchu, i przynieś łyżkę na śniadanie!”. I wtedy mara znikła.

Potem rano przysłała do nich Koślawa, a w ręku trzymała łyżkę. Wszyscy wiedzieli, że to zmora, ale i tak ją wpuścili. Prababka spytana, co taka markotna, odpowiedziała, że wie, że to czarownica przychodzi w nocy ją dusić. Koślawa nie zniknęła tak jak powinna, ale przyłożyła gospodyni taki zimny metalowy guzik do piersi, a potem jeszcze słuchała, jak oddycha i w ogóle różne czary robiła. Dała potem takie krople magiczne, żeby nimi skrapiać poduszkę, i drugie do picia. I kazała okno na noc otwierać. A potem jeszcze zostawiła kwiaty lipy i wygoniła dzieci do lasu po jagody bzu.

Podobno potem prababkę czasem jeszcze męczyły mary, ale ja myślę, że Koślawa jednak nie była żadną z nich.

Żadnych śladów skoliozy ani szkorbutu, bo i skąd, skoro mówi, że miejscowy. Młody, chudy, na oko trzynasto-czternastoletni, z blond czupryną przystrzyżoną chyba zwykłym nożem wykonanym z płaskownika, podobnym do tego, który trzyma w dłoniach dla rozładowania nerwów. A widać, że jest ogromnie zdenerwowany. Zresztą te wszystkie dzieciaki przychodzące na naukę na początku są tak stremowane, jak gdyby przestępowały bramę uniwersytetu, kampusu wypełnionego ogrodami i białymi klasycystycznymi budynkami, mojej cholernej Alma Mater, która poszła w pizdu razem z resztą Warszawy. Mnie tam akurat nie było. To stało się kilka miesięcy wcześniej, zanim spotkałam Joasię. Byłam wtedy doktorantką paleobiologii, która akurat wybrała się do Popielna, gdy to wszystko pierdolnęło z hukiem i zniecka. To znaczy zapowiedzi jakieś były, ale mnie wtedy bardziej interesowała ewolucja stopy rodziny *Equidae*. Gazet nie czytałam, telewizji nie oglądałam, a w internecie szukałam artykułów raczej mało aktualnych, skoro dotyczyły plejstocenu. Inna sprawa, że dopiero wówczas po raz pierwszy miałam do czynienia z żywym

konie, nawet jeżeli był to mały konik polski, łasy na marchew i poklepywanie po szyi.

Tamto lato było cudowne. Może nie tak cudowne jak to, które właśnie się kończyło. Było trochę zbyt upalne, zbyt parne, ale dla dziewczyny wypuszczonej z betonowej miejskiej dżungli lekki szkwał od jeziora był jak orzeźwiający prysznic. To nie jest tak, że cały czas harowałam przy zwierzętach, siedziałam z nosem w książkach i zasadniczo trzy czwarte doby poświęcałam pracy, a skąd! Jeżeli już, to siadałam z laptopem i notatkami pod drzewem, stopy wciskałam po kostki w chłodne błoto szorstkie od trzcinowego próchna i delektowałam się każdą chwilą.

To był mój ostatni urlop, ostatnie praktyki.

Pewnego dnia – to chyba była sobota, bo w porcie cumowało dużo więcej jachtów – na niebie zjawiły się samoloty i śmigłowce, drogi zablokowały czołgi i samochody terenowe, a potem horyzont zapłonął. No dobra, znów przesadzam. Nie słyszałam żadnego dźwięku. Nagle niebo po prostu zmieniło kolor. Na jasnoniebieski. Jak spokojny ocean w słoneczny dzień. To był najpiękniejszy kolor, jaki w życiu widziałam.

Później pojawili się żołnierze. Konfiskowali, co tylko się dało. Konie też próbowali zabrać, ale je obroniłam, za co zresztą zebrałam niezły wpieprz. To przez tamten cios kolbą karabinu w twarz nazywają mnie teraz Koślawa. Nie kuśtykam, a przygarbienie jest raczej skutkiem wieku, nie tamtych wypadków, ale odtąd mężczyźni przestali się za mną oglądać, co chyba mówi niemało.

Z powodu eksplozji na niebie pierwszego dnia stanęły wszystkie samochody w okolicy, nie licząc maluchów, nysek i innych trupciów. Te domorośli mechanicy szybko uruchomili i choć ruszały na pych, to przecież dało się jeździć. Dopiero po kilku miesiącach Asia znalazła działające ciężarówkę, ale pewnie nie były stąd. Ta pierwsza nadal stoi tam, gdzie ją porzuciłyśmy – w krzakach za starym tartakiem.

Podobno ten region zaatakowali ze względu na okoliczne jednostki wojskowe, składy i magazyny w Bemowie, Orzyszu i Szerokim Borze, które chcieli unieszkodliwić. Ale co ja tam wiem? Takie plotki były i Asia też tak mówiła... Unieszkodliwianie udało się całkiem niezłe, bo poza należącym do dyrektora stacji PAN samochodem, który przez całe lato smażył się w blaszanym garażu, zdechły też wszystkie komputery, telefony, telewizory, zegarki. Cały mój doktorat diabli wzięli, a to był dopiero

początek i najmniejsze zmartwienie, bo jak się potem dowiedziałam, nawet nie miałabym gdzie go obronić.

Dwa dni po tych cichych eksplozjach w atmosferze podjechały ciężarówki Tatra czy jakieś inne – nie pamiętam już po tylu latach. Wysypali się z nich żołnierze, którzy natychmiast chcieli zabrać wszystkie pojazdy zdatne do użytku. Było ich trzydziestu, może więcej. Wszyscy ubrani jak na paradę, ostrzyżeni, ogoleni. Widać było, że dopiero wyjechali z jednostki. Pojawił się oficer, który czytał z listy, co chcą wziąć, i nawet zacytował jakąś ustawę. Większość pracowników ośrodka wycofała się chyłkiem, niektórzy swój sprzeciw ograniczyli do żądania przedstawienia pisemnych rozkazów, ale ja i jeszcze dwie koleżanki stanęłyśmy w obronie biednych zwierząt, które śliczni chłopcy chcieli zabrać na wojnę. Byłyśmy przerażone, konie zresztą też. Jeden z trepów, nie czekając na wynik dyskusji, nie czekając na przyście dyrektora stacji, zaczął gramolić się przez ogrodzenie na wybieg dla zwierząt. Nie zastanawiając się, podbiegłam i chwyciłam go za kurtkę munduru. Stracił równowagę i padł na plecy. Nic mu się nie stało, ale wszyscy wybuchnęli śmiechem. Wstał czerwony na twarzy. Starał się otrzepać mundur z błota, ale tylko roztarł je sobie na dłoniach. To od niego zarobiłam w pysk. Później wojskowy sanitariusz opatrzył mi twarz, ale niewiele mógł poradzić na złamaną kość policzkową i porażenie mięśni. W tym czasie dowodzący krzyczał coś o sądzie i więzieniu, ale nie docierało to do mnie. Przynajmniej konie zostawili w spokoju. Obolała, opuchnięta od uderzenia łkałam i smarkałam naprzemiennie w oba rękawy sztormiaka. Dostałam jeszcze kwit, z którym miałam udać się do szpitala polowego. Nie zdążyłam – na niebie pojawiły się pierwsze drony.

No tak. Ja tu sobie wspominam, a chłopak z nerwów gotów zemdleć lub puścić pawia. Taksuję go wzrokiem jeszcze przez chwilę. Mrużę oczy i pochrząkuję – to doskonale buduje autorytet.

– Ojce? – pytam bez przywitania, bo przecież wciąż nie wiem, czy go zaraz nie pogonię.

– Ja Staszkowy – odpowiada ze ściśniętym gardłem.

Staszkowy? Czyli syn tego bimbrownika z Okartowa, z bogatej rodziny. Rozejrzałam się po domu, sprawdzając, co wymaga remontu, jakie sprzęty dobrze byłoby już wymienić. Oczywiście, chłopaka skierował tu sołtys, który odwiedził mnie wczoraj. Od lat przychodzi i miętosząc w dłoniach czapkę, żali się, że Wiedząca stara, byle przeziębienie i zaraz wioska

zostanie bez opieki. Źle, że kolejnych uczniów odsyłam, a przecież niegłupich. Może i niegłupich, ale leni i krnąbrnych. Rodzice im do głów nakładli, że jakimiś czarownicami zostaną, a gdy ci się zorientowali, że moja chałupa to nie Hogwart, a Kośława to nie Dumbledore i że nauka magii polega na wybijaniu pomysłów o magii z głowy, to się zniechęcali i rezygnowali. Pamiętam tego ostatniego – jak on się nazywał? No, nie do końca rezygnowali. Zawsze zdążyłam ich wcześniej odesłać. W końcu decyzja należy do mnie.

A sołtysowi też nie chodziło o jedną wioskę, bo lecę cały powiat. To znaczy w przybliżeniu teren, który kiedyś był powiatem, a nawet większy, bo czasem przyjeżdża pacjent ze zrujnowanych Mikołajek lub odległego Kolna, jeżeli się przebił przez wszystkie zbójce myta. Kilka razy trafił się nawet ktoś z Ukty – łodzią przyplłynął pod prąd. Ale dzięki tym wizytom z daleka wiocha ma pieniądze z noclegów i wyszynku, bo leży najbliżej mojej kolonii. Nie żałuję gospodarzom, którzy wyłożone sianem kawałki podłogi sprzedają na godziny za tuzin jajek, a posiłki za żywą gotówkę, ale przynajmniej mogliby nie nazywać tego „agroturystyką”. Może nie rozumieją znaczenia tego słowa? No przecież, że nie rozumieją, ale ja nie zamierzam walczyć z żywym organizmem, jakim jest język.

Wcale się sołtysowi nie dziwiłam, że taki troskliwy, ale mnie wkurza, bo stary złamas mógłby od czasu do czasu przyjść pogadać o pogodzie, pochwalić się, że ziemniaki obrodziły, herbatkę z dziurawca lub mięty wypić, a nawet zadawać te wkurzające pytania o wojnę, a nie pierdolić, że zaraz mam się kłaść do grobu. Ale mimo wszystko lubiłam chłopca. Szanowałam nawet. Miał naturalną zdolność gaszenia konfliktów. Kto wie, czy jego nieobecność nie skończyłaby się małą wojną między chłopkami? Czasem wydawało mi się, że sołtys, mimo swoich wad, był wiosce bardziej potrzebny niż stara Kośława.

– Ojce ludzi wódką trują – nie spytałam i nie stwierdziłam. Coś pomiędzy, żeby wybadać chłopaka. – Kartoflówka ojca to straszne gówno. Truje tym ludzi, a potem przychodzą do mnie, że ich w prawym boku kłuje. I kto mi za to zapłaci? Ostropest w tym klimacie nie rośnie byle gdzie. Nachodzić się trzeba.

– Ojce zapłacą – odpowiedział od razu, jeszcze bledszy, nawet jeżeli wydawało to się niemożliwe. – Ojce na nalewki przesyłają spirytus. Dziesięć razy destylowany.

Nastolatek sięgnął do plecaka i wyjął pięciolitrowe wiadro po farbie. To się stary machnął, nie ma co. Skinieniem głowy pokazałam, gdzie ma odłożyć wiaderko. Posłusznie postawił je na blacie starej szafki, którą zgarnęliśmy dekady temu z jakiegoś pensjonatu.

Przez chwilę milczałam, niby się zastanawiając. Coś mnie w tym dzieciaku niepokoiło. Próbowałam sobie przypomnieć, skąd go znam, z jakim zdarzeniem mi się kojarzy. Owszem, jestem pewna, że go spotkałam, gdy jeszcze prowadziłam badania okresowe wszystkich dzieci w wiosce, ale ten brak pamięci do nazwisk i twarzy...

– Od jutra zaczniesz naukę – oznajmiłam dokładnie tymi samymi słowami, co kilkunastu poprzednim uczniom. – Nauczysz się liczyć i czytać, a potem się zobaczy.

– Czytać? – Oczy chłopaka wypełniły się blaskiem, jakiego nie widziałam od dawna. Czyżby sołtys znalazł wreszcie odpowiedniego kandydata?

– Tak. Teraz nikt nie czyta, chociaż książki można znaleźć w każdym gruzowisku. Rozpalają nimi w kominkach i podcierają nimi dupy. Nauczysz się czytać i pisać. Jeżeli nie chcesz, to wynocha i znajdę sobie kogoś lepszego. Albo nikogo nie znajdę, bo nie szukam.

– Ale ja bardzo chcę! – Wykazywał taki entuzjazm, że poczułam ukłucie zazdrości. Tak właśnie objawiała się młodość.

– Dobrze. Jutro cię sprawdzę, czy nie jesteś głupi, a potem będziemy cię uczyć. Jak cię zwą? – spytałam.

– Młody Staszkowy.

– Ale imię jakieś masz? Twoje, a nie ojca?

– Michaś... To znaczy Michał – odpowiedział, czerwieniejąc na twarzy.

– Matka mnie czasem nazywa Michaś.

– To dla mnie też będziesz Michaś, a dla ludzi Michał. Teraz spać – poleciłam.

Oczywiście nie zamierzałam mu robić miejsca w domu, o nie. W kurniku przylegającym do stajni od pięćdziesięciu lat nie było drobiu, a jakiś czas temu dobrze go ociepliłam, więc przy odrobinie dobrej woli można było uznać, że to altana gościnna, *chambre d'hôtes*, schronienie dla podróżnych, chorych i kuracjuszy, którzy najczęściej docierali do mnie wieczorem. Nie było tam źle czy niewygodnie. Miejscowym nie przeszkadzał zapach zwierząt, szczególnie zimą, gdy ich ciepło ratowało nawet gorączkujących. Poza tym wstawiałam tam koksownik, który przy

mikroskopijnym okienku i obitych drzwiach w dwie godziny robił z kurnika saunę. Niewielu gości nocowało tu zimą, bo do kolonii dotrzeć można było wyłącznie przez zasypaną śniegiem, zamrożoną Kałużę, a przy odwilży rozmokniętą drogą. Po obfitych opadach nawet sanie potrafiły ugrzęznąć w nawianych z pola zaspach śniegu.

Poza tym, jeżeli komuś się nie podobało, to nikt tu nikogo na siłę nie trzymał. Zawsze mogli się wynieść.

Tak jakoś utarło się przez te wszystkie lata, że do Koślawej trzeba przyjść wieczorem, wtedy przez całą noc będzie rozmawiała z duchami, a rano już człek będzie zdrowy. To oczywiście nie jest prawda. Nie jestem lekarzem, mimo że mam te pięćdziesiąt lat praktyki. Przynajmniej na początku nie byłam. Gdy przychodził chory, to ja po prostu siadałam do książek i szukałam objawów, diagnozy, leczenia. Bo wtedy, gdy zaczynałam pomagać, prawdziwych lekarzy już od kilku lat praktycznie nie było. Nie po Drugiej Fali, której nawet Asia nie przetrwała, choć była taka twarda.

– Będziesz spał w kurniku. Głodnyś? – spytałam jeszcze z wrodzonej dobroci serca, chociaż po takim odpływie adrenaliny zapewne surowego jajka by nie przełknął. Pokręcił głową.

– Ja sobie jeszcze zjem okonka, a ty zmykaj do kurnika.

Chłopak sięgnął po ogromny jutowy worek i wyskoczył jak z procy, o mało nie nadziewając się na poroże jelenia w przedsionku, które od dawna służyło mi za wieszak na płaszcze i parasolki. Kiedy ja ostatnio widziałam parasolkę?

Sięgnęłam po talerz z prawie niewidocznym znakiem PTTK, nałożyłam sobie dwa okonki i kromkę chleba, żeby się nie udławić ością. Do fajansowego kubka z logo którejś z dawnych restauracji z drugiej strony Kałuży nalałam z dzbanka zimny już napar z szaławii. Całą tę ucztę zaniósłam do kominka, na którym płomienie radośnie tańczyły po ściankach żeliwnego kociołka.

– Michaś – powtórzyłam imię chłopaka.

Może faktycznie coś z niego będzie? Jedząc, układałam w głowie konspekt lekcji. Stara, niepotrzebna przez tyle lat wiedza, którą pozwoliłam sobie wtłoczyć, gdy jeszcze marzyłam o zawodzie nauczycielki. To było zanim w trakcie pierwszych praktyk stanęłam naprzeciw ucznióm, którzy w ciągu czterech tygodni naiwne marzenia studentki wdeptali w ziemię, ale wcześniej porządnie je skatowali. Z odmętów pamięci wydłubywałam

mimowolnie zapomniane teorie nauczania, nurty w psychologii rozwojowej i nagle ze smutkiem stwierdziłam, że mogę nie zdążyć. Sołtys miał rację, że w tym wieku wystarczy zwykłe przeziębienie, że każda kolejna słota może być ostatnia. Nadal trzymałam się nieźle mimo tych ośmiu ciężących krzyżyków. Dbałam o siebie. Chociaż artretyzm dokuczał mi czasem niemiłosiernie i coraz bliżej był dzień, kiedy nie zdążę do wychodka, okulary ze szklami jak denka od słoików już nie wystarczały, a głowa nie pracowała tak dobrze jak kiedyś, w ciepłe i suche dni czułam się, jakbym miała najwyżej sześćdziesiątkę. Niektórzy okartowscy twierdzili co prawda, że mam przynajmniej sto lat, ale to był raczej szacunek dla mojej wiedzy i doświadczenia.

Powoli poszłam do sypialni na piętrze, do budowanego przez lata legowiska, składającego się z materaca z Gołębiewskiego, na którym z każdym rokiem przybywało pledów, kożuchów i skór przynoszonych przez pacjentów. Położyłam się na wznak, kokosząc się jeszcze przez chwilę, żeby żaden staw nie wystawał spod kołdry. Po tej gimnastyce wyciszyłam się, spowolniłam oddech, starając się ignorować nieznośny o tej godzinie ból stawów. Zasypiałam kołysana szumem wiatru, szelestem opadających liści, wsłuchując się w basowe ryczenie jeleni – zwiastunów jesieni. Kolejnym znakiem miały być nawołujące się żurawie, ale to dopiero za kilka tygodni. Dziś niech mi jelenie wyryczą dobre sny.

Znowu śniłam, że jestem w piwnicy, wilgotnej i chłodnej, w której do pojedynczych komórek prowadzą drzwi z nieheblowanych żywicnych desek, czasem podbitych płytą. Był to prawdziwy skarbiec przetworów, które pozwoliły mi przetrwać zimę, rupieciarnia pełna rowerów blokujących każdy skrawek wolnej przestrzeni i szaf wypełnionych starymi ubraniami, wędkami, deskorolkami i cholera wie czym jeszcze. I te okna – mikroskopijne, na poziomie ziemi, okrutnie brudne, przesłonięte pajęczynami, czasem zakryte kartonami, jeszcze inne uchylone, żeby koty miały schronienie. Pod sufitem biegły rury centralnego ogrzewania, opatulone watą mineralną utrzymywaną w kupie przez cienki pancerz z gipsu. Tygodnie nudy, tygodnie strachu. Wtedy, w czasie Drugiej Fali, spędziłam tam kilka miesięcy. Spokojnych i względnie sytych miesięcy. Czemu śniłam o piwnicach? Nie wiem, ale za każdym razem były to koszmary. Znacznie gorsze niż tamta rzeczywistość.

2.

Zaraz po wojnie, zanim przyszedł ksiądz Marek, to tutaj żyli strasznie chciwe ludzie. Zajęli domy i wzięli się od razu za obrabianie ziemi, a maszyny mieli jeszcze przedwojenne, sprawne, więc robota szła szybko. I tak postanowili najpierw posadzić kartofle. Każdy z tych gospodarzy, jak już wykopał pierwszą dziurę, to na dnie znalazł złotą monetę. Ale to każdy. Wieczorem się spotkali i wspólnie dziwili, skąd się takie skarby tam wzięły, i to po równo rozdzielone. Każdy oczywiście cały dzień kopał, czy więcej złota gdzieś nie ma.

Następnego dnia wrócili sadzić, bo złoto złotem, ale żreć się go nie da. I znowu każdy wykopał dziurę, a tam na dnie już dwie złote monety. No i wiadomo, że tego dnia też nikt nie sadził kartofli. Trzeciego dnia gospodarze w pierwszej wykopanej dziurze znaleźli trzy monety każdy. Teraz to już co bardziej bystrzy zaczęli sobie kombinować, że tego dnia nic więcej nie wykopią, i w końcu zajęli się tym, co mieli robić.

Ale to jeszcze nie koniec. Bo jeden chłop, Kalinowski, zaczął się zastanawiać, skąd te pieniądze się w ziemi biorą. Nikt nie miał tyle złota, żeby je rozdawać, i to w taki dziwny sposób, więc tu pewnie chodziło jakieś sztuczki diabła. Niewiele myśląc, wieczorem zakradł się w krzaki rosnące obok jego pola, tam położył się na ziemi, obsypał trochę sianem i czekał. Zapadła noc, a chłop nadal wytrwale w tym schowku siedział. Dopiero o północy z krecich nor wyszła grupa małych ludzików, takich może do kolan. Każdy z nich ubrany w ładne dresy, z łyżką na ramieniu. Bez pośpiechu wykopali dziurę, wsadzili tam cztery pieniążki i ponownie zakopali, ale tak równo, że nawet ślad nie został. Po wszystkim maluchy wlażyły z powrotem pod ziemię.

Następnego dnia, zanim ludzie ruszyli na pole, Kalinowski opowiedział o tym, co widział w nocy. Najpierw mu nie uwierzyli, dlatego zaprowadził ich na miejsce i wykopał cztery monety. Wtedy to nadal mu nie wierzyli, bo przecież codziennie każdy co łopatę w ziemi zanurzył, to trafiał na złoto. Dlatego wieczorem aż czterech okartowskich zaczęło się pod krzakiem. Tylko czterech, bo to były małe zarośla i by bokami wystawali.

No ale rano, jak już czterech gospodarzy zeznało tak samo, to w końcu wszyscy uwierzyli, że to takie malce złoto przynoszą. Był nawet jeden, co

wyjaśnił, że babka mu opowiadała o podziomkach i że to pewnie one złoto podrzucają.

I mogliby sobie dobrze z tymi podziomkami żyć, co nie? Ano nie. Ktoś rzucił pomysł, żeby te podziomki złapać i wypytać, gdzie trzymają całe złoto, a nie tak po kilka pieniążków, które przecie trzeba jeszcze wykopać. Tak też i zrobili. W nocy z kocami, kołdrami i sieciami rzucili się na podziomki i dawaj je do klatki, i pytać „gdzie jest złoto, gdzie jest złoto”. No, tylko że te malce to mazurskie były, więc gadały trochę po polsku, trochę po niemiecku, a pewnie też i trochę po żydowsku. Zasadniczo to powtarzały, że takiego wała. I tak było do świtu, bo wraz z pierwszą rosą wszystkie się rozplynęły, no zniknęły po prostu i tyle ich chłopci widzieli.

Oczywiście złota już więcej nie znaleźli. Potem, jesienią, jak już się zaczęły wykopki, to choć wszystkie kartoflane rośliny pięknie wyrosły, w ziemi nie było ani jednej bulwy – tylko kamienie. Tak samo puste były kłosa żyta, a nawet pestki słoneczników. Same skorupy! Głód nastał taki, że niektórzy pomarli, a pozostali wyjechali, żeby się od podziomkowej klątwy uwolnić. I dopiero następnego lata przybyli ze świata gospodarze, których rodziny żyją tu do dziś.

Pobudka była jak zwykle bolesna. Tyle lat w wilgoci i zimnie stopniowo wżera się w stawy, dlatego pewnego dnia po prostu się nie podniosę. Tak, marzy mi się śmierć w łóżku. Nie taka jak Asi, o nie! Nie chcę kaszleć krwią, walczyć o każdy oddech! Chcę po prostu pewnego dnia się nie obudzić. Niech chociaż tyle mam od życia. Na razie jednak wstaję. Najpierw gimnastykuję zziębnięte dłonie, jeżeli przypadkiem we śnie wydostaną się spod pierzyny, potem kark i nogi. Ziewam przy tym strasznie. Po tej rozgrzewce zaciskam zęby i wstaję szybko. Boli może bardziej, ale przynajmniej nabieram takiego rozpędu, że w połowie czynności się nie rozmyślę.

Zakładam grube wełniane skarpety sięgające kolan, potem gumowce, trochę już przetarte tu i ówdzie, ale i tak chodzę w nich tylko po domu. Piję łyk wody z kubka stojącego na parapecie obok skrzynki z aloesem. Resztą płynu podlewam roślinę, oczywiście jeżeli nie wypiję wszystkiego. Chwast trzyma się przy życiu, a nawet rozmnaża. To mój najlepszy lek na poparzenia. Sięgam po leżące obok okulary. Ciągle zeszywniała, stopień po stopniu schodzę na parter. Resztki żaru z wczorajszego ognia obsypuję delikatnie suchym igliwem i sianem z leśnych traw o cienkich źdźbłach.

Jeszcze trochę kory brzozonej i można już kłaść pierwsze sosnowe szczapki. Przez chwilę pilnuję ognia, sprawdzam, czy wody w kociołku wystarczy do umycia się, i wychodzę tylnymi drzwiami prowadzącymi na podwórze, otoczone z czterech stron budynkami w różnym stadium rozkładu. Gospodarstwo, jeszcze przedwojenne, to znaczy sprzed jeszcze poprzedniej wojny, zajęłyśmy prawie pół wieku temu, gdy Asia miała pewność, że jest bezpieczne, wolne od zarazy, dronów i trucizn.

Kiedyś całość była zapewne zamkniętym kwadratem z wewnętrznym dziedzińcem. Dom z drzwiami po obu stronach leży na osi wschód-zachód. Od frontu pod same drzwi podchodzą drzewa, zarastające otoczony płotkiem ogródek czy raczej owalny klombik z dwiema sosnami i łańcuszkiem dogorywających jałowców, do którego nie zaglądałam od lat. Teraz jest na nim cmentarzyk. Tyłne drzwi, jedyne, z których korzystam, wychodzą na podwórze. Ściany mają kolor brudnej cegły, ale pod samym dachem wisi jeszcze kilka płatów żółtego tynku, który zerwałam, gdy zaczął pękać i podchodzić wodą.

Naprzeciw domu stoi stodoła, zbudowana z poczerńiałych ze starości desek z dziurami na przestrzał, z jednym tylko skrzydłem drzwi. Drugie wypadły z zawiasów wiele lat temu i skończyły w kominku. Dach zapadł się do połowy jeszcze przed moim przybyciem i tak się zatrzymał, widać niegotowy do ostatecznego zawalenia. Czasem tylko po większej burzy znajduję na ziemi kilka dachówek. Najważniejsze, że prawie połowa stodoły nadal nieźle się trzyma, więc miejsca na siano dla koni i kozy starczy aż nadto.

Po przejściu na drugą stronę stodoły widać las za odległą drogą, która najpierw biegnie równoległe do gospodarstwa, a następnie skręca, tak że szerokim łukiem dochodzi do frontu domu. Zaniedbane pola i pastwiska porastają pojedyncze sosny, świerki i brzozy. Las wdziera się z każdym rokiem coraz dalej w łąkę. Łąkę, bo uprawę pola odpuściłam sobie po latach nieudanych a pracochłonnych prób. Nie była to tylko moja wina. Winne były raczej cholerne rośliny GMO, które owocowały bezpłodnymi ziarnami i nasionami. Nawet z bulw ziemniaków rosły jakieś koszmarki – karłowate krzewy bez kwiatów, ze zdrewniałymi bulwami. Przez pierwszych kilka lat po wojnie nie tylko ja głodowałam. Dopiero potem pierwsi przyjezdni handlarze przywieźli ze sobą ziarno siewne. Uprawy chorowały, pleśniały, z czasem pojawił się sporysz, ale przynajmniej było co jeść.

Z każdym kolejnym latem na dawnym kartoflisku przybywa traw i ziół, przepiórek i bażantów. Zacienione przez drzewa odcinki drogi zarasta babka, a wieczną kałużę na środku pola pomiędzy gospodarstwem a lasem przejmują mniszek lekarski i siedmiopalecznik, który zbierałam i suszyłam, bo podobno dobry na reumatyzm. Podobno.

Na prawo od tylnego wyjścia z domu stoi solidna obórka z kamieni i cegieł, z małymi okienkami i równie małymi drzwiami po jednej stronie, tej od podwórza, i z dużą bramą po przeciwnej, wychodzącej na ogrodzone pastwisko. Ma piéterko, na którym trzymam część książek i gratów. Połączona jest z domem niskim, ale solidnym murem, dlatego na front domu można przejść tylko z jednej jego strony. Mur kiedyś był wyższy, ale potrzebowałam cegieł do wyłożenia kanału dymowego wędzarki. Wędzarki też już nie używam. W obórce mieszkają dwa koniki – Thelma i Louise – oraz koza, której dałam na imię Głupia. To cały mój inwentarz. Rolniczka zawsze była ze mnie marna. Kotów nigdy się nie dorobiłam, a psy albo mnie denerwowały szczekaniem, albo były zbyt przyjaźnie nastawione, żeby warto je było trzymać w domu. Część obórki poprzedni właściciel przeznaczył na kurnik. Ja nie mam kur, dlatego pomieszczenie najpierw długo stało puste, a gdy zaczęli pojawiać się pacjenci, których nie chciałam trzymać w domu, powoli przerobiłam kurnik na gościnną sypialnię. Teraz nocował tam nowy uczeń. Jak on się nazywa? Nigdy nie miałam pamięci do imion.

Od tylnej ściany obórki, przez środek ogrodzonego pastwiska i dalej, do samego brzegu Kałuży, prowadzi wąska dróżka wyłożona kamieniami. Nad wodę nie chodzę. Brzeg przejęły trzciny, olchy, pokrzywy i niezapominajki, a i wcześniej dostęp do wody był utrudniony przez szeroki pas tataraku i innego zielska. Pozostał niewielki prześwit pomiędzy drzewami i krzewami, przez który widać powierzchnię wody lub lodu, a z rzadka rybaków na różnych plastikowych wynalazkach przerobionych z turystycznych jachtów. Jeden taki kadłub leży w zagajniku przed zejściem na brzeg, odwrócony do góry dnem. Urzędują w nim norki lub inne zwierzęta.

Po lewej, na tyłach domu, znajdują się szczątki muru, a może ściany z kamienia. Jak popatrzeć na inne gospodarstwa w okolicy, to pewnie kiedyś był tu chlewik. Kawałek dalej założyłam zaniedbany teraz ogródek ze studnią pośrodku, regularnie tratowany przez Głupią. Nie udało mi się w nim wyhodować nawet ziół czy pomidorów, choć specjalnie dla nich

urządziłam kiedyś małą szklarnię, od lat straszącą rdzewiejącym szkieletem i zębami wybitych szyb. Pierwsze szyby potłukły się już kilka dni po ich wstawieniu, jakieś czterdzieści dwa, może czterdzieści pięć lat temu. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, w którą stronę spadają dachówki ze stodoły. A o szyby z każdym rokiem coraz trudniej, są coraz droższe, choć nie porzuciłam jeszcze nadziei, że kiedyś uda mi się oszklić całe to ustrojstwo. Nawet nie chodzi o to, żeby tam coś uprawiać, ale raczej zaprezentować odwiedzającym tę konstrukcję jako reklamę moich zielarskich umiejętności i kompetencji.

Po tamtej stronie, pomiędzy domem a szklarenką, biegnie druga kamienna droga, główny szlak prowadzący do gospodarstwa. Skręca zaraz po wyjściu za murek i łączy się pod lasem z piaszczystą ścieżką wiodącą do wioski.

Spojrzałam na drzwi kurnika. Były otwarte, czyli chłopak już gdzieś wyszedł, bo raczej nie spał przy tym wietrze z drzwiami na oścież. Rozejrzałam się, ale go nie dostrzegłam. Za to zobaczyłam innego chłopaka, syna wdowy Janki, który pomagał za wyleczenie zapalenia płuc. Nie był specjalnie bystry ani silny, ale Janka nie miała czym zapłacić. W zasadzie to chyba chłopak przy okazji podkradał mi jedzenie dla siebie, matki i siostry. Dopóki nie przesadzał, nie zamierzałam mu zwracać uwagi. Nie kopie się leżącego.

– Ej, ty! – krzyknęłam i powoli poszłam w jego kierunku. Przychodził tu od sześciu tygodni, a ja nadal nie potrafiłam zapamiętać jego imienia. Rzucił głową w jedną i w drugą stronę, jakby szukał drogi ucieczki. – Jesteś wolny. Powiedz matce, że wszystko spłacone. Sołtys będzie miał dla ciebie robotę. Pozdrów matkę i uściskaj siostrę. I jeszcze jedno. Jak tylko dojdiesz do wioski, przyślij mi tutaj Staszka bimbrownika. Powiedz mu, że syn na razie zostanie i że musimy się rozliczyć.

– Dzień dobry – usłyszałam.

Nowy uczeń szedł żwawym krokiem, z mokrymi włosami i ręcznikiem na ramieniu. Dziwne. Higiena tutaj nie była szczególnie popularna.

– Dobry. Gdzie byłeś? – spytałam życzliwym, ale zdecydowanym tonem, jednocześnie gestem odsyłając syna Janki.

Dotychczasowy parobek skinął głową i poszedł do stodoły po swoje kłamoty. Proponowałam mu kurnik na nocleg, ale on wolał spać w stogu siana.

– Kapać się w strumieniu.

Ha, strumieniu. Rów melioracyjny, nie żaden strumień.

– Następnym razem myj się w wodzie ze studni lub w Kałuży. Nie wiadomo, co ludzie wrzucają do rzek – upomniałam, jak zresztą od lat upominam wszystkich, bo bakterie kałowe są wszędzie, a najczęściej właśnie w tych małych strumyczkach, które zawsze w którymś miejscu przebiegają obok wychodka. – Nakarm konie i kozę, a potem przyjdź pomóc mi przy śniadaniu. Będziesz mi pomagał, a ja będę cię uczyć. To chyba uczciwa wymiana. Jeżeli będziesz coś naprawiał, to materiały da twój ojciec. Z ojcem się jeszcze muszę rozliczyć.

Podszedł i wyciągnął rękę.

– Zgoda – potwierdził, ściskając mi dłoń. Trochę za mocno. – Zwierzęta nakarmiłem przed kąpielą.

To było miłe, ale nie dałam tego po sobie poznać. Może faktycznie tym razem sołtys dobrze trafił? Chłopak zniknął w kurniku, a ja wróciłam do domu. Ze spiżarki wyjęłam jajka, wędzoną rybę, chleb i kaszę. Rozejrzałam się za kawą. Nadal nie pozbyłam się tego nawyku, mimo że od wieków kawy – tej normalnej, a nie świństwa z żołądki – na oczy nie widziałam. Zastanawiałam się kiedyś, czy sterylne próżniowe opakowania, w jakich sprzedawano kawę przed wojną, pozwoliłyby jej przetrwać kilkadziesiąt lat? Kiedyś pojawiały się doniesienia o puszkach i konserwach z czasów drugiej wojny światowej, które jeszcze po roku dwutysięcznym smakowały jak świeże, mimo mocno przekroczonego terminu. Na myśl o konserwie ślina napłynęła mi do ust. Tego odruchu też już się chyba nie pozbędę.

– Jak było przed wojną? – spytał Michaś, żując chleb. To pytanie zawsze w którymś momencie musiało paść i najczęściej padało jako pierwsze albo co najmniej w pierwszej dziesiątce.

– Inaczej. Wszędzie było pełno wszystkiego, tylko czasu nie starczało, żeby tego spróbować.

Najwyraźniej nie rozumiał, a ja nie zamierzałam spędzić całego dnia na melancholijnych wspominkach. Wróciłam do jedzenia, a Michaś, gdy się zorientował, że nie dodam nic więcej, zmienił temat.

– I to prawda, że wtedy ludzie żyli sto lat?

– Ludzie zawsze żyli sto lat. Tales z Miletu podobno żył sto lat, i to w czasach, gdy średnio ludzie umierali około trzydziestki. Przed wojną żyli dłużej, ale to raczej zasługa medycyny, higieny, żywności. Dlatego też byli wyżsi.

– To kiedyś byłaś wyższa?

Roześmiałam się, bo rozmowa przypominała boksowanie się z sześciolatkiem.

– Tak, byłam wyższa, bo teraz chodzę zgarbiona, ale przeciętnie ludzie rośli wyżsi, bo lepiej się odżywiali i żyli w lepszych warunkach, nie chorowali tyle w dzieciństwie. Gdybyś żył przed wojną, to pewnie miałbyś jakieś dziesięć centymetrów więcej niż masz teraz. Chociaż i tak ułomkiem nie jesteś. – Puściłam do niego oko. – Powiedz, czy rodzice uczyli cię czytania, liczenia? Liczenia pewnie tak, bo ojciec podobno targuje się jak mało kto.

Przytaknął.

– Ojciec nauczył mnie pisania liczeb.

– Liczb – poprawiłam.

– ... liczb. Umieć dodawać i mnożyć.

– Trzy razy siedem? – strzeliłam z zaskoczenia.

– Dwajścia jeden – odpowiedział bez namysłu. Dobre i to, pomyślałam.

– A pisać?

Chłopak się zarumienił.

– Pisać nie. Ojciec tylko obrazki robią, jak zapisują dłużników, towary i tak dalej.

– To zaczniemy od pisania. Gdybym nagle umarła, to będziesz wtedy mógł uczyć się sam.

– Z tych książek, co są w obórce? – spytał i natychmiast zamilkł, rumieniąc się i spuszczać wzrok.

Najwyraźniej rankiem myszkował po poddaszu. Miałam nadzieję, że nie narobił bałaganu.

– Tak, i nie tylko z tych. Niektóre z tych książek czyta się dla przyjemności, inne są podręcznikami, czyli zawierają praktycznie samą wiedzę. Poza tym będziesz notował, co ci powiem, bo pamięć bywa zawodna.

– Ale ja mam dobrą pamięć! – zaprotestował.

– A jaką masz pewność, że nauczysz się składu jakiegoś leku lub jakiejś receptury, nie będziesz ich używał przez dwadzieścia lat, a potem sobie przypomnisz, kiedy będą ci potrzebne? Pamiętasz, ile dwa lata temu kosztowało podgardle dzika?

– Tak. Dziesięć złotych u Milewskiego, a u Drawskiego dwanaście, bo zawsze miał lepsze na skwarki.

– A siedem lat temu?

– Siedem lat temu to ja byłam za mały, żeby pamiętać.

– A za dwadzieścia będziesz za stary i robaki mózg ci zjedzą. Będziesz pisał albo wynocha! – Ucięłam temat.

– A to, co mi powiesz o wojnie i o świecie przed wojną, to też mogę pisać?

Zaskoczył mnie tym pytaniem.

– Tak, ale nie wolno ci publikować bez autoryzacji – zażartowałam.

Wsunęłam do ust ostatni kęs chleba i otrzepałam palce. Chłopak skończył posiłek już jakiś czas wcześniej.

– Weź gorącą wodę z kociołka i wrzuć do niej naczynia. Zresztą poczekaj.

Wstałam i gestem poleciłam, żeby poszedł za mną. Nikogo nie dopuszczam do kuchni, więc jeżeli już ktoś ma mi w niej pomagać, musi najpierw nauczyć się, co odkażać temperaturą, a co spirytusem.

Po zmywaniu doszło do pierwszej scysji. W sumie z mojej winy, bo chłopak po prostu chciał dobrze. Gdy ja poszłam szukać ostatnich ziół, które jeszcze nie zwiędły od jesiennych chłódów, Michaś wyszorował całą kuchnię. Ale to calusieńką: podłogi, kominek, półki i szafki. Szklęm oskrobał kociołek i przepłukał zakurzone filizanki, których nie używałam od wieków, bo do czego? Na koniec wymył i wyparzył słoiki z pleśnią hodowaną na penicylinę. Dobre szczepy, z których leki były skuteczne.

– Przecież to pleśń. – Bronił się, kiedy mu zmyłam głowę. – Kazałaś mi dbać o czystość, to czyszczę.

Musiałam mu przyznać rację. Jak miał dzieciak zrozumieć, że z jednej strony ludzie karleją od brudu, a z drugiej brud jest potrzebny przy leczeniu?

– Następnym razem pytaj. Te skórki chleba – powiedziałam, wskazując palcem pięknie wyszorowane słoiki – były moim najlepszym lekarstwem. Były niezastąpione.

Milczeliśmy, stojąc naprzeciw siebie. Trybiki w mojej głowie już pracowały nad planem szybkiego odzyskania hodowli, a Michaś... Wydaje mi się, że nie bardzo wiedział, co ma zrobić. Wodził tylko wzrokiem po rogach sufitu, zapewne w poszukiwaniu pajęczyn. Czyżby pajęczyny też zamierzał zniszczyć?

– Nie rzucisz na mnie klątwy? – spytał w końcu tak cicho, że dopiero po chwili dotarło do mnie jego pytanie.

– Przynajmniej pajęczyn nie ruszaj. – Westchnęłam ciężko.

Chciałam jeszcze coś dodać, może zakląć, zrezygnowana, ale zabrakło mi słów. Odwróciłam się i wyszłam.

Problem pleśni rozwiązałam dosyć szybko, choć nie bez pomocy ucznia. Pozostałymi ze śniadania kromkami chleba kazałam mu pocierać sufit i ściany w miejscach, których nie mył, a ja w tym czasie nieudolnie trzymałam chybotliwy taboret. Chłopak nie spadł, nie kopnął mnie w kośćlawą twarz, a zadanie wykonał. Trochę czasu zajęło mi tłumaczenie, że pleśń jest jak grzyb i że purchawki, i że zarodniki, i że wydzielane przez pleśnie i grzyby substancje, i tak dalej. Pewnie nie zrozumiał nawet połowy słów, których użyłam. Oboje musieliśmy się dużo nauczyć. Dlatego nie zamierzałam marnować więcej czasu.

Na „klasę” przeznaczyłam pokój zajmujący prawe skrzydło domu, do którego wchodzi się przez kuchnię. Dotąd pełnił on funkcję biblioteki. Na parterze są jeszcze dwa pomieszczenia, nie licząc korytarza, który łączy dwa przedsionki przy obu wyjściach. W lewym skrzydle mam jeszcze dwa pokoje, z których większy to moja pracownia lub, jak kto woli, laboratorium alchemiczne, a drugi jest podręcznym składzikiem na różne niepotrzebne graty. Te potrzebne trzymam pod schodami prowadzącymi na piętro. Na górze są tylko dwa pokoje ze skosami i małymi okienkami w ścianach szczytowych, niskie, ciasne i ciemne, dlatego w jednym z nich urządziłam swoją sypialnię, a drugiego praktycznie nie używam, chyba że do suszenia ziół. Schody prowadzące na piętro są zbyt strome i niewygodne, żeby po nich wchodzić częściej niż raz dziennie. Z biblioteki też nie korzystam zbyt często. Cały księgozbiór znam praktycznie na pamięć, a na czytanie dla przyjemności wzrok od dawna nie pozwala. Muszę go oszczędzać na przeszukiwanie w razie konieczności notatek lub książek medycznych. Poza tym pomieszczenie wychodzi na południe, więc latem jest w nim po prostu za gorąco, z kolei zimą i w chłodniejsze dni, jak ostatnio, za zimno. Nie ma tam pieca, choć ślad po nim zachował się w postaci nierówności pod bladezieloną farbą.

Michał przez cały dzień dźwigał skrzynie z książkami i ustawiał w stosy, a ja podpisywałam je węglem. Już w połowie sprzątanego było wiadomo, że zmieściłoby się tu kilka uczniowskich ławek, a nawet katedra dla mnie. Starłam się wprowadzić jakiś porządek do tych setek woluminów, ale trwałoby to tydzień. Jednocześnie zrobiło mi się żal i wstyd.

Na moich zbiorach, szczególnie tych poupychanych na dolnych półkach regałów stojących pod szczytową ścianą, odcisnęły się lata przebywania w zimnym i wilgotnym pomieszczeniu. Niektóre tomy, te szczególnie cenne, postanowiłam ratować, inne poleciłam Michasiowi spakować oddzielnie i wynieść do spalania.

– Ile są warte? – spytał, widząc mój smutek, gdy podawałam mu sklejoną grzybem *Klub Pickwicka* i tom *Leksykonu Brockhousa*, który rozpadł mi się w rękach.

Przez zaniedbanie dokonałam strasznej zbrodni. Spojrzałam na zbrązowiały grzbiet kieszonkowego wydania *451 stopni Fahrenheita* i łzy napłynęły mi do oczu.

– Bardzo cenne. To wszystko są ludzkie myśli, czasami emocje. A zawsze dużo pracy.

– A ile kosztują?

Westchnęłam, trochę zła. Przecież poza papierem, farbą i zdobieniami książki nie miały dla Michasia żadnej wartości. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Ta – powiedziałam, wskazując Brockhousa – była bardzo droga. Tamte można było kupić za cenę butelki terpentyny, którą pędzi twój ojciec.

– Mogę je zatrzymać? – spytał nieśmiało.

– A bierz. Tylko żebyś tam u siebie bałaganu nie zrobił.

– Nie zrobię – obiecał i odłożył karton przy drzwiach.

Niechący zrobił mi przysługę – nie musiałam wyrzucać książek. Michał zniósł z piętra obórki na podwórze okrągły stół ze sklejki, z ładnie wygiętymi nogami. Dokładnie go oczyścił i wyszlifował cegłą całą powierzchnię, również od spodu. Lakieru i tak praktycznie na nim nie było, a górna warstwa płyty odstawała i pomarszczyła się od wilgoci. Natarł blat olejem. Krzesło już tylko odkurzył i przetaił na mokro. Swoje nowe biurko ustawił w klasie przy samym oknie.

Kazałam mu z pokoju na piętrze wynieść fotel. Chciałam to zrobić już jakiś czas temu, bo sprężyny starego, stojącego przed kominkiem w kuchni, coraz bardziej wpijały mi się w tyłek mimo podkładania kolejnych poduszek. Chłopak mocno się zadyszał, walcząc na wąskich schodach z ciężkim i nieporęcznym meblem. Mój stary fotel umieścił w bibliotece przy stoliku, a nowy-stary zaniósł do kuchni.

– Jeszcze przemyjesz tu okna, żebyśmy nie oślepli. Potem jesteś wolny – poleciłam, z zadowoleniem obserwując efekty całego dnia pracy.

Sala lekcyjna była gotowa. Gdy Michaś poszedł, zza regału wyciągnęłam zwiniętą w rulon mapę. Zdjęłam ze ściany obrazek przedstawiający postać w aureoli, teraz wypłowiwały i praktycznie nieczytelny, i zawiesiłam na gwoździu nową pomoc naukową. Rozejrzałam się po całym pomieszczeniu – od drewnianej podłogi z poszarzałym chodnikiem na środku po ściany z odpadającymi kawałkami tapety i czyste okno. Chciało mi się skakać z radości. Nie mogłam doczekać się pierwszej lekcji w tej pięknej klasie, prawie jak sprzed wojny.

Ku mojemu zaskoczeniu w przetrzebionej właśnie bibliotece materiałów dotyczących badania predyspozycji uczniów było niewiele, a raczej nie było prawie wcale. Znalazłam tylko wydrukowaną na laserówce magisterkę niejakiej Zofii Łukowskiej. Badała uczniów jednej z pobliskich szkół muzycznych, starając się wykazać różnice w ogólnych predyspozycjach, inteligencji i zainteresowaniach w stosunku do ogółu uczniów z regionu. Na szczęście w załącznikach zamieściła przykładowe testy, a w części poświęconej metodologii znajdował się opis poszczególnych kroków.

Sprawdzanie umiejętności nowego ucznia trwało całe popołudnie. Z pracowni przyniosłam mechaniczny budzik Rakietę, jeszcze radzieckiej produkcji, i naostrzyłam aż trzy ołówki, żeby chłopakowi nie przeszkadzały problemy „techniczne”. Michaś przyniósł dzbanek z herbatą i dwa kubki. Usiadłam w fotelu i zaczęłam układać na blacie arkusze.

– To jest takie badanie, które mi podpowie, jak szybko będziesz się uczył. Nie możesz go nie zdać, to znaczy, że nie odeślę cię do rodziców bez względu na wynik. To tylko takie zagadki, więc nie musisz się denerwować.

Skinął głową, ale widziałam, że jest stremowany.

– To zaczynamy. Jakiego obrazka brakuje? – spytałam, pokazując jedno z przykładowych zadań.

– Jak to brakuje? – Zmarszczył czoło, wgapiając się w arkusz papieru z białymi i czarnymi figurami geometrycznymi.

– W tym rogu. – Wskazałam palcem puste pole. – Masz trzy kwadraty, trzy koła i dwa trójkąty. Czego brakuje?

– No... trójkąta – odpowiedział niepewnie po chwili wahania.

– Dobrze. A białego czy czarnego?

– Czarnego – odpowiedział niemal natychmiast.

– Czemu?

– Bo w tej i tej linii jest jeden obrazek czarny, a w tej nie ma żadnego – wyjaśnił, wskazując palcem zaczerwienione figury.

Przytaknęłam i ustawiłam zegar na dwunastą. Siadłam obok, na wypadek gdyby zadawał jeszcze jakieś pytania. Chłopak miał pół godziny na uporanie się z resztą ćwiczeń.

Potem zrobiłam mu test na pamięć, a następnie jeszcze kilka innych, o których istnieniu wcześniej nie miałam pojęcia, a pewnie sama miałabym z nimi problemy. Przed zmrokiem, gdy Michaś poszedł oporządzić zwierzęta, siadłam nad kluczem i po godzinie porównywania z nim odpowiedzi nie miałam już żadnych wątpliwości, że na głupka nie trafiłam. Poczułam nawet ukłucie zazdrości. Taki wioskowy geniuszek. Musiał mieć wśród rówieśników przerąbane, pomyślałam ze wstydliwą satysfakcją.

Staszek bimbrownik przyjechał następnego dnia przed zmrokiem, jak większość odwiedzających moje gospodarstwo. Dotychczas nie spotykałam go zbyt często. Nie to, że dzieci mu nie chorowały, ale gdy przyjeżdżałam do wioski leczyć, pouczać i łajać, zazwyczaj to Zosia Staszkowa przyjmowała mnie w domu, zresztą jednym z większych i lepiej utrzymanych w całej wsi. Dzieci mieli piątkę. Wesołe, rozbiegane stadko, dlatego nigdy nie widziałam ich wszystkich jednocześnie. Co zresztą było normalne – maluchy zazwyczaj bały się starej czarownicy, która dodatkowo kłuła je, przytykała do pleców zimne przedmioty i dawała do picia gorzkie płyny lub smarowała śmierdzącymi, lepкими maściami.

Postawny facet w sile wieku, schludnie ubrany, wjechał na podwórze wozem na gumowych oponach. Wysłałam mu naprzeciw, a Michaś podbiegł do koników i poprowadził je tak, żeby pojazd ustawił się bokiem do domu. Bimbrownik sprawnie zeskoczył z kozła i podszedł bez słowa, uciekając wzrokiem na wszystkie strony, jak gdyby nie chciał patrzeć mi w oczy, dopóki nie będzie miał sposobności, żeby się odezwać.

– Uszanowanie, Starsza – przywitał się, zdejmując czapkę i wyciągając dłonie.

Po chwili dowiedziałam się, skąd u chłopca nawyk gnienienia ludziom gnatów na dzień dobry.

– Nie ulega wątpliwości, młodszy – odpowiedziałam, lekko się uśmiechając. – Przejdźmy do środka, bo zaraz mnie przewieje.

Przeszliśmy przez wiatrołap, przedpokój, gdzie kazałam mu powiesić czapkę i kurtkę, potem przez kuchnię i w końcu stanęliśmy w wejściu do

klasy, podziwiając powstały poprzedniego dnia ład.

Najważniejsze w interesach jest wywarcie dobrego wrażenia i jestem przekonana, że to mi się udało. Staszek rozglądał się po opisanych skrzynkach i półkach po brzegi wypełnionych książkami. Z uwagą oglądał starą mapę szkolną. Nic to, że była to mapa administracyjna Afryki. Innej nie miałam.

– Tutaj chłopak będzie się uczył. – Wskazałam stolik pod oknem.

Dopiero wtedy zauważyłam stojącą na parapecie skrzynkę z wystającymi z wyschniętej na wiór ziemi badyłami, pozostałością po roślinie zamordowanej przed laty przez zapomnienie. Michaś jej nie uprzątnął, mimo że okno umył. No tak, przecież za wyczyszczenie słoików z pleśnią dostał burę. Starając się ukryć zakłopotanie, zakryłam sobą okno i ręką wskazałam regały.

– Nauka potrwa pewnie ze trzy lata.

– Aż trzy? – Staszek nie krył zdziwienia. – A czego on się tyle ma uczyć, przecież niegłupi.

– Przynajmniej trzy – podkreśliłam. – Najpierw nauczy się czytać i pisać, potem dopiero zacznę go uczyć leczenia.

– A po co mu to czytanie?

Podeszłam do mapy.

– Na przykład, żeby mógł przeczytać, jakie wioski są po drugiej stronie Kałuży i jak daleko. Żeby mógł znaleźć dawny Róg. – Wskazałam palcem Kair. – Karwik. – Moja dłoń powędrowała na Sudan. – A nawet Jańsborg. – Schyliłam się, żeby dotknąć na mapie kropki oznaczonej jako Johannesburg.

– A gdzie są Mikołajki?

– Na Gibraltarze – zażartowałam, ale raczej nie zrozumiał. – Za długo by tłumaczyć. Tutaj. – Machnięciem ręki zakreśliłam mniej więcej obszar Hiszpanii i Maroka.

– A po co mu to? – Staszek nadal nie był przekonany.

Westchnęłam.

– Zawozisz wódkę na handel też do innych wiosek.

Przytaknął, nadal nie rozumiejąc, co chcę mu powiedzieć.

– Tutaj masz nie tylko odległości, ale też trasy. Taki Róg jest blisko, bo tuż za Kałużą. Ale żeby do niego dojechać wzdłuż brzegu, łądem, trzeba nadłożyć pół dnia drogi.

– Dlatego do Rogu ślemy łodzie.

– Bo kiedyś ktoś pojechał łądem i sprawdził, że to nijak się nie opłaca.
– Pewnie tak było. – Wzruszył ramionami, nadal nie rozumiejąc.
– A jeżeli będziesz na przykład miał cały wóz towaru do Rucianego albo i nawet do Nidy, to będziesz wioził łądem czy wodą?

Przez chwilę milczał, gryząc pięść.

– Nie wiem, Starsza.

– Bo nigdy tam nie byłeś i nie znasz nikogo, kto by ci powiedział. A ja ci mówię, że wodą i do Rucianego, i do Nidy. Szybciej, taniej i łatwiej, chociaż to i tak będzie z dzień drogi.

– A gdzie to Ruciane? – spytał, patrząc na mapę.

Trochę zbił mnie z tropu.

– Za daleko. Nie zmieściło się na tej mapie. Ale są inne. Poza tym w książkach są opisy. Podaj jedną – poleciłam, żeby odciągnąć jego uwagę od Afryki.

Staszek podszedł do najbliższego regału i spomiędzy ustawionych w rzędki grzbietów wybrał grubą książkę w szarej okładce.

– *Choroby kóz* – przeczytałam tytuł dzieła i otworzyłam je w poszukiwaniu początku dowolnego rozdziału lub akapitu. Poprawiłam okulary. – Kokcydioza. Choroba wywoływana przez pierwotniaki z gromady *Coccidea*, podtyp *Apicomplexa*... Objawy. – Przeskoczyłam niżej. – Objawy występują wyłącznie u młodych kóz, w wieku do pięciu miesięcy, w ciągu tygodnia do dwóch od zarażenia. Biegunka z domieszką śluzu, później krwi. Wzmoczone pragnienie, odwodnienie. Uszkodzenie błony śluzowej jelit prowadzi do charłactwa...

– A jak to się leczy? – przerwał wyraźnie zainteresowany Staszek.

Przerzuciłam stronę, szukając odpowiedniego fragmentu.

– Kokcydiostatyki... sulfadymidyna w takich i takich dawkach, toltrazuril, diklazuril. I tak dalej. – Z hukiem zatrzasnęłam książkę. – A to były tylko dwie strony. W tej książce jest ich pięćset, może więcej. W całym pokoju są dziesiątki, setki tysięcy stron.

Skinął głową, a po chwili uśmiechnął się szeroko.

– I wszystkie te książki są o leczeniu?

– A skąd! Przed wojną ludzie pisali o wszystkim. Wskaż inną. *Księga ciast, Dynastia Piastów, Słownik polsko-niemiecki i niemiecko-polski, Władca Pierścieni, Atlas historyczny, Apteka naturalna, Pani Bovary*... – czytałam tytuły każdego woluminu, którego akurat dotykał Staszek.

– No to będę miał najmądrzejszego chłopaka we wsi! – krzyknął zachwycony, gdy dotarło do niego, czego Michaś będzie się uczył.

– W całej okolicy od Pustkowie Orzyskiego do Jańsborga, a na zachód do Mikołajek. Ale nie za darmo. – Przeszłam płynnie do interesów. Skoro już znał wartość usługi, to pora porozmawiać o zapłacie. – Nauka zajmie kilka godzin dziennie przez całe trzy lata. Poza tym chłopak narobił już trochę szkód. Zniszczył bardzo cenne leki. Będę też miała mniej czasu na leczenie, dlatego musisz mi to zrekompensować.

– Chłopak pomoże w gospodarstwie – odpowiedział od razu. Tanio chciał się wykpić.

– Już mi pomógł. Miesiące pracy przy antybiotykach poszły w pizdu. To już wolę zapłacić parobkowi ze wsi. Niepotrzebnie syna wdowy Janki odesłałam. – Spojrzałam w sufit, żeby pokazać, jak bardzo żałuję tej decyzji.

– Za leki zapłacę, a chłopak dostanie w dupę, żeby pamiętał.

– Już ja się postaram, żeby pamiętał. Ty mi zwróć za leki i zapewnij utrzymanie chłopcu i mnie. I zwierzętom.

Przez dłuższą chwilę trawił informacje, marszcząc czoło i mrucząc coś pod nosem.

– Bez zwierząt.

– Co bez zwierząt? – Udałam, że nie rozumiem.

– Bez zwierząt. Jedzenie i ubranie dla ciebie i dla chłopaka.

– To pakuj dzieciaka na wóz i wynocha! Nie oddam dwudziestu lat nauki i pięćdziesięciu lat doświadczenia za bezdurno. Ja niedługo umrę, a wioskę wybije tatar z dziczyny.

– Przecież zakazałaś – zaprotestował.

– No właśnie, bo wiem, czym to grozi! Dziesięć razy trzeba wam było powtarzać, żebyście nie żarli świeżego, tylko mrozili. Ale jak Kośława pójdzie do piachu, to nikt nie będzie pilnował, żebyście sami się nie wybili włośniem, gronkowcem czy salmonellą. Bo nikt nie będzie umiał.

– To już problem sołtysa. Z nim się targuj.

Zakląłam cicho.

– A syn to też problem sołtysa? O ile wiem, to sołtys dzieci nie ma i raczej nie będzie miał, a przynajmniej ja ich nie doczekam. Chcesz kształcić syna, to sam się rachuj z sołtysem. Ja chcę mieć spokój i pewność, że nie zdechnę z głodu na przednówku.

– No dobrze – zgodził się po chwili. – Będę co tydzień przysyłał parobka, żeby sprawdził, czy czego wam nie brakuje, dopóki nie spadnie śnieg.

– I jeszcze trzeba tu trochę remontów porobić, wymienić niektóre sprzęty. To już nie targi. Ojciec powinien pomóc synowi, żeby nie musiał po lasach szukać materiałów, gdy Koślawej zachce się połatać dach.

– Ciężko się z tobą rozmawia, Starsza. – Pokiwał głową z uśmiechem. – Umowa?

– Umowa – odpowiedziałam i podałam mu dłoń, szykując się na gniesienie kości. Przygotowanie niewiele pomogło.

Wyszliśmy na podwórze. Michaś cały czas stał przy koniach i mówił do nich spokojnym głosem, jednocześnie poklepując je naprzemiennie po szyi. Spojrzał najpierw na mnie, potem na ojca i wyraźnie odetchnął, gdy zorientował się, że rodzic jest w dobrym humorze.

Staszek wsiadł na wóz i chwycił podane przez syna lejce.

– Jak następnym razem przyjadę, coś mi przeczytasz – zapowiedział wyraźnie zadowolony. Schylił się i klepnął syna po ramieniu.

Musiałam przyznać, że facet był niegłupi. Dostrzegł potencjał, i to wcale szybko. A szykowałam się na cięższą batalię. Nie przez przypadek się dorobił.

– Koniecznie przywieź chleb – poleciłam, gdy zawracał wozem.

– A może jeszcze jagody?

– Z chleba robi się leki! – krzyknęłam, bo koła wozu skrzypiały.

– Z chleba?

– Ze zgniłych ziemniaków robisz bimber i jakoś cię to nie dziwi.

Wzruszył tylko ramionami i odjechał, odprowadzany wzrokiem syna.

– Na razie zostajesz – zwróciłam się do młodego.

Chłopak wyszczerzył w uśmiechu wszystkie zęby.

– Wyrzuć jeszcze skrzynkę z okna w klasie i postaw tam aloes, taki kolczasty krzak. Jest na górze.

– Kiedy będę czytać?

– Od jutra.

Miałam nadzieję, że nie straci zapału.

Pierwszą lekcję rozpoczęliśmy następnego dnia po obiedzie, podobnie jak każdą kolejną aż do świąt, z niewielkimi zmianami, gdy pojawiał się pacjent lub handlarz albo zdarzały się jakieś nieprzewidziane wypadki.

Przed południem porządkowaliśmy gospodarstwo. Michaś pozbierał dachówki ze stodoły i łątał nimi dziury w dachach pozostałych budynków. Przeczyścił komin i odkrył wyjścia szybu kominowego na pozostałe pokoje, dlatego można było umieścić piecyk w bibliotece, a raczej w klasie. Wstawił też na piętro okap z blachy i coś w rodzaju improwizowanego paleniska. Przydały się do tego starożytne arkusze eternitu, które walają się po wszystkich lasach i wykrotach w okolicy.

Od czasu pojawienia się Michasia żaden pacjent u mnie nie nocował, ale trzeba było przygotować się na taką możliwość. Nie chciałam też przenosić chłopaka do domu, skoro już się w kurniku zadomowił. Poza tym po latach samotności nie zniosłabym ciągłego towarzystwa. W dotychczas nieużywanym pokoju na piętrze poza łóżkiem zmieścił się solidny stolik i dwa krzesła. W pomieszczeniu było ciemno, dlatego poleciłam chłopakowi skośne ściany dachowe wyłożyć blachą ocynkowaną, aluminium z puszek po napojach i innymi materiałami odbijającymi światło. Dzięki temu kilka lamp naftowych i olejowych od biedy wystarczało do przeprowadzenia przynajmniej ogólnego badania.

Pacjenci przyjeżdżali najczęściej w połowie tygodnia, nigdy w sobotę. Nie chcieli omijać mszy, na której i tak niechybnie usłyszą kilka niemiłych uwag na swój temat, na mój zresztą też, ale zawsze to lepiej, niż wysłuchiwać potępiających komentarzy przez kilka niedziel z rządu, prawda? Wielebny w stosunku do parafian nieobecnych na poświęconej im homilii nie był tak łaskawy, jak w przypadku pacjentów, którzy na mszę i po pokutę przychodzili. Dlatego do mnie woleli przyjeżdżać z kłopotami i po kłopoty odpowiednio wcześniej.

Leczyłam ich wieczorami lub w nocy, czasami dopiero rano, gdy szukanie informacji lub przygotowanie leku zajmowało mi więcej czasu. Gdy tylko pacjent przyjeżdżał, lekcje się kończyły, a ja otwierałam gabinet, czyli prowadziłam chorych do gościnnej sypialni na piętrze. Michaś chętnie uczestniczył w tych wizytach. Przestrzegłam go wcześniej, że tajemnica między pacjentem a lekarzem to rzecz święta i nigdy, pod żadnym pozorem, nawet na torturach, nawet na spowiedzi, nie wolno mu pisać słowa na temat stanu zdrowia chorego. Powtarzałam to także przy pacjentach, którzy nieufnie odnosili się do tego zamyślonemu syna Staszka. Na szczęście nie było jakichś trudnych przypadków. Przeziębienia, powierzchowne, ale paprzące się rany, duszności, gorączka u dziecka i takie tam. Po wizycie chorzy mogli liczyć na rosół i nocleg. O to wszystko dbał Michaś.

Przygotowywał pościel, przynosił żar do koksownika na piętrze, podgrzewał lub gotował rosół. Ja w tym czasie wyciągałam od przyjezdnych najnowsze plotki krążące po Okartowie. Następnego dnia po wyjeździe pacjenta odpuszczaliśmy sobie przedpołudniowe prace, poza karmieniem zwierząt, i spaliśmy dowolnie długo.

Raz w tygodniu Michaś chodził do wsi i zawsze wracał z marchwią i jabłkami dla koni, z którymi mocno się zaprzyjaźnił. Polubili się nawet z kozą Głupią, która była zawsze złośliwa, przynajmniej w stosunku do mnie. Imię dostała, gdy jeszcze jako kozłą wskakiwała mi za każdym razem na plecy, gdy schylałam się, żeby wlać wodę do koryta. Gdy urosła, już nie próbowała wskakiwać, za to boleśnie bodła. Wtedy codziennie przybywało mi kolejnych siniaków na udach. Potem koza trochę spowaźniała, ale nadal miałam się przy niej na baczności. W tym wieku o złamanie kości udowej nietrudno.

Gdy poleciłam Michasiowi, żeby zdobył więcej czystych kartek, okazało się, że trzymał u siebie ryzę papieru, ołówki, jakieś wyschnięte flamastry i kilka zeszytów do połowy już zapisanych koślawymi bukwami. Dałam mu na te wszystkie przybory metalowe pudełko na przynęty wędkarskie, żeby miał piórnik. Dołożyłam też (ale do zwrotu!) ekierkę i cyrkiel. Lekcję rozpoczynaliśmy od żmudnego rysowania linii na czystym papierze do kserokopiarek. Chłopcu zajmowało to dużo czasu, ale że miał podzielną uwagę, to gawędziłam monotonnym głosem o szkołach, uniwersytetach, akademikach i takich tam, żeby wiedział, że kiedyś było może bardziej komfortowo, ale napełnianie głowy treścią też było wtedy trudnym zadaniem.

Czasami ciągnął mnie za język. Tak jak w pewien pogodny wrześniey dzień, gdy łapałam ostatnie słabe promienie słońca. Dwa dni wcześniej przysłała kobieta ze strasznie zdeformowanym kilkulatkiem, któremu nie potrafiłam pomóc. Niewykształcony nos, brak jednego oczodołu i szczątkowe trzecie ramię. Żeby dziecku łatwiej się oddychało, dałam matce kaniulę nosową zgarniętą przed laty z jakiegoś zrujnowanego szpitala i przepis na zioła uspokajające, upewniając się, że kobieta rozpozna melisę, chmiel i kozłka. Jakakolwiek operacja takich zmian wymagałaby warunków i środków, jakich nie byłam w stanie zapewnić. Mogłam tylko łagodzić objawy, ale nie obiecywać, że się poprawi.

Zostali na noc. Płaczący pacjent praktycznie nie dał mi zasnąć, dlatego rano obejrzałam chłopca ponownie.

– Jak często sika? – spytałam matkę, oglądając jednocześnie flanelową pieluchę.

– Chyba normalnie, jak to dziecko – odpowiedziała, wzruszając ramionami.

Coś mi nie pasowało. Z braku nocnika kazałam wysadzić kalekę na garnku, a później poleciłam Michasiowi, żeby zebrał z wierzchu mocz, gdy już odstał.

– Tylko uważaj, żeby za bardzo nie mieszać. To, co zostanie, zlej przez lejek do kolby. Takiego szklanego naczynia, co u dołu jest kuliste – wytłumaczyłam. – Potem przynieś tutaj razem z igłami i szalką Petr... z takim płaskim talerzem ze szkła. Wszystko znajdziesz w pracowni.

Nie zamierzałam pobierać krwi, zresztą moje igły były zbyt duże jak na takiego malucha. Po prostu ostrym czubkiem zrobiłam małe nacięcie i poczekałam, aż kilka kropel krwi spłynie na szkiełko. Dzieciak cały czas wrzeszczał i rzucał się tak, że musieliśmy go trzymać we trójkę. Z przygotowaną próbką wyszliśmy z Michasiem przed dom, po drodze zabierając kolbę z pracowni.

– Pomagałeś ojcu przy świniobiciu? Dobrze – dodałam, gdy potwierdził. Podsunęłam mu pod nos próbkę krwi.

– Krew nerkowa. Widzisz to? Różni się od zdrowej.

Znów potwierdził, lecz po jego minie wywnioskowałam, że nie był szczególnie przekonany. No ale niby czego się spodziewałam?

– Wygląda, jakby była sypka – wytłumaczyłam. – Przypomnij sobie krew ze świni. Jaką miała powierzchnię?

Zamyślił się na chwilę, patrząc w niebo i mrużąc jedno oko.

– Gładką. Jak wosk ze świecy.

– A ta? – Wskazałam prawie niezauważalne wybrzuszenie na powierzchni czerwonego kleksa.

– Ma takie drobinki – odparł po chwili obserwacji.

– To nie są drobinki, ale masz rację. Ma inną konsystencję, inaczej się zachowuje. Teraz zbadamy mocz. – Gestem wskazałam, żeby podał mi kolbę. Podniosłam ją ponad głowę, starając się za bardzo nie trząść płynem, i spojrzałam pod światło, poprawiając okulary.

– Co tam jest? – spytał, wskazując biały osad przypominający mgiełkę.

– Pewnie białkomocz. Przed wojną krew i mocz badało się specjalnymi odczynnikami, ale my ich nie mamy, dlatego możemy korzystać tylko ze zmysłów i z doświadczenia. A doświadczenie mi mówi, że mały pacjent ma

niewydolność nerek – postawiłam diagnozę, nadal obserwując preparaty. – Odnieś to do pracowni i wracaj na górę.

Kobieta opuściła gospodarstwo wczesnym popołudniem. Nalegałam, żeby przed podróżą jeszcze się zdrzemnęła, a przed samym wyjściem przepytalam ją z zaleceń dotyczących diety i sporządzania napojów ziołowych. Mnie również nieprzespana noc dała się we znaki, dlatego odwołałam lekcje. Siadłam na ławeczce przed domem, a Michaś przez chwilę kręcił się znudzony, po czym przysiadł obok.

– Matka mówi, że mutacje to od bomb z wojny? Jak z tej, co wybuchła nad Pustkowie? – spytał, gdy w końcu zebrał się na odwagę, bo zazwyczaj takie pytania po prostu ignorowałam i parę razy dostał po łbie, szczególnie gdy pogoda mocno dawała mi się we znaki. Tego dnia jednak prawie nic mnie nie bolało.

– Nad Orzyszem – poprawiłam. – Wtedy to był Orzysz, nie żadne Pustkowie. Być może od bomb, ale nie tylko. Poza tym tych bomb wcale nie było aż tak wiele. W Polsce spadło może tuzin, może dwa. A i to pierwszego dnia wojny.

– To skąd te mutacje?

– Pamiętasz, co ci powiedziałam kiedyś na temat wzrostu?

– Że teraz ludzie nie rosną, bo źle jedzą i się nie myją.

Zaśmiałam się, ale natychmiast się powstrzymałam i zakryłam usta. Ostatnio śmieję się jak jędza. A jeszcze ten nieestetyczny brak górnej jedyńki.

– To też. Po bombach atomowych na niebie pojawiły się drony. To takie latające maszyny bez ludzi, sterowane przez automaty – wyjaśniłam, widząc niezrozumienie na twarzy Michasia. – Te drony wypuszczały trujące gazy. Większość ludzi umarła od tych gazów, a nie od bomb, bo ta Pierwsza Fala trwała kilka miesięcy, więc drony miały dużo czasu. Poza tym podejrzewam, że wróg zatrzał ujęcia wody. Ci ludzie, którzy przeżyli, mieli uszkodzone organizmy, dlatego czasami płodzili potworki.

– To dlatego nie pozwalasz kąpać się w rzeczce?

– Nie, nie dlatego. Gdy ludzie zniknęli, wszystkie zwierzęta trzymane w hodowlach padły bez jedzenia i wody i zaczęły gnić. Dużo tego ścierwa trafiło do rzek. Poza tym stanęły oczyszczalnie, rozszczelniła się kanalizacja, jakieś wycieki z fabryk też pewnie były. Ta niezamierzona Druga Fala wykończyła niedobitki, bo ludzie zaczęli chorować.

– Od zarazków. – Chłopak pochwalił się posiadaną od niedawna wiedzą.

– Tak, od zarazków.

– To wróg nie rozrzucał zarazków? Ja bym tak zrobił.

Spojrzałam na niego z nieukrywanym zdziwieniem.

– Czasami ludzie tak robili, ale broń biologiczna, czyli takie zabójcze sztuczne zarazki, może być niebezpieczna również dla atakującego. A przecież wojny się prowadzi, żeby zająć jakiś teren, zdobyć jakieś zasoby. Trucizny są przewidywalne. Po pewnym czasie przestają działać, a z zarazkami jest różnie, bo one też cały czas się zmieniają. Mutują. Ludzie też, tylko wolniej. Nie każda mutacja jest zła. Ale o tym to sam sobie poczytasz, gdy już się nauczysz.

– To czemu wróg nie przyszedł?

Westchnęłam, zmęczona tym przesłuchaniem.

– Podejrzewam, że po bombardowaniach i zniszczeniu wielkich miast nikt już nie kontrolował rozwoju wypadków. Nasi sprzymierzeńcy też mieli bomby, a zapewne gazy również, chociaż pewnie za nic by się do tego nie przyznali. Taka broń była zabroniona. Pewnie u wroga jest takie samo pustkowienie jak u nas. Przypuszczam, że nie zostało zbyt wielu żołnierzy, którzy by mogli tu przyjść na podbój.

– A czemu wojna wybuchła?

Próbowałam sobie przypomnieć, co wiedziałam na ten temat. Robiłam to wielokrotnie. Pierwsze miesiące po wybuchu konfliktu, zanim jeszcze zaszyłam się w piwnicy bloku w Jańsborgu, starając się przeczekać Pierwszą Falę, żywiąc się przetworami i ziemniakami, zbierałam plotki i szczątki informacji. Niewiele się wtedy dowiedziałam.

– Nie wiem. Wojny wybuchają, bo ktoś chce zarobić. Czasami jest to wojna o ziemię, czasami o zasoby naturalne, jedzenie, a czasami tylko dlatego, że ktoś chce sprzedać więcej broni. Może kiedyś znów pojawią się historycy, którzy dokładnie to zbadają i opiszą. Może nawet już tacy są, tylko o nich nie wiemy.

– Mogę jeszcze jedno pytanie?

– Strzelaj.

– Gdzie są te oczyszczalnie, które zatrują rzekę?

– O oczyszczalnie się nie martw. Po tylu latach już zarosły i nie są groźne. Bardziej mnie martwią te wszystkie wychodki i wylewanie

gnojówki. Ale koniec o tym. Nie psuj mi apetytu. Czas na obiad. –
Skończyłam i poszłam do kuchni.

3.

Dawno temu, przed wojną, ale jeszcze tamtą poprzednią, w miejscu, gdzie teraz jest kościół, stał zamek, w którym źli rycerze uwięzili młodego księcia. Jego ojciec zgodził się zapłacić okup, i to ogromny, bo rycerze chcieli całą skrzynię złota i żeby złoto ważyło tyle, co ten książę, a to podobno był ogromny chłop. No i król przyjechał do wsi, i już miał wjeżdżać do zamku, gdy zza płotu wybiegł śpieg tego króla i powiedział, że rycerze księcia utopili. Król się wściekł, aż zaczął kurwami rzucać, a zazwyczaj tego nie robił, bo królowi tak nie wypada. Kazał sługom skrzynię z wozu zdjąć i do zatoki wrzucić, o tam, pod mostem żelaznym, bo tam było najgłębiej. A potem ze swoimi rycerzami zaatakowali zamek.

Jak już mieli wejść do ostatniej izby, gdzie schował się zły kontur, to dopiero wtedy tamten zabił księcia, bo tak naprawdę śpieg kłamał i rycerze wcale księcia nie zabili. Król nie zdążył uratować syna, który umarł mu na rękach. Potem ludzie króla zamek spalili i postawili na tym miejscu kościół.

Ale to nie koniec, bo gdy już król i jego ludzie odjechali, to śpieg wyszedł z ukrycia i wlaź do wody, żeby zabrać skarb dla siebie. Na brzegu zobaczył chłopczyka w czerwonym kubraczku na grzbiecie i czerwonej czapeczce. Śpieg powiedział maluchowi, że się z nim podzieli złotem, jeśli ten znajdzie jakąś linę, ale taką długą, żeby można było obwiązać mocno kufer. Oczywiście zamierzał oszukać gówniarza, tak jak wcześniej oszukał dobrego króla.

No i maluch przyniósł linę, a śpieg owiązał się i dał nura w wodę. I się nie wynurzał, i nie wynurzał, a chłopczyk w kubraczku tylko stał na brzegu i się uśmiechał. Bo to nie był żaden chłopczyk, tylko topich. I on przeklął śpiega, że ten utonie, jak tylko wejdzie do wody.

A skarb ciągle tam leży, bo nawet jak most budowali, to go nie znaleźli, czyli ciągle musi tam być.

Od wielu lat nie chodzę do wsi. Te kilka kilometrów marszu wystarcza, żebym na miejsce dotarła zupełnie wykończona, a potem odchorowywała tę wyprawę przez tydzień. Nawet jazda wozem potrafi dać się we znaki. Wszystkie wozy i sanie we wsi są odkryte, a podmuchy wiatru już o tej porze roku czuję w kościach. Wchodzą tam i kumulują się, żeby w nocy lub

następnego poranka uderzyć bólem, który uniemożliwia jakiegokolwiek funkcjonowanie. Kiedyś było inaczej. „Lekarka na rubieży”, śmiałam się, ale co tydzień meldowałam się u Waldka, a gdy mu się zmarło – u jego żony. Otwierałam prowizoryczny gabinet i posyłałam dzieci z informacją, że Kośława przyjmuje, a potem odwiedzi tych, u których nie była od miesiąca. Zdarzało się, że niektórych mężczyzn nie widywałam dłuższy okres, bo regularnie opieprzani za brudne i bite zwierzęta na wieść o wizycie uciekali w pole, aż im gumki spadały. Zostawiali w domach żony i córki, żeby ich przede mną tłumaczyły. Wiecie – kobieta lepiej kobietę zrozumie. I rozumiałyśmy się w pół słowa.

– Znowu zwał? – pytałam.

– Ano zwał – potwierdzały gospodynie, załamując ręce.

Pod moim okiem ludzie stawiali sławojki, kopali studnie, myli wymiona przed udojem, szczotkowali konie, wyrzucali śmierdzące na kilometr „przecież wczoraj łowione” ryby. Również dzieci przyzwyczyły się do wizyt Wiedzącej i do związanych z nimi przykrości. Sprawdzałam postawę, wzrok, oddech, płaskostopie; osłuchiwałam, opukiwałam. A wszystkich, i to bez wyjątku, opieprzałam za niemycie zębów. Może dlatego, że sama zawsze bałam się dentystów i nie zamierzałam przekształcać się w jednego z nich, a poza tym wiedziałam, ile problemów może wyniknąć z próchnicy. Koszmar.

Czułam się potrzebna i byłam potrzebna.

Teraz rzadko jeżdżę do wsi. Wyjątkiem są kiermasze – dożynkowy i wielkanocny.

Dawniejsze ruchome święta ksiądz Marek zastąpił stałymi datami pierwszego maja i pierwszego października.

– Nikt w okolicy ich nie policzy, a poza tym przeszkadzają w pracach, szczególnie te jesienne – uzasadnił.

Dwa dni po pierwszym śniegu, który spadł w tym roku wyjątkowo wcześnie, zapakowaliśmy wóz przysłany przez Staszka bimbrownika. Muszę przyznać, że spirytus przyniesiony przez Michasia był wyśmienity. Zamierzałam sprzedać dwadzieścia pięć dwustumililitrowych butelek z nalewkami: czosnkową, aroniową, miętową i kilkoma jeszcze innymi. Poza tym liczyłam, że pozbędę się nadmiaru suszonych ziół. W zasadzie byłam pewna, że będzie na nie popyt. Ludzie uważali, że spreparowane przeze mnie rośliny są skuteczniejsze od tych, które sami zebrali. Nie protestowałam, bo placebo to podobno połowa sukcesu w leczeniu.

Umówiona też byłam u Waldkowej – zasuszonej, drobnej starowinki, niezwykle energicznej i ruchliwej, która zawsze podejmowała mnie obiadem, i u Zarembów, których dziecko wpadło pod wóz w dzieciństwie i od lat wracało do zdrowia dzięki wysiłkom rodziców codziennie zmuszających je do ćwiczeń rehabilitacyjnych. Nie byłam tam niezbędna, ale zawsze to miło zobaczyć, że zalecona terapia jest skuteczna.

Przy okazji kiermaszu w domu jednego z gospodarzy odbywało się zebranie starszyny, a jednocześnie na placyku obok kościoła trwała zabawa. Dziwiło mnie trochę, że takich zabaw nie urządzano latem, gdy nocna pijatyka nie groziła przeziębieniem lub hipotermią. Z drugiej strony ślubów i innych uroczystości latem nie brakowało.

Z tym placikiem to przesada. Okartowo jest wsią z jedną wybrukowaną drogą oklejoną po obu stronach domami, z kościołem na skarpie i betonowym mostem nieopodal, teraz podpartym tuzinami sosnowych pni, które chronią go przed zawaleniem. Przeprawę uszkodziły przejazdy ciężkiego sprzętu w czasie wojny. Nie ma rynku, dlatego targi i zebrania odbywają się na jedynym szerokim skrzyżowaniu we wsi, czyli przed farą. Od głównej drogi odchodzi węższa, która prowadzi aż do nasypu kolejowego i dalej w las. Gospodarze szyny zdemonstrowali już dawno, ale też postawili ścianę z desek, blokującą dostęp do mostu kolejowego, jeszcze bardziej zniszczonego niż ten podpierany. Sołtys kiedyś żartował, że przez tę wiszącą nad szlakiem wodnym stalową konstrukcję rybacy są najbardziej pobożnymi mieszkańcami wsi, bo modlą się przynajmniej dwa razy dziennie: gdy wypływają z zatoki na Kałuży i wracają z połowu.

Sama wieś wojnę przetrwała bez większych zawirowań. Przechodziły tędy wojska, ale „nasze”, bo przecież do inwazji nigdy nie doszło. Drony wisiąły kilka dni nad kominami, ale praktycznie nikogo nie upolowały – już wcześniej gnani owczym pędem mieszkańcy wyjechali do identycznych wsi lub miasteczek, gdzie spotykali pokryte kompozytowym poszyciem zabójcze maszyny. Dopiero po wojnie napływowa ludność skanibalizowała opuszczone budynki, zabierając cegły, kamienie i dachówki, żeby połączyć zajęte domy. Przy tym praktycznie zrównano z ziemią tartak leżący po drugiej stronie mostu, zamknięty długo przed wojną. Cóż, w tym regionie tak to już co kilka dekad bywa.

Z czasem się ustabilizowało. Ludzie lubią żyć w skupiskach, więc zajmowali domy sąsiadujące ze sobą. Pojawił się ksiądz Marek, spokojny starszy mężczyzna, który zagnał wszystkich skłóconych ze sobą

okartowskich do pracy przy renowacji polichromii w kościele. Czy akurat polichromia była najważniejsza? Chyba nie, ale przynajmniej ludzie wzajemnie się poznali, niektórzy nawet polubili. Następnie nakazał wybrać sołtysa, zorganizował pierwszy kiermasz dożynkowy, a potem już poszło z górki.

Mimo ostatnich opadów do wsi dojechaliśmy w miarę wcześnie. Prawie cały śnieg stopniał, tylko na skraju lasu jego resztki jeszcze walczyły z dodatnimi temperaturami. Droga była znośna, a pogoda nawet przyjemna i bezwietrzna, dlatego podróż mnie nie wymęczyła. Wysłany przez Staszka Rowiński zadbał o mój komfort. Gdy tylko usiadłam obok parobka na wozie, przykrył mi nogi skórą, a plecy okrył kocem. Trochę wprawdzie zmarzłam, ale nie narzekałam. Jak zwykle z ciekawością obserwowałam mijane zagajniki, walające się na polach pod lasem kawałki drewna czy pozostałości po palonych gałęziach. Pod kopytami koni wiatr przewiewał strugi z heblowanych w pobliżu desek. Oczywiście nikogo z drwali i cieśli już nie było. Słota i zimno zagoniły wszystkich rzemieślników do chałup i przydomowych warsztatów. Kiermasz miał być zwieńczeniem tej pory dostatku, ale też ciężkiej pracy.

Cały czas ścisnęłam w dłoniach bukiet lekko zwiędłych kwiatów. Gdy tylko dojechaliśmy do kamiennego ogrodzenia fary, poprosiłam Rowińskiego, żeby się zatrzymał i pomógł mi zejść z wozu. Z bukietem w ręce i wciąż okryta kocem poszłam w stronę kościoła. Minęłam budynek po prawej stronie i podeszłam do dużego kamienia z wyrytym krzyżem i niezgrabnie wydrapanym napisem. Stałam, składając dłonie jak do modlitwy, choć nigdy nie byłam pobożna. Starłam się przypomnieć sobie twarz pochowanego tu mężczyzny. Przywołałam z pamięci uczucie wzajemnego szacunku, przyjaźni i zrozumienia. Tego ciepła, które podsycają wzajemnie powierzone tajemnice. Po chwili zadumy położyłam kwiaty u podstawy cokołu, a następnie pospiesznie wróciłam do wozu. Okolice fary nie były terenem mi przyjaznym.

Jak przed każdym takim kiermaszem, na „placu” trwały gorączkowe przygotowania. Stawiano drągi ze sznurami ozdobionymi chorągiewkami. Wykorzystano w tym celu betonowe słupy energetyczne, teraz przecież całkowicie bezpieczne. Po obu stronach ulicy dyrygowani przez sołtysa chłopcy rozkładali ławy i pieńki pod kramy. Bardziej zaradni i przedsiębiorczy gospodarze wystawiali przed domy garnki, wiadra, beczki, słoiki i tace z miodem, smalcem, grzybami, przetworami czy gulaszem,

żeby zdrożeni handlarze mogli się posilić po wyjątkowo okazyjnych cenach, a często praktycznie za darmo, jeżeli gościnny gospodarz zamierzał zarobić później na noclegu. Świat się skończył, ale marketing jest wieczny. W powietrzu czuło się podniecenie. Mieszkańcy specjalnie na tę okazję wyciągali z szaf i kufrów odświętne ubrania, cenne ortalionowe dresy, marynarki, prochowce i szaliki. Kobiety zakładały biżuterię, różne lśniące naszyjniki, często poskładane przez powojennych jubilerów z plastikowych koralu i półszlachetnych kamieni tak, by barwa mniej więcej się zgadzała. Ogródki przed domami były wygrabione i przekopane, okna umyte, a płoty zakonserwowane przepalonym olejem silnikowym. Radosna atmosfera udzielała się wszystkim. Nawet mnie.

Przygotowana przez sołtysa ława już czekała tam, gdzie zawsze – z dala od kościoła, za to blisko sołtysowej chaty, od tyłu osłonięta przed wiatrem wysokim parkanem. Gładkie deski sosnowe przykryłam najpierw szarym papierem, żeby nie upaprać wszystkiego żywicą, potem koronkowym obrusem, a następnie zaczęłam rozkładać przynieszone przez Michasia towary. Na krawędzi stołu zawiesiłam ceny, które odczytać byli w stanie nieliczni, i opisy, które mogliśmy odczytać tylko ja i od biedy Michaś. Nawet nie proboszcz, który niezawodnie za chwilę miał się tu zjawić.

Zbierały się kумы, które nie zamierzały kupować niczego poza plotkami. Zbierali się obwoźni handlarze na wozach, z których zwisały brzęczące patelnie, wojskowe menażki i cynowe sztucce. Rozkładali się z towarem gospodarze, którzy za chwilę będą głośno zachwalać swoje ziarno, jeżeli zawilgotniało i zgniło lub było zarażone sporyszem, lub będą milczeć, jeżeli ich towar i tak zawsze się sprzedawał, bo jego jakość znała cała okolica. Z każdej strony dochodził wywołujący ślinotok zapach wędlin, wędzonych ryb, przetworów owocowych, ciast i ciasteczek. Mimo zaopatrzenia dostarczanego przez Staszka też zamierzałam zrobić jakieś zakupy.

Przybywało dzieci. Ludzie bali się mutacji, chorób i śmierci przy połogu, ale i tak mnożyli się jak króliki. Ktoś przecież musiał pracować w gospodarstwie, a niewielu było stać na parobków. Podniecona ruchem dzieciarnia kręciła się wokół z brudnymi palcami wetkniętymi w usta. Czasem któryś maluch, zagapiony, wodząc wzrokiem za coraz to kolejnymi straganami, podchodził do mojej lady, ale po chwili, gdy orientował się, że czyha tu wiedźma, uciekał, wzywając rodziców na pomoc.

Mijali mnie myśliwi obwieszeni zajęczymi skórkami, czapkami z lisa i rękawicami. Rybacy ze swoimi połowami, sieciami, spławikami ze styropianu i wystruganymi z lipowego drewna figurkami szczupaków i sielaw ustawili się tradycyjnie kawałek dalej, przy moście. Dojrzałam jeszcze bartnika z wonnymi woskowymi świecami i słoikami płynnego pszczelego złota, a nieco dalej nieznany mi mężczyzna rozstawiał stopy klatek, w których trzymał kociaki, szczeniaki i ptaki różnych gatunków. Pomyślałam, żeby na złość wielebnemu kupić sobie kruka albo czarnego kota. Ale już chyba jestem za stara na takie żarty.

Harmider narastał. Układając podawane przez ucznia towary, chłonełam plotki i czekałam na wielebnego. Zastanawiałam się, jaką strategię wybierze w tym roku: straszenie, namawianie, kuszenie? Nie traktowałam tych potyczek poważnie, a pewnie i proboszcz podchodził do nich jak do naszego wspólnego rytuału, którego pierwotnego znaczenia nikt nie pamiętał.

Pierwsza przyszła się przywitać Kryśka Drawska – atrakcyjna gospodyni w średnim wieku, wciąż zaczepiana przez co bardziej zdesperowanych mężczyzn, gdy jej mąż, zawołany myśliwy i znany w całej okolicy zazdrośnik i furjat, wybywał w lasy. Świetnie peklowała szynki z dzików i wędziła sarnie udźce, co poniekąd było moją zasługą. Przed laty, za namową swojej matki, Jurkowej, Kryśka mieszkała kilka tygodni w kurniku na kolonii, bo bardzo chciała mieć dzieci, chociaż ja podejrzewałam, że to raczej Jurkowa nie mogła doczekać się wnuków. Badałam oboje Drawskich i mogłam tylko rozłożyć ręce. Nie miałam ani wiedzy, ani wprawy, ani sprzętu, więc poradziłam Kryśce, żeby po prostu próbowali do skutku, bo powojenna wiejska medycyna nie ma dla nich rozwiązania. No i najwyraźniej wzięli się do próbowania, bo kilka miesięcy później znów przyjechali, tym razem wozem załadowanym futrami i mięsem. Tłumaczyłam, że dzieci to się nie biorą od tego, że kobieta kobiecie wsadza instrument, tylko facet, i to inne narzędzie, więc Drawscy raczej powinni sobie te futra zostawić. Nie dali się przekonać, a ja zostałam ze stosem prezentów i spiżarnią wypełnioną marnie uwędzonymi mięsami. To wtedy, po wspólnej kolacji, zaproponowałam jej, żeby została na kolonii. Skoro miała problem z zajściem, to może być i kłopot z donoszeniem. Jej męża wygoniłam w las, żeby nam jako zapłatę za dalsze leczenie przynosił, co tam upoluje i sprawi. Po wstępnym badaniu pacjentki, bo co niby więcej mogłam tam zdiagnozować, posadziłam ją w

kuchni, wygrzebałam książki kucharskie, zebrałam zioła i przyprawy i uczyłam... Uczyłyśmy się marynować, wiązać i przygotowywać mięso do wędzenia. Wędzarkę też zbudowałyśmy samodzielnie. A ileż to roboty, jeżeli wszystkie materiały można było znaleźć w gospodarstwie lub w pobliżu? Cegły zdjęte z murku, beczka kurząca się na stryszku obórki, kilka prętów i kamieni.

– Cięża to nie choroba – tłumaczyłam Kryśce, gdy wzdragała się przed machaniem łąpatą. Po tym szkoleniu mięsa od Drawskich przyjmowałam już bez oporów i w dowolnych ilościach.

– Pozdrowienia od męża – powiedziała cicho, podchodząc z lnianą torbą w dłoni.

– A od ciebie to już nie? – zażartowałam.

Nasze spotkania były krępujące, odkąd syn Drawskich w wieku kilku lat skaleczył się w udo podczas zabawy na podwórku i wykrwawił, zanim zdążyłam dojechać do wsi. Wypytałam wtedy Jurkową, czy w rodzinie ktoś jeszcze umarł przez niegroźną ranę. Potwierdziła. Opowiedziałam jej wtedy o hemofilii, sposobie dziedziczenia i skutkach. Czułam się winna, bo nie sprawdziłam tego wcześniej, Jurkowa czuła się winna, bo to jej geny zabiły wnuka, winni czuli się rodzice, bo nie pilnowali dziecka podczas zabawy. Odtąd nasze stosunki nadal były zażyłe, ale wisiał nad nimi cień.

– Ode mnie oczywiście też. Co tam masz? W tym roku nie znalazłam za dużo szaławii, ale mogę podzielić się majerankiem. No i chciałabym odnóżkę aloesu.

– Lepiej mi powiedz, czy ci się ten wawrzyn przyjął? – spytałam ciekawa.

– Przyjął. Na wiosnę wolno się zielenił, ale teraz nawet mam trochę rozsąd. Chcesz?

– Za ile? – spytałam, zastanawiając się, jak policzyć szaławie.

– Jak przy Wielkiej Nocy? – spytała, proponując po prostu wymianę potrzebnych produktów.

Zgodziłam się. Jeszcze przez chwilę dogadywałyśmy szczegóły, a ja notowałam i kazałam Michasiowi wybrane przez Kryskę produkty chować z powrotem do walizy. Nie oddałam jej wszystkiego, ale też nie oddałam tanio. Majeranek i liście wawrzynu to jedno, bardziej zależało mi na szynkach i kielbasach. Na myśl o nich już ciekła mi ślina. Mięsa Drawski miał dostarczyć do Staszka.

W międzyczasie zrobiła się kolejka. Te same znajome twarze. Listkowa w bezpiecznej odległości od Pawłowskiej. Ta druga po chwili oddaliła się, zapewniając, że wróci później. Ciekawe, czy rzeczywiście się tak nienawidzą, czy to tylko pokazówka przed mężami? Dalej Waldkowa, u której zazwyczaj jadam obiad, gdy jestem we wsi. Pewnie przyszła potwierdzić, że wszystko gotowe, bo później będzie zajęta przy swoim straganie, na którym zawsze piętrzyły się chusty, firany, obrusy, pościele, ale też różne sprytne pierdółki, które wytwarzała razem z kobietami w prowadzonym przez nią kole gospodyń wiejskich. Za nią młoda Knitprodówna, żony rybaków i przygarbiona Janka z dziećmi. W oddali, wsparta o kule, kuśtykała córka Zarembów, asekurowana przez rodziców.

Handel jeszcze się nie zaczął. Na razie był czas na plotki, powitania, narzekanie na pogodę, zdrowie, chwalenie asortymentu i zapraszanie na wódkę, obiad, kolację i takie tam, grzecznościowe, bo wszyscy w wiosce wiedzieli, że obiady jadam u Waldkowej, a kolacje u Zarembów przy okazji badania postępów w rehabilitacji.

Twarze, kolorowe chusty i odświętne stroje mieszały się jak w kalejdoskopie. Zebrane przy straganach grupki ludzi przekrzykiwały się, wybuchały salwy śmiechu, kurwy latały jak skowronki. Przestraszone lub podniecone psy szczekały, skakały na płoty i szarpały się na łańcuchach i powrozach.

Po pierwszej fali miałam chwilę, żeby przejść się po targu i poszukać jakichś przydatnych drobiazgów. Nie potrzebowałam wiele, ale stać mnie było na kaprysy. Tym razem nie zostawiłam kartki z napisem „zaraz wracam”, którą każdy okartowski i przyjezdny odczytywał po swojemu, tylko przekazałam stragan Michasiowi. Powoli mijałam wyłożone na szerokich deskach chusty i biżuterię, naczynia, i sztucce, liny, żyłki, sieci, wałki, młotki i gwoździe; spiętrzone na wozach worki z ziarnem, mąką i ziemniakami, skrzynki warzyw oraz beczki ryb i mięs. Przyjezdni przywieźli cały asortyment. Miejscowi mieli przy sobie reprezentatywne, ściśle wyselekcjonowane próbki, a zakupiony towar można było odebrać w gospodarstwie. Nigdzie nie widziałam sołtysa. Pewnie jeszcze nadzorował ustawianie lad i wieszanie dekoracji.

Do ostatniego wozu doszłam po dziesięciu minutach, pewnie dlatego, że nie zatrzymywałam się przy każdym stoisku. Mieszkańcy wioski co pół roku wystawiali w zasadzie to samo. Na samym końcu osady, od strony drogi prowadzącej do dawnego Wężewa i dalej na Mikołajki, stał wóz

wypchany złomem, który z pewnością zainteresowałby Michasia, od tygodni przeglądającego z zaciekawieniem ilustracje samochodów, pomp, rowerów i silników. Typowe zainteresowania przedwojennego nastolatka.

Handlarz nie zachwalał asortymentu. Po tylu latach żarówek, świetlówek, alternatorów, nakręcanych zegarów, żaluzji i odtwarzaczy płyt CD nie oglądało się na każdym kroku i w każdym gospodarstwie.

Tłum zainteresowanych artefaktami żywo komentował i głośno targował się z przyjezdnym. Gdy się zbliżyłam, ludzie ucichli i rozstąpili się na boki, pozwalając mi podejść do wozu.

– Tu to już chyba tylko obudowa została – skrytykowałam wyeksponowany akumulator samochodowy. Mały, jak do malucha czy innego smarta. Oglądając wymytą na błysk baterię, krzywiłam się bardziej niż zwykle. Jak już mówiłam: w interesach najważniejsze jest wywarcie odpowiedniego wrażenia.

– Babciu – oburzył się handlarz – przecież tej baterii nikt nigdy nie używał, bo do czego? Wlejesz, babciu, wodę z solą i zaraz będziesz mieć światło do wychodka. Albo weźmiesz sobie takie radyjko, żeby ci śpiewało do uszka. – Podniósł starą unitrę, mocno poobijaną i zdecydowanie niezdolną do śpiewu, nawet gdyby ją podpiąć do prądu.

Chwilę kręciłam nosem.

– A od kiedy to akumulatory zasila się solą, co? – spytałam, uśmiechając się złośliwie. – Jak będę chciała sobie zupę zrobić, wleję do kociołka wodę i wsypię kilka łyżek soli, to czy mi potem garnek będzie świecił lub śpiewał piosenki?

Zebrany wokół tłumek wybuchł śmiechem, handlarz spurpurowiał, ale na jego twarz, wyrażającą chęć mordy, uśmiech wrócił już po kilku sekundach. Profesjonalista.

– Wezmę za... piętnaście – zaproponowałam po chwili wahania.

Mężczyzna już schodził z wozu, żeby uściskiem dłoni dobić transakcji.

– Ale dołożysz lampę. Tamtą. – Wskazałam palcem ledową żarówkę samochodową w plastikowej obudowie reflektora jakiejś osobówki.

Handlarz zatrzymał się na chwilę, ale ostatecznie niechętnie wyciągnął dłoń. Z kieszeni spódnicy wyjęłam banknot i monetę.

– Zanieś to do sołtysa – poleciłam, wskazując pobliski dom, przesłonięty szpalerem jałowców.

Za plecami usłyszałam przekrzykującą się gromadkę brudnych dzieci.

– Słyszałam, że ojciec zmarł? – zagadnęła rówieśniczkę na oko dziesięcioletnia dziewczynka.

Ojciec? Czyj? Może wielebny – pomyślałam zaniepokojona.

– Tak. Utopił się w Kałuży. Wybierał sieci i węgorz go wciągnął – odpowiedziała tamta.

– Węgorze nie wciągają. To musiał być szczupak...

Odetchnęłam. To o którymś rybaku. Wkurzał mnie stary klecha, który regularnie mnie oczerniał, potępiał z ambony i nakładał pokuty na moich pacjentów, ale kłótnie z nim uważałam za świetną zabawę, podobnie jak wszyscy odwiedzający kiermasz. Zazwyczaj przychodził wczesnym popołudniem, żeby mnie publicznie potępić. Tym razem byłam gotowa. Lekcje Michasia to jedno, ale swoją pracę domową też odrobiłam. Pomacałam kieszeń, upewniając się po raz kolejny, że nie zapomniałam zabrać mojej tajnej broni.

Zjeżdżali kolejni zamiejscowi, przychodzili coraz to nowi klienci. Wszyscy odświętnie ubrani, wszyscy ze słoikami banknotów przez resztę roku zakopanymi w ogródkach, ukrytymi w piwnicach.

Od lat obserwuję postępującą deflację. Pieniądzy w obiegu ubywało, bo na przykład ktoś zapomniał, gdzie zakopał słoń, bo komuś chałupa spłonęła wraz z drogocenną skarpetą, bo ktoś bał się przyznać żonie, że cały dobytek przepił i zwał winę na złodziei, a nawet okno rozbił. Dlatego co targ i sezon wartość pieniądza rosła. Wypisane na kartkach ceny nalewek i ziół były identyczne jak w zeszłym roku, ale to przecież zaledwie zaproszenie do targowania się, przewracania oczami i biadolenia. Produkty na pozostałych kramach pewnie w ogólnym rozrachunku będą tańsze niż rok temu, chyba że klient nieszczęśliwie potrafi się targować. Pieniądz drożeje, pomyślałam, gdy obeszałam plac.

Ilość zgromadzonej przez sąsiadów gotówki nie była tajemnicą. Dochodziło przez to do waśni, a nawet wieloletnich konfliktów między chłopkami, gdy okazywało się, że ktoś ma więcej pieniędzy, niż się wszystkim zdawało. Wtedy do ataku ruszały żony gospodarzy, którzy w tajemnicy przed połowicami płacili za bimber lub kupowali prezenty kochankom. Padały oskarżenia o kradzieże, potajemne nocne wykopki w ogródkach, naciągactwo, rozpustę, puszczalstwo i w ogóle wywlekano wszystkie prywatne brudy na światło dzienne. W ubiegłych latach kilka razy doszło do rękoczynów, szarpania za włosy, za ubrania. Podejrzewałam, że niezainteresowani zakupami czekali właśnie na takie atrakcje.

Domysły co do zamożności nie dotyczyły tylko trzech osób obecnych na kiermaszu. Mnie, bo nikt tak naprawdę nie wiedział, ilu mam pacjentów i ile mi płacą. Szczególnie że niektórzy przychodzili ze wstydliwą i piekącą przypadłością kupować spreparowaną pleśń z chleba. Krążą tylko plotki na temat mojego bogactwa, których nie dementuję ani nie potwierdzam, bo po co? Mam całkiem pokaźny plik banknotów z wizerunkami różnych królów, ale trzymam je na czarną godzinę. Na kiermasze zabieram tylko bilon i kilka banknotów o niższych nominałach, ale nawet z nich korzystam rzadko. Wymówka „nie mam wydać” świetnie służy zbijaniu cen przy barterze, ponieważ nie płacę nalewkami, rozlewając je na naparstki. Drugą osobą jest sołtys, który pieniądze po prostu ma. On mianowicie wszystko stara się rozliczać w gotówce, nawet gdyby miał z tego powodu stracić. Żadnej wymiany towarów czy usług – tylko forsa. Dlatego zamiast płacić sołtysowi ziemniakami za protekcję, lepiej ziemniaki sprzedać za jeden banknot z Mieszkiem I i dać go sołtysowi. Ta protekcja to oczywiście żart. Ze starym światem zniknęły stara biurokracja, stare pozwolenia, licencje i certyfikaty. Trzecią osobą jest wielebny z okartowskiej fary. Wiadomo, głupio położyć na tacy kurę czy jajko. W sumie wszyscy, którzy nie prowadzą gospodarstwa, nie wytwarzają żywności ani towarów, czyli usługodawcy.

A skoro o wielebnym mowa, to jego szara, bo od dawna już nie czarna sutanna mignęła mi między kolorowymi kieckami, burymi swetrami i jaskrawymi dresami. Szedł, bez pudła, w stronę mojego kramu. Przerwałam sprzedawcy zachwalającemu zalety młynka do pieprzu i pośpiesznie wróciłam za ladę.

– Oto czarownica! – zaczął potężnym głosem.

Westchnęłam, patrząc na Michasia, który wyglądał na trochę przerażonego i trochę zawstydzonego. Nie przyszło mi do głowy, że z powodu nauki u mnie mogą spotkać go nieprzyjemności. Postanowiłam być kulturalna, a jednocześnie trochę się popisać. A co! Trzeba wykorzystywać wiedzę i inteligencję.

– To jeszcze, ojczu, obrzuć mnie infamią. Pewnie będzie skuteczna, tak jak w średniowieczu. – Zaczęłam od wiedzy.

– Mówi się „ojczu wielebny”, wiedzmo. – Najwyraźniej zamierzał ignorować słowa, których nie rozumiał.

– Ja nie o tym, ojczu. Ja o dzieciakach w kilku wioskach.

Trafiłam, bo tłum zaczął parskać śmiechem, a sam wielebny poczerwieniał i jakby spuchł.

– Jak śmiesz! Wiedźma łże! – zwrócił się do publiczności.

Dotychczas drażniłam się z ojczulkiem, ale tym razem nie mogłam ryzykować. Nie ze względu na siebie, bo księżulo miał za krótkie łapy, żeby sterować „moją” wioską, ale ze względu na Michasia, któremu mógł zaszkodzić. Chłopak był bystry, pojętny, ale niezbyt asertywny. To akurat nie dziwota, bo jeszcze był młody, a w tym wieku przesadną asertywność jego ojciec momentalnie wybiłby mu z głowy. A jeżeli nie on, to ja.

– Księżu, wiąże mnie tajemnica lekarska, więc nie wymienię nikogo z nazwiska. Ale przychodziły do mnie panny, jedna latem, jedna na przednówku, jeszcze jedna na koniec ubiegłego roku, przychodziły biedulki w te największe zasy i wichury. I po co? – Zawiesiłam głos i podeszłam do przykrytej serwetą ławy. Trzęsącymi się dłońmi rozrywałam foliowe torebki z suszonymi roślinami. Ale się nakręciłam! – Po rutę! – krzyknęłam i rzuciłam w stronę księdza garść suszu. – Po bylicę i werbenę! – Dwie garści wirowały w porywach jesiennego wiatru. – Albo po wrotycz, bo zapasy pozostałych ziół zużyły inne pacjentki! – Ostatnią garść rzuciłam tym razem celnie, pod same nogi klechy. – A najlepsze – zwróciłam się do zebranych – że wszystkie płaciły pieniędzmi, i to nie byle jakimi, a oznaczonymi krzyżykiem w rogu, a wszyscy wiemy, że w całym powiecie jest tylko jeden idiota, który znaczy banknoty, żeby sprawdzać, kto przepił, prawda? Żeby śledzić, gdzie potem te pieniądze trafiają i od kogo wracają na tacę!

Ksiądz zbladł, a po chwili znowu zrobił się czerwony jak burak. Ścisnął spocone dłonie i dyszał. Znow zbladł. Zmrużyłam oczy, żeby przyjrzeć się mu dokładniej. W takiej sytuacji zawał nie byłby wizerunkowo szczególnie korzystny. Z drugiej strony... Tak. Wielebny chwycił się za mostek i padł na kolana.

Nie czekałam, bo przecież każda chwila była na wagę złota. Zakląłam szpetnie, nawet jak na moje możliwości. Wyobraziłam sobie, co będzie się działo za dwa tygodnie, gdy okartowscy dojdą do wniosku, że Koślawa złym okiem na miejscu uśmierciła wielebnego. Z widłami przyjdą, a Michasia ze wsi pogonią. Nie mogłam sobie na to pozwolić. Z powodu lekcji zaniedbałam programy profilaktyki i higieny, a i wcześniej rzadko odwiedzałam mieszkańców. Przyjeżdżających z zapasami parobków Staszka nie wypytywałam, co się w wiosce dzieje. Nawet Michasia po

powrocie od rodziców jakoś szczególnie nie ciągnęłam za język. Poza tym zapasy nie starczą do wiosny. Odesłanie ucznia teraz, przy braku pacjentów, oznaczałoby po prostu śmierć głodową.

Jakie to szczęście, że miałam przy sobie wszystko, ale to wszystko, co miało jakiegokolwiek znaczenie przy leczeniu zawałów. Na moje polecenie Michaś wyciągnął spod lady ogromny kufer. Otworzyłam go i zaczęłam szukać destylatu z naparstnicy purpurowej. Wyciągnęłam zestaw fiolek, butelek i słoików, wszystko dokładnie opisane, na wszelki wypadek również szklaną strzykawkę z igłami ze stali nierdzewnej. Pobiełam w stronę chorego.

– Ty i ty. Posadźcie go i podeprzyjcie plecy – poleciłam dwóm mężczyznom z tłumu otaczającego leżącego na ziemi zawałowca. Klękłam i otarłam mu czoło. Pot był zimny, gęsty. Niedobrze. Odkorkowałam małą flaszkę po wódce i odchyliwszy księdzu głowę, wlałam mu prosto w gardło połowę zawartości. Dużo ryzykowałam. Naparstnica działa natychmiast, ale przecież jest trucizną. Miałam nadzieję, że nie pomagam właśnie wielebnemu w awansie do chórów anielskich. Zakrztusił się, ale oddechu nie odzyskał. W sumie po takiej dawce spirytusu każdy normalny człek oddech by właśnie stracił. Nadal dławił się i trzymał kurczowo za klatkę piersiową. Po głowie krążyło mi słówko „nitrogliceryna”. Chyba nawet wypowiedziałam je na głos.

– Przynieś koc – poleciłam zgietemu wpół młodzikowi, który chyba chciał zajrzeć księdzu do gardła.

– Skąd?

– Z domu, najlepiej z łóżka. Głupi jesteś?

Ludzie wokół zaczęli się śmiać. Mnie do śmiechu nie było.

– Michaś! – krzyknęłam, nie odwracając się od chorego. – Podaj mi esencję wierzby!

Przez chwilę słyszałam brzęczenie szkła, gdy chłopak gorączkowo przetrząsał zawartość walizki.

– Nie ma – odpowiedział po chwili, gdy już wielebny powoli dochodził do siebie. Odetchnęłam. To nie zawał, tylko dusznica, a może migotanie. Ale mnie czarny nastraszył!

– Podpisane „aspiryna” – podpowiedziałam. Nie lubiłam się rozpisywać. Gdyby ktoś w okolicy umiał czytać, to bym pewnie pisała po łacinie, a nawet nauczyła się greki, a tak mogłam rysować dowolne szlaczki.

– Mam! – krzyknął z zadowoleniem Michaś i podbiegł z małąką z Polmosu.

Pacjent już reagował, najwyraźniej ból zelżał. Odkorkowałam flaszkę i wlałam mu w usta. Jednorazowo nie zaszkodzi. Skrzywił się trochę, ale poczuł lepiej. Po chwili zgiął się wpół i zaczął obficie wymiotować na sutannę. W rosnącej z każdym spazmem kałuży pływały kawałki kiełbasy, boczku, jakiegoś kotleta, źle pogryziona fasola. No tak. Nie musiałam robić wywiadu, żeby przygotować receptę z dietą. To zdecydowanie nie był dobry dzień dla wielebnego.

– Będziesz żyć. – Klepnęłam księdza w ramię i wstałam.

Trzymający go mężczyźni patrzyli na mnie pytająco, a na proboszcza z nieukrywaniem obrzydzeniem i rozbawieniem. Gestem nakazałam im zostać na miejscu. Rozejrzałam się po zebranych. Szczęście w nieszczęściu. Pokazałam, że potrafię leczyć, i to zawały, a zawały tu znali. I nawet jeżeli nie był to prawdziwy atak serca, to objawy były wystarczająco podobne. W zeszłym roku Knitprod padł jak rażony gromem na środku ulicy, tuż po wyjściu z domu. Sąsiedzi pomogli, ale i tak umarł przed wieczorem. I tak samo trzymał się za klatkę piersiową. A ja księdza wyleczyłam i jeszcze Michaś pokazał, że umie czytać i rozpoznawać leki, i że nawet jak ja odejdę, wioska będzie pod opieką. Poszukałam wzrokiem jego ojca. Stał dalej, na skraju placu, a jego twarz wyrażała absolutną dumę. Nie patrzył na mnie, a na syna. Skinęłam mu głową. Niech inni zobaczą, że chwale młodego przed ojcem.

Michaś, zadowolony z siebie, nazarty kiełbasą, którą jemu i mnie wciskały jednocześnie druga Listkowa i Pawłowska, z podnieceniem macał co chwilę nową kurtkę wojskową, którą po akcji z księdzem kupił mu ojciec. Nie dał jej synowi, ale mnie, żebym mu przekazała.

– A co, syn ci nagle zgłupiał? – spytałam zaczepnie, starając się zachować wypracowany przez lata dystans względem okartowskich. Dziś mogłam sobie na to pozwolić. – Stoi tu obok, to mu ją daj. Zasłużył.

Kania przekazał synowi podarek. A potem wyciągnął z worka i położył na ladzie skarb. Ale taki, że nawet nie mogłam o podobnym marzyć. W zachodzącym jesiennym słońcu lśnił wykonany z brązu destylator. Jajowaty deflegmator nad umieszczonym na trójnogu kociołkiem u góry łączył z miedzianą rurą zawór kulkowy. Obok zaworu umiejętnie wlutowany sterczał manometr Karl Marx. Po dmuchnięciu w rurkę wydawał się działać, a jaki był czuły! Blok chłodniczy ze spiralą z hydraulicznych rurek

miedzianych, giętych na ciepło i lutowanych, wprawiał w osłupienie. To musiało kosztować majątek!

– Za ile? – spytałam, udając, że gorączkowo poszukuję w kieszeniach portfela. Nie było tam wystarczająco dużo pieniędzy i to wcale nie dlatego, że wzięłam ich za mało. Musiał kosztować tyle, co gospodarstwo.

– To za darmo – odpowiedział, a ja nie uwierzyłam. Facet był bardziej przebiegły niż z początku sądziłam. Jego tynktura i moje zioła? To byłaby złota kura znosząca platynowe jajka!

– Nic nie jest za darmo. Nie biorę – odpowiedziałam z żalem, odpychając kociołek.

– Weź, Starsza, mnie się nie przyda. Za mały. – Popchnął destylator z powrotem w moją stronę.

– A co, syn ci nagle zgłupiał? – powtórzyłam pytanie, kiwając głową w stronę milczącego ucznia. – Daj jemu. Jemu się przyda, a alembik wróci do ciebie, gdy już młody skończy naukę. Ja tego nie chcę – odpowiedziałam, siląc się na obojętność, bo przecież chciałam. Bardzo chciałam!

Przytaknął i przesunął instalację w stronę syna.

– To twoje – zwróciłam się do chłopca. – Jutro po powrocie pokażę ci, jak o to dbać.

– Ja wiem – odpowiedział.

No przecież, że wiedział. Pewnie lepiej ode mnie. Destylator był w idealnym stanie, a przecież to z niego musiał pochodzić bimber, który Michaś przyniósł ze sobą pierwszego dnia.

Do wieczora sprzedawałam wszystko na pniu. Klienci nawet specjalnie się nie targowali. Chcieli oczywiście naparstnicę, a ja, naturalnie, odmawiałam.

– Na receptę – powtarzałam do znudzenia.

Zamiast tego sprzedawałam esencję z wierzby i nalewkę z aronii (tę drugą w małych ilościach, bo kopie jak koń). Michaś kasował gotówkę i towary, wpisywał wszystko skrzętnie na swoją listę, którą później będzie musiał mi przetłumaczyć na ludzki język, bo znaczki, choć niektóre przypominały litery, a nawet wyrazy, bardziej kojarzyły się z piktograficznym pismem stosowanym przez Staszka.

Przy okazji przekonałam się, że w Okartowie na stałe zadomowił się zwyczaj łamania kości przy podawaniu dłoni. Z obawą czekałam na jutrzejszy dzień. Pewnie kubka z herbatą nie podniosę. Poszłam na szybki obiad do Waldkowej, a Michaś został jeszcze uprzątnąć stoisko. Prawdopodobnie narobi bałaganu w przyniesionych przez klientów

opakowaniach, za które obniżałam ceny sprzedawanych specyfików, ale to była kolejna moja manifestacja: chłopak jest już na tyle zorientowany, że można go zostawić bez nadzoru. Poradzi sobie.

4.

Stary Wojnicki opowiadał, że kiedyś na targ dożynkowy przyszedł muzyk z harmoszką na plecach. Grał tak cały dzień, ale pinindzy za dużo nie uzbierał, tylko najadł się i opił gorzałki. Wieczorem jeszcze pograł do tańca, a potem od razu ruszył drogą na Mikołajki.

I tak szedł, i szedł, i dotarł do rozstajów. Zobaczył trzy panny tańczące wkoło drzewa. A tak były urocze, że grajek wziął harmoszkę i dawaj im do taktu. Dziełchy nie zlekły się, tylko poprosiły, żeby poszedł z nimi do starych ruin folwarku i tam im grał do tańca. No to się zgodził, bo, he he, mogły i jego zaprosić do zabawy. Ale nie. Tylko tak tańczyły, dopóki słońeczko nie wstało.

Wtedy one wzięły miotły i zaczęły sprzątać podłogę, a wszystkie śmietki wrzuciły grajkowi do worka.

– To twoja zapłata. Nie zaglądam tam, dopóki nie wrócisz do domu.

Muzyk ruszył w swoją drogę, ale worek ciążył mu i ciążył coraz bardziej. W końcu wyrzucił śmietki w jakąś norę i w te pędy pobiegł do domu, bo żonę miał straszną cholereę.

Po powrocie wysypał wszystko na blat, żeby pokazać żonie, ile zarobił, a dostał kilka ryb, słój bigosu i chustkę, ale taką zdobioną. No i pomiędzy tym wszystkim leżało kilka złotych monet.

– A co to jest? – spytała kobieta, to on wytłumaczył, że trzy panny wsypały mu śmietki za przygrywanie do tańca, tylko że wszystko wyrzucił po drodze.

– To biegnij, bo może jeszcze nikt nie znalazł – rozkazała.

Muzyk wrócił i znalazł norę, ale tam leżała tylko góra łajna.

Tego wieczoru po raz pierwszy nie wzięłam udziału w nocnej zabawie. Wcześniej po raz pierwszy nie byłam na zebraniu starszyczny, czyli okartowskich gospodarzy i przedstawicieli „cechów”: rolnika, masarza, myśliwego, bartnika, rybaka, skutnika i cieśli. Biedotę reprezentowała wdowa Janka, choć oficjalnie była przedstawicielką wolnych zawodów. To akurat był pomysł jeszcze księdza Marka, pierwszego powojennego proboszcza. Ja byłam stałym przedstawicielem mojego cechu, co zresztą rozumiało się samo przez się, podobnie stałymi przedstawicielami byli sołtys i ksiądz. Zebranie nie było spotkaniem towarzyskim, przynajmniej

nie od czasu pierwszej poważnej interwencji, jeszcze za poprzedniego sołtysa. A nie, może jeszcze przed tym poprzednim.

Jakieś trzydzieści lat temu w tartaku, po drugiej stronie mostu, około dwóch kilometrów od drogi, zamieszkał pan Tomasz, jak kazał się nazywać. Nikt go zbyt dobrze nie znał. Owszem, odwiedzali go z wizytą sąsiadką najpierw sołtys i ksiądz, potem pozostali mieszkańcy, ale wszyscy wracali z co najmniej mieszanymi uczuciami. Gdy pytałam o wrażenia, najczęściej kręcili palcem przy skroni. Dlatego też wizyty wkrótce ustały, szczególnie że przy tartaku od dawna nie było już żadnych przydatnych materiałów. Dopiero po roku lub dwóch do mojego gabinetu, jeszcze wtedy u Jurka, przybiegł Zaremba, dziś już stary Zaremba, mówiąc, że u pana Tomasza strasznie śmierdzi, a on sam biega goły wokół stosów śmieci. Wtedy dopiero wybrałam się poznać owego dziwaka. Na miejscu zobaczyłam nie stosy, a góry śmieci. Wszelkich śmieci! Kawałki maszyn, opakowania, deski i pieńki, rzucone na kupę kamienie, cegły i bryły betonu, a przede wszystkim niesamowicie cuchnące odpady rzeźne, głowy ryb, beczki wypełnione jakąś breją. Pośrodku tego wysypiska, w ukryciu między hałdami znajdował się szalas przykryty plandekami zniszczonymi przez wiatr. A pan Tomasz i owszem, biegł nago, i to z siekierą wycelowaną w moim kierunku. Krzyczał, że mam się wynosić, bo nie przylecą, i że wszystko zrujnuję. Powiedzmy, że mnie przekonał.

Po powrocie do wsi natychmiast zwołałam zebranie starszyny. Przybyli wszyscy.

– Mamy poważny problem – zaczęłam, gdy już księdzu Markowi udało się uciszyć całe towarzystwo. – Nasz sąsiad za mostem zbudował piękną bombę biologiczną. Czy przez ostatnie miesiące nic wam nie zginęło? – spytałam od razu, bo jak niby zgromadził cały ten syf?

– Kradnie? – pytali po kolei. Zrobił się rejwach.

– Nie pytam, czy kradnie. Raczej czy nie znikwały wam te, no... śmieci. Odpadki.

– Jakie? – spytał rzeźnik.

– Jakiegolwiek. Kości, jelita, rybie głowy, kopyta, rogi – wymieniałam, a rzeźnik tylko kiwał głową.

– Zastanawiało mnie to, ale skoro mniej pracy, to się nie martwiłem.

– Czyli od dwóch lat zbiera śmieci. To wszystko tam jest. Pan Tomasz cierpi na zbieractwo, a może na jakieś inne zaburzenia. Krzyczał, że ktoś

ma przylecieć. Jak te wszystkie odpady dotrą do wody, to zatruje nam wszystkie studnie. Będzie epidemia.

„Epidemia” była słowem, które znali i rozumieli wszyscy. Zadbaliśmy o to, bo to był najlepszy straszak. Teraz ten straszak mógł okazać się realnym zagrożeniem.

– Trzeba go zmusić do posprzątania – poradził sołtys.

Od razu pokręciłam głową.

– Nie zmusisz go. Ba, będziesz go musiał trzymać siłą, gdy to my będziemy sprzątać. Kiedy tam poszłam, pogonił mnie z siekierą. Jest niezrównoważony i niebezpieczny. Pytanie: co możemy z nim zrobić, żeby nam nie zagrażał i żebyśmy postąpili godnie. – Z ostatnimi słowami zwróciłam się do księdza, który teraz jako jedyny mógł zapobiec linczowi.

– Stawiasz przede mną trudne zadanie, Wiedząca – odpowiedział po chwili namysłu. – To człowiek chory na umyśle lub opętany. Tak czy inaczej, opieka nad nim należy do moich obowiązków, nie twoich.

Przytaknęłam.

– Zwołaj wszystkich zdolnych do pracy – poleciłam sołtysowi. – Niech natychmiast zbiorą się przy moście z narzędziami do kopania. Wybierz też kilku silnych mężczyzn, żeby obezwładnili pana Tomasza. Mają go związać i przenieść na plebanie.

– Przygotuję w tym czasie pokój – przerwał ksiądz.

– Musimy wykopać dół i wrzucić tam wszystkie niebezpieczne śmieci. Kto ma rękawice, niech je założy. Trzeba przestrzec wszystkich, aby bardzo, ale to bardzo uważali. Nie chcę żadnych skaleczeń. Żadnego obgryzania paznokci, dłubania w nosie i deptania po grabiach. Jeżeli ktoś nie ma butów, to niech zostanie w domu. I uważajcie na szkło, gwoździe i inne ostre przedmioty.

– Ile nam to zajmie? – spytał sołtys, bo przecież zaraz się miało na żązniki i gospodarze gotowi byli się zbuntować.

– Nawet trzy dni. Dlatego musimy się pospieszyć. Nie możemy tego zostawić. Aha, przekaz rybakom – zwróciłam się do ich przedstawiciela – że mają odtąd ryby czyścić dalej na południe, za mostem. Port przenosimy na plażę nad Kałużą. Przy moście zostaje tylko slip i warsztaty. Teren tartaku zostaje objęty kwarantanną do odwołania. Nikt po tamtej stronie nie może się osiedlać, kopać studni, a nawet wchodzić tam, dopóki nie zezwolę. Jeżeli ktoś naruszy zakaz, nie może wejść do wsi, dopóki go nie

przebadam, a nie zamierzam badać za darmo. Dotyczy to wszystkich, jasne? Nawet sołtysa, księdza i mnie.

Sołtys skrzywił się, ale przytaknął. Zebranie było skończone.

Tak, to było zdarzenie, które ostatecznie ukonstytuowało zgromadzenie. Pan Tomasz znalazł się pod stałą opieką księdza. Zmarł chyba trzy lata później, ksiądz niedługo po nim. Spotykaliśmy się z proboszczem regularnie, w końcu jego pacjent był też moim pacjentem. Ksiądz Marek to był dobry człowiek i dobry organizator, jakiego teraz brakowało, bo nawet obecnemu sołtysowi daleko było do pierwszego powojennego proboszcza okartowskiej fary, który ze zbieraniny ocalańców stworzył funkcjonującą społeczność. Ale zauważyłam u niego kilka nietypowych manierezmów i przyzwyczajęń.

Spytałam go o to któregoś popołudnia, gdy po sobotniej wizycie u pana Tomasza zaprosił mnie na obiad. W sobotę gospodynie zbierały się w dawnej zlewni mleka, teraz piekarni, którą wiosce w podarku pozostawił jeszcze Mirek Kania. Na stole królowały potrawy na wskroś postne, jeśli nie liczyć kilku grubych plasterów twarogu.

– Księżę, dlaczego nie spowiadasz parafian? – spytałam niby od niechcienia.

– Przecież spowiadam – zaprotestował po chwili, gdy skończył modlitwę nad bochenkiem chleba i podał mi odkrojoną kromkę.

– Ale nie w konfesjonale. Tak z ciekawości pytam – dodałam asekuracyjnie, bo do kościoła nie chodziłam, a tylko plotki zbierałam.

Odłożył nóż i spojrzał mi w oczy.

– A zastanawiałaś się kiedyś, czym jest spowiedź i czemu służy? To kuracja. Terapia. Człowiek, gdy problemy zaczynają mu ciążyć, musi znaleźć drugiego człowieka, któremu może się zwierzyć. Czasem jest to ktoś z rodziny, czasem przyjaciel, ale jeżeli ciężarem jest samotność, to zostaje tylko ktoś, kto spowiada z urzędu. Ty przecież też spowiadasz. Pacjenci w trakcie wizyty opowiadają ci przecież o różnych problemach, nie tylko związanych ze zdrowiem, prawda?

Przytaknęłam.

– A udzielasz odpowiedzi? Radzisz?

– A skąd! – zaprotestowałam zdecydowanie.

– Widzisz, ja też nie. Bo my mamy tylko wysłuchać, ewentualnie dopytać. To spowiadający się ma znaleźć jeśli nie rozwiązanie, to przynajmniej ukojenie. Oboje korzystamy z autorytetu i zaufania, które jest

do nas przypisane na stałe. Wcale się aż tak bardzo od siebie nie różnimy, Wiedząca.

– A rozgrzeszenie? – drążyłam.

– Przecież jest modlitwa spowiednia, żal, skrucha i wola poprawy. Przyjdź kiedyś na mszę i sama zobacz – odpowiedział niewyraźnie, żując trochę zbyt duży kęs chleba i patrząc na mnie wyzywająco. I wtedy do mnie dotarło.

– Protestant? Luter! – prawie krzyknęłam, zaskoczona.

– Kalwin, ale blisko. – Uśmiechnął się.

– To czemu msza, zdrowaśki i te wszystkie obrządki?

– Nie zostałem tu posłany, żeby robić kolejną reformację. To są ludzie skrzywdzeni. Wszyscy jesteśmy skrzywdzeni. Moim obowiązkiem jest zapewnić im pomoc i wsparcie, namawiać do godnego życia według Bożych przykazań. Co bym osiągnął, gdybym nagle zaczął kwestionować wszystko, w co wierzyli, w czym się wychowali? Musiałbym się chyba odwołać do wszystkich kręgów piekieł i podgrzać siarkę w kotłach, czyli straszyć, wytresować sobie parafian. A ja nie potrafię straszyć miłością i nadzieją.

Przez chwilę trawiłam jego słowa, gryząc chleb posmarowany konfiturą z agrestu.

– A skąd właściwie zostałeś posłany?

– Nie uwierzysz. Akurat przyjechałem z Warszawy na urlop nad jeziorem, gdy zaczęła się wojna.

– Uwierzę – odparłam, uśmiechając się smutno.

– Oczywiście, dzisiejsza rozmowa pozostaje między nami? – Upewnił się jeszcze na pożegnanie.

– Lekarska tajemnica spowiedzi – odpowiedziałam.

Obietnicy dotrzymałam. Nigdy więcej nie poruszaliśmy tego tematu.

Na tegorocznym dożynkowym zebraniu starszyny wioskowej nie było nikogo z naszej trójki stałych przedstawicieli. Nie skontrolowałam też postępów w rehabilitacji poczynionych przez córkę Zarembów. Zapraszali mnie na kolację, i owszem, ale obowiązek zawodowy wzywał do wielebnego.

Księżdzę położono u sołtysa, w jego „agroturystyce”, czyli dobudówce przy domu z pokojami dla gości. Gospodarz miał gest, bo akurat tego dnia mógł windować ceny, a i tak zawsze miał komplet. Wiedziałam, ile to kosztuje, bo czasami u niego nocowałam. Oferował mi zniżki, nawet

zapraszał w gościnę za darmo, ale nie chciałam robić sobie u niego długów. To mieszkańcy mieli mieć długi u mnie.

– Nie jest źle, wielebny. – Uspokajałam ciągle słabego pacjenta, zdejmując mu z ramienia połatany kołnierz sfatygowanego ciśnieniomierza. – Ale następnym razem będzie gorzej. Musisz zmienić dietę, jeść mniej mięsa i tłuszczu, więcej się ruszać, chodzić. Rób kolędę dwa razy do roku, a nawet częściej. Dostaniesz też zioła, które masz pić codziennie, i pogoń ministranta, żeby ci zrywał witki wierzbowe do żucia po każdym posiłku. Na serce pomoże i na zęby też. Policzymy się, gdy wydobrzejesz. Powiedz ministrantowi, że mu to w niebie wynagrodzą.

– Dziękuję – odpowiedział cicho.

– Żebyś ty tak ludziom dusze leczył, jak ja lecę choroby, to byśmy mieli w Okartowie ogrody rajskie, co to je obiecujesz z ambony – skłamałam, bo jak znam człowieka, to raczej straszył wiernych piekłem, a o raju zapewne sam niewiele słyszał.

W sumie nie żywiłam do niego urazy. Był, jaki był, ukształtowany w jedyny dostępny dla niego sposób. Wsiowy spryciarz, analfabeta; swój autorytet opierał na Biblii, z której nie przeczytał nawet fragmentu. Przytulony przez księdza proboszcza z Kociołka obserwował pryncypała, a z tamtego niezły był kawał skurwysyna. Przynajmniej tak ludzie mówili. Słyszałam jedno kazanie naszego wielebnego, gdy stara Jurkowa, już nieżyjąca, zaprosiła mnie, a właściwie zmusiła do wzięcia udziału w ślubie jej córki. To się wtedy ksiądz popisał, nie powiem.

Nie chodzisz na msze? Piekło. Nie dajesz na ofiarę? Piekło. Cudzołożysz? Piekło. Śpisz do późna? Piekło.

A nie było to piekło nawet dantejskie! Musiałam przyznać, że miał fantazję, a opis tego dziwaczного miejsca był dziełem jego życia. Otóż piekło jest pełne diabłów stosujących wymyślne kary cielesne, a przy tym pożyteczne, jak oranie pola pazurami aż skóra schodzi z palców czy łowienie węgorzy wchodzących w zanurzoną w wodzie dupę i wyżerających flaki. Niektóre męki mocno zahaczały o dziedzinę Freuda, na przykład cały katalog dziwnych zabiegów, które można przeprowadzić na penisach.

Wielebny żył, jak mógł w takich warunkach, i pod tym względem wiele się ode mnie nie różnił. Nawet go trochę z tego powodu lubiłam. Zbudował swój autorytet, opierając się na pracy i talentach. Tak jak sołtys. No i jak ja.

Ciekawy trójkąt między panem, wójtem i plebanem – pomyślałam z satysfakcją, bo dla mnie został tylko pan.

Siedziałam przy nim przez chwilę, po czym, znudzona, sięgnęłam po książkę. Światło było nędzne, ale *Życie na Missisipi* znałam na pamięć. Podważyłam zakładkę z zasuszonej konwalii i książka otworzyła się na opisie oznakowania szlaku wodnego.

– Co tam masz? – spytał ksiądz, obserwując wykonywane przeze mnie czynności.

– To? To są wspomnienia pisarza, który umarł sto lat przed wojną. Żył na drugim końcu świata.

– Ale ziemia jest okrągła.

– Jest – potwierdziłam. – Po drugiej stronie kuli. Poczytać ci?

Skinął przyzwalająco. Chwilę szukałam fragmentu, który będzie dla niego zrozumiały.

– *Czasami na wielkiej rzece, gdy ostrożnie, po omacku staraliśmy się wyczuć drogę we mgle, głęboką ciszę przerwało nagle wycie i brzęk cynowych patelni i w jednej chwili wśród pajęczych welonów tuż przy nas ukazywała się zbita z kłód tratwa. Wtedy nie czekaliśmy już na walkę na noże, lecz targaliśmy dzwony do maszyn co sił i pełną parą usuwaliśmy się z drogi! Nikt bezkarnie nie wali parowcem na skałę ani w potężną z tratwę z kłód...*¹

– Co to jest parowiec? – przerwał mi czytanie.

– Ogromna łódź. Człowiek, który to napisał, był pilotem parowca na bagnistej rzece. Pokazywał, jak omijać mielizny i kamienie, żeby podróżni bezpiecznie dotarli do portu. To są jego wspomnienia.

– I to wszystko jest tam napisane?

– Tak jak przeczytałam. Co do słowa – odpowiedziałam.

– A Biblia też jest taka?

Wyciągnęłam z kieszeni kurtki Biblię w miękkiej oprawie ze skaju, zapinanej na suwak. Miała być moją tajną bronią w starciu z księdzem i chyba faktycznie się nią stała.

– *Albowiem Królestwo Niebios podobne jest do pewnego gospodarza, który wyszedł wczesnym rankiem najmować robotników do swej winnicy. Ugodziwszy się z robotnikami na jednego denara dziennie, wysłał ich do swojej winnicy. I wyszedłszy około godziny trzeciej ujrzał innych, stojących na rynku bezczyinnie, Więc rzekł do nich: Idźcie i wy do winnicy, a ja, co się należy, wam zapłacę, I oni poszli. Znowu o szóstej i o dziewiątej godzinie*

wyszedł i uczynił tak samo. A wyszedłszy około jedenastej znalazł jeszcze innych stojących i mówił do nich: Dlaczego tutaj beczynnienie przez cały dzień stoicie? Oni na to: Nikt nas nie najął. Mówi do nich: Idźcie i wy do winnicy. A gdy nastał wieczór, mówi pan winnicy do rządcy swego: Zwołaj robotników i daj im zapłatę, a zacznij od ostatnich aż do pierwszych. Podeszli tedy najęci o godzinie jedenastej i otrzymali po denarze. A gdy podeszli pierwsi, sądzili, że wezmą więcej. Lecz i oni otrzymali po denarze. Wziąwszy tyle szemrali przeciwko gospodarzowi, Mówiąc: Ci ostatni jedną tylko godzinę pracowali, a zrównałeś ich z nami, cośmy znosili ciężar dnia i upał. A on odrzekł jednemu z nich: Przyjacielu, nie czynię ci krzywdy. Czy nie ugodziłeś się ze mną na denara? Bierz, co twoje, i idź! Chcę bowiem temu ostatniemu dać, jak i tobie. Czy nie wolno mi czynić z tym, co moje, jak chcę? Albo czy oko twoje jest zawistne dlatego, iż ja jestem dobry? Tak będą ostatni pierwszymi, a pierwsi ostatnimi².

Wielebny słuchał z uwagą, ciężko oddychając.

– Co to było? – spytał po chwili kłopotliwego milczenia. Jego twarz wyrażała prawdziwy kalejdoskop uczuć, od zainteresowania i skupienia przez zaniepokojenie aż do zwątpienia.

– To była przypowieść – powiedziałam. – Za pomocą takich historyjek Jezus przekazywał zasady, według których trzeba żyć. W sumie niegłupie te zasady. Mnie służą... w większości – dodałam po chwili.

– I tam jest ich więcej?

– Przeczytałam niecałe pół strony. Tutaj stron jest kilkaset. – Pokazałam mu cienki arkusz papieru, a następnie przekartkowałam całość.

Księżulo wyglądał na zgaszonego, ale w jego spojrzeniu było jeszcze coś, czego nie potrafiłam odczytać. Przez chwilę się wahałam, po czym przeszłam do ataku.

– Ojczy wielbny! – Zaczęłam od oficjalnego tytułu, a przynajmniej od takiego, którego wymagał. – Wioska jest pod naszą opieką. I nie tylko ta wioska, bo przecież ja lecę przyjezdnych, a twoja parafia zbiera wiernych od Pustkowie po Jańsborg, bo podobno burgmajster zlikwidował w nim miejską farę. Ja lecę ciało, a ty duszę. Nie musimy się kłócić, bo te nasze kłótnie są śmieszne. Ty masz swoją wiarę, ja mam swoją wiedzę. Nigdy nie dojdziemy do porozumienia. Tobie płacą za nadzieję na zbawienie, a mnie za nadzieję na wyzdrowienie. Zarabiamy, bo przecież musimy coś jeść. Nie będziemy się z dzikami uganiać po kartofliskach, prawda? Ja z pewnością nie będę, bo za stara na to jestem – zażartowałam. – Umówmy się, że nie

wchodzimy sobie w drogę. Ja długo już nie pożyję, ale po mojej śmierci daj spokój Staszkowemu chłopakowi. Jeżeli wioska zostanie bez wiedzącego, to wkrótce nie będziesz miał zbyt wielu owieczek, które mógłbyś strzyc. Na odrę całowanie pięćsetnej relikwii żebra Adama nie pomoże. Zresztą to żebro w kościele to chyba świńskie jest. Spytaj kiedyś rzeźnika. Wprawdzie nie widziałam, ale są takie plotki. Nie musimy się kochać, ale nie przeszkadzajmy sobie wzajemnie. *Pax inter christianos* – dodałam, zanim ugryzłam się w język.

Łagodniejące rysy księdza nagle stężały.

– To znaczy pokój między chrześcijanami – wyjaśniłam, ale chyba tylko pogorszyłam sytuację. Mimo to brnęłam dalej. – To było po łacinie. Taki starożytny język, którym posługiwali się księża i medycy. No i większość leków w moim szpitalu wynaleźli księża. Samo słowo szpital pochodzi od łacińskiego *hospitium* – paplałam jak głupia. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że zaprzepąściłam szansę na zyskanie sprzymierzeńca. Nikt nie lubi wychodzić na głupka i nieuka, nawet jeżeli nim jest.

Ksiądz uśmiechnął się niewyraźnie.

– Dobrze, córko. Dziękuję ci za chrześcijańską pomoc, za uratowanie życia. Będę cię błogosławił i modlił się za twoją duszę.

No tak. Kutwa nie zamierzał płacić za leczenie. Bóg mi zapłać, bo jego usługi nie mają drobnych! Ale skoro już przybrałam maskę dobrej samarytanki, troskliwej Marii Magdaleny, to trzeba było odgrywać szopkę do końca.

– Masz pewnie kogoś, kto się będzie tobą zajmował, ojciec wielebny? – zapytałam.

– Jest gospodyni we wsi.

Gospodyni? Pewnie moja pacjentka za kilka miesięcy.

– Przed twoim wyjazdem przekażę jej wskazówki dotyczące diety i leczenia. Oraz leki. A na razie śpij.

Dyskusja była skończona. Przynajmniej na pół roku, a z pewnością do jego prawdziwego zawału. Przegrałam jak Jagiełło pokój toruński. A mogłam tyle zyskać!

Położyłam księdzu dłoń na czole. Nadal gorączkował, ale temperatura wyraźnie spadła. Skóra też miała lepszą barwę. Jeszcze raz zmierzyłam mu ciśnienie i bez słowa wyszłam.

2 Mt 20, 1–16, *Biblia to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1987.

5.

To stara historia, a z czasem historie rosną, dlatego ta też tak urosła i teraz pełna jest bredni. Głupia Koślawej nie była odporna na ogień i wcale nie była z piekła rodem, i koniki tak samo. Ludzie opowiadają bzdury zamiast po prostu przyjść i zapytać.

Zima na wsi, a tym bardziej na odciętej od świata kolonii, jest okresem lenistwa, spokoju, nudy i przejadania zapasów, których nie można uzupełnić, a przynajmniej nie w moim wieku i nie przy mojej kondycji. Śmiertelnej nudy zabijanej sporządzaniem leków ze zbieranych przez całe lato ziół lub książkami, których przeczytanie obiecywałam sobie od lat. W zimę mieszkańcy Okartowa zbierali się przy ogniu i śpiewali nieśmiertelne *Sokoły* czy *Białego misia*. Swatali nieobecnych młodych lub droczyli się z obecnymi, planowali remonty, opowiadali znane wszystkim anegdoty i dowcipy z długą brodą, grali w karty i w kulki.

Po jesiennym targu jeszcze przez cztery tygodnie było ciepło, a potem w ciągu jednej nocy zima ukazała całą swą siłę. Najpierw przez trzy dni sypał śnieg, i jak gdyby było go za mało, porywisty wiatr przesuwał białe wydmy w stronę gospodarstwa, spiętrzał na ścianie stodoły i obórki, zasypywał małe pastwisko do wysokości dachu. Poluzowane deski brzęczały na wietrze, szkwały gwizdały w szczelinach ram okiennych. Po trzech dniach śnieżycą ustała, za to ścisnął mróz. Niebo nadal było zasnuwane chmurami, dlatego spodziewałam się dalszego ochłodzenia.

Na szczęście towary kupione za nalewki i wyciągi dotarły przed załamaniem pogody. Wędzone, suszone, solone i wekowane mięsiwa i ryby, skrzynki jabłek, warzyw, woreczki kasz i soczewicy oraz rozmaite inne przetwory wylądowały w spiżarni i piwnicy; do tej drugiej trafił też węgiel drzewny. Uszczelniony pakułami dom pachniał wędlinami i ziołami. Większy niż zazwyczaj ogień trzaskał na kominku i w kociołku stojącym w klasie.

Michał na śnieg nie narzekał. Codziennie rano z wysiłkiem otwierał drzwi kurnika, wyciągał łopatę na długim trzonku i pracowicie kopał ścieżki. Mimo że większość jedzenia dla zwierząt trzymaliśmy w dziurawej

stodole, to zboża, kukurydzę i kilka snopków siana jeszcze przed śnieżycą zaniósł na piętro obórki, dlatego nawet nie pytałam, czy konie i koza jadły.

Zwierzętom biały puch nigdy nie przeszkadzał. Któregoś dnia chłopak odkopał bramę na pastwisko i otworzył ją na oścież. Konie wyszły powoli, badając dziwną powierzchnię, ale po chwili ryły pod śniegiem w poszukiwaniu korzonków i kłaczy, gonione genami swoich przodków. Głupia urządziła sobie gonitwę, skacząc w zasy, biegając od jednej strony ogrodzenia do drugiej. Przy tym zawracała za późno, obijała się bokiem o ogrodzenie aż trzeszczało, a w powietrzu wirowały płatki śniegu. Czekałam, aż zacznie tarzać się jak młody psiak. Próbowала nawet zaatakować głową konie, ale chyba jednak nie była aż tak głupia?

Michał bawił się ze zwierzętami z prawdziwą przyjemnością. Gdy zobaczył, że Thelma i Louise szukają w śniegu jedzenia, wrócił do obórki i wyszedł, trzymając za plecami kilka kawałków marchwi i rzepy, które ukradkiem wrzucił w śnieg, żeby koniki miały niespodziankę. Koza biegała w tę i w tę, poszturchując chłopaka pieszczotliwie, próbowała mu wskoczyć na plecy, kiedy tylko się schylał, i w ogóle na wszelkie sposoby starała się wciągnąć go do zabawy.

Miło było na nich popatrzeć, ale rzadko ich obserwowałam.

Czułam się gorzej. Może jeszcze nie źle, ale gorzej. Dlatego siadałam z książką przy kominku i z trudem przewracając zgrabiałymi palcami strony, nadrabiałam zaległości z lat spędzonych w leśnych wykrotach, w piwnicach, bagażnikach samochodów. Czytałam z zapartym tchem wspomnienia i relacje uczestników drugiej wojny – żołnierzy, szpiegów, cywilów. Dotychczas unikałam takiej literatury, nie licząc notatek pozostawionych przez księdza Marka. W końcu sama przeżyłam wojnę, która była jeszcze bardziej nieludzka, niszcząca. Ale teraz autorzy tych opowieści wydawali mi się bliscy. Ich doświadczenia były w jakiś sposób podobne do moich. Rozumiałam ich. Rozumiałam ich motywacje i działania, a nawet mogłam ich usprawiedliwić, gdy w zawołany sposób przepaszali za straszne czyny, których się dopuścili.

Czasami żałowałam, że nie został nikt, z kim mogłabym powspominać tamte dzieje. Nie było żadnej drużyny, żadnego braterstwa broni, nie było współbohaterów, weteranów. Nie było nikogo, z kim by można podzielić się wspomnieniami, bo zanim nauczyłam się na nowo rozmawiać z ludźmi, mało kto rozumiał, co chciałam przekazać; zanim spotkałam innych ludzi, ostatnia znana mi weteranka już nie żyła. Czytając przez lata różne historie

o wielkich i małych wyprawach, o bohaterach i przygodach, wkurzałam się na te opowieści i na wymyślających je autorów. Okłamali mnie. Okłamali, gdy opisywali starych wojowników, którzy przed młodymi chwalili się zdobyciem zamku, udanym napadem na pociąg, ukrywaniem się przez tydzień o pasku wędzonego boczku i puszcze deszczówki. Zapewne tacy bohaterowie istnieli, bo przecież nadal obowiązuje prawo wielkich liczb, ale ja nigdy żadnego z nich nie spotkałam. Jedyna bohaterka, którą znałam, nie chwaliła się. Zamiast tego budziła się z krzykiem w środku nocy i potem zasypiała ponownie dopiero przed świtem, wtulona w moje włosy. Ci prawdziwi bohaterowie zginęli, często bardzo głupio i bezsensownie. Czasami dopiero wtedy, gdy umierać już wcale nie było trzeba. Za późno na bohaterską śmierć, za wcześnie na sławę. A pozostali przy życiu najczęściej milczeli. Ja też milczałam, choć wcale nie uważałam się za bohaterkę.

Chciałabym kiedyś wziąć udział w takiej rozmowie, jakiej w wieku dwudziestu kilku lat wysłuchałam na pogrzebie dziadka mojego kolegi z roku. Na warszawskim cmentarzu przy ulicy Młynarskiej zebrali się powstańcy warszawscy, towarzysze broni i przyjaciele zmarłego. Mówili: „A w tej kwaterze były granaty, a tam trzymaliśmy amunicję do visa. Tam jeszcze była benzyna”.

Nie rozumiałam, bo nie mogłam wówczas zrozumieć tej rozmowy, jej klimatu, ale pragnęłam kiedyś znaleźć się w tak zażyłej grupie, która tak emocjonalnie by podchodziła do inwentaryzacji ukrytych w grobach magazynów sprzed półwiecza. No i poza krótkim okresem nie znalazłam takiego towarzystwa. Pewnie tym się różni wojna od pospolitego ludobójstwa. Bo ostatnia wojna była ludobójstwem, niczym więcej. Bomba wystrzelona z Bliskiego Wschodu lub z Syberii – kto to wie? – dwa miliony ofiar. Bezzałogowe drony krążące między budynkami – populacja minus sześćdziesiąt procent. Wtórne epidemie wskutek gwałtownego pogorszenia warunków sanitarnych – co drugi z pozostałych przy życiu do piachu. Nie ma wojny, jeśli nie ma wroga.

Aśka też odeszła za wcześnie. Było tyle pracy, a wspomnienia zbyt świeże. Wielokrotnie siedząc samotnie przed trzaskającym na kominku ogniem, żałowałam, że ciebie przy mnie nie ma, Asiu. Że nie siedzisz teraz obok pomarszczona tak jak ja, nie czyścisz broni lub nie dłubiesz w jakimś transformatorze. Miałaś nieprawdopodobnie podzielną uwagę, nie to, co ja. Często zadawałam ci pytania, zachęcając do snucia opowieści weteranek o strasznej wojnie, którą jednak jakoś obie przeżyłyśmy. Nigdy nie

otrzymałam żadnej odpowiedzi, dlatego też nigdy nie opowiedziałam naszej historii.

Teraz, na ostatniej prostej, szukałam tych towarzyszy na papierze. Oni od dawna już nie żyli, ale ja wciąż mogłam z nimi rozmawiać. Już wiedziałam, o co spytać i co wspominać.

Zima na wsi zazwyczaj jest okresem lenistwa i starczych wspomnień, refleksji. Ale nie w tym roku. W tym roku patrzyłam w przyszłość.

Michaś okazał się pojętny i miał zapał, który nie minął mu pomimo tych wszystkich godzin spędzonych najpierw na nauce alfabetu, a potem na czytaniu coraz dłuższych i coraz bardziej skomplikowanych tekstów. Te postępy trochę mnie onieśmielały, bo sama, uważając się przecież za niegłupią, uczyłam się znacznie wolniej i z mniejszym entuzjazmem, a w przypadku łaciny w ogóle wolno i bez zbytej euforii.

Przed południem miał niewiele do roboty, więc czasami bawił się ze zwierzętami, a kiedy indziej siadał obok mnie z cienką broszurką i sylabizował. Cierpliwie, metodycznie. Każde słowo, które przeczytał, zacinając się, powtarzał potem płynnie. I kolejne, i kolejne, aż do kropki. Następnie łączył całość w zdanie. Po dwóch dniach wygoniłam go z tym gdakaniem do klasy. W kuchni było za ciemno na czytanie, a poza tym strasznie mi przeszkadzał. Lubiłam go, ale nie zamierzałam znosić jego ciągłej obecności.

Przed obiadem szedł się przebrać, rozkładał znoszone ubrania na śniegu lub, jeżeli nie było mrozu, wrzucał do balii. Zabierał swój segregator z wpiętymi, przedziurawionymi gwoździem kartkami papieru oraz ołówki. Tak wyposażony przychodził do domu, szedł do klasy, gdzie zostawiał wszystko na stoliku, i dopiero wtedy wracał do kuchni pomóc mi przygotować posiłek. Ostatnio raczej sam robił obiady, bo poruszałam się z coraz większym trudem. Czy to wina zimy? Może jakaś infekcja? Próbowałam znaleźć przyczynę. Jedyne, co udało mi się ustalić, to to, że mam objawy jaskry. Dobrze, że tak późno, i dobrze, że nie zaćma. Jaskrę skutecznie zwalczałam mocno rozcieńczonym wyciągiem z bielunia. Działał silnie, dlatego aplikowałam go sobie tylko na potrzeby lekcji. Czulałam, że jest gorzej z każdym dniem. Poprosiłam Michasia, żeby pomógł mi w urządzeniu sypialni na parterze. Wspinanie się po ciemnych schodach było męczące i niebezpieczne. No cóż, ludzie po prostu w pewnym momencie gasną, prawda?

Ale było jeszcze tyle do zrobienia.

Po trwającej tydzień odwilży przyjechali do mnie rodzice Michasia z sołtysem i parobkami. Przywieźli dwa wozy jedzenia dla zwierząt i dla nas, poza tym jakieś garnki, ubrania i walizkę książek. Książki zapewne zbierali, przyjmując je w rozliczeniu za bimber. Sam bimber też przywieźli. Później układaliśmy i pakowaliśmy te zapasy do wieczora, czyli niedługo, bo listopadowe dni były coraz krótsze, a ciężkie chmury jeszcze przyspieszały nadejście zmroku.

Po opróżnieniu wozu parobkowie pojechali do lasu po drewno. Przyznam, że Staszek bimbrownik, choć podobno skąpy, wywiązywał się z umowy. Zasłużył na oprowadzenie po gospodarstwie. Na zimę wstawiłam chłopcu piecyk-kozę do kurnika, a raczej nie do kurnika, a do obórki, którą z kurnikiem łączyły zazwyczaj zamknięte drzwi. Chłopak jeszcze wczesną jesienią wyłamał je łomem, za co zebrał burę, ale teraz rozwiązało mi to problem chłodu w zbyt dużym na trzy zwierzęta pomieszczeniu. Poza tym zrozumiałam, czemu nosił tyle siana na poddasze obórki. Łatał nim dziury między deskami. Sprytny i pomysłowy.

Potem pokazałam Staszкови klasę, która niespecjalnie się zmieniła od czasu jego pierwszej wizyty, poza tym, że teraz wyglądała na używaną. Następnie wpuściłam go tam, gdzie dotąd nie miał wstępu nikt poza mną i Michasiem. Do pracowni.

W tym niewielkim pokoju z zasłoniętymi szczelnie oknami królował Staszkowy destylator, ustawiony na stole pośrodku pomieszczenia. Dwie ściany wypełniały wysokie prawie do sufitu regały wypełnione zielnikami, farmakopeami, książkami medycznymi, chemicznymi i zawierającymi moje notatki. Pod pozostałymi ścianami stały biurka, nad którymi wisiały półki ze słoikami, butlami, dwiema znalezionymi kiedyś szklanymi kolbami i z niezliczoną ilością fiolek, buteleczek i różnych przyrządów, których nigdy nie używałam, ale nie miałam serca ich wyrzucać. To byłoby dla mnie jak wyrzucenie zderzacza hadronów.

– I co, już umiesz leczyć? – spytał chłopaka sołtys, gdy ponownie wyszliśmy na zewnątrz.

– Jeszcze nie i długo nie będzie umiał – wtrąciłam się. – Gdyby to było takie łatwe, to nawet taki głupi cap jak okartowski sołtys by się nauczył.

Ojciec Michasia wybuchnął śmiechem, ale po chwili zamilkł, widząc spojrzenie sołtysa. No, przynajmniej jego miałam z głowy, bo obrażony stanął przy stodole i wyciągnął flaszkę. Byłam przekonana, że jeżeli wizyta

się przeciągnie, to przed wyjazdem nieprzytomnego sołtysa znajdą gdzieś pod płótem.

Matka najpierw ochrzaniła chłopca, że schudł, a potem pochwaliła, że zmeźniał. Zasypała go gradem pytań, uwag, porad i pochwał, sprawiając, że zaczerwienił się po uszy. No cóż, pomyślałam, pewne sprawy nigdy nie ulegną zmianie i matki nadal będą przy ludziach wycierać chusteczkami brud z twarzy pociech, choćby werbalnie.

Postanowiłam skrócić męki chłopaka.

– Wiesz, Staszku, że syn się nadaje. Inaczej bym go odesłała jeszcze przed targiem – powiedziałam cicho, gdy odeszliśmy trochę na stronę. – Ale mogę nie zdążyć. Słaba ostatnio jestem. Źle widzę i nie mogę dźwigać ciężkich rzeczy. To nie tak, że nie mogę uczyć – zapewniłam, gdy mężczyzna zbierał się do dyktowania mi porad. – Chłopak musi robić więcej samodzielnie, więc szybciej się nauczy. Suszy, miesza, destyluje, koncentruje właściwie samodzielnie. Na razie uczę go rzeczy praktycznych, żeby mógł mnie zastąpić. Ale najważniejsze, aby nie zaniedbał nauki i ćwiczenia czytania, gdy zostanie sam, rozumiesz?

Wiedziałam, że rozumie, co potwierdził skinieniem głowy. Znowu chciał się wtrącić, ale mu nie dałam.

– To gospodarstwo należy do wioskowej lekarki. Do Wiedzącej. Ale równie dobrze może to być dom Wiedzącego.

Znowu przytaknęła.

– Rozumiem, Starsza. Ale przyjechałem nie tylko z zapasami. Wielebny co niedziela rzuca na ciebie gromy. Nie wiem, co mu takiego zrobiłaś, ale po ostatnim targu strasznie się zapiekł. Zaszkozi ci.

Zaskoczył mnie. Nie Staszek, ale ksiądz. Wiedziałam, że mnie nie polubi, ale nie spodziewałam się, że będzie próbował rozpętać krucjatę.

– Na razie się tym nie przejmuj. Może do wiosny mu przejdzie – uspokoiliam go.

– Nie przejmuję się, Starsza. Przywiozłem tyle zapasów, że do marcowych roztopów wystarczy.

Przy moim apetycie wystarczyłoby ich do maja. Doceniłam szczerłość i nie obawiałam się księdza. Oczywiście, teraz nie mogłam się sprawą zająć, ale też nie chciałam jej zostawić i biernie czekać, aż osiągnie masę krytyczną i w pewnym momencie wybuchnie. Ze względu na chłopaka. Michał nie byłby w stanie się obronić przed starym cynikiem bez skrupułów. Może kiedyś, gdy dostanie trochę po dupie od życia i

zmądrzeje. Musiałam poczekać do wiosny. Wkurzyłam się tylko, że traciłam przewagę. Książd psuł mi opinię, a ja niewiele mogłam zrobić, uwięziona nad Kałużą, odcięta od świata przez śnieg, błoto i wiek. Żeby jeszcze chociaż przyjeżdżali jacyś pacjenci, od których mogłabym zbierać informacje i dyktować wiadomości do rozpuszczenia ich po wsi. Ale teraz nie. Największe obroty miałam wczesną wiosną, gdy wyposzczeni, wymęczeni mieszkańcy osady wychodzili z domów i zarażali się od siebie wzajemnie. Jesienią objadali się świeżymi owocami i warzywami. Zimą, przy silnym mrozie, gdy wioskę przykrywały zasy śniegu nawiewanego z pól i zamarzniętych jezior, pompowali organizmy witaminą C z kiszonej kapusty, ogórków i cebuli. Dopiero na przednówku, gdy zapasy były na wyczerpaniu, grypa, zapalenie płuc i katar rozkładały okartowskich, a mnie napędzały pacjentów. Pojawiały się też urazy. A to ktoś się poślizgnął w błocie i złamał rękę, a to ktoś inny pokaleczył się w trakcie wiosennych porządków i tak dalej.

Gdy rodzice Michasia z sołtysem leżącym na pace odjechali, zabraliśmy się za przetrząsanie zawartości walizki. Po kolei dawałam chłopakowi tytuły do przeczytania. Szło mu sprawnie. *Przynęty wędkarskie*, *Powrót do Wenecji*, *SQL Server 2005 krok po kroku*, *Równania różniczkowe*, *Autostopem przez Chorwację* i *Kuchnia toskańska* lądowały na podłodze. Niektóre pozycje podnosiłam ze stosu i przeglądałam pobieżnie, po czym odkładałam je na miejsce.

– Są twoje – oświadczyłam, gdy ostatni tom zajął miejsce na szczycie niższego z dwóch stosów. – Będiesz na nich ćwiczył czytanie. Zaczynaj od tej – wskazałam romansidło z wymiętą okładką. – Dziś już nie będzie lekcji.

Przez chwilę patrzył na mnie, jakby obawiając się, że zmienię zdanie, ale szybko spakował książki i zaniósł je do swojej sypialni w kurniku. Po chwili pobiegł do stodoły, skąd wyciągnął kilka długich desek. Ułożył je na dwóch kozłach, o których istnieniu zapomniałam, i po wymierzeniu nylonowym sznurkiem przypiłował do pożądanego długości. Zasapał się i zgrzał. Nie wnikałam w cel tych zabiegów. Robił coś świadomie, czyli pewnie miało to sens.

Nie przyszedł na kolację, więc i ja nie zjadłam za dużo, tylko miseczkę zupy rybnej z obiadu.

Tej nocy długo nie mogłam zasnąć. Wbrew rozsądkowi męczyła mnie sprawa z księdzem. Bezmyślnie dopieklam mu, chwając się swoją

przewagą nad nim. Popisałam się jak głupi podłotek i zostawiłam sobie za plecami wroga, na którego nie miałam żadnego wpływu. W przypiływie podłej złośliwości żałowałam, że nie pozwoliłam mu wtedy zdechnąć. Że nie podałam mu złego leku, który by nasilił objawy. Teraz bym miała spokój. Prawdopodobnie przy pomocy sołtysa udałoby mi się zażegnać konflikt, zapobiec linczowi, bo to wcale nie było tak, że okartowscy księżdz jakoś szczególnie lubili. Szanowali go, a raczej bali się, to prawda, ale w zasadzie niczego mu nie zawdzięczali. Był tam. Wredna antena do rozmów z Bogiem, której potrzebowali, ale którą chętnie zamieniliby na inny model.

A może to nie była wina księdza? Może bezsenność była winą wytrzępanego i obróconego na drugą stronę materaca i przewietrzanej pościeli? Może organizm tęsknił za roztocznymi?

Gdy wstałam przed świtem, obudzona artretycznym bólem, włączyłam światło lampy naftowej wciąż migotało w oknie kurnika. Niebo zasnuwane grubą warstwą szybko biegnących chmur szarzało i jaśniało na horyzoncie. Postanowiłam nie budzić ucznia przed obiadem. Podobnie jak nazajutrz i w kolejne dni.

Z domu wygonił mnie kwik koni. Już przed otwarciem drzwi na podwórzu czułam zapach dymu. Nie tracąc czasu, szybko weszłam do kuchni po wiadro, w którym stała przegotowana poprzedniego dnia woda, i wybiegłam zasapana.

Na poddaszu obórki z okien w szczytowych ścianach i z dziur w dachu uderzały płomienie. Powietrze wokół nich drżało, zniekształcając horyzont. Zasypany śniegu spiętrzane codziennie rano przez Michasia topniały, a strużki wody płynęły wzdłuż grząskiej ścieżki. Trzeszczały deski, co chwila z łomotem waliły się belki krokwi lub podpór. Na szczęście na dolnym poziomie nawet szyby w oknach były całe, istniała więc szansa, że zdążę uratować chłopca i zwierzęta.

Najpierw podeszłam do kurnika. Wodą z wiadra oblałam drzwi i owinąwszy dłoń szalikiem, nacisnęłam klamkę. Była chłodna. Kiedy je otworzyłam, uderzyła we mnie fala gorącego powietrza i dymu. Z oczu popłynęły mi łzy, kaszlnęłam kilka razy, nabrawszy do płuc gorzkiego powietrza. Kurnik wyglądał tak, jak go zapamiętałam, nie licząc zastawionych książkami półek zamocowanych na starych grzędach. Więc po to były mu potrzebne deski. Po suficie biegały poziomo drobne fale

plamieni, zmarszczone jak powierzchnia wody na jeziorze ledwo tylko muśnięta bryzą.

Michasia nie było. Ponownie obrzuciłam wzrokiem pomieszczenie. Siennik, na który sypały się rozżarzone źdźbła słomy i kawałki drewna, zamknięta walizka, w której trzymał przybory szkolne, rozrzucone notatki. Nie miał gdzie się ukryć, może uciekł? Miałam nadzieję, że uciekł, chociaż wydawało mi się to mało prawdopodobne. Był mocno przywiązany do swoich sąsiadów zza ściany, ale przecież jego reakcję na stres mogłam poznać, dopiero gdy wydarzy się coś, co ją wywoła.

Zakryłam usta szalikiem, poprawiłam okulary i weszłam do drugiego pomieszczenia. Tutaj było gorzej. W odległym rogu leżał stos płonących desek i belek, nad nimi ziała dziura w suficie, skąd spadały kolejne żarzące się drobiazgi, a płomienie coraz agresywniej wdzierały się w rozrzuconą na klepisku słomę.

Zwierzęta stały pod ścianą dzielącą obórkę i kurnik, gdzie plamieni było najmniej. Zdenerwowane konie dreptały w przód i w tył, starając się jednocześnie nie tracić kontaktu ze względnie chłodną ścianą. Thelma miała poparzony grzbiet i przypaloną grzywę, ale to Louise wyglądała na bardziej przestraszona. Najgłośniej wydzierała się Głupia. Meczwała przeciągle, co chwila starała się wskoczyć jednej lub drugiej klaczy na grzbiet, potem chowała się pod ich brzuchami. Spomiędzy szczelin w stropie opadały drobiny popiołu. W niektórych rozpoznałam spalony papier.

Wróciłam do kurnika po wiadro i podeszłam do wrót. Podobnie jak poprzednio oblałam drzwi i napałam z całej siły na zardzewiały skobel. Ani drgnął. Spróbowałam ponownie. Tym razem chwyciłam oburącz i ciągnęłam, zapierając się piętami. Najwyraźniej wnikająca w szczeliny woda nasmarowała mechanizm, bo tym razem odskoczył bez oporu. Pchnęłam drzwi tak mocno, jak tylko potrafiłam. Odchyliły się trochę u góry, ale zaraz odbiły. Czyżby śnieg? Odeszłam i z rozpędu uderzyłam barkiem. Też bezskutecznie. Mogłam się tak z nimi mocować nawet godzinę. Zostało mi wyprowadzić zwierzęta przez kurnik. Podeszłam do Głupiej i chwyciłam ją za uszy. Meczwała i stawiała się, w końcu rzuciła głową i wróciła pod brzuch Louise. Czyli ta opcja też odpadała, bo skoro nie poradziłam sobie z kozą, to co dopiero z przerażonymi końmi, do których teraz po prostu strach było podchodzić. Wybiegłam przed budynek i zaczerpnęłam do wiadra śniegu z pokrytej popiołem zaspy. Mogłam tylko

schłodzić zwierzęta. Przez głowę przemknęła mi myśl, że może należałoby je od razu zabić, żeby nie spaliły się żywcem? Czułam narastającą panikę.

– Ja tylko poszedłem się wykapać! – łkał Michał, biegnąc. Był zziębnięty. Na podwórzu zwolnił, rzucił ręcznik i chwycił się oburącz za głowę. Z trudem łapał oddech.

– Czemu nie mogę otworzyć bramy? – spytałam, cały czas na kolanach zgarniając śnieg.

– Bo wczoraj zamknąłem od zewnątrz. Tam są takie bolce...

– To biegnij otworzyć! – wrzasnęłam.

Ruszył natychmiast, ale po chwili wrócił, rozejrzał się po podwórzu, chyba w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby odłożyć ręcznik. Potrząsnął głową, starając się opanować, i rzucił go pod nogi.

Podniosłam wiadro ze śniegiem i wróciłam do budynku. W obórce płonęła prawie połowa siana na ziemi i cały dach. Czekałam tylko, aż składzik na piętrze z łomotem zwali się nam na głowy. Stałam obok bramy, przy której chłopak chyba już majstrował – trzęsa się i łomotała. Wysypałam śnieg na płonącą słomę. Po chwili wrota lekko się uchyliły. Naparłam na nie, żeby pomóc Michasiowi. Gdy tylko do środka wpadło mroźne powietrze, zwierzęta wystrzeliły na pastwisko. Wysłałam za nimi, a Michał wskoczył do środka i przebiegł do swojej sypialni. Nie chciałam już wracać do budynku, odsunęłam się kilka kroków, nerwowo wypatrując chłopaka. Po chwili całe poddasze runęło, zmieniając wnętrze obórki w rozżarzony piec. W głowie miałam sieczkę.

Wzrokiem przebijałam się przez płomienie i kaskady iskier. Niczego nie dostrzegłam.

– Tu jestem. – Usłyszałam w końcu.

Wyszedł zza węgła, uginając się pod ciężarem niesionej walizki. A to głupek, pomyślałam z dumą.

6.

W spalonej kolonii Koślawej była piwnica, w której czarownica przesiadywała całymi dniami, i dopiero wieczorem wychodziła zrywać zioła. Pewnego dnia dzieciaki, które kręciły się po okolicy i podglądały gospodarstwo, zeszły do tej piwnicy i znalazły tam czarną kozę przywiązaną do słupa. Ponieważ nie było tam nic ciekawego, to wzięły zwierzę, które nie miało jak uciec, i powiesiły za ogon. Ale tej nocy Kośława wróciła wcześniej. Stała na schodach i zamknęła za sobą drzwi, przez co zrobiło się całkiem ciemno. Wzięła miotłę i dawała okładać intruzów i ciągać ich za uszy. A jak kogoś pociągła, to się robiły długie jak u osła. A jak trafiła w grzbiet, to wyrastał garb. Jak przyłożyła w gębę, to się dzieciak zaczynał jękać lub ząb czarny mu wypadał. W końcu wypuściła psotników.

Te dzieciaki jeszcze długo żyły we wsi, ale w końcu wszystkie pomarły. Po tamtym zdarzeniu już nikt nie wchodził do kolonii bez pozwolenia.

Obórka dopalała się do południa. Przez cały czas słyhać było łomot kolejnych walących się na ziemię kawałków drewna. Wkrótce dołączyły do niego głucho brzdęki rozbijających się dachówek, aż w końcu przez szczyt gwałtownie buchnął ogień, dach rozłożył się, rozpląszczył. Jedno skrzydło wpadło do środka budynku, a drugie zsunęło się w błoto na pastwisku, strasząc zwierzęta. Zgasło z głośnym sykiem, spowite kłębamii pary. Nie oglądaliśmy pożaru, mieliśmy inne obowiązki. Najpierw postawiłam Michasia na straży przy stodole. Wiatru co prawda nie było, więc poza ciepłem, od którego parowały ciemnoszare deski, nie było innych skutków bijącego od strony obórki żaru. Nie istniało jakieś szczególne ryzyko, że pożar przeniesie się na inne budynki. Ja poszłam do domu. Z szafy wyciągnęłam zakurzony kombinezon narciarski, ze słoika ukrytego za książkami w pracowni wyjęłam zanurzony w oleju klucz do kłódki.

– Załóż to – poleciłam szczękającemu zębami chłopakowi, który od godziny biegał w samej bieliźnie, i weszłam do stodoły. Ostrożnie zbliżyłam się do wozu i odpięłam od kół ledwo widoczne cienkie druty alarmu. Spod nieużywanego od lat pojazdu wymiotłam kurz i strzępki siana. Pojawiły się deski i łańcuch spięty kłódką, również zawiniętą w nasączoną olejem szmatę i worek z grubej folii. Nie zamierzałam nigdy jej otwierać, ale gdyby zaistniała taka potrzeba, to nie chciałam się szarpać z

zardzewiałym mechanizmem. Chłopak zaglądał nieśmiało przez szpary między deskami.

– Chodź tutaj i odsuń wóz. Na tamtą stronę. – Wskazałam palcem.

Męczył się trochę, ale z moją mizerną pomocą przetoczył pojazd pod przeciwległą ścianę, tuż obok zapasów siana dla zwierząt.

– Teraz drabina, ta wysoka. Oprzyj ją o tamtą belkę. – Pokazałam miejsce dokładnie nad klapą.

Gdy walczył z ciężkim przedmiotem, ja rozglądałam się w poszukiwaniu starej żeglarskiej talii, którą kiedyś powiesiłam na jednej ze ścian. Znalazłam ją na gwoździu, ukrytą pod kożuchem pajęczyn, obok chomąta.

– Czekaj – poleciłam, bo Michaś już wchodził na drabinę. – Zawieś to na belce.

Podaliśmy mu bloczek z liną zakończoną z obu stron kauszą i karabińczykiem. Spojrzał zaskoczony, ale nacisnął palec karabińczyka i od razu zrozumiał. Kłódka, jak przewidziałam, nie stawiała oporu. Cztery końce łańcuchów przyczepiłam do talii zwisającej z belki. Kazałam chłopakowi pociągnąć za linę. Pomagałam mu trochę, a przynajmniej starałam się nie przeszkadzać. Po chwili oporu kłapa drgnęła, a następnie uniosła się nad ziemię, kręcąc się powoli.

Odebrałam linę i przywiązałam koniec do knagi przybitej do kolumny podtrzymującej strop. Zeszłam do suchego i ciemnego pomieszczenia. Na wykopanej w ziemi półce, na wysokości pierwszego drewnianego stopnia od góry, leżał zawinięty w folię zeszyt. Folia była pogryziona, sam zeszyt też, ale na szczęście tylko na brzegach. Przeglądałam kolejne strony. Był to spis przedmiotów znajdujących się w piwnicy. Mój prawdziwy majątek, oczywiście poza tym, który miałam w głowie. Na ramieniu czułam oddech zagląającego mi przez ramię ucznia. Miał interesujący dzień. Najpierw pożar, poparzone zwierzęta, cudem uratowane książki, a po chwili poszukiwanie ukrytego skarbu, który przez cały czas miał pod samym nosem. A to przecież dopiero południe! Pewnie zastanawiał się, co jeszcze przed nim ukrywam.

Oj, dużo, kochany.

Wyszłam na powierzchnię. Pod ziemią było za ciemno. Czytałam na głos kolejne komórki w tabeli.

– Namiot NS dwanaście sztuk; mundur polowy zimowy trzydzieści sztuk; mundur polowy letni trzydzieści sztuk; pakiet przeciwchemiczny sto

dwadzieścia siedem sztuk; agregat dwa konie jedna sztuka; olej napędowy pięćset litrów; benzyna trzysta litrów; latarka indukcyjna czterdzieści sztuk; aparat tlenowy Drägera siedem sztuk; syrena alarmowa „Druhna II” jedna sztuka, butla gazowa turystyczna siedem sztuk, piła spalinowa...

Doszłam do pozycji, której wolałam nie czytać. Schowałam zeszyt do kieszeni i zesłam ponownie na sam dół. Chwyciłam latarkę. Ciekawe, czy ten szmelc jeszcze po tylu latach działa.

– Zakręć – poleciłam chłopakowi, podając mu urządzenie.

Zaczął je obracać, ale najwyraźniej w ogóle nie wiedział, czego od niego żądałam.

– Nie tak. Tu masz korbę. Kręć nią – doprecyzowałam.

Wykonał polecenie. Po dwóch minutach odebrałam urządzenie i nacisnęłam przycisk włącznika. O dziwo, latarka świeciła. Słabo, bo słabo, ale Michaś na ten widok aż się zapowietrzył z emocji. Oświetliłam podłogę podziemnego magazynu. Obficie rozsypana trutka na gryzonie od dawna już nie istniała. Rozłożyła się i rozpadła. Inaczej niż truchelka gryzoni i żab, które w warunkach tu panujących świetnie się zakonserwowały. Trzaskały teraz po nadeptnięciu. Ściany podpierały drewniane stemple, za które wciśnięte były szczelnie przylegające do siebie szerokie deski tworzące ściany, izolowane jeszcze od zewnątrz folią, styropianem i papą. Podobnie skonstruowany był sufit. W całym pomieszczeniu nic poza brakiem okien w żaden sposób nie wskazywało, że znajdowałam się teraz pod ziemią. Nie dostrzegłam żadnych śladów po kałuzach na wylanym na podłodze betonie. Było wcale dużo miejsca w tym schronie, który jego budowniczym miał służyć za podziemny zamiennik domu.

Nie potrafiłam na pierwszy rzut oka, i to w tym świetle, ocenić stanu przechowywanych tu przedmiotów. Opony roweru popękały na bokach, ale alternator w aluminiowym korpusie wyglądał dobrze. Podeszłam do metalowych szafek na końcu długiej na kilkanaście metrów sali, wychodzącej daleko za stodołę, aż pod szkielet szklarni, i z pierwszej z brzegu wyjęłam kurtkę wojskową podobną do tej, którą niedawno Michaś dostał od ojca, ale ocieploną i w znacznie lepszym stanie. Po chwili zastanowienia wyciągnęłam jeszcze spodnie i zapakowane hermetycznie buty.

– To za tamtą kurtkę, co spłonęła. Kombinezon... to ubranie, co masz na sobie, też możesz zatrzymać.

Przytaknął zaskoczony.

Odwróciłam się i przeszłam w stronę namiotów. W najszerszym miejscu pod ścianą krótkiej odnogi, gdzie znajdować się miała łazienka, leżały rozłożone półokrągłe elementy szkieletów wojskowych lub harcerskich NS-ów. Skrobana paznokciem farba na „bananach” i „zapałkach” nie łuszczyła się. Kawałek dalej leżała drewniana skrzynka z kilkoma granatami i pudełka z amunicją do walthera P99. Dalej ułożone w stos małe aluminiowe kanistry. Miałam nadzieję, że w podnieceniu chłopak ich nie zauważy i nie spyta o nie. Nie chciałam kłamać.

– Weź te rury i wynieś na powierzchnię, osiem powiązanych kompletów. I te dwa brezenty. – Poklepałam stos poszyć namiotów, wzbudzając chmurę kurzu. – Potem tamten piec i komin. To ta rura pod ścianą. – Dyrygowałam.

Michał właśnie kończył wiązać wojskowe buty. Jego sfatygowane gumofilce stały obok. Wyprostował się z uśmiechem i podszedł do rusztowań, a ja wróciłam na powierzchnię.

Zwierzęta już się uspokoiły. Thelma w świetle dnia wyglądała znacznie lepiej. Pewnie dostała po grzbiecie spadającą deską, ale po sekundzie ją strąciła. Miała przypaloną sierść i grzywę, ale nie wymagała innej interwencji poza zimnym okładem, a ten przy niskiej temperaturze był zbędny. Później posmaruję ranę maścią aloesową, żeby oparzenie zagoiło się szybciej. Sprawdziwszy zwierzęta, wróciłam do domu. Musiałam w spokoju trochę pomyśleć. Ufałam chłopakowi, to pewne, ale nadal istniało ryzyko, że wieś dowie się o magazynie. Wtedy dopiero wielebny miałby używanie! Z drugiej strony Michaś nie jest głupi i lekkomyślny chyba też nie, rozmowa powinna wystarczyć. Z trzeciej strony ten pożar. Może wychodząc nad Kałużę zostawił lampę, przy której czytał, i całą obórkę trafił szlag. Nie wykluczałam, że gdy adrenalina opadnie, postawię mu ultimatum: jeszcze jeden taki numer i wynocha! Na razie tak łagodnie, bo zwierzęta na szczęście nieszczęśliwie ucierpiały. Teraz ważniejsze było przygotowanie takich warunków, żeby konie, koza i sam Michaś przetrwali chłody, bo nadal nie zamierzałam go wpuszczać do domu.

Dopiero gdy miałam pewność, że pożar wygasł, przystąpiliśmy do rozbijania namiotów. Poleciłam Michasiowi rozłożyć pierwszy brezent i spiąć ze sobą trzy z czterech elementów każdego banana. Pomogłam mu przewlekać je przez kieszenie w poszyciu. Potem chłopak przywiązał zapałki, żeby usztywnić całą konstrukcję, a następnie oboje przystąpiliśmy do jej stawiania. Nie szło nam, dopóki nie przyniósł ze stodoły kilku desek,

którymi podparliśmy te miejsca, które wymagałyby dodatkowych rąk. Drugi namiot Michaś postawił już samodzielnie. Oba przenieśliśmy pod ścianę wciąż trzeszczącej od żarzących się kawałków drewna obórki. Namioty ustawiliśmy w tandem, zabezpieczyliśmy okna i na wierzch narzuciliśmy jeszcze trzeci tropik, żeby uszczelnić całość na łączeniu. Potem Michaś wstawił dwa piece, z leżących w stodole desek pozbił boksy dla zwierząt i żłób, a na koniec przygotował sobie sypialnię z wojskowego leżaka, na którym położył materac i śpiwór Deuter. Przez cały ten czas prawie się nie odzywał, tylko uśmiechał głupkowato. Nie ma co, tego dnia nie zapomni do końca życia.

Po skończonej pracy przygotował kolację. Z jedzeniem zaprosił mnie „do siebie”, czyli do namiotu, w którym już stał wygrzebany, prawdopodobnie z magazynu, stolik i dwa wędkarskie krzesła z oparciami. Nad stolikiem kiwała się świecąca słabo lampa naftowa.

– Musisz z tym uważać. – Wskazałam widelcem lampę. – Już jeden budynek spłonął.

– Ale ja lampę zgasilem i schowałem do walizki. Była razem z piórnikiem. To ta sama, co tu wisi.

Spojrzałam na niego podejrzliwie. Kłamał? Nie pamiętałam wyglądu jego lampy. Z drugiej strony dziś rano przybiegł naprawdę zaskoczony. Co tu się dzieje?

– Jesteś pewien? – spytałam możliwie neutralnym głosem.

– Jestem. Gdybym zasnął przy płomieniu, to ojciec... ojciec by mi wybił to z głowy przez dupę. W ogóle nie wolno nam zapalać ognia bez pytania, odkąd spłonął Wasilczyk.

Nie wyczułam fałszu, raczej zdziwienie, że w ogóle zadaję takie pytania.

– Masz rację. – Oddałam pole, bo to było jedyne rozwiązanie, jeżeli nie chciałam go zaraz przeproszać za rzucanie oskarżeniami. – A teraz o magazynie. To znaczy o tej dziurze w ziemi. Tam są rzeczy, które zbierałam razem z przyjaciółką, gdy tylko się tu wprowadziłyśmy. Na wszelki wypadek, gdyby wojna wróciła. Ale wojna nie wróciła, a przyjaciółka umarła, dlatego go ukryłam, bo tam są bardzo niebezpieczne rzeczy, rozumiesz?

– Jak sarin? – spytał z powagą na twarzy.

– Jak sarin – odpowiedziałam grobowym głosem. Skąd ten dzieciak wie...? No tak. Przecież czyta. – Sarin był na wypadek wojny. Może po

tylu latach jeszcze działa, a może nie. Nie zamierzam tego sprawdzać, a nie umiem go unieszkodliwić. To jest najniebezpieczniejsza rzecz, jaką możesz sobie wyobrazić, rozumiesz? Nigdy, ale to nigdy i nikomu pod żadnym pozorem, nawet na torturach, nie mów o sarinie i w ogóle o magazynie! Inaczej będę musiała cię zastrzelić.

Milczał przez chwilę, trawiąc groźbę.

– Czyli przekląć?

Kurwa, ale ten zabobon głęboko w ludziach siedzi!

– Nie, nie przekląć! Wziąć broń, która wyrzuca ostre pociski z ogromną prędkością i wbić ci taki jeden, gdy będziesz spał. Tam nie ma żadnej magii. Są substancje, które leczą, są substancje, które trują, i są takie, które rozrywają różne przedmioty. Rozumiesz powagę sytuacji? Jedna taka bańka z sarinem wystarczy z zapasem do zabicia wszystkich w Okartowie. Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdybym nagle umarła, a ludzie by przyszli szabrować gospodarstwo? Pierwszy idiota by otworzył taką puszkę, drugi by przyszedł, zobaczył trupa i zabrał resztę na handel. Sąsiad ci bruździ? A tutaj mam rozwiązanie. Trzeci by to powiózł do kolejnej wioski, bo w pierwszej wszyscy by już byli martwi! Nie myśl sobie, że jesteś tu po to, żeby się uczyć leczenia, żeby wioska miała kogoś, kto ludziom powie, że wodę trzeba gotować, a zęby myć. Ty masz chronić te małe cylindry pod ziemią! Chronić nawet kosztem życia! To jest prawdziwa cena, jaką twój ojciec zapłacił za naukę, za gospodarstwo, które dostaniesz, gdy ja już umrę.

Znów zapadła cisza. Chłopak zbladł, przestał jeść i tylko tępo gapił się w talerz.

– A skąd się te butle wzięły? Czemu je przyniosłaś? Żeście przyniosły?

Westchnęłam, bo nie było tygodnia, żebym nie żałowała tego pomysłu.

– W czasie wojny... pod koniec drony przestawały działać. Psuły się i spadały. Każdy miał w środku taki cylinder. Przed dronami chowałam się w piwnicy, trochę takiej jak ta pod stodołą. Gdy odważyłam się w końcu wyjść na zewnątrz... Odważyłam. – Uśmiechnęłam się cierpko. – Gdy skończyły się zapasy, wyszłam poszukać czegoś do jedzenia. Czegokolwiek. Wydawało mi się, że w lasach dronów nie będzie, dlatego opuściłam miasto i skierowałam się do lasu, ale tam nie było nic do jedzenia. To była wiosna. Tylko trawy, miękkie korzonki. No i jakieś jagody, ale wtedy jeszcze nie wiedziałam, że są trujące. W tamtym czasie nie umiałam nic przydatnego. Ale spotkałam dziewczynę, Joasię, która w

młodości jeździła na obozy survivalowe. Na takie, na których ludzie uczą się różnych rzeczy, jak walczyć, jak zdobywać jedzenie. I ona dużo umiała. Nakarmiła mnie, a potem poszliśmy szukać stałego schronienia. To właśnie ona mi powiedziała, że większość dronów już nie działa. Tak w ogóle to przez miesiąc siedziała w bloku obok na tym samym osiedlu. Trzymało ją tam kilku zwyrodnialców. Cały czas była przykuta do kaloryfera. Odczepiali ją tylko po to, żeby ją gwałcić lub żeby poszła do toalety, to znaczy do takiego wychodka w domu. Powiedziała, że trzymali ją kilka tygodni. Ale karmili, bo wiedzieli, że drony już nie latają, dlatego regularnie chodzili do sklepów... To takie miejsca, gdzie kupowało się jedzenie za pieniądze. Cały czas mieli dużo zapasów. Aż pewnego dnia wyszli i dopadł ich jeden z ostatnich dronów, jeszcze sprawny. Joasia zabiła ostatniego mężczyznę, który został w mieszkaniu. Zdjął jej kajdanki, żeby mogła się wysikać.

– I to ona zbierała sarin? – spytał, gdy przerwałam, żeby ugryźć kolejny kęs chleba.

– Nie od razu. Najpierw przeszliśmy wokół jeziora aż tutaj. Wtedy jeszcze byli tu ludzie, a Joasia bała się ludzi, szczególnie mężczyzn. Namówiłam ją jednak, żebyśmy przyczaiły się przy brzegu Kałuży i obserwowały przez kilka dni, bo może mieszkańcy są porządni i nam pomogą. W końcu wszędzie są przyzwoici ludzie. Joasia miała lornetkę. To taki przyrząd, który pozwala widzieć bardzo odległe rzeczy.

– Wiem, sołtys ma taką – wtrącił.

– Niech ma na szczęście. Obserwowałyśmy tych ludzi, którzy przez całe dni wynosili ziemię ze stodoły i rozsypywali na polu. Praktycznie nie robili nic innego, tylko jeździli taczkami. Potem nosili belki, folię, rozrabiali cement. Podzieliliśmy między sobą dyżury. Ja obserwowałam do południa, a Joasia po południu. Miałyśmy namiot rozbity kilometr dalej, w gęstym zagajniku, i wędkę, którą łowiłyśmy ryby. I butle gazowe, dlatego codziennie jadłyśmy zupę rybną. Może kiedyś ci zrobię taką.

– Butle są w magazynie, czytałaś z tamtego zeszytu.

– Są. Dają bardzo dobry płomień. Mocno grzeją i nie dymią. Chcesz słuchać dalej?

Przytaknęła.

– No więc obserwowałyśmy kolonię przez dwa tygodnie. W pewnym momencie zniknął jeden człowiek, potem drugi, a po kilku dniach pogrzebali ciało tam przed domem. – Pokazałam ręką uzbrojoną w widelec.

– Wtedy już nie kopali. W ogóle zniknęli i tylko światła paliły się w oknach.

– Co się z nimi stało?

– Umarli na jakąś chorobę.

– Jaką?

– A bo ja wiem? Może dur brzuszny, może zapalenie płuc, a może kilka naraz. Gdy ustał jakikolwiek ruch, czekałyśmy jeszcze kilka dni. Dla pewności. Podeszłyśmy od frontu domu, gdzie były już trzy groby. Czwarte ciało znalazłyśmy w łóżku.

– W twoim? – Chłopak był wstrząśnięty.

– Głupi! Oczywiście, że nie. W ogóle wtedy było tu zupełnie inaczej. Większość mebli, pościel, firany, ubrania, naczynia, wszystko spaliłyśmy lub wyrzuciłyśmy. Potem jeździłyśmy z Joasią wojskową ciężarówką, którą wcześniej znalazłyśmy. Obok leżały ciała żołnierzy, których dopadły drony. Takich ciężarówek w okolicy było mnóstwo. W domach, sklepach i hotelach szukałyśmy różnych potrzebnych rzeczy. Hotele to takie ogromne agroturystyki.

– Co to jest ciężarówka? – spytał.

– Mówiłam ci o samochodzie i lokomotywie? Ciężarówka jest takim samochodem, ale dużym. Jak wóz. Do przewozu dużych ilości wszystkiego.

Kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Przywiozłyśmy meble, naczynia, butle gazowe, materace na łóżka, w ogóle mnóstwo przydatnego sprzętu i całe góry jedzenia. Wszystko tak zakonserwowane, że mogłyśmy to jeść przez lata. Gdy Joasia znalazła broń, zaczęła jeździć sama, a ja z tej góry rzeczy zrobiłam normalny dom. Wtedy jeszcze nie myślałam nawet, żeby dokładnie rozejrzeć się po reszcie gospodarstwa. Dopiero po skończeniu porządków poszłam na poddasze obórki, gdzie nie zauważyłam nic ciekawego, a potem dopiero do stodoły, w której pośrodku w ziemi ziała ogromna dziura. Zeszłam tam oczywiście. Nie było tam nic z tego, co dziś widziałeś. Ci, co ją wykopali, umarli.

– A po co?

– Po co wykopali czy po co umarli? – zażartowałam.

– Po co wykopali? – Nie kupił dowcipu.

– Może to miał być schron? W trakcie wcześniejszych wojen większość ludzi ukrywała się przed frontem, to znaczy przed armią wroga, która szła w jedną lub w drugą stronę... Ukrywali się między ścianami budynków, w specjalnie zaprojektowanych schowkach lub w piwnicach. Może poprzedni

gospodarz obawiał się nadejścia piechoty i chciał ukryć rodzinę w takim schronie? Nie zdążył, a front nigdy nie nadszedł.

– A sarin?

Ciągle wracał do tego tematu. To było niepokojące.

– Sarin przywiozła Joasia. Gdy wracała z którymś kolejnym kursem, drogę zagrodziła jej banda złodziei. Zastrzeliła jednego i wtedy pozostali uciekli, ale wróciła wstrząśnięta, z nowym planem. Od tej chwili przestała zajmować się urządzaniem gospodarstwa, zaopatrzeniem w żywność, w przedmioty, których potrzebowałyśmy na co dzień. Zamiast tego zwoziła broń, pakiety przeciwchemiczne, apteczki, namioty, mundury. Przetrzęsała ciężarówkę wojskowe, składnice harcerskie, sklepy myśliwskie, komisariaty. Codziennie przed wyjazdem powtarzała, że pewnego dnia jakaś banda pojawi się od strony lasu i musimy być gotowe. Aż w końcu przywiozła sarin. Wygrzebała go z popsutego drona. Potem już jeździła wyłącznie po te butle. Oczywiście żadna banda nigdy się nie pojawiła. Gdy Joasia już nie mogła znaleźć broni, zaczęła przywozić książki medyczne, aparaturę, leki. Apteczek polowych już wcześniej miałyśmy tyle, że wystarczyłoby ich do obsługi szpitala. Twierdziła, że ona nas będzie bronić, a ja mam zostać sanitariuszką, bo w każdym oddziale musi być sanitariusz.

– Co się z nią stało?

– Jesienią zachorowała i umarła. Leży obok tej rodziny. To była moja wina. Jej obsesja denerwowała mnie tak bardzo, że w pewnym momencie przestałam słuchać jej poleceń. Do przywiezionych książek nawet nie zajrzałam. Gdy zachorowała, nie potrafiłam jej pomóc.

– Kochałaś ją? Bo wiesz, ludzie w wiosce mówią... – spytał cicho, nieśmiało.

– Tak – odpowiedziałam z dumą w głosie. – Jak żołnierz kocha dowódcę – skłamałam.

Zapadło niezręczne milczenie. Z każdą chwilą coraz bardziej niekomfortowe. Odłożyłam sztucce, westchnęłam i wstałam.

– To był ciężki dzień. Dobranoc – pożegnałam się i wyszłam.

Na zewnątrz poczułam przeszywające podmuchy wiatru. Nie sądziłam, że w tych namiotach może być aż tak ciepło. Ucieszyłam się, bo Michaś i zwierzęta mieli dobre warunki.

Przez te kilka kroków dzielących mnie od domu i sypialni myślałam o naszej rozmowie. Rzadko rozmyślałam o Joasi, mimo że przecież uratowała mi życie, ukształtowała w osobę, którą dziś jestem. A teraz Michaś

wyciągnął to ze mnie bez wysiłku. Smagana wiatrem weszłam do domu, chwyciłam mały bukiet zasuszonych kwiatów i wróciłam na podwórze. Przedzierałam się przez błoto do ogródka-cmentarza. Po tej stronie domu śniegu było zdecydowanie mniej. Stałam przed mogiłą przyjaciółki i spojrzałam na deskę, którą wbiłam głowach szczycie grobu. Kiedyś namalowałam tam markerem napis „Joasia – żołnierka”, ale od wielu lat był już niewidoczny. Nie cierpiała tego określenia – „żołnierka”. Klęknęłam z trudem na jedno kolano i położyłam suchotniki na spłaszczonej przez lata erozji kupce ziemi. Przez głowę przemknęły mi wspomnienia. Te miłe i te złe.

Otarłam łzę i wstałam. Dopiero kładąc się spać, naprawdę poczułam, jak bardzo ciężki był to dzień.

7.

Dawno temu stary Lemańczyk wysłał syna na targ do Okartowa. W drodze, na rozstaju, chłopak zobaczył czarnego cielaka. Pomyślał, że pewnie zwierzak z wioski przybiegł, bo już było blisko, a że ojciec porządnie syna wychował, to ten wsadził bydlaczka na wóz i ruszył dalej. Po jakimś czasie dotarł do małego pagórka przed zagajnikiem i okazało się, że konie nie chcą iść naprzód. Młody Lemańczyk pomyślał, że może tam wilki jakieś czyhają czy inne rysie, dlatego skręcił w stronę Kałuży, żeby ominąć las brzegiem. Ale przed kolejną górką konie znów się zatrzymały. Na wozie nie miał nic ciężkiego, dlatego uznał, a głupi nie był, że to cielak, choć przecie przed chwilą go na wóz wsadził bez niczyjej pomocy. Ale teraz, faktycznie: jak go próbował podnieść, to się nie dawało. W końcu poszedł w zagajnik, zerwał witki brzozowe i taką różgą przegonił diabelskiego bydlaczka. Kiedy cielak zeskoczył, to konie od razu ruszyły. Potem chłopak jeszcze się za nim obejrzał, ale już tam nic nie było. Tylko jakiś chichot szedł z wiatrem od uroczyska.

Wstałam o świcie. Chłopak jeszcze spał, wykończony emocjami poprzedniego dnia, zwierzęta też były spokojne. Od momentu przebudzenia czułam, że coś przegapiłam, o czymś zapomniałam. Już wczoraj po kolacji zauważyłam coś niepokojącego, co zignorowałam, zapewne przez zmęczenie. Opatulona obeszałam dookoła wypalony szkielet budynku, oceniając możliwość i opłacalność ewentualnej odbudowy. Grube mury wydawały się nienaruszone, samo postawienie dachu nie powinno być szczególnie kosztowne. Wiosną trzeba będzie posłać chłopaka do wsi po jakiegoś domorosłego budowlanca.

Przeszłam przez furtkę w ogrodzeniu pastwiska i skierowałam się w stronę muru, niedaleko cmentarzyka. Nagle zauważyłam w błocie wgłębienia przykryte cienką warstwą lodu. Odciski obutych stóp, zbyt dużych jak na Michasia, a tym bardziej moje. Przyłożyłam but dla pewności. Poza tym ślady były wydeptane od strony szczytowej ściany obórki, po zewnętrznej stronie murku łączącego ją z domem, gdzie żadne z nas nie chodziło od tygodni. Stojącą obok drabina też została przesunięta – zauważyłam odciski na śniegu. Podpalenie? Starłam się odtworzyć sobie

sam pożar. Od strony kurnika było chłodno, za to gdy weszłam do zagrody zwierząt, zobaczyłam, że podłoga przy ścianie, pod którą teraz stałam, już się zawaliła. Ktoś podstawił sobie drabinę, podpalił siano przy samym brzegu i uciekł? Nie, to nie mogła być wina lampy Michasia.

Kto? Nie proboszcz, bo to nie w jego stylu, ale nikt inny nie przychodził mi do głowy. Miałam co prawda kilku dłużników, ale mój system ściągania zaległości był bardzo liberalny i nieuciążliwy. Jeżeli ktoś nie miał czym zapłacić, to albo musiał odpracować, jak ostatnio syn Janki, albo polecałam sołtysowi, żeby znalazł delikwentowi jakąś możliwość zarobku. We wsi zawsze było coś, co sołtys odkładał do zrobienia na kiedyś. Jeżeli pacjent miał pieniądze, to też sprawę załatwiałam za pośrednictwem sołtysa. Sam przynosił gotówkę, a ja nigdy nikomu przy kolejnej wizycie nie wypominałam zaległości i windykacji. W ostateczności płatność rozkładałam na raty, dzięki czemu na przykład od sierpnia miałam co tydzień dostawę świeżo wędzonej ryby. Oczywiście, o ile pogoda pozwalała dojechać lub dopłynąć. Poza księdzem wszyscy mnie szanowali, a niektórzy lubili. Czyli jednak proboszcz? Nie. Zdecydowanie nie. Może gdybym go doprowadziła do ostateczności. Gdybym podwinęła mu kieckę i obiała dupsko przy wszystkich, to by zaatakował, jak atakuje zwierzę przyparte do muru, ale nasza ostatnia rozmowa była prywatna. Mógł się zżymać, mógł oczerniać mnie z ambony z większym niż dotąd zapalem, ale raczej nie próbowałby podnieść na mnie ręki. To tchórz. Bałby się, i to nawet nie mnie, ale sołtysa i wszystkich moich starych przyjaciół. Bo wielebny się we wsi pojawił dużo później niż ja. Wszyscy się tu pojawili, przyjeżdżając lub rodząc się, a Kośława w Okartowie po prostu była od zawsze. Jak kościół i jak most. Na razie nie mogłam wykorzystać zdobytej wiedzy, dlatego upchnęłam ją w pamięci. Przyda się, gdy się przyda. Pokręciłam energicznie głową, żeby strzepać natrętne myśli, i poszłam do stodoły. Kłapa wisiała nad wejściem do skrytki, falując powoli i kręcąc się to w jedną, to w drugą stronę. Odwiązałam koniec liny od knagi i ostrożnie opuściłam pokrywę, dopasowując ją do otworu. Wozu nie byłam w stanie przesunąć, nie starczyłoby mi siły, ale na wszelki wypadek przypięłam dwie linki do łańcuchów. Będę tylko musiała powiedzieć Michasiowi, żeby nie myszkował w stodole, bo uruchomi alarm.

Gdy wychodziłam, biel padającego obficie śniegu wygrywała już z ponurym brązem błota i szarością popiołu.

Po kilku dniach wróciliśmy do rytmu życia sprzed pożaru. Dopóki śnieg zalegał, nie było szans, żeby Michaś poszedł do wsi i sprowadził ojca z zapasami, które by zastąpiły te, co spłonęły wraz z obórką.

Magazyn ukryliśmy, a chłopak pracowicie przysypał klapę piachem i słomą, a potem długo zamiatał całą stodołę, żeby zatrzeć ślady. Wóz wrócił na swoje stałe miejsce. Również lekcje od następnego dnia po pożarze odbywały się już normalnie, czyli zaczynały po obiedzie, a kończyły, gdy zmrok utrudniał dostrzeżenie liter. Michaś czytał już całkiem płynnie. Pisał okropnie, ale nie zamierzałam poszerzać mu programu o kaligrafię, szczególnie że sama nie byłam w tej dziedzinie godnym naśladowania autorytetem. Pisał dla siebie, mógł zatem pisać nawet cyrylicą lub sanskrytem. Najważniejsze, że sam mógł swoje notatki odczytać.

Do programu wprowadziłam podstawy chemii i biologii. Pierwsze dni i tygodnie tłumaczyłam każde pojęcie po kolei – co to jest mitochondrium, co to jest tkanka. W pewnym momencie wrócił temat mutacji. Nie wiem, co ksiądz gadał na ten temat, ale jestem przekonana, że gadał często.

– Czyli mutacja to takie zmiany w komórkach? – spytał Michaś, gdy rozbieraliśmy na części jądro komórkowe.

– Czytasz książki, wyciągasz z nich informacje i zamierzasz je pewnie kiedyś wykorzystać, prawda?

– No tak. Po to się uczę – przyznał, cały czas w skupieniu marszcząc czoło.

– Człowiek jest taką książką z informacjami. Każda komórka jest taką książką. W każdej z nich znajdują się wszystkie informacje na temat człowieka. Jak jest zbudowany, na co będzie chorował, a czasami nawet kiedy umrze. Alfabet, jakim jest napisana, ma tylko cztery litery, ale tworzą one długie łańcuchy, więc powstaje bardzo gruba książka. Mutacje to są zmiany w zapisie.

– Jeżeli ktoś zrobi w słowie błąd, to nie można go zrozumieć – porównał, bo bez przerwy dostawał po głowie za żenujące ortografy.

– To nie zawsze są błędy. Książka jest pisana na nowo za każdym razem, gdy powstaje nowy człowiek. Mówiłam ci już o rozmnażaniu.

Przytaknął i zarumienił się. Akurat rozmnażanie człowieka było bardzo trudną lekcją. Co kilka zdań walczył ze sobą, z purytańską obyczajowością wpojona przez rodziców. Na szczęście ciekawość zwyciężyła, chociaż dotychczasowy światopogląd chłopaka wymagał gruntownej przebudowy. Miał zadatki, żeby rwać laski jak jagody.

– Przy zapłodnieniu komórki mieszają się książki rodziców i powstaje zupełnie nowa. Dlatego jesteś podobny i do matki, i do ojca, ale jesteś zupełnie nową osobą. I to już jest mutacja, a nawet bardzo poważna mutacja.

– I kto kieruje tym mieszaniem? Bóg?

– Przypadek. Dlatego czasami rodzi się taki mądry Michaś, a czasami potworek bez nosa. Tylko że ten potworek pewnie nie będzie żył zbyt długo, a nawet jeżeli, to nie znajdzie żony. Te źle napisane rozdziały znikną, kiedy umrze, natomiast taki przystojny i zaradny Michał znajdzie żonę, pięć kochanek i będzie miał mnóstwo dzieci, dlatego jego dobre rozdziały mieszają się z innymi.

Znęcałam się nad chłopakiem bez litości, chociaż akurat nie znam nastolatka, któremu takie komplementy by się nie podobały.

– Może być jeszcze inaczej – kontynuowałam wykład. – Znasz historię syna Drawskich? Zmarł z powodu niegroźnej rany, bo jego krew nie krzepła. To był błąd w książce przekazany przez matkę, a wcześniej przez babkę. U kobiet taki błąd nie wywołuje objawów, a tylko jest przepisywany. Dopiero gdy rodzi się chłopiec, istnieje ryzyko, że ten fragment zapisu się uaktywni i wywoła chorobę. Ryzyko to wynosi dokładnie połowę.

– A przed wojną można było to wyleczyć?

– Można było. Byli lekarze, którzy potrafili czytać ten kod, ten język, i przestawiać poszczególne litery, ale to nadal była bardzo prymitywna technologia. W zasadzie ludzie rozmnażali się tak jak dzisiaj. Wtedy również jeżeli rodzice byli mądrzy, to istniała większa szansa, że dziecko też będzie mądre.

– To dlaczego ty nie masz dzieci, skoro jesteś mądra? – spytał po chwili.

Musiałam przyznać, że to celna szpilka.

– Znowu przypadek – odpowiedziałam po chwili namysłu. – Akurat biologia nie przewidziała wojny i wybicia do nogi wszystkich mężczyzn w promieniu trzydziestu kilometrów, nie przewidziała, że utknę na całe lata na końcu świata i że będę miała na głowie chore dzieci innych ludzi. Po prostu takie rzeczy za rzadko się zdarzają, żeby mogły powstać rozdziały, które by uwzględniały takie jednorazowe przypadki.

– Bo ojciec wielebny powiedział, że wszystkim rządzi Bóg.

– A musi? – spytałam. – Jeżeli boli cię głowa, to Bóg wali w nią niewidzialną pałką. Jeżeli piecze cię oko, to Bóg wetknął tam palec. Jeżeli

pada śnieg, to anioły się pierzą, a jak jest upał, to diabły zdjęły majtki, a ich pośladki to lampy kwarcowe – zakpiłam. – Lampy kwarcowe to były takie specjalne urządzenia do ogrzewania miejsc na ciele, które bolały z powodu reumatyzmu.

To mój nowy zwyczaj. Odruchowe tłumaczenie wszystkiego, czego Michaś mógł nie znać lub nie rozumieć.

– Bóg nie jest potrzebny do rozmnażania – kontynuowałam. – A już na pewno nie jest potrzebny Bóg, którego przedstawia wielebny. Wymyśla jakieś

głupoty tylko po to, żeby się ludzie bali. A co mówiłam o magii?

– Magii nie ma – odpowiedział od razu. – Czy to dlatego ojciec wielebny tak cię nienawidzi? Bo wiesz, że on kłamie?

– Nie. Nienawidzi mnie, bo potrafię udowodnić, że kłamie. Udowodnię to na wiosnę, zapewne na targu wielkanocnym. Ale wracajmy do lekcji. Przeczytaj definicję hasła „mejoza”.

Biologię chłopak lubił. Widać było, że fascynuje go wszystko, co jest z nią związane. Żałowałam, że nie mam mikroskopu. Dopiero wtedy by miał używanie, oglądając każde znalezione źdźbło, kroplę wody, kroplę własnej krwi, jak przecież i ja robiłam, jeszcze w szkole podstawowej, gdy na któreś urodziny, a może na Gwiazdkę, rodzice sprezentowali mi mały szkolny mikroskop z kilkoma gotowymi preparatami. Potem już sama kupiłam sobie większy, ale ten pierwszy pamiętałam najlepiej. Kto wie, może to właśnie ten mikroskop sprawił, że wybrałam i ukończyłam takie a nie inne studia, że zaczęłam karierę naukową, że potem wylądowałam owego feralnego dnia w Popielnie, dzięki czemu przeżyłam. To dzięki tamtej zabawce jestem teraz tutaj. „Przypadek”, jak przed chwilą tłumaczyłam. Przypadek jest najpotężniejszą siłą na tym świecie. No, może poza zbiegiem okoliczności, bo to jest przypadek podniesiony do potęgi o odpowiednim wykładniku.

Lekcje podzieliliśmy na dwie części: praktyczną i teoretyczną. Teraz, gdy w gospodarstwie nie było nic do zrobienia, trwały cały dzień, również przed południem, z przerwą na posiłek. Do obiadu pracowaliśmy przy ziołach i lekach. Michaś doskonale obsługiwał destylator, lepiej niż ja kiedykolwiek to robiłam, za to nie miał ręki do mojego starego autoklawu, a raczej do pilnowania ognia pod kociołkiem, który znalazłam przed laty na opuszczonym polu namiotowym po drugiej stronie Kałuży. Raz mało mu nie wybuchł w twarz, dlatego podzieliliśmy się obowiązkami. On miał

kociołek tylko wstawić na palenisko, napełnić naczyniami i wodą i zakręcić śrubę na belce dociskającej pokrywę. Ja pilnowałam procesu sterylizacji, słuchając wysokości dźwięku wydawanego przez gwizdzący wentyl.

Chłopak nie miał jeszcze wprawy, ale i tak przygotowywanie się do wiosennego targu i sezonu zachorowań szło nam obojgu sprawniej niż mnie samej od dziesięciu, a może kilkunastu lat. Uczeń biegał po całej pracowni, zerkał co chwila do moich notatek, zadawał pytanie lub dwa, a potem odmierzał, podgrzewał, mieszał, odparowywał, zagęszczał, korkował i dawał mi butelkę lub słoik do naklejenia etykiety. Zrezygnowałam z opisywania pojemników skrótami, dlatego sama też uczyłam się dawno zapomnianych prawidłowych nazw ziół i substancji czynnych, kropli, proszków i maści.

Po obiedzie robiliśmy najpierw krótką powtórkę materiału z poprzednich lekcji, a następnie Michaś czytał na głos wyznaczony przeze mnie fragment. Czasem była to historia, czasem matematyka, kiedy indziej biologia lub chemia. Bałam się, że w pewnym momencie znudzi mu się wałkowanie w kółko tego samego materiału, więc wprowadziłam rotację. Fragmenty czytał na głos i mógł w dowolnej chwili przerwać i dopytać, jeżeli czegoś nie rozumiał. Wtedy dopiero pojawiał się właściwy temat lekcji. Niekiedy potrafiliśmy przez godzinę utknąć na ruchu płyt tektonicznych, czasami na konstrukcji silnika spalinowego lub, o zgrozo!, silnika Wankla (gdzie on to wyczytał?). Coraz częściej odpowiadałam, że po prostu nie wiem. Wtedy do wieczora myszkowaliśmy po półkach w poszukiwaniu odpowiedzi, która w jednej z książek musiała istnieć, przynajmniej w szczątkowej formie. Poza takimi przypadkami, jak ten cholerny silnik Mazdy, pardon, Wankla, w końcu je odnajdywaliśmy.

Tylko ta ortografia! Michaś miał notować to, co uzna za stosowne. Jeżeli jakiś temat go interesował, to opisywał wszystko ze szczegółami, robił rysunki, w pozostałych przypadkach zapisywał tylko źródło i stronę, gdzie mógł znaleźć więcej informacji.

– Czy Wenecję też zniszczyli? – spytał dwa tygodnie później, przy kolacji.

Na początku nie wiedziałam, do czego nawiązuje. Dopiero po chwili przypomniałam sobie tytuł powieści, którą mu poleciłam, gdy jego rodzice przywieźli górę książek, w tym jedno romansidło.

– Nie wiem – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Mam nadzieję, że nie.

– Byłaś w Wenecji?

– Nie – zaprzeczyłam. – Ale to nie znaczy, że jest mi obojętna. Podobnie jak nie byłam w wielu innych miejscach, które nie są mi obojętne.

– I Wenecja wygląda tak jak na ilustracji?

Spróbowałam sobie przypomnieć okładkę czytań. Przedstawiała długowłosego mięśniaka w rozchełstanej koszuli i równie skąpo odzianą dziewczynę. Oczywiście stojących na gondoli, z mostami w tle.

– Do pewnego stopnia tak. W *Leksykonie Brockhousa* powinna być ilustracja.

– To jest dziwnie napisane, jak w kościele na suficie. Nie mogę przeczytać – poskarżył się, a ja dopiero wtedy przypomniałam sobie, że przecież jesienią zabrał te wszystkie zniszczone książki, które chciałam wyrzucić, w tym jeden tom leksykonu.

– To czcionka gotycka – wyjaśniłam. – Tak kiedyś drukowali Niemcy.

– Sołtys mówił, że Niemcy tu kiedyś byli i że byli wrogami, i że to pewnie oni nas napadli bombami.

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

– Przed ostatnią wojną Niemcy byli naszymi sprzymierzeńcami, więc to raczej nie oni. Poza tym na tych terenach nie Niemcy, a Mazurzy żyli ponad sto lat temu, mniej więcej do końca tej poprzedniej wojny. Potem zostało ich niewiele.

– Bo przegrali?

– Bo wyjechali.

– Ja bym ich nie wypuścił.

– Wiesz, czemu sołtys jest sołtysem od tylu lat?

– Bo go wybierają – odparł stanowczo.

– A czemu ja jestem Wiedzącą tyle lat?

– Bo nie umarłaś.

Roześmiałam się, odruchowo zasłaniając dłonią szczerbę.

– Nie. Po prostu ja i sołtys staramy się dobrze ze wszystkimi żyć. W zgodzie. I jeżeli ludzie nam nie szkodzą, to zostawiamy ich w spokoju. Gdybyś wybił swoich byłych wrogów, to być może w przyszłości byś nie miał przyjaciół. Popatrz na Pawłowskiego i Listka. Kłóć się od tylu lat, że poza mną chyba już nikt nie pamięta, że byli przyjaciółmi, zanim na weselu Listka z jego pierwszą żoną obaj się napili i dali sobie po gębach. A już z pewnością nikt nie pamięta, o co się wtedy pobili. I co? Minęło piętnaście lat, a oni nadal pytają każdego kramarza, czy ten drugi już u niego kupował,

bo jeżeli kupował, to ten pierwszy znajdzie sobie innego. Poza mną, bo nie ma drugiego takiego straganu jak mój. Oni sobie szkodzą, a ludzie się z nich śmieją.

– A skąd wiedzieliście wtedy, że Niemcy to będą przyjaciele?

– Nie wiedzieliśmy. Ale pomyśl, co by było, gdyby Pawłowski i Listek umówili się, że nie będą wrogami na jakiś czas, na próbę? Kto wie, może by znowu zostali przyjaciółmi. Dwaj tacy jak oni gospodarze momentalnie by przejęli połowę gospodarstw w Okartowie.

– Czy zaprzyjaźniłabyś się z wrogiem z ostatniej wojny?

To było trudne pytanie. Nigdy nie spotkałam nikogo z atakujących. Były tylko anonimowe matowoszare drony, bezbarwne zabójcze gazy, czerwonożółte wybuchy, a potem głód i choroby. Przez cały czas śmierć ukrywała się w domach, w przydrożnych rowach, nawet na środku ulicy. Przede wszystkim na środku ulicy, gdzie latającym maszynom łatwo było wypatrzeć uciekającego człowieka i porazić go sarinem czy innym gównem. W ten sposób najpierw wybiły nieostrożnych i bohaterskich, a chwilę potem współczujących, którzy jako jedyni myśleli o grzebaniu zmarłych. Dołączali pojedynczo lub w grupkach do tych trupów leżących na ulicach i placach, czasami w towarzystwie prowizorycznych noszy lub łopat.

To chyba było najgorsze. Niewidzialny wróg, nieuchwytny, bezosobowy. Nie miał przynależności, herbu, godła, flagi, pagonów. Tak musieli czuć się ludzie umierający setki lat temu na dżumę, febrę, ospę. Kto ich krzywdził? Chyba Bóg, bo przecież jest wszechmocny, w przeciwieństwie do diabła. A kto nas krzywdził?

– Nie wiem – odpowiedziałam po dłuższej chwili. – Rozum dyktuje jedno, ale uczucia często rządzą rozumem. Nie potrafię tego powiedzieć, dopóki nie odkryję, kto wywołał wojnę, nie poznam jego motywacji. A to byłby dopiero początek długiej drogi.

– To czemu wykorzystujesz rozum, skoro uczucia są mocniejsze?

– Przecież wykorzystuję uczucia, wykorzystuję wiarę. Kiedy przychodzi do mnie pacjent, to jest przekonany, że wyzdrowieje, a jeżeli nie jest przekonany, to moim obowiązkiem jest go o tym zapewnić. To połowa sukcesu. Jeżeli pacjent nie uwierzy w wyzdrowienie, to ja niewiele mu pomogę. On sam musi walczyć o siebie, a lekarz tylko go wspiera. Zapamiętaj to.

– A jak to się robi?

– Jest kilka sztuczek, które lekarze wykorzystują od zawsze. To są takie nieszkodliwe kłamstwa, takie lekarstwa dla duszy. Jeżeli przychodzi ktoś z objawami infekcji bakteryjnej, to co robię?

– Podajesz antybiotyki, leki przeciwzapalne i przeciwgorączkowe, jeżeli gorączka jest za wysoka. Można też dać zioła uspokajające i łagodzące ból. Zalecenia: lekka dieta, leżenie w cieple, unikanie wysiłku i nagłych zmian temperatury. Antybiotyk należy podawać przez minimum dziesięć dni, zioła i pozostałe do ustąpienia objawów.

– A jakie są rokowania? – spytałam podchwytliwie.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami.

– Jeżeli jest szansa na poprawę, to rokowania zawsze są dobre. Ty zawsze jesteś pogodny, żartujesz, poklepujesz. Bo przecież to tylko obustronne zapalenie płuc, prawda? Wojnicki wyzdrowiał, a przecież zawsze był chudy i do tego piętnaście lat starszy niż ten nasz teoretyczny pacjent. On musi uwierzyć, że wyzdrowieje i wtedy, przy odpowiedniej opiece, faktycznie wyzdrowieje.

– Nie wiedziałem – zdziwił się. – To zawsze działa?

– Nie zawsze. Nowotworu ziółkami nie wyleczysz, ropień musisz przeciąć i zdezynfekować. W przypadku grypy antybiotyku nie podasz. Czemu? – Zaatakowałam pytaniem.

– Bo na wirusy nie działa – odpowiedział spokojnie.

– Dobrze. Ale jakiś lek warto podać, najlepiej specjalny, dla wyjątkowych pacjentów, z ostatnich zapasów sprzed wojny.

– Jaki to lek?

– Najlepiej gorzki. – Znowu się zaśmiałam. Rzadko udawała mi się lekcja tak lekka i tak satysfakcjonująca. Bo to wspaniałe uczucie pochwalić się przed kimś zaklęciami, które w chwili gdy przestają być tajemnicą, przestają też działać. – Jeżeli coś jest niesmaczne, a trzeba to wypić, to znaczy, że musi to być lek skuteczny.

– Łopian? – zaproponował.

– Może być łopian. Oczywiście leki zwalczające objawy też podajesz, ale przecież nie masz żadnego, który by mógł pokonać samą infekcję. To musi zrobić sam pacjent, a ty go tylko tym placebo przekonujesz, że da radę. Placebo to jest właśnie ten lek na wiarę. A mnie wierzą, bo przecież leczę ich przez tyle lat. Tobie też będą wierzyć, bo jesteś u mnie na nauce. Nawet gdybyś przez cały ten czas tylko poił konie i rąbał drewno, to i tak

byłbyś lepszym lekarzem niż ktokolwiek w okolicy, bo ludzie po prostu by wierzyli, że potrafisz ich wyleczyć.

– A to nie jest złe, tak kłamać?

– Pamiętasz atak księdza na targowisku? Co dostał?

– Spirytus ojca.

– To też. Alkohol etylowy gwałtownie rozszerza naczynia krwionośne, ale co jeszcze?

– Naparstnicę purpurową.

– Sposób przygotowania? – przesłuchiwałam go dalej.

– Dwanaście gramów liści z rośliny jednorocznej – recytował, patrząc w sufit dla lepszej koncentracji. – Zagotować w jednej trzeciej litra wody.

– A dawkowanie?

– Dwie łyżki co dwie godziny.

– No, ja dałam wielebnemu dużo więcej, dlatego tak pięknie się zrzygał, poza tym do końca dnia musiał mieć śliczne, kolorowe mroczki przed oczami. Ale widzisz, zastosowałam truciznę. Tyle że w odpowiedniej dawce ta trucizna jest lekiem, a większość leków w dużych dawkach staje się trucizną. Nawet szałwia czy krwawnik. Tak samo jest z placebo. Kłamstwo, które pomaga w leczeniu, jest lekarstwem. Kłamstwo, które daje nadzieję, jeżeli tej nadziei nie ma, jest trucizną.

– Zapamiętam – odpowiedział i zamilkł.

Patrzyłam na niego przez chwilę, jak rysuje na rogu kartki.

– Co mam teraz przeczytać? – Nagle zmienił temat.

Przymknęłam oczy, żeby zwizualizować sobie zawartość kartonów z beletrystyką.

– A o czym byś chciał?

– Może o podróżach? Ale nie o Wenecji. Tam już byłem.

Wstałam od stołu i przeszłam do klasy. Nie wiedziałam, co mu dać, żeby co chwila nie przychodził z pytaniem o znaczenie jakiegoś słowa. Zbliżyłam się do regału w rogu pokoju, obok zawieszanej na ścianie mapy Afryki. Wyjęłam pozbawioną okładki, rozsypującą się książkę z tytułem niezgrabnie napisanym na grzbiecie.

– To przeczytasz. Chciałeś kiedyś spisywać moje wspomnienia, to tutaj masz przykład, jak to robić dobrze.

– *Dracula*? – przeczytał, wymawiając „c” jako „c”.

– Drakula – poprawiłam. – I nie czytaj tego w nocy. – Uśmiechnęłam się złośliwie, składając dłonie jak Gary Oldman, stojący na schodach w

purpurowym płaszczu i ze śnieżnobiałym makijażem na twarzy.

Tego dnia lekcji już nie było. Zaraz po kolacji chłopak odpłynął gdzieś w stronę wiktoriańskiego Londynu, potem Orient Expressem wyruszył do Transylwanii, do zaświata, który tak pociągał, a który już nie istniał. A może nie? Może ten świat właśnie wrócił, kiedy cała technika, cała wiedza z jej materializmem, brzytwą Ockhama i podwójną ślepą próbą wylądowały na śmietniku historii? Gdy wszyscy ci fizycy teoretyczni, mechanicy kwantowi, informatycy, inżynierowie od nanorurek zginęli w eksplozji jądrowej lub w oparach trującego gazu, lub po prostu od sraczki; gdy zatrzymały się ultrasonografy, stanęły tomografy pozytonowe, gdy już nikt nie potrafił odczytać wydruku z elektroencefalografu, a mało kto umiał przeczytać słowo „elektroencefalogram”. Gdy ich wszystkich zastąpili stara zielarka i nawiedzony klecha, ona z antybiotykami ze spleśniałego chleba, on z relikwiami ze świńskiego żebra, wówczas powróciły żądne krwi dziewic wampiry, wilkołaki wyjące do pełnego księżyca, ubrane w czerwone kubraczki topichy umorusane skrzekiem, kłobuki jak zmokłe kury i złośliwe diabły targujące się o duszę. Czaiły się na skraju lasu, a w nocy podchodziły pod okna nękać koszmarami dobrych ludzi, którzy z niepokojem czekali na pierwsze promyki brzasku. A *Dracula* przestał być wspomnieniem ginącego świata, ostatniego rezerwatu na pochłanianym przez racjonalizm i technikę kontynencie. Nagle stał się bardzo aktualny.

Gdy szary wieczór nie pozwalał już czytać inaczej niż z nosem przy szybie okna, Michaś odłożył książkę z wyraźnym żalem, ale nie zostawił jej w klasie. Wiem, że w nocy czytał przy latarce. Wiem to, mimo że ukrył ją pod śpiworem. Po prostu wiem.

8.

Stary Kania kiedyś mieszkał w nowym domu, co to tam teraz sołtys urzęduje. No i którejs nocy, jak tylko wszyscy zasnęli, ktoś zaczął chodzić po schodach tam i nazad. I zawsze robił trzynaście kroków, ale takich ciężkich, że wszystkich budził. Gospodarz następnej nocy wziął synów na czaty, ale nikt nie przyszedł i nic nie było słychać. Potem Kaniowa kaszę rozsypała, żeby chociaż ślady zobaczyć, ale też nic. No i w końcu przyszedł wielebny Marek i cały dom poświęcił. Tyle że wcześniej rodzina przeniosła się do starego domu i w tym nawiedzonym nikt już nie spał, dlatego nie wiadomo, czy tam jeszcze po nocy złe łązi.

Na początku grudnia mróz ścisnął tak, że mocy pieców w namiocie ledwo starczało. Niebo było jasnoblękitne, słońce świeciło od świtu do wieczora. Z każdej strony gospodarstwa pola skrzyły się złotymi i srebrnymi błyskami, aż oczy bolały i łzawiły. Do tego spokoju dołączyła cisza tak namacalna, że aż niepokojąca. Czasem tylko śnieg osypał się z dachu, konie zarżały, ale nie było wiatru, nawet nikłego zefirku, który by przesypał śnieg na polu czy poruszył trzciniami. Otaczała nas wymarła biała pustynia.

Przez jakiś czas Michaś rozbijał lód na powierzchni Kałuży prętem zbrojeniowym, ale w końcu dał sobie spokój i przyszedł spytać o jakąś inną możliwość kąpieli.

– Może rozpuszczę śnieg w kociołku i wykapię się w obórce, żeby w namiocie błota nie robić? – zaproponował.

– Od kiedy się tak myjesz? – spytałam w końcu, bo dopóki nie chorował od tych praktyk, dla mnie jako piecucha barbarzyńskich, to się nie wtrącałam.

– Od zawsze. Matka mówiła, że kiedyś przyszłaś do niej, gdy była przeziębiona, i jej powiedziałaś, że morsy nie chorują. Morsy to są takie ludzie...

– Tacy – poprawiłam. – Wiem, kim są morsy, ale nie sądziłam, że ktoś mi uwierzy.

– To było placebo? – spytał, trochę wstrząśnięty.

Nagle się okazało, że okłamałam jego matkę.

– Nie. To absolutna prawda. Organizm wystawiany na bodźce dostosowuje się, wypracowuje mechanizmy obronne.

– Czyli matka zaszczepiła mnie na mróz?

– Coś w tym rodzaju. Chcesz się kąpać na mrozie, to proszę bardzo. Weź dwa wiadra i rozpuszczaj śnieg na piecach.

Skinął głową i poszedł do kuchni, a ja zaczęłam zastanawiać się nad wpływem, jaki przez te lata wywarłam na wieś. Nie pojawiałam się tam zbyt często, ostatnio prawie w ogóle. Gości też zbyt wielu nie miałam. Na początku, jakiś rok po śmierci Joasi, gdy kończyły mi się zapasy, a byłam już gotowa, tak przynajmniej mi się zdawało, do rozpoczęcia praktyki na żywym organizmie, pojawiałam się w Okartowie raz w tygodniu. Nie tylko leczyłam, ale też radziłam, później nakazywałam i zakazywałam: gdzie nie stawiać wychodków, gdzie nie kopać studni, czego nie jeść na surowo, a czego nie jeść wcale. Na początku ludzie traktowali mnie z rezerwą, szczególnie starsi gospodarze, którzy przybyli tu po wojnie z innych gospodarstw, z innych wsi. Pamiętali jeszcze normy unijne, PHARE, potem ISO, kolejne dopłaty i programy, kolejne normy, zawartość bakterii, procedury, opryski, dezynfekcje. Tych jednak z czasem ubywało. Ich dzieci i wnuki znały się na hodowli i uprawie, potrafiły gotować, pleść sieci, budować domy, ale umiejętności, które nie były wykorzystywane na co dzień, powoli ginęły. Także wiedza o chorobach, bo przecież zawsze obok była Koślawa, która leczyła, i to niedrogo. To po co zawałać sobie głowę śmieciami? Ostatni ambitni gdzieś zniknęli, pewnie uznali, że lepiej im będzie w mieście. Krzyżyk im na drogę.

Bo miasta też z czasem odżyły, ale co to były za miasta... Wypalone szkielety budynków straszyły na każdej ulicy. Nie spłonęły w czasie wojny, ale w późniejszych pożarach, gdy okazywało się, że nie są przystosowane do używania w nich otwartego ognia. Na ulicach zalegały śmieci, a na dawnych boiskach pleniło się zielsko, chyba że wypasano tam zwierzęta. Poznaczony gęstą siecią pęknięć asfalt z każdym rokiem bardziej zarastał, miejscami wyrzusał się wypychany korzeniami pobliskich topoli. Chodniki zapadały się podmywane przez deszcze, gdy zapchana odpadkami i piachem kanalizacja przestała odprowadzać wodę. Miasta dziczały. I gromadziły dzikusów. Wioski dawały ludziom możliwość wyżywienia, podobnie obrzeża małych miasteczek, jak Ruciane, ale już w Mikołajkach i Jańsborgu zbierały się męty, bandy wyjątkowo przedsiębiorczych obywateli, którzy dosyć specyficznym podchodzili do własności prywatnej,

tej cudzej. Zaraz po wojnie, a raczej pod koniec wojny, do Jańsborga ciągnęli wszyscy, którzy słusznie spodziewali się, że zapasy w marketach pozwolą im przetrwać kolejnych kilka miesięcy. Podobnie „myślały” drony, które namierzały skupiska ludzi, prawdopodobnie kontaktując się ze sobą, dostosowując algorytmy i programy do rezultatów poprzednich polowań. Stadni drapieżnicy.

Teraz zapewne było trochę inaczej, bezpieczniej. Handlarze przyjeżdżający na co półroczny targ narzekali tylko na wysokość myta pobieranego przez herszta, pardon – burmistrza, i jego ludzi. Narzekali na korupcję, bo już nie na pospolity rozbój. Dobrze i to. Przechodzący przez miasto tracili trochę majątku, ale nie cały, no i przede wszystkim uchodzili z życiem. Rabunek zastąpiły podatki, na nowo tworzyła się administracja, a miasta położone na skrzyżowaniach ważnych szlaków znów się bogaciły. Przy tym opłaty wcale nie były bardziej bezsensowne czy bardziej oburzające niż przed wojną! Za przejazd drogą (przy zakazie przebijania się przez leśne trakty), za przejazd mostami (jedynymi w okolicy), za rozłożenie się z towarem, w końcu za ochronę. Ten ostatni podatek nie był obowiązkowy, ale odmowa zapłaty kończyła się siniakami, a czasem złamaniami, bo bili strażnicy miejscy. Na pustkowia wróciła cywilizacja.

Opowiadałam o tym Michasiowi na lekcjach historii, które wypadały średnio raz w tygodniu. Nie łądowałam mu do głowy żadnych Termopilów, Norymberg ani dat kolejnych przegranych powstań. Zamiast tego opowiadałam mu po prostu, jak było. Jak ja to zapamiętałam i za czym tęskniłam często, za czym czasami, a za czym w ogóle.

Tak było do połowy grudnia, gdy z dnia na dzień mróz odpuścił. Okna przesłoniły draperie z sopli, a ciężki śnieg z dachów z łomotem walił się na ziemię.

– Masz dwa dni wolnego. Idź odwiedzić rodzinę. I pamiętaj, co ci mówiłam o magazynie.

Przytaknął szeroko uśmiechnięty i pobiegł zmienić wojskowe buty na gumofilce. O swoje buty dbał, pucował je i nacierał kawałkiem słoniny z boczku, ale nawet gruba warstwa tłuszczu nie uchroniłaby ich przed przemoknięciem. Włożył też kombinezon narciarski, rozpięty do samego dołu, bo przecież było ciepło. Nie zabroniłam mu wkładać munduru, ale pewnie sam pomyślał, że musiałby się jakoś z niezwykłego podarku od Koślawej wytłumaczyć, a i ja nie uniknęłabym pytań przy pierwszym wyjeździe do wsi albo przy pierwszej wizycie pacjenta lub sołtysa.

Jeszcze przed wyruszeniem wyjął z piwniczki i ułożył w kuchni wszystko, czego mogłam potrzebować, zabrał książkę, przez którą przedzierał się w każdej wolnej chwili, i flamastry dla rodzeństwa. Te same, które kiedyś otrzymał od rodziców, gdy rozpoczął naukę, razem z papierem, segregatorem i ołówkami. Jakiś czas temu poradziłam mu, żeby napełnił je spirytusem, i po kilku potrząśnięciach niektóre z nich zaczęły się nadawać do użytku. Do namiotu zaniósł zapas jedzenia dla zwierząt oraz tyle drewna i węgla, żebym nie musiała schodzić do piwnicy.

Patrzyłam przez okno, gdy dziarskim krokiem szedł przez zasy. Chwilę po tym, jak zniknął za wzniesieniem, poczułam się strasznie samotna. I znudzona. W co włożyć ręce? Zwierzęta nakarmione, jedzenie dla mnie przygotowane, leki sporządzone, dom zamieciony, ubrania wyprane... Zadbaj o wszystko. Pożałowałam, że potrzebuję tak mało snu, a jeszcze bardziej że nie poszłam razem z nim.

Gdy nie wrócił po dwóch dniach, zaczęłam podejrzewać najgorsze. Co prawda przez kilka tygodni śnieg zalegał na taką wysokość, że nie puszczałam chłopaka do wioski. Sam też się nie dopraszał, ale tęsknił, co było widać. Nie dziwiłam mu się. Po wyjeździe na studia konałam w murach akademika i każdy wolny dzień spędzałam z rodzicami. A przecież nie byłam dzieckiem trzymanym pod kloszem – jeździłam na obozy, kolonie, rajdy, dlatego trwające nawet kilka tygodni rozstanie zaliczyłam nie raz i nie dwa. Michaś prawdopodobnie nie opuszczał rodzinnego domu na dłużej, dopóki nie trafił do mnie, dlatego zrozumiałabym, gdyby zabawił tam trochę dłużej.

Ale podejrzewałam najgorsze. Niewiele się pomyliłam.

Wczesnym rankiem trzeciego dnia na horyzoncie zobaczyłam czarny punkt. Rozmazany punkt na rozmazanym horyzoncie. Może wracał?

Po kwadransie punkt urósł i zyskał kształt, który zdecydowanie nie przypominał idącego człowieka. Wytarłam szkła okularów, ale niewiele to pomogło. Po kolejnych dwóch kwadransach na podwórze wjechały drewniane sanie ciągnięte przez dwa koniki. Na koźle siedział opatulony skórą młodszy Rowiński, jeden z parobków, którzy ostatnio rąbali nam drewno, a obok ojciec Michasia. Obaj przez chwilę rozglądali się po podwórzu. Spalony dach obórki musieli widzieć już z daleka, ale namioty nie były widoczne od strony drogi. To właśnie namioty przykuły ich uwagę. Czekałam przed drzwiami, aż mnie dostrzegą.

– Uszanowanie, Starsza. Zdrowa jesteś, cała? Co słyhać? – spytał Staszek, nawet nie schodząc z sań.

– Stare nie chcą zdychać, a młode nie chcą dawać. Czego chcesz? – spytałam opryskliwie, bo nie chciałam się tłumaczyć z krajobrazu po pożarze.

– Mój syn cię potrzebuje. Zostawiam tu Tomka, żeby pilnował obejścia.

– Nie zostawiasz nikogo – odpowiedziałam natychmiast. – Zabieramy się ze wszystkim, z końmi i kozą. Będę je trzymać u ciebie.

Przytaknął tylko i polecił coś pracownikowi, który poszedł w stronę namiotu, skąd dochodziło rzenie.

– Co mu jest?

– Pobity, gdy tylko pojawił się w wiosce.

– Pobity? – Na początku nie uwierzyłam. Owszem, zdarzały się w Okartowie bójki, nawet z konsekwencjami wymagającymi mojej interwencji, ale pobicie? I to dzieciaka?

– U ciebie też widzę nieszczęście.

– Dziękuję, wszyscy cali. – Ucięłam temat.

Bez słowa odwróciłam się i szybkim krokiem pomaszerowałam do pracowni. Z kredensu wyciągnęłam szyny i szarpie, nawet bandaże elastyczne, które elastyczne były już pewnie tylko z nazwy, ale o tym przekonam się na miejscu. Spirytus... odłożyłam go z powrotem. Po co wieść drewno do lasu? Zamiast tego do starej skórzanej torby, znalezionej kiedyś w gabinecie weterynaryjnym, spakowałam szklaną strzykawkę z igłami, termometr i ciśnieniomierz, skalpele, zagiętą igłę, nici i jeszcze jakieś przyrządy. W boczne kieszenie wepchnęłam maść z nagietka i korzenia żywokostu, a oprócz tego wyciąg z żywokostu, którego w tym roku miałam wyjątkowo mało. Przez chwilę stałam przed półką, wahając się, ale ostatecznie wzięłam flaszkę z laudanum. Przecież nie muszę go stosować. Dorzuciłam jeszcze kilka preparatów przeciwzapalnych i przeciwgorączkowych i zgarnęłam z regału moje notatki. Cały czas miałam przed oczami wydeptane w śniegu ślady prowadzące do obórki. Ktoś się na nas uwziął i zdecydowanie nie żartował. Poczułam strach.

Obładowana wyszłam na podwórze. Staszek przejął ode mnie część sprzętu i położył na saniach. Już chciał mnie podsadzić, ale przeprosiłam, mówiąc, że muszę jeszcze coś sprawdzić. Poszłam do stodoły i rzuciłam okiem na wóz. Mała zawlecзка przy kole była na swoim miejscu.

Uspokojona wróciłam i pozwoliłam pomóc sobie wgramolić się na sanie. Ruszyliśmy do wsi, a ja dopiero teraz zaczęłam się naprawdę denerwować.

– Mocno pobity? – spytałam, gdy wyjechaliśmy na drogę wzdłuż lasu.

Bimbrownik westchnął i obejrzał się, sprawdzając, czy młody Rowiński jadący moimi starymi saniami zaprzęgniętymi w moje stare koniki jest wystarczająco daleko.

– Mocno. Leży bez przytomności. Nogę ma dziwnie wygiętą, cały posiniaczony, skrwawiony. Gorączkuje.

Zakłęłam pod nosem.

– Kto pobił?

– Nie wiadomo. Ksiądz zabronił szukać. Sam chodziłem trochę się rozejrzeć, ale tylko ślady na śniegu widziałem i krew. Chłopaka znalazł syn Janki, jak wracał z chrustem. Inaczej by mi tam dzieciak skapiał.

– Ksiądz zakazał? – spytałam z niedowierzaniem.

Stary kurwiarz może i był wredny, może i mnie nie lubił, ale mordobicia nie tolerował. Po bójce każdy jej uczestnik, zanim dostał rozgrzeszenie, musiał krzyżem leżeć na posadzce, dokładnie tam, gdzie pod kiepsko załataną dziurą w dachu zawsze zbierała się woda. Bo przecież ludzie wiedzieli, że bez tego rozgrzeszenia mają zapewnione piekło i wyjątkowe wymyślne tortury na genitaliach.

– Nie proboszcz, wikary.

– Jaki wikary?

– Przyleciał cztery niedziele temu. Takim dronem, co to synowi o nich mówiłaś.

– Dronem? – Nie mogłam uwierzyć. – Jak ten dron wyglądał?

– Taki lśniący, z plastiku. Skrzydła miał jak żagle omegi, strasznie hałasował i wiatr wzbudzał wiatrakiem.

– Motolotnią! – krzyknęłam zaskoczona. – Miał szmaciane skrzydła u góry i wiatrak dmuchający w tył? – upewniłam się.

Przytaknął.

– Mądry, taki jak ty, czyta kazania z papieru i Biblię czyta, a cięty jest na ciebie! W pierwszą niedzielę mówił, że ci gospodarstwo spłonęło i że to anieli z ognistymi mieczami przyszli wypalić gniazdo szatana. Zakazał wtedy do ciebie przychodzić. Mówił, że u innych grzeszników też mogą pożary wybuchnąć. Nie wierzyłem mu, ale widzę, że twoja obora naprawdę spłonęła.

– Bo ją pewnie chuj sam podpalił albo kogoś najął! Pobicie Michasia to pewnie też kara za czary?

– Tak – potwierdził przybity. – Zaraz jak przyleciał, przyszedł do mnie i namawiał, żebym duszy syna nie wydawał na potępienie. Żebym go dał na ministranta, a potem na księżowskie nauki, a nie pozwalał czarów uczyć, duchów i demonów przyzywania.

– Pogoniłeś go? – spytałam.

Zawstydził się.

– Powiedziałem, że teraz śniegi i mróz, dlatego nie sposób syna odebrać, ale po odwilży zabiorę go od ciebie i do kościoła przyprowadzę.

Skinęłam tylko głową. Wiedziałam, że w tej walce byłam na straconej pozycji. Obrotny ksiądz mógł zaszczyć rodzinę, a przecież Staszek poza Michasiem miał jeszcze dwóch synów i dwie córki.

– Najpierw zajmiemy się Michałem, a potem księdzem. W obu przypadkach się nie mieszaj, jasne?

– Dobrze, Starsza – odpowiedział cicho, prawie potulnie.

Kątem oka widziałam, jak ociera łzy. Demonstracyjnie spojrzałam na mijane krzaki dzikiej róży. Nie zamierzałam go pocieszać. Poza tym sama byłam gotowa za chwilę się poryczeć, a nie było gorszego scenariusza od trzymających się w objęciach i wyjących z żalu chudej starowiny i czterdziestoletniego, postawnego faceta, i to dokładnie w środku pola widzenia jadącego za nimi parobka.

Przez resztę drogi nie rozmawialiśmy.

Na wjazd do wsi odpowiednio się przygotowałam. Walcząc z bólem krzyża, wyprostowałam się, oparłam dłoń o udo. Po chwili zastanowienia sięgnęłam po torbę i położyłam ją sobie na kolanach. Staralam się trzymać głowę wysoko, ale przez to widziałam tylko krawędzie dachów. Było wczesne popołudnie – pora obiadowa – i może dlatego napotkaliśmy niewielu przechodniów, a ci, którzy nas mijali, nagle wgapiali się w swoje stopy i odchodzili, omijając wóz szerokim łukiem. Nawet Zarembowie, nawet Janka, która po prostu na nasz widok uciekła śmiesznym truchtem. Oczywisty wpływ nowego księdza. Staszek też widział te reakcje, ale milczał, więc i ja nie zamierzałam poruszać tematu. Nagle zdałam sobie sprawę, że zapomniałam o czymś ważnym.

– Zatrzymaj się – poleciłam.

Staszek ściągnął lejce, a ja z torbą w dłoni zeszałam z sań i starając się zachować dumną postawę, energicznie pomaszero wałam w stronę furtki

prowadzącej na teren parafii. Nie oglądałam się, choć byłam pewna, że wioska mnie obserwuje. Cała wieś, cały organizm, który pielęgnowałam przez tyle lat. W kościach czułam, że coś się zmieniło. Nawet psy szczekały jakoś inaczej. Powietrze drgało od napięcia, gdy wkraczałam na wrogi teren. Jeszcze niedawno neutralny – autonomiczny, jak autonomiczna była moja kolonia, a wiele lat temu przyjazny. Minęłam kościół i stanęłam przy grobie księdza Marka. Topniejący śnieg na ścieżce i kamieniu był nietknięty. Położyłam torbę i klękłam. Rękami zgarniałam śnieg i noski klonowe z pomnika, palcami, z pietyzmem, czyściłam wyryte w kamieniu litery. Potem złożyłam dłonie i ciepłe uczucie dla pogrzebanego tu człowieka wróciło momentalnie. Chciałam zostać w tym miejscu, trwać tak przy tym grobie i tych myślach, ale byłam potrzebna gdzieś indziej.

Wjechaliśmy na podwórze dostatniego gospodarstwa, a właściwie dwóch połączonych gospodarstw. Dziadkowie Staszka, gdy tylko się wprowadzili, zajęli piętrowy dom typu kostka, wtedy pewnie jeszcze nowy lub odnowiony tuż przed wojną, bo miał centralne ogrzewanie i piec na olej w piwnicy, plastikowe okna i jadowicie fioletowy, blaszany dach. Na szczęście farby blakły, a gospodarzom nigdy nie przyszło do głowy szabrowanie starych magazynów w poszukiwaniu podobnie koszmarnego odcienia. Wkrótce po wprowadzeniu się zburzyli mur oddzielający budynek od sąsiedniego gospodarstwa, mocno już zniszczonego, z oborą chylącą się ku ziemi i tylko dwiema ścianami pozostałymi po chlewiku. Dom też był w nie najlepszym stanie. Ale Kanie zakasali rękawy i powoli remontowali wszystkie budynki. Stary Mirek Kania, pradziad Michasia, miał smykałkę do interesów, a przy tym harował jak wół: od świtu do nocy, od poniedziałku do niedzieli. Nawet zimą, gdy życie we wsi zwalniało tempo, Kania wraz z synami czekali na cieplejsze dni i jechali wozem lub saniami do lasu. Zwozili dębinę, korowali ją własnoręcznie sporządzonym ośnikiem, wyrównywali i układali w odbudowanej stodole, podkładając deszczułki, żeby się deski nie wypaczyły. No i to on jako pierwszy kupił przywiezione przez handlarzy ziarna siewne, soczewicę, pasternak, buraki i rzepę, i to wszystko wysiał lub posadził. A miał facet do roli rękę, nie ma co. Jego synowie po śmierci ojca podzielili gospodarstwo, ale nie pola. Gospodarowali razem i z czasem wykupili jeszcze jednego sąsiada, który nie tylko kłócił się ze wszystkimi, w tym z księdzem Markiem, ale którego też ciągnęło do cywilizacji. Jak nie proponował budowy elektrowni, to myślał o kanalizacji. Byleby cywilizacja była. Cywilizacja, postęp i do

przodu. Pozbierać maszyny z pól, naprawić, zatankować, a życie stanie się prostsze. Ostatecznie, po latach prób złożenia czegoś sensownego z resztek ciężarówka, kombajnu, ciągnika i chyba jakiegoś skutera, facet zupełnie zdziwaczał, sprzedał gospodarstwo i wyruszył do Jańsborga. Dobra passa Kaniowych potomków za to trwała i utrzymywała się po dziś dzień. A raczej po wczorajszy dzień. Co prawda większość rodziny wyjechała, wżenając się w majątki w Kociołku Szlacheckim, obecnie zwanym Rakowem, i w Gutach, ale zawsze w Okartowie pozostawał przynajmniej jeden gospodarz.

Należące obecnie do Staszka gospodarstwo było modelowo utrzymane. Liście i śmieci wygrabione, zwierzęta zadbane. Nawet ubytki w ścianach otynkował, co przy obecnym kiepskim dostępie do materiałów wymagało znajomości i sprytu. No i przeniósł się do starego domu, który był mniejszy i łatwiejszy do ogrzania, a przy tym znajdował się bliżej zabudowań gospodarskich.

Marek Rowiński, brat Tomka, przejął konie. Chwilę później biegłam starczym truchtem w stronę wejścia, opierając się na ramieniu gospodarza, który niósł moją torbę. Zofia Kania już stała na ganku w wełnianym szalu zarzuconym byle jak na ramiona. Oczy miała opuchnięte i wyglądała staro. Zupełnie inaczej niż na targu i później, gdy jej syn był chwalony przez całą wieś, napełniając serce matki dumą. Tylko jej skinęłam, udając, że nie widzę, jak źle wygląda, i bez wycierania butów udałam się prosto do sypialni wskazanej przez Staszka.

Mimo marnego światła od razu dostrzegłam, że obrażenia Michasia są poważne. Twarz, tułów i kończyny pokrywały ciemne siniaki. Jedno oko było całkowicie zapuchnięte, niektóre rany nadal lekko krwawiły, a noga?... Na widok prawej nogi chłopca aż podniosłam dłonie do ust. Obejrzałam oczy. Cienie pod nimi były zwykłymi siniakami. Przysunęłam bliżej zabraną ze stolika obok lampę i z pomocą ojca obróciłam poturbowanego na bok. Z torby wyjęłam nożyczki chirurgiczne i przecięłam szarpie. Światło wątego płomyka zagrało na kawałkach szkła, wystających z kilkunastu ran.

– Przynieś mi miskę, wodę i spirytus. I daj tu któreś dziecko.

– Które? – spytał zaskoczony Staszek.

Jego żona już krzątała się z hałasem, szukając w kuchni odpowiedniego naczynia.

– Takie z najsprytniejszymi rękami.

Wyszedł, by po chwili wrócić z córką, bladą z przerażenia i bliską płaczu. Miała na oko osiem lat, może trochę mniej. W palcach ścisnęła koniec ciemnoblonde warkocza z wplecioną wstążką. Klęknęłam z trudem na podłodze.

– Cześć, dziewczynko. Jak masz na imię?

Coś szepnęła, ale nie dosłyszałam.

– Jak? Ja już stara jestem i nie słyszę dobrze... Agatka. Bardzo ładnie. Ja jestem Koślawa, bo mam taką brzydką buzię, ale możesz do mnie mówić „babciu”. Wiesz, że twój brat jest bardzo chory?

Przytaknęła, nie puszczając warkocza.

– Ale my go wyleczymy, tylko będziesz musiała mi pomóc, dobrze? Najpierw pójdz do mamy i dokładnie umyj ręczki. Potem ich nie wycieraj, od razu przybiegnij tutaj z mokrymi. I niczego nie dotykaj. Niech umyje w innej misce – poleciłam ojcu, który poszedł z Agatką.

Chwilę trwało, zanim wrócili. Ja w tym czasie wyjęłam z torby i rozłożyłam na małym stoliku bandaż, kilka kawałków tkaniny, butelki z lekami, gazy, narzędzia, lupę jubilerską, stetoskop, termometr, szarą taśmę klejącą, maść z arniką, kryształki nadmanganianu potasu w zakorkowanej probówce, ałun w sztyfcie, moją starą szklaną strzykawkę, penicylinę, żyłkę wędkarską, zagiętą igłę i jeszcze zwykły zestaw krawiecki. Do tego latarkę, którą Michaś zachomikował po pożarze, a potem zwrócił skruszony któregoś dnia, gdy mu powiedziałam, że od czytania przy takim świetle oślepnie. Wytarłam też dokładnie okulary.

– Agatko. – Ponownie zwróciłam się do dziewczynki. – Najpierw przetrę ci ręczki watką, a potem dostaniesz takie specjalne szczytce. Chwyć je tak, żeby ci było wygodnie.

Zdezynfekowałam małej ręce i podałam jej pincetę. Przez moment przymierzała ją do małej dłoni, ale po chwili już klekotała nią jak stary chirurg.

– Bardzo dobrze. A teraz pomożesz bratu. Ja ci będę świecić takim specjalnym światłem, a ty wyjmiesz tymi kleszczami wszystkie kawałki szkła, które zobaczysz. Nie bój się. Michaś bardzo mocno śpi i nic go nie będzie bolało. Jeżeli się zmęczysz, to powiedz, wtedy zrobimy sobie przerwę.

Aż wstrzymała oddech z wrażenia. Zaczęłam kręcić korwą latarki i po minucie znowu wzbudziłam zachwyty dziewczynki, gdy śnieżnobiałe światło diody spoczęło na poranionych plecach chłopca.

– O, tutaj. – Wskazałam ranę.

Dziewczynka klękła obok mnie, najwyraźniej nadal pamiętając, żeby niczego nie dotykać, i z początku nieśmiało manewrowała pincetą, a potem zdecydowanie wyszarpnęła kawałek szkła. Upuściła go na rozłożoną chustę i od razu wskazała palcem następny. Operacja szła sprawnie i po półgodzinie Staszek mógł już podnieść mnie z podłogi i posadzić w fotelu w rogu pokoju. Masowałam obolałe kolana. Nie pomyślałam, żeby sobie przynajmniej podłożyć poduszkę.

Ale to nie był koniec. Rany po czyszczeniu krwawiły. Podałam Zosi Staszkowej próbkę z nadmanganianem potasu i kazałam rozpuścić trochę w wodzie, tak aby roztwór był lekko brunatny, a sama przystąpiłam do szycia. Tu akurat nikt nie mógł mnie wyreczyć, dlatego podałam Staszkowi latarkę, z trudem znów klękłam, tym razem na poduszce, i zaczęłam zszywać co większe rany. Wymagających przynajmniej jednego szwu było siedemnaście. Pozostałe przemyłam roztworem nadmanganianu i przykryłam gazą przymocowaną cienkimi paskami taśmy klejącej, byleby tylko nie odpadła przy wiązaniu bandażu. A tych na szczęście zabrałam mnóstwo.

Po dłuższym odpoczynku przystąpiłam do opatrywania pozostałych obrażeń. Czułam się wykończona, a przecież było dopiero wczesne popołudnie. Upewniwszy się, że chłopak na pewno jest nieprzytomny, delikatnie podniosłam wykręconą stopę i zaczęłam po kolei macać skórę, szukając naruszonych kości i nietypowych wybrzuszeń. Rodzice obserwowali moje poczynania, Zosia Staszkowa łkała cicho. Kostki nawet nie macałam, tak była opuchnięta. Sprawdziłam tylko motorykę, wyginając stopę w górę, w dół i na boki. Złamania leczyłam rzadko, a skomplikowanych nie leczyłam praktycznie nigdy, ale nie było wątpliwości, że nawet przed wojną bez skalpela, wiertarki, śrub, gwoździ i dziwnych rusztowań by się nie obyło. Tutaj niewiele mogłam pomóc.

– Połamana. Trzeba nastawić, a to będzie wymagało siły. Zabierz wszystkich z pokoju i wróć mi pomóc – poleciłam ojcu chłopaka.

Przytaknął bez słowa, jak to miał w zwyczaju, i po chwili usłyszałam kroki matki i córki, które wyszły do kuchni.

Kości nastawialiśmy na wycucie. Najpierw udową, z którą było najwięcej roboty. Udo usztywniłam prowizorycznie łąbkami. Kolano było całe, ale niżej masakra. Postanowiłam po prostu wyciągnąć stopę w dół i starać się naciągniętą przywrócić do naturalnej pozycji. Czy to pomoże?

Cholera wie. Główne zadanie należało do ojca, bo ja po prostu nie miałam dość siły. Ciągnął z wyczuciem, ale silnie, a jego łyzy kapały na pościel. Nastawioną część kończyny od razu wiązałam i usztywniałam, dbając, żeby nie wiązać za mocno, nie zablokować dopływu krwi. Potem obmacałam rękę Michasia. Jedna z nich też była mocno opuchnięta, co zauważyłam już wcześniej. Pomacałam przedramię. Złamanie było bardzo prawdopodobne.

Po tym zabiegu Staszek wyglądał na bardziej wyczerpanego ode mnie. Poprosiłam, żeby mi przygotował jakieś łóżko i posadził kogoś przy chłopaku.

– Cokolwiek się będzie działo, jakakolwiek zmiana, masz mnie wyciągnąć z wyra. Choćbyś musiał mnie nieść, jasne?

Kiwnął głową i poprowadził mnie do już przygotowanego pokoju. Upewniwszy się, że niczego mi nie brakuje, zamknął drzwi. Usiadłam w fotelu i przymknęłam oczy. Próbowałam się wyciszyć. Wiedziałam, że Staszek sam będzie czuwał przy synu.

– Jest poprawa – oznajmiłam, wychodząc kilka godzin później od pacjenta. Wypoczęta i mniej oszołomiona byłam w stanie bardziej trzeźwo ocenić stan chłopca.

Cała rodzina czekała w napięciu. Matka Michasia płakała, ojciec tępo gapił się w podłogę. Czwórka rodzeństwa walczyła o latarkę.

– Ma wstrząśnienie mózgu. Trochę to potrwa, ale na dniach powinien odzyskać przytomność. Może jutro. Majaczy, a to dobrze, bo jest tylko nieprzytomny, nie w śpiączce. Dostał leki na zabicie gorączki, opatrzyłam mu rany. Całe szczęście, że żaden z bandytów nie miał noża, a tylko pałki z jakimiś kolcami z kawałków szkła. Nie ma uszkodzonych organów wewnętrznych, a rany są czyste i będą się dobrze goić. Tyle dobrych wiadomości.

– Dzięki, Starsza. – Ojciec wyraźnie się uspokoił. Wyprostował się, jakbym tymi informacjami zdjęła mu z ramion dwie tony.

– Teraz złe – przerwałam. – Prawa noga jest złamana w wielu miejscach. Kilka złamań i pęknięć kości stopy, obita, a pewnie i pęknięta kostka. Złamanie którejś kości podudzia, może obu. Założyłam szyny, usztywniałam wszystko, ale i tak noga prawdopodobnie nie wróci do pełnej sprawności. To byłoby trudne, nawet przed wojną.

– Co to znaczy? – spytała matka.

– To znaczy, że będzie kulą, pewnie poważnie. Możemy z tym walczyć za pomocą różnych ćwiczeń, ale więcej niż w przypadku córki Zarembów

raczej nie osiągniemy. Bardzo mi przykro – dodałam, bo naprawdę było mi przykro. – Lewa ręka jest w dużo lepszym stanie. Powiedz – zwróciłam się do Staszka – w jakim stanie Michasia znalazł młody Jankowy?

– Mówił, że krwawił i jęczał.

– To podziękuj chłopakowi, uściskaj go i daj mu świniaka. Prawdopodobnie spłoszył bandytów i uratował ci syna. Ręka jest ładnie złamana. Cztery tygodnie w łubkach i powinna zrosnąć się bez problemu. Noga ma być sztywna przynajmniej przez sześć tygodni, a najlepiej osiem. Jak Michaś się obudzi, to sprawdzimy, czy porusza palcami. Dla was to tyle. Pacjent otrzymał wszystkie leki i teraz powinien w spokoju wypoczywać. Potem pokażę, jak zmieniać opatrunki, nakładać maści i podawać krople, poza tym zostanę tu jeszcze kilka dni. Młody ksiądz mieszka ze starym? – spytałam, szykując się do wyjścia.

– Starsza, słuchaj... – Staszek próbował mnie zatrzymać.

– Nie. Klecha pobił mi ucznia i prawdopodobnie podpalił obórkę, w której Michaś spał. Ty nie idziesz, bo masz rodzinę. Mnie czarny nic nie zrobi. Bo co, zabije? Już dawno powinnam leżeć w grobie. Mieszka ze starym?

Staszek przytaknął. Z trudem przeszłam do wieszaków przy wiatrołapie. Założyłam czapkę i rękawiczki, narzuciłam wojskową kurtkę Michasia, w której przyjechałam, i poszłam przedstawić się wikaremu.

Nie bałam się. Byłam przerażona. Do kościoła nie było daleko – kilka chałup, ale szłam wolno, starając się nie zginać i nie prostować obolałych kolan. W grudniu o tej godzinie było już ciemno. I pusto, bo co robić po zmroku na ulicy? Szłam przez wieś, wywołując ujadanie psów. Miałam absolutną pewność, że wieści o moim przyjeździe zdążyły się już roznieść. Wikary też pewnie wiedział o mojej niespodziewanej wizycie, mimo to nikt nie wyglądał zza firan, nikt nie zerkał przez szczelinę w drzwiach. Z okien padało światło świec i lamp olejowych lub naftowych.

Nie znałam tego wikarego, nie widziałam o nim zupełnie nic. Czyta, czyli nie pozwoli się owinać wokół palca jak proboszcz. Poza tym jest zdecydowany, radykalny. Podpalenie i pobicie? Nawet nie pobicie, bo to przecież była próba zabójstwa, i to wszystko najwyraźniej usprawiedliwione wolą Bożą. Przeszłam przez furtkę w niskim zardzewiałym płocie otaczającym kościół i wykopaną w zmrożonym śniegu ścieżką skierowałam się na plebanię, która stała na prawo od świątyni.

Załomotałam w drzwi. Otworzyły się po chwili. Przede mną stał wysoki i chudy mężczyzna w czarnej sutannie, w wieku około trzydziestu lat, czarnowłosa, gładko ogolony, o śniadej cerze. Ciemne, świdrujące oczy wgapił w środek mojej twarzy, jakby chciał ją przeświecić.

– Jak mogę ci pomóc, córko?

– Żadna tam córka. Ty jesteś nowym księdzem? – Zaatakowałam bez przywitania.

– A ty pewnie jesteś tą czarownicą. Przyszłaś się wypowiadać? – odpowiedział spokojnie z dziwnym akcentem. Złożone w piramidkę dłonie podkreślały jeszcze ten spokój. – Najpierw zapraszam na mszę, potem do kancelarii, a dziś zmów różaniec za swoją skalaną duszę.

– Ja, wypowiadać? To nie ja nasyłam zbirów i podpalaczy. Chłopak leży nieprzytomny w domu rodziców, a ty zabraniasz szukać sprawców! – darłam się na gówniarza.

– Sprawcy wypowiadali się i przyjęli pokutę. Należy im się wybaczenie. Przed Bogiem są ułaskawieni.

– Ty gnido! Sam ich nasłałeś, jak tego podpalacza. – Zablefowałam ponownie.

– A czyż jestem stróżem braci moich? Zaprzestań szatańskich praktyk, a spłynie na ciebie łaska Pańska.

Kurwa, trafiłam na jakiegoś nawiedzonego kaznodzieję! Trochę zbił mnie z tropu, dlatego nie warto było brnąć dalej bez przygotowania. Wiedziałam, że zostanę we wsi dłużej. Już nie tylko ze względu na pacjenta, a raczej pacjentów. Wiedziałam, że w tej sytuacji będę musiała zebrać na nowo własną trzódkę.

– Radzę ci, wynoś się do Rzymu. Tam jest miejsce takich nawiedzonych szamanów. A raczej na zgliszcza po Rzymie.

Roześmiał się.

– Zgliszcza? Rzym przed wojną ocalała ręka Pańska. Nie spadła żadna bomba, nie było gazów. Najświetniejsze stolice, najpiękniejsze miasta ginęły, a Rzym trwał. Bo Rzym to wieczne miasto. Zapamiętaj to sobie. Przyjdź w niedzielę – dodał, przymykając drzwi. – Kazanie będzie poświęcone szczególnie zagubionej duszy. Z Bogiem.

Stałam jak skamieniała na pogrążonej w ciemności ścieżce. Oto do mojej wioski... do mojej wioski!... do mojego domu przyjechał niebezpieczny pojeb. Bardzo niebezpieczny, który nie tylko mógł mi szkodzić, odstraszać pacjentów i torpedować moje wysiłki, jak stary

wielebny, ale po prostu mnie zabić, jak próbował zabić Michasia. Bo po tej rozmowie byłam już pewna, że to on nasłał zbirów na chłopaka. Byłam w szoku. Po raz pierwszy od początku mojej działalności w charakterze Wiedzącej nikt mnie tak nie potraktował. Uciekali, kryli się przede mną, kłamali, unikali, ale nikt nigdy nie powiedział mi w twarz, że mną gardzi i że mogę mu nabimbać. Taki szczył! Starszej kobiecie!

Było tylko jedno rozwiązanie. Nie mieliśmy kodeksów, przepisów, paragrafów. Nieliczne kwestie porządkowe rozwiązywał proboszcz, nakładając pokutę, pozostałe problemy rozwiązywano na zebraniach wioskowej starszyny. Do proboszcza nie miałam po co się udawać, dlatego po raz drugi w życiu zamierzałam w dzień nietargowy zebrać starszyny i z jej pomocą przekonać nowego wikarego, że nawet jeżeli lata motolotniami, nie jest w Okartowie mile widziany. Przekonać choćby widłami. Dlatego musiałam zdobyć sobie sprzymierzeńców, a przynajmniej zredukować liczbę przeciwników. Obecnie byłam w punkcie zerowym. Nie znałam nowego księdza, nie znałam nastrojów. Zaniedbałam zbieranie informacji i plotek. Przy czym plotki były często najlepszym źródłem informacji. Trzeba będzie od jutra przywrócić programy profilaktyki i higieny. Zaczynając od sołtysa.

Wkurzona ruszyłam w stronę gospodarstwa Kaniów. Nie zamierzałam działać na gorąco, choć sprawa była pilna. Potrzebowałam wypoczynku, nawet nie snu, bo tyle było do przemyślenia, ale musiałam wyciągnąć się na wygodnym łóżku, rozprostować obolałe kolana, przykryć się pierzynami pod samą szyję i po prostu pomyśleć.

Michaś odzyskał przytomność. Trochę za wcześnie, bo było jeszcze szaro, gdy podniecona Zofia wpadła mnie budzić. Czekwała przy drzwiach, patrząc w drugą stronę, aby zapewnić mi trochę prywatności, ale po kilku nieudanych próbach podniesienia się w końcu zmuszona byłam zawołać ją i poprosić o pomoc. Prawe kolano było wyraźnie spuchnięte. Obrzęk na lewym wydawał się mniejszy. Powoli poprowadziła mnie do schodów, potem korytarzem do sypialni zajmowanej przez Michasia. Poprosiłam o podstawienie krzesła przy łóżku i pozostawienie nas na chwilę.

Dzieciak wyglądał marnie. Twarz miał opuchniętą tak, że nie mógł otworzyć lewego oka, głowę obandażowaną, dwie kończyny i cały tułów szczelnie owinięte. Biedna mumia. Oglądałam przez chwilę opatrunki, czy któryś się nie zsunął lub czy nie sączy się przez nie krew, a potem usiadłam.

– Będziesz żył.

– Placebo? – spytał, po czym kaszlnął i wykrzywił twarz z bólu.

Dotknęłam jego czoła. Temperatura zdecydowanie spadła, ale i tak wzięłam ze stolika termometr i wetknęłam go chłopakowi pod pachę.

– Nie ma śladów infekcji, rany są oczyszczone i opatrzone, niektóre zszyte, brak urazów organów wewnętrznych. Gorączka spadła, pacjent reaguje na leczenie. Jakie rokowania?

– Będę żył – odpowiedział z wysiłkiem, a nawet chyba się uśmiechnął.

– Dziękuję.

– A za co? Robię swoje – odburknęłam, ale po chwili usiadłam na krawędzi łóżka i chwyciłam jego dłoń. Głaskałam go przez chwilę po bandażach na głowie.

– Jak się czujesz? – spytałam spokojnym, niemalże czułym głosem, po raz pierwszy odrzucając mentorski kamuflaż, obnażając się.

Wykrzywił usta w podkowę, a z oczu popłynęły mu łzy.

– Boli.

– Wiem, że boli, ale przestanie. – Też czułam, że oczy mi wilgotnieją. – Przez trzy dni będziesz dostawał laudanum, ale najpierw musisz mi powiedzieć, co się zdarzyło. Opisać sprawców.

Zmarszczył czoło, a po chwili rozplakał się na całego.

– Nie pamiętam. Nic nie pamiętam!

Pochyliłam się i delikatnie go objęłam, starając się nie urazić świeżych ran.

– To normalne. Wszystko będzie dobrze. Będziesz jeszcze jakiś czas leżał, a gdy ci się polepszy, to wrócimy do nauki i do czytania. Na razie musisz odpoczywać. Przyniosę lek, dobrze?

Wstałam i podeszłam do torby, która leżała na drugim, pustym łóżku. Podałam płyn na łyżeczce – Michaś skrzywił się od gorzkiego smaku. Przeprosiłam go na chwilę i przeszłam do sąsiedniego pokoju, gdzie rodzice przenieśli jego bagaż. Z plecaka, w który spakował się przed opuszczeniem gospodarstwa, wyjęłam książkę. Zasuszonym liściem klonu zaznaczył sobie miejsce, do którego doczytał. Usiadłam przy nim ponownie i czytałam:

– *Obudziłem się w swoim własnym łóżku. Jeśli tamto nie było sennym koszmarem, sam hrabia musiał mnie tu przynieść. Próbowałem jakoś rozstrzygnąć ten problem, ale nie doszedłem do satysfakcjonujących wniosków. Moje ubrania były poskładane niezgodnie z moimi przyzwyczajeniami. Zegarek był nienakręcony, mimo że rygorystycznie*

przestrzegam zasady, aby nakręcać go przed snem. Fakty te to jednak nie ostateczne dowody, bo przecież mój umysł działa teraz inaczej niż zwykle i jestem ostatnio wciąż zdenerwowany. Muszę znaleźć dowód. Z jednego tylko się cieszę. Jeśli to hrabia mnie tutaj przyniósł i rozebrał, musiał się przy tym bardzo spieszyć, ponieważ moje kieszenie są nietknięte. Jestem pewien, że ten dziennik stanowiłby dla niego zagadkę nie do rozwiązania. Zabrałby go lub zniszczył. Rozglądam się po moim pokoju, który mimo iż napawa mnie lękiem, stanowi teraz dla mnie coś na kształt sanktuarium, bo nie może być niż potworniejszego niż te straszne kobiety, które tylko czekały, ba, czekają, na to, aby wysać ze mnie krew³.

Gdy zasnął, po cichu opuściłam pokój. Gestem dałam znak matce, że chłopak śpi. Gdy tylko zamknęłam drzwi, sztywno kuśtykając poczłapałam do kuchni.

– Staszek, dawaj tu sołtysa.

– Leć – polecił bimbrownik młodszemu synowi, Kubusiowi, który od razu wstał z taboretu i pobiegł po kurtkę.

Ja w tym czasie zbierałam siły przed długą i trudną rozmową.

³ B. Stoker, *Dracula*, przeł. Agnieszka Myśliwy, Vis-a-Vis Etiuda, Kraków 2015, s. 51.

9.

My, Rada Starszych wsi Okartowo, gmina Pustkowie Orzyskie, powiat jańsborski, jako ustawodawczy i wykonawczy organ administracyjny, zważywszy na rosnące napięcie wywołane przybyciem nowego wikariusza do Parafii Okartowo;

zważywszy na kwestionowanie mandatu Rady Starszych przez Państwo Watykan;

ogłaszamy przyjęte przez aklamację stanowisko dotyczące stosunków między Parafią Okartowo a władzami świeckimi...

Najlepiej byłoby dać sołtysowi czas na wytrzeźwienie, ale nie zamierzałam zwlekać, szczególnie że wszyscy już wiedzieli o mojej obecności we wsi. Musiałam dać sygnał.

Sołtys ledwo trzymał się na nogach, dlatego Staszek, bezceremonialnie trzymając go za barki, popchnął w stronę kuchni, gdzie stało przygotowane krzesło. Posadził mężczyznę dokładnie naprzeciw mnie.

– Zwołasz radę starszych, ale bez księdza – poleciłam, nie dając mu czasu nawet na przywitanie.

Trudno powiedzieć, czy w ogóle zrozumiał moje słowa.

– Aposo? – wybełkotał po chwili.

– Bo masz w wiosce problem i doskonale o tym wiesz. Musimy się naradzić, co zrobić z nowym klechą.

– To twój problem.

– Nie mój, tylko nasz. Chcę zebrać starszych jak przed laty, gdy szalony Tomasz ganiał z siekierą, i mam do tego prawo. A ty wykonanie tego prawa mi zagwarantujesz. Dziś przed zmrokiem w nowym domu Staszków. – Spojrzałam na gospodarza, który potwierdził, że się zgadza.

– Se rób – powiedział sołtys i chyba ostatecznie zasnął.

– Staszku, ślij dzieci, niech przekażą starszym cechów i Jankowej, że sołtys zbiera radę. Tylko wszyscy mają trzymać gęby na kłódkę, bo nie chcę w środku spotkania niespodziewanej wizyty. I tak wikary się dowie, ale to przecież światowiec! – zakpiłam. – Nie pójdzie tam, gdzie go nie zapraszają.

Staszek zawołał dzieci, wydał im polecenia, rozdzielił, kto do kogo ma pobiec. Pozostało czekać do wieczora.

Niby wszystko sobie w nocy przemyślałam. Znałam delegatów na spotkanie od lat. Ba, niektórych znałam dłużej niż ich rodzice – w końcu wtedy jeszcze to ja odbierałam porody. No i znałam ich dziadków, czasami pradziadków. Znałam tajemnice rodzinne, ich domy, sekrety tych domów. Wszyscy mieszkańcy byli moją rodziną. Dopiero ubiegłej nocy zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę nie jestem samotna. Ci ludzie, których nie widuję często całe tygodnie i miesiące, są mi bliscy, a ja może nie jestem bliska im, ale jestem dla nich pewną podporą. Byłam tu, gdy się rodzili, i byłam, gdy umierali ich krewni; gdy odchodzili i przychodzili księża, sołtysi, starsi cechów. Okartowo się zmieniało, ale cały czas była jedna kotwica, która trzymała wszystkich w miejscu. To nie tak, że świadomie zamierałam pełnić rolę nadsóltysa i nadproboszcza. Nie. To wina tego cholernego księdza Marka. To jego wina, że polubiłam tych ludzi, że im zaufałam. Dałam się wciągnąć w te jego wielkie plany, żeby ze zlepka różnych ludzi z różnych stron stworzyć wspólnotę pokaleczonych przez wojnę wdów, wdowców i sierot. I ktoś tę wspólnotę musiał prowadzić, korygować. Kurwa, czemu to muszę być ja?

Spotkanie miało odbyć się na parterze nowego domu. Kiedyś z pewnością był to salon przebudowany z dwóch pomieszczeń, czyli pokoju i kuchni otwartej po zburzeniu ściany działowej. Staszek posłał parobków, żeby go ogrzali. Wymagało to pracy – piec olejowy nie miał paliwa, w budynku nie było szybów kominowych i samych kominków, dlatego mieli wstawić koksowniki wykonane z beczek i wypełnione kawałkami węgla drzewnego, drewna dębowego i jesionowego. Poleciał im też, żeby zza stodoły przynieśli płaskie kamienie i położyli przy piecu. Zaproszeni goście będą mogli później ogrzać o nie stopy.

Staszek osobiście wyprowadził, a praktycznie wyniósł sołtysa do pokoju, w którym leżał Michaś, żeby facet wytrzeźwiał przed spotkaniem. Pijany mężczyzna zasnął momentalnie i chrapał strasznie, przez co zmuszona byłam czytać chłopakowi głośniej niż zwykle. Przed obiadem sołtys obudził się i dołączył do nas przy stole. Chwilę po posiłku do drzwi zastukała Waldkowa. Nici ze sjesty – pomyślałam.

Rodzina Waldka, a po jego śmierci Waldkowej, była drugą najstarszą, z którą się przyjaźniłam. Wcześniej, gdy obowiązki zatrzymywały mnie we wsi na noc, zawsze pomieszkiwałam u Jurkowej. Jurkowa zmarła kilka lat

temu, a po śmierci jej wnuka stosunki z córką i zięciem stały się na tyle dziwne i wzajemnie niekomfortowe, że postanowiłam przenieść się z noclegiem i gabinetem do Waldków. Sama gospodyni okazała się bardzo sympatyczną i obrotną kobietą. Miała swoje wady, i owszem: żadna tajemnica lekarska nie była przy niej bezpieczna, ale odkąd zaczęła gorzej słyszeć i odkąd wprost jej powiedziałam, że jeżeli usłyszę poza gabinetem cokolwiek, o czym rozmawiałam z pacjentami, to jej urządzę piekło na ziemi, przestała podsłuchiwać pod drzwiami, a przynajmniej nie roznosiła już tych informacji po ludziach. Przy tym okazała się bardzo kompetentną położną, lepszą ode mnie. Wymagała przeszkolenia, musiałam jej wyjaśnić, na czym polegają porody pośladowe i podobne komplikacje, ale przynajmniej była na miejscu, no i wykazywała niezły dryg do „łapania dzieci”, jak sama to nazywała. Poza tym to właśnie ona koordynowała cotygodniowe sobotnie pieczenie chleba. U siebie w domu zorganizowała coś na wzór kółka gospodyń wiejskich – strasznie głośny kurnik łączący wymianę plotek i dobrych rad z szeroko pojętym rękodzielnictwem. Właśnie jako przedstawicielka okartowskich gospodyń weszła do starszyzny, zresztą za moją radą.

Waldkowa od razu poszła odwiedzić „biednego małego Michasia”. Najpierw odstawiła krzesło na miejsce, rozsunęła firany, bo przecież chłopak skapieje w takiej ciemnicy, z łóżka podniosła książkę, zamknęła ją i odłożyła na stolik. Chory zareagował odruchowo, ale natychmiast opadł na poduszki z wyrazem bólu na twarzy. Dopiero wtedy przy nim przysiadła i zaczęła radzić, jak najszybciej wrócić do zdrowia, a potem jak złapać sprawców. Nawet wymieniła kilku, dodając, że z całą pewnością to muszą być oni, bo podglądają przez okna kąpiącą się Knitprodównę, a ona też nie lepsza, bo chyba to lubi, skoro nie tylko się kąpie, a jeszcze okna odsłonięte zostawia.

Po tych wskazówkach i ku wyraźnej uldze chorego przeszliśmy wszyscy do kuchni. Staszkowa postawiła na stole ciasto i herbatę z lipy. Sołtys nie krył rozczarowania.

– Irka, co to za nowy ksiądz? Ty masz zawsze dobre oko do ludzi – schlebiałam Waldkowej.

– Ten młody, ładny? Ten, co to maszyną przyleciał? A pojęcia nie mam. Pierwszy raz coś takiego widzę. Niby taki grzeczny i spokojny, taki miły, parafian odwiedza i pieniędzy nie chce, ale zawzięty i źle mu z oczu patrzy. Masz nieszczęście, że akurat ciebie obrał sobie za cel. Uważaj na niego.

– Teraz już będę uważać. Przez nieuwagę straciłam obórkę, a uczeń leży tam, w pokoju, połamany.

Waldkowa zrobiła wielkie oczy.

– To ten ksiądz?! – spytała z niedowierzaniem.

– Tak podejrzewam. Obórka spłonęła po jego przybyciu, a w śniegu znalazłam ślady stóp. Podobno w kościele to ogłosił.

Wszyscy zebrani potwierdzili.

– I nikt inny wcześniej o tym pożarze nie wiedział? Nie mówili ludzie po wsi? – spytałam.

– Nie. Bym wiedziała – stwierdziła Waldkowa z pewnością w głosie.

Również Staszowie i sołtys kręcili głowami.

– No to mamy wskazówkę. A skoro nieszczęścia chodzą parami, to pewnie w pobiciu Michała też maczał palce. Ale nie osobiście. Nie stało się coś niezwykłego po jego przybyciu? Może ktoś się dziwnie zachowywał... Kto jest teraz przydupasem wikarego?

– Trudno powiedzieć – stwierdził sołtys. – Ksiądz zaprasza całe rodziny na plebanię, na modlitwę i po błogosławieństwo. Zawsze pojedynczo i może jednych częściej, a innych rzadziej, ale tego nikt nie sprawdza. Inaczej będzie wiosną i latem, gdy już ludzie z domów powychodzą, okna pootwierają, ale teraz nie sposób wszystkiego dopilnować.

Zabrnęłam w ślepy zaułek. Nic więcej już od nich nie wyciągnę, skończyły mi się pomysły na pytania.

– Dobrze. Tak czy inaczej musimy coś zrobić. Ksiądz czytały, potwierdził, że z Rzymu, czyli trzeba go najpierw biurokratycznie i urzędowo. Jako organ powołany i tak dalej...

– Już idą! – przerwała Agatka, która miała czuwać przy oknie od frontu domu.

Podnieśliśmy się z za stołu i przeszliśmy do wieszaków. Pierwszy ubrał się i wyszedł Staszek, do którego obowiązków, jako gospodarza, należało przywitanie pozostałych zebranych, a my, trójką, w swoim tempie, czyli raczej wolnym, przeszliśmy do drugiego budynku.

W miejscu narady temperatura była komfortowa, dlatego nikomu nie przeszkadzało, że ułożone na podłodze kamienie zdążyły już przestygnąć.

Usiadłam pomiędzy Waldkową i sołtysem, wkrótce dołączyła do nas Knitprodówna w zgrabnym bołerku z owczej skóry. Reprezentowała rybaków. Stanowisko przejęła po ojcu, gdy łowiący i wynajmujący od niej łodzie uznali, że mają ważniejsze sprawy na głowie niż zabawa w etykietki,

i przez ponad rok od śmierci Knitproda nie wyłonili nikogo na jego miejsce. Zaraz za dziewczyną przybyli oboje Drawscy w imieniu myśliwych, następnie Kania, ale niespokrewniony ze Staszkiem, reprezentujący bartników, Listek jako przedstawiciel rolników, trochę spóźniony Zaremba, jedyny we wsi szkutnik, jak zawsze z żoną, Jankowa w imieniu najuboższych i pracowników najemnych, a na koniec Wojnicki – jakiś odległy krewny Waldkowej, który był delegatem cieśli i drwali. Brakowało smolarzy, a raczej węglarzy, ale trzeba było już zaczynać. Staszek kazał parobkom zamknąć drzwi na klucz.

Bez żadnego wstępu wypaliłam do sołtysa. Facet się nie obrazi.

– Co się dzieje w twojej wiosce? Przyjeżdża jakiś obcy i wywraca wszystko do góry nogami.

– No, przyleciał nowy ksiądz – odpowiedział, wgapiony w podłogę. – Wielebny go przedstawił, że to ojciec Wojciech po studiach w Rzymie, nowy wikary, że kościół nas nie porzucił, wojna dawno się skończyła, dlatego mamy znowu żyć po bożemu. Potem poszłem do wielebnego wypytać go trochę o tego młodego. Sam nie wiedział, co się dzieje. Mówił, że pewnie dużo się zmieni. W następną niedzielę wikary od razu zabrał się za ciebie. Zabronił chodzić się leczyć, bo podobno nie leczysz, tylko czarujesz, a tym, którzy u ciebie byli, kazał się spowiadać. Krzyczał, że masz kozła, z którym robisz świństwa, że przyzywasz demony i diabły. Ja tam żadnego nigdy nie widziałem, poza tym to koza, a nie kozioł, ale niektórzy mu uwierzyli. Potem wielebny spytał, czy nie pogadam z wikarym, bo nie bardzo mu się podobają te nowe porządki, ale co ja mogę? – skończył, rozkładając bezradnie ręce.

Pogrzebał w torbie i po chwili podał mi książkę, ładnie wydaną. Na stronie tytułowej rozpoznałam stempel imprimatur... i niewiele więcej. Całość była po łacinie.

– Co to? – spytałam, kartkując i udając, że czytam.

– Tam Ojciec Święty napisali, że ksiądz wysłany i ma uprawnienia, żeby mnie odwołać czy co tam chce. Że może dużo.

Nie chciałam pokazywać wszystkim, że nie rozumiem, co tam sobie papa napisał, dlatego ze zrozumieniem kiwając głową, zatrzasnęłam dokument i oddałam sołtysowi. Pierwszy raz się zdarzyło, że znalazłam się w tym samym miejscu, co okartowskie chłopki, gdy przychodzili do mnie po poradę, a ja sięgałam po książki. Czułam rosnącą złość. Już wcześniej byłam wściekła, ale teraz gniew rozsadzał mnie od środka.

– Rowińscy wyjść – poleciłam, wskazując drzwi na korytarz.

Wykonali polecenie bez zwłoki. Gdy zamknęli drzwi, zdjęłam okulary, które coraz bardziej wciskały mi się w pulsujące skronie. Dłonie drżały mi ze zdenerwowania. Po odsunięciu szkieł świat przesłoniła mgła.

– Co tu się dzieje?! – spytałam sołtysa, a raczej jego rozmyty wizerunek w miejscu, które przed chwilą zajmował. – Pojawia się jakiś przybłęda z papierem, którego nie potrafisz przeczytać, a ty od razu oddajesz mu całą wieś? Gnoi mnie w kościele, straszy pacjentów, nawet proboszcz prosi cię o pomoc, a ty co? Tyle lat cię znam, od małego.

– Ale co ja mogę?

– Wszystko możesz! Jesteś sołtysem. Ludzie cię wybrali, bo potrzebują kogoś, kto będzie nimi kierował, zarządzał wspólnotą. I wiesz co? Ty naprawdę potrafisz to robić. Łagodzisz konflikty, rozstrzygasz spory, negocjujesz, namawiasz, odradzasz i to wszystko jakoś się kręci. Nawet z proboszczem umiesz rozmawiać, chociaż to straszny zakapior. Masz, chłopie, talent!

Zaczął się wiercić, słuchając tych pochwał. Dobra, pierwsza część kanapki odwalona. Czas na nagane.

– I teraz, po tych wszystkich latach pracy nad wychowaniem sobie okartowskich pozwalasz, żeby jakiś przybłęda wrzucił to wszystko do wychodka. A wiesz chociaż, kto to ten Ojciec Święty? Spytałeś, na jakiej podstawie sobie rości prawo do odwoływania tu kogokolwiek? A może całe zgromadzenie podpisało, ba, wszyscy gospodarze we wsi podpisali papier, że odtąd Okartowo podlega Rzymowi? O ile dobrze pamiętam, a wy wiecie, bo wam mówiłam, że Okartowo podlega pod Orzysz, a ponieważ Orzysz nie ma, to podlega pod Jańsborg, a w dalszej kolejności pod Olsztyn i Warszawę. A ponieważ Jańsborg i Olsztyn, czy cokolwiek z nich zostało, się nami nie interesują, a Warszawa nie istnieje, to rządzący się sami. To może zacznijmy się rządzić jak u siebie, co?

– Nie, no. Młody wielebny gładko gada w kościele. Nie jest skąpy, panien nie zwodzi, chociaż ładny. Co ja mogę? – powtórzył.

– Przede wszystkim możesz od niego zażądać, żeby się dostosował. Żeby nie wchodził ci w paradę i nie łamał praw, których tu wszyscy od lat przestrzegają. Zleca podpalenia, zleca pobicia. Jak ustawi na środku wioski stos, żeby mnie uwędzić na snopkach mokrej trzciny, to może wtedy się obudzisz! Zebraliśmy tę twoją radę gospodarzy, czy jak to nazywasz, to przygotujemy jakieś stanowisko. Przecież nie może tak być, że ksiądz ci bije

dzieci pod bokiem, a potem zakazuje karania sprawców! Widziałeś wcześniej coś takiego? Na każdym targu okartowscy kłócą się o znikające słoiki, ale prawdziwych kradzieży nigdy nie odpuściłeś. Nawet do mnie przychodziłeś pytać, który pacjent ostatnio płacił gotówką i ile płacił. Ty się zastanów, bo za miesiąc lub dwa będzie za późno. Wikary pozbędzie się Koślawej i zacznie szukać pomiotów szatana w wiosce, nasyłać jednych mieszkańców na innych, żeby przeprowadzili na niewiernych egzorcyzmy widłami w śledzionę. Wtedy będziesz mógł sobie starszych zebrać. Za taki pomysł ciebie pierwszego taczka wywiozą i w którymś jeziorze spławią. Zrób, żeby było jak wcześniej: ty rządź, ja leczę ciało, a ksiądz leczy duszę.

Milczenie trochę trwało. Sołtys rytmicznie zaciskał palce, Zaremba głaskał żonę po ramieniu, pozostali zaproszeni tępo gapili się w kubki z herbatą i wódką. W końcu sołtys się odezwał:

– Nie byłaś ostatnio na radzie.

– Czyli to moja wina?! – spytałam z wyrzutem. – Byłam przy pacjencie, przy wielebnym zresztą! Poza tym nie zmieniaj tematu, bo wtedy jeszcze młodego księdza nie było. Powiedz, co zamierzasz z nim zrobić? Pomogę. Ma odpowiedzieć za spaloną obórkę i za pobitego Michała. Niech sobie pieprzy dyrdymały z ambony, nic mi do tego.

– No, ale przecież masz kozę i jej nie doisz.

Ale mnie teraz wkurzył! Zamierzałam już się na niego wydrzeć, ale usadził mnie uspokajającym gestem.

– To znaczy ksiądz przecież mówił, że po tym poznać czarownicę. Ja mu nie wierzę, ale ludzie gadają...

– To źle, że gadają i że nie protestujesz, nie protestujesz. To twój obowiązek. To twój zasrany obowiązek! Wiesz, kto to był trybun ludowy? Taki bardzo ważny człowiek, który miał posłuch u ludzi i dlatego miał władzę. Gdy tracił posłuch, tracił też władzę, a chwilę potem głowę. Ty jeszcze masz wpływy, ale sam widzisz, że już topnieją. Boisz się rozmawiać z ludźmi o Koślawej? To źle. Masz zacząć mnie bronić, bo jestem ci cholernie potrzebna. Bo któregoś dnia będę potrzebna każdemu z was. – Wskazałam ręką zebranych. – Dziś Staszkom, wczoraj księdzu, a jutro sołtysowi, jasne? Tak masz mówić. Ksiądz nie poskłada ci ręki i nie wyleczy kolki. Ksiądz nie zatrzyma zarazy, która wybije całą żywinę w wiosce. Jestem ci potrzebna i pamiętaj o tym. Masz być trybunem ludowym. Nawet ci togę z zasłony zrobię.

Było mi go trochę żal. Przez tyle lat delikatnie budował swoją pozycję, starając się nie ingerować zbyt mocno, a tylko naprowadzał, sugerował. Działał zdecydowanie dopiero wówczas, gdy miał pewność, że była to naturalna konsekwencja owej harmonii. Dlatego nie patyczkował się ze złodziejami, dlatego też donosił księdzu, gdy doszło do bójki. Lubił spokój i do tego spokoju dążył. Lubił mnie tylko dlatego, że trzymałam się na uboczu i nie wchodziłam mu w drogę, bo wiedział, a i ja wiedziałam, że gdybym zaczęła fikać, to by sobie ze mną nie poradził. Nie był typem wojownika, ale teraz w wiosce pojawił się wojownik i chłop wiedział, że wynikną z tego kłopoty. Ale co mógł zrobić, jak powtarzał? Nie przeskoczy siebie, chyba że go do tego zmusić. Wygląda na to, że jednak zostałam nadsoltysem.

– Skoro nic nie możesz, to ja tym bardziej. Wypieprzam na swoją kolonię i będziecie sobie radzić sami. Wara od moich ziół, leków, antybiotyków, wara od mojej biblioteki. Nic nie sprzedam, nikogo nie przyjmę. Klinika zamknięta do odwołania. Ja sobie poradzę. Przez te wszystkie lata zebrałam dość pieniędzy, żeby mi do śmierci starczyło. Nie, nie przerywać mi! Pięćdziesiąt lat leczenia, opieki nad wioską! Pilnowania, żeby się ludzie sami nie potruili, odbierania porodów, łątania ran, składania złamań. I co z tego mam? Może lojalność, a może chociaż cień wdzięczności? A skąd! Pojawia się jakiś przybłęda i od razu wszyscy skaczą wokół niego! Za stara już jestem na toczenie wojen. Jedną już przeżyłam, drugą stoczyłam z wami o wasze cholerne sracze, trzecią o waszego pojebanego sąsiada, czwartą o wasze zęby, piątą o wasze zwierzęta. Mam dość wojen!

– Starsza, nie strasz. Ja pomogę – wtrącił się Staszek.

– Ty już mi w drzwi łap nie pchaj – odmówiłam. – Masz syna obitego, czwórkę dzieci zdrowych i całe gospodarstwo. Tym się zajmij. Nie będę ci trzeci raz powtarzać. Sołtys siedzi od lat na stołku, to niech wreszcie ruszy dupę i zapracuje na ten stołek.

– Nie, Starsza – znowu przerwał. – Pomogę, bo jesteś wiosce potrzebna, ale też wioska jest potrzebna tobie. Nie wystawiaj sołtysa do bitki z księdzem, bo wiesz, że nie podoła. Jak oberwie po dupie, to nam wszystkim się dostanie. My potrzebujemy ciebie, ale ty potrzebujesz tu przyjaciół i ich masz, tylko o tobie zapomnieli i chyba ty o nich zapomniałaś tam nad Kałużą. Nie pojawiaasz się w wiosce, a odkąd masz ucznia, nie przyjmujesz już tylu pacjentów.

– Nikogo nie odesłałam – zaprotestowałam.

– Ale wszyscy wiedzą, że chłopak się uczy i że masz mniej czasu. Bardzo na ciebie i na Michasia wszyscy liczymy. A teraz chłopak wymaga opieki. Sama nie podołasz, ale też my sami nie podołamy, dlatego zostaniesz u mnie i zajmiesz się wioską i synem. Przywieziemy wszystko, czego będziesz potrzebować, i zaczniesz robić swoje. Sołtys też zrobi swoje.

Zapadła cisza. Miał rację. Moja sytuacja byłaby inna, gdybym bywała w wiosce, jak jeszcze dziesięć lat temu. Przyjeżdżałam wówczas wozem przysłanym przez któregoś gospodarza, odwiedzałam domy, wypytywałam o zdrowie, badałam dzieci, czy się nie krzywią, sprawdzałam, czy studnie są zabezpieczone. Wracałam objedzona po poczęstunkach, wioząc zapasy przetworów, wędlin i jajek, ale też nowiny i plotki.

– Dobrze. Zostanę, dopóki chłopak nie wydobreje. Lepiej, żeby nie przerywał teraz nauki, dlatego za tydzień najpóźniej wrócimy do lekcji. Musimy tylko pojechać po leki, przybory, książki i kilka drobiazgów, które będą mi potrzebne. Ale dziś sporządzimy oświadczenie w imieniu zgromadzenia starszych, że to nasza wioska i my tu rządymy. Napiszemy to tak, żeby było zdecydowanie, ale grzecznie. Jeżeli ten ksiądz Wojciech faktycznie jest niegłupi, to się dostosuje albo wyjedzie.

Większość odpowiedziała na propozycję, kiwając głowami i mrużąc przyzwalająco.

– Staszku, poślij po papier i ołówek, jakieś powinny być w bagażu Michała. Będziemy formułować stanowisko.

– Zatrzymasz się u mnie na agroturystyce, Kośława? I tak stoi pusta do wiosny, a będziesz tam mieć spokój – zaproponował cicho sołtys. – Tam ciepło i znajdzie się miejsce dla chorych. Staszek i Jankowa roześlę dzieci po wiosce, żeby ci przyprowadzili ludzi.

– Wolałabym mieszkać bliżej Michała, ale ciebie stołek lepiej chroni przed księdzem, więc zatrzymam się u ciebie, tylko żeby mi pacjenci nie pomarzli – zgodziłam się. – Co dziś mamy? Piątek? To jutro rano pojedziemy na kolonię po leki. W wiosce zostanę do nowego roku, a potem się zobaczy. Podaj cenę za agroturystykę. Za trzy pokoje. Uczciwą – dodałam, gdy zaczął protestować. – Janka i Zarembowie, jutro wieczorem przyślijcie dzieci. Dawno ich nie badałam, sami też przyjdźcie. Staszek, będę chłopaka dalej uczyć, więc umowa obowiązuje. To chyba wszystko. – Skończyłam ustalenia, bo wrócił Rowiński z kartkami i ołówkiem.

Ustalanie treści i pisanie dokumentu poszło nad wyraz sprawnie. Sporządzony w dwóch egzemplarzach, sygnowany przez zebranych, trafił do sołtysa, który miał jeden arkusz oficjalnie przekazać proboszczowi będącemu właściwym adresatem, nawet jeżeli tylko tytułarnie, a drugi zdeponować w archiwum.

– Dziś nic więcej nie wymyślimy – podsumowałam i podniosłam się z trudem.

Atmosfera nie była już tak gęsta, po chwili nawet pojawiły się może nie uśmiechy, ale z pewnością wyrazy ulgi na twarzach zebranych. Miałam nadzieję, że nie przedwcześnie.

Przeprosiłam wszystkich i poszłam do chorego. Zabrałam pełną kaczkę, a raczej miskę, i odłożyłam książkę, która leżała teraz rozłożona na wolno unoszącej się klatce piersiowej śpiącego chłopaka. Przyłożyłam mu wierzch dłoni do czoła. Było chłodne. Zasunęłam firany i starając się omijać skrzypiące deski, wyszłam z pokoju.

W tym czasie w kuchni już rozkręcała się impreza. Na środku pomieszczenia pojawił się przykryty ceratą stolik. Staszkowa krzątała się, nakładając do misek marynaty z glinianych garnków, beczek i słoików. Na widok borowików w occie przełknęłam ślinę. Staszka nie było. Dopiero po chwili wszedł do domu, zdjął gumofilce i postawił między zakąskami wciąż oblepione śniegiem butelki, a jego żona dwie gliniane czarki. Zostali tylko najbliżsi. Waldkowa już plotkowała z Janką, Zarembowie, zawsze nierozłączni, pytali gospodynię, czy nie potrzebuje pomocy, zdenerwowany sołtys miętosił papiery. Trochę trwało, zanim mnie dostrzegli. Kiwnęłam głową, dając do zrozumienia, że u chłopaka wszystko w porządku.

– Siądziesz, Starsza. Teraz to już jesteś praktycznie rodzina. Powiedzieliśmy wszyscy dużo złych słów i trzeba je rozpuścić. – Staszek zaprosił mnie do stołu, nalewając jednocześnie przezroczysty płyn do obu glinianych pojemniczków. Podniósł czarkę i przepił do mnie. – Twoje zdrowie.

Skinęłam w podziękowaniu, odebrałam od gospodarza ponownie napełnione naczynie i powtórzyłam rytuał w stronę sołtysa. Dopiero wtedy usiadłam.

Tego wieczoru nie padły już żadne przykre słowa. Nie pojawiły się żadne nieprzyjemne tematy, nie było kłótni. Zarembowie wyszli wcześniej, ale my siedzieliśmy do późnej nocy. Śmialiśmy się coraz częściej, coraz głośniej i coraz chętniej. Wyciągaliśmy z zakamarków pamięci anegdoty,

których bohaterów wszyscy znaleźliśmy, choćby z opowiadań. Nawet zawsze milcząca i mrukliwa Janka ze świecącymi od alkoholu oczami opowiadała o swoim świętej pamięci mężu, nieprawdopodobnym wesołku i zgrywusie, po którym płakała cała wieś. Od pierwszego zmarłego przeszliśmy do kolejnych sąsiadów, krewnych, przyjaciół, którzy odeszli. Przy każdym przywoływanym patrzyliśmy na stojącą przy butelce drugą czarę, którą Staszek napełnił na początku. Byliśmy gotowi przysiąc, że z naczynia ubywało wódki. Teraz już przepijaliśmy nie tylko do siebie, ale też do zmarłych.

10.

Bardzo dawno temu w Okartowie żyło dwóch gospodarzy, Listek i Pawłowicz czy jakoś tak. Mieszkali przez płot i byli kumplami i do orki, i do kielicha.

Któregoś sylwestra poszedł Listek do stodoły pociąć siano dla koni. A miał już trochę w czubie, bo sobie wcześniej z sąsiadem popili na nowy rok. Gdy ciął siano, usłyszał głos z góry.

– Co robisz?

Spojrzał, a tam na belce siedział czerwony kogut. Listek nieźle się wystraszył. Potem pomyślał, że się przesłyszał, ale i tak przegonił kogutka, bo podpity miał się do bitki.

Tej samej nocy do swojej stodoły poszedł Pawłowicz. Też chwiał się i potykał o każdą dziurę, taki był nawalony. No i też wziął siano i zaczął ciąć.

– Co robisz? – usłyszał głos, tak samo jak Listek. Spojrzał w górę, a tam na powale siedzi kogut. Pawłowicz jak popił, to lubił żartować, więc powiedział do ptaka:

– A, tak sobie owies tnę.

– To tnij dalej ten owies – odpowiedział kogut i znikł.

Odtąd Pawłowicz mógł karmić zwierzęta najgorszą słomą, a i tak rosły jak zaczarowane. Za to Listek dawał swoim i owies, i marchew, i buraki, a i tak małe były i mizerne, jakby je karmił słomą ze strzechy.

Bo ten kogutek to był kłobuk, co to jednemu zabierał, żeby dawać drugiemu. I to dlatego tak się potem Listek i Pawłowicz znienawidzili.

Wyruszyliśmy o świcie. Wozem na kołach z gumowymi oponami przebijaliśmy się przez mgłę, zdając się na pamięć koni. Na szczęście wschodzące słońce szybko rozrzedziło opary i gdy minęliśmy ostatnią chałupę i wjechaliśmy na nasyp kolejowy, dawno wykastrowany z torów, widać już było przynajmniej pokrywające grząską drogę kałuże ścięte cienką warstwą lodu, pękającą z głuchym traskiem pod kopytami koni. Zawinięci w kurtki, koce, płaszcze i kozuchy milczeliśmy w półśnie, walcząc ze skutkami wczorajszego wieczoru. Tak, byłam struta, ale czułam się dużo lepiej. Najwyraźniej brakowało mi towarzystwa, zwyczajnej rozmowy o niczym, wspominek i żartów. Dotarło do mnie, że właśnie ten

wieczorny ochlaj zapewnił mi pierwszą grupę sprzymierzeńców. Nie tylko to było ważne, oczywiście. Zapomniałam, że we wsi musisz należeć do wspólnoty, żeby wspólnota cię broniła. A przynależność do wspólnoty, w przypadku osób takich jak ja, ksiądz czy w mniejszym stopniu sołtys, oznaczała przyjmowanie zaproszenia na gorzałkę i kanapki z paszтетem, nieodmawianie jajek czy bigosu, korzystanie z darmowego noclegu w agroturystyce, pogadanie o pogodzie przy każdym spotkaniu. To znaczyło dzielić się wspomnieniami, udzielać rad, wysłuchać. Być spowiednikiem i spowiadać się. Wysłuchać narzekań, kiwając głową, i samemu ponarzekać. Stosować tę prostą zasadę, którą kilkadziesiąt lat temu wyłożył mi ksiądz Marek: zbudować sieć wzajemnych relacji, ułożyć drogę z kamieni tych drobnych uprzejmości. Staszek miał rację – jeśli miałam wygrać z wikarym, musiałam być bliżej z okartowskimi niż on. Obawiałam się, że wczoraj zaczęłam za ostro. Wyszedł mój brak cierpliwości, który, choć stępiony przez wiek, nadal dawał czasem o sobie znać. zaproponowałam i realizowałam plan najszybszy, najbardziej gwałtowny. Zadałam pytanie ogólne, na które istniały tylko dwie odpowiedzi: tak albo nie. Ksiądz się dostosuje albo będzie wojna. Ultimatum bez rozpoznania? To nie było rozsądne, ale cóż. Teraz należało przeprowadzić mobilizację. Otworzyć gabinet i wpraszać się na kanapki z paszтетem z zająca.

Coś huknęło w oddali. Konie zarżały. Może to rybacy znów rozbijali łód starymi niewypałami? To kolejny powód, żeby do nich zawitać. Czasami tak robili, gdy znaleźli gdzieś skrzynkę granatów lub pociski móździerzowe. Po dwóch amputacjach i kilku utonięciach trochę im przeszło, ale nadal znajdowali się tacy, którzy kupowali od szemranych handlarzy cytrynki odłamkowe i po wykuciu małego przerębla wrzucali je odbezpieczone do wody.

Zatonęłam w myślach. W pewnym momencie poczułam szturchnięcie w ramię. Staszek wyrwał mnie z drzemki i palcem wskazał moje gospodarstwo, widoczne na horyzoncie. Widoczne jako rozmazana, rozmyta we mgle ciemna plama.

- Co tam? – spytałam, bo na tę odległość prawie nic nie widziałam.
- Coś nie tak. Za niskie. Dachy nie widać.
- Bo obórka spalona – przypomniałam zdziwiona, że o tym zapomniałam.
- Nie – zaprzeczył. – Nie widać dachu stodoły. I chyba dym.

Informacja nie od razu do mnie dotarła, ale gdy już się przebiła, poczułam przerażenie. Magazyn!

– Możesz przyspieszyć?

Pogonił konie. Zwierzęta chętnie zareagowały na polecenie, najwyraźniej znudzone spacerowym tempem. Po nieznośnie ciągnącym się kwadransie wjechaliśmy na podwórze. Już wcześniej dostrzegłam, że dachu stodoły nie było. Ba, nie było też ścian, których szczątki wały się po okolicy. Niektóre drzazgi i kawałki dachówek leżały aż na drodze pod lasem. Ktoś uruchomił pułapkę. Idiota.

– To nie przypadek – stwierdził Staszek, pomagając mi zejść z kozła. – Ktoś po zebraniu musiał księdzu donieść.

– To musiała być osoba, która nie brała udziału w popijawie. Ale to nie jest rozmowa na teraz.

Podbiegłam do stodoły, rozglądając się po podwórzu. Eksplozja wybiła wszystkie szyby w domu, drewniane elementy porozrywały namioty, szkielec szklarni wygiął się i teraz przypominał jakąś nowoczesną rzeźbę. Nowoczesną pięćdziesiąt lat temu. Z samej stodoły zostały szczątki. Skrzydło bramy leżało na ziemi w jednym kawałku, ale ściany rozpadły się na pojedyncze deski, których dolne części jak krzywe zęby wystawały z ziemi na różne strony. Dach z jednej strony spadł do środka i teraz zalegał na wozie maskującym wejście do schronu, z drugiej rozleciał się na pojedyncze dachówki i kawałki drewna. Chyba Joasia przesadziła z ładunkiem.

Już kilka kroków od stodoły słyszałam jęki.

– Tam ktoś jest! – Staszek zareagował pierwszy.

Ostrożnie stawiając stopy na chybottliwych deskach zaścielających podwórze, dotarłam do zwałonego na wóz dachu. Rozglądałam się przez chwilę, zanim dostrzegłam kawałek ubrania.

– Tutaj. – Wskazałam palcem. – Spróbuj to podnieść, ale ostrożnie, żebyś i ty czymś nie oberwał. Jeżeli nie będzie absolutnej konieczności, to masz tego człowieka nie ruszać – poleciłam Staszekowi.

Sama zawróciłam do domu. Większość sprzętu ortopedycznego już wcześniej wywiozłam do wsi, ale jeszcze jakieś zapasy chyba miałam.

Już na ganku zauważyłam, że drzwi przy zawiasach zostały podważone, a zamek wyłamany. Zatrzymałam się na chwilę w kuchni, w której ktoś zwałił na ziemię szafki, wyrzucił kociołek, rozbił naczynia. W klasie było jeszcze gorzej. Leżący na środku stos porwanych książek przykryty był podartą mapą i szczątkami połamanych mebli – biurka, fotela i regałów. Pełna najgorszych przeczuć przeszłam do pracowni.

Była całkowicie splądrowana. Butelki z wywarami, esencjami i destylatami leżały rozbite na podłodze, słoiki z maściami były rozkręcone, a same smarowidła wydłubane; kolby i probówki potłuczone, książki i notatniki podarte. Także na meblach widoczne były ślady zniszczeń. Najgorzej wyglądał jednak alembik Michasia – wgięty z każdej praktycznie strony miedziany kocioł, rozbity manometr, porozrywana i połamana rurka chłodnicy. Jak gdyby ktoś za nią chwycił i uderzał wokół we wszystko, co mógł zniszczyć. Zbierałam z podłogi bandaże, wyszukiwałam słoiczki z resztkami leczniczych maści z krwawnikiem i pięciornikiem. Udawałam przed sobą, że nie widzę tego bałaganu lub że ten bałagan to wcale nie jest moja pracownia. To nie moje leki, nie moje zbiory książek, a notatki należą do kogoś obcego. Że robię, jak przed laty z Joasią, najazd na porzuconą aptekę, którą splądrował już ktoś przed nami, ale zawsze istniała szansa, że przeoczył coś przydatnego. Spod stołu wyciągnęłam wiklinową tackę, na której kładłam pojedynczo denka słoików z maściami, gazy, nożyczki i inne narzędzia. Wąchałam po kolei bladobrunatne kleksy z mazideł, zbierałam je szpatułką i rozsmarowywałam na krawędzi emaliowanego blaszanego talerza. Z tacą przeszłam do kuchni. Otworzyłam klapę do piwnicy i schylając się nisko, sięgnęłam po butelkę nalewki. Pierwszą, która wpadła mi w rękę.

Gdy wróciłam z drewnianą skrzynką opatrunków i leków, Staszek wciąż walczył z materia, podważając kawałkiem krokwi stos drewna. W rosnącej szczelinie dostrzegłam rękę. Odłożyłam naczynie i schylona zajrzałam w powstały otwór. Leżał tam młody mężczyzna. Głowę miał zakrwawioną, wyciągnięte w naszą stronę ramię dziwnie wygięte. Chwyciłam go za rękaw i z całych sił pociągnęłam w moją stronę. Gdy tylko jego stopy wydostały się spod zawaliska, Staszek puścił dźwignię i zasapany zgiął się wpół z rękami opartymi o uda.

Przystąpiłam do oględzin. Ranny był półprzytomny. Kiwał głową i jęczał, puszczając krwawe bańki z każdym oddechem. Z klatki piersiowej sterczał mu wygięty kawał stalowego pręta.

– Przyłóż ucho do rany. Co słyszysz? – spytałam Staszka.

– Syczenie.

– Obróć go na bok.

Rozpakowałam dwa bandaże i podałam mu.

– Przyłóż z przodu i z tyłu przy ranie. Przyciśnij mocno – poleciałam, a sama zajęłam się oglądaniem pozostałych obrażeń.

Ramię na wysokości łokcia było całkowicie zgruchotane. Sytuacji nie poprawił fakt, że właśnie za nie wyciągnęłam delikwenta. Również nogi wyglądały kiepsko. Zaczęłam rozcinać kozuch. Nożyczki więzły w wełnie, dlatego szybko zastąpiłam je nożem. Otarcia i wybroczyny na brzuchu wskazywały, że odma wcale nie musiała być największym problemem. Zmacałam brzuch – na szczęście był miękki.

Wstałam i pomaszerowałam w stronę zniszczonych namiotów. W środku panował względny porządek – poszycie wyhamowało pociski z desek. Podeszłam do pryczy Michasia i zabrałam ją razem z przykryciem. Wróciłam do rannego. Rozpięłam śpiwór i rozłożyłam go na polowym łóżku. Kolejnym bandażem prowizorycznie owinęłam opatrunki z przodu i z tyłu klatki piersiowej i razem ze Staszkiem przenieśliśmy pacjenta. Przecięłam śpiwór na wysokości pręta, żeby móc zapiąć go na całej długości. Gdy skończyłam, znów kazałam mojemu pomocnikowi przyciskać bandaże do otworów w ciele. Wróciłam po leki i wtedy mnie tknęło. Z tacą w rękach podeszłam do zawaliska. Patrzyłam przez chwilę na miejsce, gdzie powinna znajdować się kłapa. Coś mi nie pasowało. Może to był kąt, pod jakim znajdował się dyszel, a może fakt, że drewniana kolumna podtrzymująca dach była niższa niż powinna i nadal stała zamiast się przewrócić? Stałam na chybottliwym kawałku dachu. Zrobiłam z trudem kilka kroków i spojrzałam poza krawędź. W ziemi zauważyłam otwór. Niewielki, ale głęboki. Pośrodku sterczały kawałki krokwi. Czyli jednak.

– Starsza! – Usłyszałam z zewnątrz.

– Już idę! – krzyknęłam w odpowiedzi i powoli wycofałam się z ruin stodoły.

Staszek nadal trzymał dłonie na klatce piersiowej rannego, który teraz oddychał z większym niż wcześniej wysiłkiem.

– Zrób coś, bo nie wydoli.

– Trzeba by go zabrać do wioski. Tutaj wszystko zniszczone, a tym – potrząsnęłam tacą – raczej mu nie pomogę. Potrzebna moja strzykawka, ta duża.

– To pomóż mi wsadzić go na wóz i ruszamy.

– Znasz go?

– Tak. – Skinął głową. – To Andrzej, najstarszy Listków.

Czyli to Listkowie donieśli księdzu, a potem wysłali syna. To nie był zbieg okoliczności, że zjawił się tu akurat teraz, gdy zamierzałam przenieść wyposażenie do wsi i urządzić gabinet.

Z niepokojem patrzyłam to na chłopaka Listków, to na stodołę z odsłoniętym schronem. Nie było czasu do stracenia, jeżeli ranny miał przeżyć. Jeżeli miał mieć szansę na przeżycie, bo trudno było powiedzieć, czy w ogóle przetrwa podróż – usprawiedliwiałam się przed sobą. Nigdy nie odmówiłam pomocy choremu. Nieważne, że nie miał pieniędzy, że był wrednym chamem, że nie przestrzegał zaleceń i wracał co chwila z tym samym problemem. Nigdy, ale to nigdy nie odmawiałam pomocy. Ale z drugiej strony pozostawał odsłonięty schron. Ryzyko odkrycia było zbyt duże, żeby zostawić go bez straży. Może nikt przez ten czas się nie pojawi, bo czemu niby miałby, ale kto wie, co tam sobie ksiądz umyślił i czy właśnie w krzakach nie siedzi jakiś inny jego wysłannik? Staszka nie było sensu wysyłać samego, bo po co, skoro pacjent potrzebował mojej pomocy. Byłam w kropce.

– Starsza, musimy jechać – ponaglał bimbrownik.

Teraz już całe dłonie miał zakrwawione. Musiałam podjąć decyzję. Zacisnęłam powieki, myśląc z przerażeniem, że ranny z mojej winy wykrwawi się lub utopi we własnej krwi. Nawet nie miałam go czym znieczulić.

– Nie jedziemy – zdecydowałam, a Staszek zrobił wielkie oczy.

– Ale przecież on tutaj skapieje.

– I tak skapieje, a my mamy co robić. Zostaw go i pomóż mi przy stodole. Mamy dużo pracy, a czasu mało.

Nadal zszokowany zdjął dłonie z ran, z trudem wstał, jakby ważył dwieście kilo, i powoli podszedł do mnie.

– Musisz mi najpierw przysiąc, że słowa nie piśniesz. Nikomu, nawet żonie. Nie rozmawiaj o tym nawet z Michasiem, chociaż on o wszystkim wie, rozumiesz? To naprawdę bardzo ważne. Ważniejsze niż życie tego chłopca i nasze.

Kiwnął głową.

– Pod stodołą jest wykopana piwnica, w której znajdują się różne materiały sprzed wojny. Niektóre śmiertelnie groźne, groźniejsze niż tamto stare wysypisko pana Tomasza, a przecież do dziś nie wolno tam się osiedlać. – Blefowałam, bo po prostu nigdy nie odwołałam zakazu. – Te rzeczy są groźniejsze niż ładunki, które wysadziły stodołę. Nikt nie może się dowiedzieć o tej piwnicy, nikt nie może jej znaleźć. Dlatego zanim ktokolwiek się tu pojawi, musimy całość zawalić, zasypać i ukryć. Ty mi powiedz, jak to zrobić.

Marszcząc czoło, trawił informacje, przy tym co chwila zerkał za moje plecy.

– Sami tego nie usuniemy. Trzeba wypalić drewno i dopiero wtedy zasypać dziurę.

– Nie. Pod ziemią są materiały wybuchowe. Takie same jak te, które zniszczyły budynek. Najpierw musimy je wydobyć, a dopiero wtedy będzie można wszystko podpalić.

Minął mnie bez słowa i podszedł do otworu w ziemi. Patrzył przez chwilę, a ja spoglądałam na niego, starając się nie myśleć o pacjencie skazanym przeze mnie na śmierć w męczarniach. Wrócił po chwili.

– W jeden dzień nie wyrobimy. Całość jest uszkodzona?

– Nie sądzę. Strop i ściany są solidnie podparte. Zawaliło się wejście.

– Narzędzia masz? Potrzebna piła i łopata.

– Są w graciarni za pracownią. Ale najpierw zanieśmy chłopaka do domu.

Przytaknął i poszedł w stronę głowy rannego. We dwójkę przenieśliśmy ciężką pryczę. Gdy nasze spojrzenia się stykały, uciekaliśmy wzrokiem. Staralam się nie słyszeć świszczącego oddechu, nie dostrzegać grymasu bólu na twarzy rannego. Gapiłam się na swoje dłonie, pewnie Staszek robił podobnie.

Wnieśliśmy prowizoryczne nosze do domu. Przeszliśmy przez korytarz, zagraconą kuchnię i skierowaliśmy się do klasy. Ojciec Michasia nakrył jeszcze śpiwór derką i wyprostował się, lekko dysząc.

– Co mam robić?

– Najpierw odblokuj wejście. Trzeba sprawdzić, w jakim stanie jest schron. Może wystarczy wszystko zasypać, a może wszystko wynieść. Nie wiem, zobaczmy później.

Jeszcze przez chwilę stał wpatrzony w stodołę, bezwiednie wycierając o kurtkę zakrwawione dłonie.

– A zatopić w Kałuży? – zaproponował nieśmiało.

Nie raz myślałam o takim rozwiązaniu. Bałam się korozji, bałam się, że pojemniki się rozszczelniają. Korpusy były co prawda aluminiowe, ale nie zawory.

– Będziemy o tym myśleć później. Na razie do pracy. Mogę ci jakoś pomóc?

– Nie, Starsza. Ty idź do rannego.

Stałam jeszcze przez chwilę, obserwując jak mężczyzna chwyta za belkę i szuka miejsca, które będzie dobre do podważenia zawaliska. Sama poszłam do domu. Piec w bibliotece był nienaruszony. Z ciśniętej w kąt lampy wyciekł olej, tworząc niewielką kałużę. Wzięłam części połamanego krzesła, ze stosu książek zabrałam kilka wydartych kartek i wytarłam nimi paliwo, a następnie wrzuciłam je do piecyka razem z kawałkami mebla. Z piwnicy przyniosłam zapalki, których spory zapas trzymałam na wypadek tych rzadkich sytuacji, gdy żar w kominku w kuchni wygasał, i roznieciłam ogień. Wybite okno zasłoniłam mapą.

– Starsza, chodź na zewnątrz! – Usłyszałam za plecami, gdy mocowałam się z ogromnym i ciężkim arkuszem.

Odwróciłam się. Staszek był zdenerwowany.

– Co się stało?

– Znalazłem drugiego. Pawłowskiego chyba, ale trudno rozpoznać. Jak ten tutaj?

Odwróciłam się w stronę noszy. Nie zauważyłam, kiedy charczenie umilkło. Czy słyszałam je jeszcze, gdy wracałam z zapalkami? Podeszłam do pacjenta. Nie ruszał się, nie wydawał żadnych dźwięków. Uklęłam przy głowie. Z kącika ust ciekła mu strużką krew zmieszana ze śliną, brudząc policzek aż do ucha, za którym zbierała się w niewielką kałużę. Oczy miał przymknięte. Podniosłam jedną powiekę i kilka razy zakryłam oko drugą dłonią, sprawdzając, czy źrenica reaguje na zmianę światła.

– Nie żyje – zakomunikowałam i gestem poprosiłam Staszka o pomoc.

– To tak jak tamten drugi – poinformował, podnosząc mnie z kolan.

Wyszliśmy przed dom. Wyprzęgnięte już z wozu konie stały przy szczątkach namiotu, skubiąc siano pozostawione przed wyjazdem. Najwyraźniej bimbrownik znalazł sobie pomocników.

Przy stodole na ziemi leżało ciało. Głowa była zupełnie zmasakrowana, twarz nierozpoznawalna. Dopiero gdy podeszliśmy bliżej, zauważyłam na szyi chłopaka rozległe znamię. Zapewne to po nim Staszek rozpoznał denata.

– Zanieśmy go i połóżmy obok Listka – poleciłam po chwili oględzin.

Tym razem było trudniej. Oboje byliśmy już zmęczeni, poza tym nie położyliśmy ciała na żadnej sztywnej powierzchni i kończyny co chwila wymykały się nam z rąk. Staszek wyraźnie zbladł na widok krwi i kawałków mózgu wypadających z rozbitej czaszki. Dysząc, w końcu wnieśliśmy ciało do klasy i położyliśmy obok pryczy.

– Muszą tu na razie zostać. Zdążysz do wieczora uprzątnąć bajzel?

Kiwnął głową w odpowiedzi.

– Wykorzystam konie do pomocy.

– Świetnie. Potem wyjmiemy niebezpieczne materiały, splawimy je w Kałuży i zawalimy dziurę. Ja ci nie pomogę, dlatego zacznę porządkować wszystko, co muszę zabrać.

Pracowaliśmy oboje do zmroku. W międzyczasie zrobiliśmy sobie przerwę i zjedliśmy wyśmienitą kielbasę z dzika od Kryśki Drawskiej. Podczas posiłku milczeliśmy, wsłuchując się w trzaski płomienia tańczącego w piecyku w klasie. Po przerwie wróciliśmy do swoich zadań.

Przed zmierzchem strasznie umorusany, spocony i czerwony na twarzy Staszek przyszedł do domu.

– Starsza, gotowe – zakomunikował.

Odłożyłam pozbawiony okładki i kilkudziesięciu pierwszych stron *Lot nad kukułczym gniazdem* i poszłam ze Staszkiem do schronu.

Magazyn był nienaruszony. Belka przebiła tylko klapę, dlatego na schodach wały się kawałki drewna. Niżej wszystko leżało tak, jak kiedyś zostawiłam. Najpierw kazałam Staszкови wynieść skrzynie z amunicją i granatami. Gdy wychodził z ostatnią, zatrzymałam go na chwilę i zabrałam walthera i pudełko z amunicją.

– Może się przydać – rzuciłam bez dalszych wyjaśnień.

Trzy skrzynie bimbrownik zaniósł nad Kałużę, odwrócił z wysiłkiem plastikowe pływak, które wyglądało, jakby nie miało w ogóle utrzymać się na powierzchni, zapakował do środka graty, gruby pręt, podobny do tego, od którego zginął Listek, i zepchnął kadłub na jezioro. Obserwowałam go, gdy szedł powoli, pchając przed sobą łódź i ślizgając się na lodzie pokrytym cienką warstwą wody. Zatrzymał się kilkadziesiąt metrów za granicą trzin, sprawnie wykuł przerębel i powrzucał doń wszystkie zabrane z magazynu przedmioty. Gdy wrócił, mogliśmy przystąpić do drugiego etapu.

Staszek piłował podpory bocznej odnogi, zaczynając od tych postawionych najdalej. Stałam tuż za nim i świeciłam latarką. Po spiłowaniu i wyjęciu ostatniej kolumny ostrożnie rozłożył butle z gazem na płask, a następnie przykrył je poszyciem z namiotów. Dwa prezenty kazałam mu zatrzymać i wynieść na podwórze. Następnie do belki stropowej dowiązał linę, którą znalazł za beczką z ropą, i wyszedł na powierzchnię. Po chwili zawołał mnie na górę i pogonił konia, któremu do

chomąta przymocował drugi koniec liny. Belka puściła bez oporów. Druga też. Przy trzeciej boczna odnoga korytarza zawaliła się z hukiem, grzebiąc ukryte tam butle. Odruchowo wstrzymałam oddech. Po kilku chwilach ucichło. W napięciu czekałam na odgłos syczenia, ale nic takiego nie nastąpiło. Wszystkie butle wytrzymały.

– Starsza! – krzyknął, gdy nie reagowałam, zamyślona. – Po co ci to?

– To poszycie namiotów. Trzeba nimi zastąpić te pocięte, żeby zwierzęta miały gdzie przenocować.

– Zostajemy?

– Tak. Mamy jeszcze dużo pracy.

Zeszłam z powrotem pod ziemię. Butle były szczelnie przykryte, nad nimi ziała dziura. Pomyślałam, że za jakiś czas i tak trzeba będzie całość zasypać do poziomu gruntu i jakoś ten obszar zagospodarować. Może ogródek zrobić? Nawet wymyśliłam hasło – lecznicze zioła i ekologiczne warzywa uprawiane na sarinie bez sztucznych dodatków.

– Musimy tu przyjechać ponownie, zabrać przydatny sprzęt i zawalić resztę. Urządzenia sprzedam, bo będę potrzebowała dużo pieniędzy na remont domu i odbudowę obórki. Na razie skończyliśmy. Będiesz umiał postawić namioty? – spytałam mężczyznę, który z ciekawością rozglądał się po zgromadzonych wokół skarbach, mimo że bardzo starał się to ukryć.

– Płachty położyć na tych pociętych? – upewnił się. – Dam radę.

– W środku będzie trochę nieuszkodzonych przedmiotów, jedzenie dla koni i piec. Ja przygotuję nocleg dla nas.

Spaliśmy w dwóch sypialniach. Ja w swojej na parterze, a Staszek na piętrze, w pokoju przeznaczonym dla pacjentów. Nie mogłam zasnąć. Gapiałam się w rozmazany sufit, na którym grały cienie od drgającego płomienia świecy. Ojciec Michasia chrapał, wiatr świszczął w rozbitych oknach, powieszona mapa falowała, obijając się o ścianę. Ale nie to odciągało sen. Myśli natrętnie wracały do tego spojrzenia Staszka, gdy zapowiedziałam, że nie pojedziemy z młodym Listkiem do wioski. Był rodzicem, który niedawno przeżywał horror podobny do tego, którego jutro doświadczą Listkowie i Pawłowscy, a ja odmówiłam pomocy. Mimo to nadal nie dopytywał, nie drążył, nie buntował się: czemu stodoła wybuchła, grzebiąc dwóch nastolatków? Co było w butlach, czemu były tak ważne? Nie pytał, tylko wykonywał polecenia i sam wykazywał się inicjatywą. Niezwykły człowiek. Czułam, że nigdy nie będę w stanie spłacić tego ogromnego i wciąż rosnącego długu zaufania. Bo ufał mi całkowicie i na

każdym kroku to udowadniał. Bałam się, że w pewnym momencie przez to zaufanie będzie musiał zapłacić zbyt wysoką cenę, że straci najbliższych w tej wojnie, która pochłonięła już pierwsze ofiary.

Nie mogłam zasnąć. Wsłuchiwałam się w dochodzące odgłosy świata. Martwi leżący w klasie milczeli.

11.

Ten nasz kościół wcale nie jest taki stary, jak mówią, bo nie budował go ani kontur, ani żaden król. Tamten pierwszy to spalił się w czasie wojny, jak się Niemcy i Ruscy bili. Po wojnie ksiądz wezwał parafian i powiedział, że każdy ma tyle i tyle dni robić albo żadnego rozgrzeszenia nie dostanie. To się okartowscy zebrali, zakasali rękawy i zaczęli budować. Tylko kowal się postawił księdzu. Że on by może i pomógł, ale co z kuźnią? I co z chłopkami, co będą chcieli wóz naprawić, kosę wyklepać czy gwoździ wykuć? Dlatego on pracował na budowie nie będzie, za to da swojego konia, żeby okartowskim pomógł. A konik był tak robotny, że kościół rachciach stanął, i to taki solidny, że jeszcze dwie kolejne wojny przetrwał i do dzisiaj stoi. Dlatego, jak już wezwali malarzów, żeby ładnie w środku świątynię ozdobili, to ksiądz powiedział, żeby też konia wymalowali, na pamiątkę, że taki robotny. A to nie wszystko, bo potem, jak już pierwsza msza była i poświęcenie, to koń stał tu między ławami i słuchał, co ksiądz gada.

O, tam pod tymi namalowanymi liściami widać i konia, i napis, że koń przy kościele pomagał⁴.

Staszek obudził się wcześniej, ale nie schodził na parter, dopóki nie usłyszał, że też wstałam. Denerwujące skrzypienie desek na piętrze wygoniło mnie z łóżka. Zakładając buty, tupałam, wychodząc z pokoju, stukałam przesuwanym krzesłem. Bimbrownik usłyszał mnie i po chwili zszedł na dół.

Mieliśmy jeszcze dużo pracy, dlatego w drogę powrotną do wsi wyruszyliśmy dopiero przed południem. Z klasy wynieśliśmy ciała i skrzynie z książkami, a z pracowni ocalałe leki i narzędzia. Zwłoki przykryliśmy narzutą z mojego łóżka. Z piwnicy zabrałam trochę jedzenia. Szkoda by było, gdyby się zmarnowało. Potem poleciłam Kani, żeby wyniósł ze schronu i zapakował na wóz kanistry z benzyną, agregat i lampy naftowe. Paliwo przelewane z beczki nasycalo powietrze dawno zapomnianym zapachem. Ja w tym czasie do jutowego worka wrzucałam mundury, do drewnianej skrzyni pakowałam butle z gazem, pakiety uzdatniaczy wody, race i świece dymne, do drugiej latarki i buty. Staszek

kursował między magazynem a stojącym na środku podwórza wozem, omijając rdzawą plamę krwi wymieszanej z błotem.

Przed samym odjazdem rozejrzałam się jeszcze i po chwili wahania sięgnęłam po walthera i paczkę naboju.

Opuściliśmy gospodarstwo, gdy słońce stało już wysoko. Dopiero je zauważyłam. Grzało mocno jak na grudzień. Nie oglądałam się za siebie. Przecież zamierzałam tu wrócić, ale na razie we wsi byłam bardziej potrzebna. Siedziałam obok kogoś, kto mi to uświadomił.

– Dziękuję – zwróciłam się do Staszka, gdy tylko wjechaliśmy na drogę pod lasem. – Dziękuję, że mi przypomniałeś, gdzie jest moje miejsce. Po tym poznaje się przyjaciół, że potrafią cię walnąć w koślawy pysk, gdy zajdzie taka potrzeba. Przypomniałeś mi przedwczoraj, że nawet Wiedząca może czasami być strasznie głupia.

– Nie dziękuj, Starsza – odpowiedział po chwili milczenia. Piszczące na piastach koła rozbiły zamarznięte kałuże. Dzień był tak piękny. Tylko dwa trupy za nami psuły sielankową atmosferę niedzielnej przejażdżki. – Nie dziękuj, bo byłem ci to winien. Zajęłaś się moim synem. Opiekowałaś się nim i uczyłaś go. Zrobiłaś to, czego ja bym nigdy nie potrafił. Ja wiem, że gdyby nie on, to byś z wikarym gadała inaczej. Wioskę byś spaliła bez mrugnięcia okiem, a jego byś przegoniła. Gdyby nie Michaś, to byś obórki nie straciła i domu, a twoja tajemnica byłaby bezpieczna. Ja nie wiem, co tam jest. Powiedziałaś, że to jest ważne, to ja ci wierzę. Powiem ci jak ojciec – kontynuował. – Michaś jeszcze na jesień, gdy przychodził do nas, to mówił o takich rzeczach, że my nic o tym nie wiedzieliśmy. Poza tym matce pomagał, z rodzeństwem się bawił. Opowiadał im różne historie o tej, no, Winecji. Zupełnie nowy chłopak! Ja nigdy nawet nie potrafiłem z nim rozmawiać, a ty w te kilka miesięcy zrobiłaś z niego mądrego człowieka, nauczyłaś czytać i leczyć. On jak był we wiosce, to nawet do sąsiadów chodził i opowiadał im o różnych rzeczach, jak ty. Że bakterie są w gównie i że zioła trzeba zbierać. Wiesz, jaka to duma dla ojca?

– Nie pierdol, Staszek – przerwałam, rumieniąc się od tych pochwał. – Michaś jest mądrzejszy nawet ode mnie. Chłonie wszystko sam z siebie, ma świetną pamięć i potrafi z nabytej wiedzy korzystać. Mógłby nas wszystkich przykryć czapką, a jeszcze by miejsca zostało. Ja mu tylko pokazałam kierunek. Wszystko, co wie, to tylko jego zasługa. Zasługa jego ciężkiej pracy, tylko i wyłącznie. Chcesz kogoś chwalić, to chwal syna. Pewnie takiego drugiego w całym powiecie byś nie znalazł – skończyłam.

– I właśnie za to ci dziękuję – odpowiedział.

– Co robimy z księdzem? – Zmieniłam temat. – Stracił dwóch żołnierzy, ale może są jeszcze jacyś, a ja nie chcę więcej trupów. Jaka jest obecnie moja pozycja w wiosce? – spytałam wprost.

– Ludzie cię szanują. Większość raczej nie odważy się wystąpić przeciw tobie, szczególnie że poprze cię sołtys. To tchórz, ale przyparty do muru umie ugryźć. Możesz liczyć, że jedna trzecia wioski stanie za tobą – zrelacjonował chłodno po zastanowieniu.

Trawiłam przez chwilę te informacje.

– Czyli wojna – stwierdziłam. – Kilkoro ludzi stanie po stronie wikarego, a reszta będzie starała się zająć miejsce gdzieś pośrodku. Wystarczy jeden idiota z kamieniem, a będziemy mieć nieszczęście. Jedna wybita szyba, jeden poturbowany w trakcie kłótni na ulicy. Nie. Ten scenariusz odpada. Co możemy zrobić? – myślałam głośno.

– Może trzeba porozmawiać z proboszczem na radzie? – zaproponował Staszek.

Na horyzoncie majaczyły dachy domów i drewniana wieża kościoła. Żaden komin nie dymił. Po minucie lub dwóch usłyszałam dzwony. No tak, przecież niedziela, przecież południe. Dzwoniono na mszę. Nie chodziłam do kościoła, nawet za księdza Marka. Namawiał, i owszem, ale bez przekonania. Najwyraźniej wiedział, że z moim uporem nie wygra. Dlatego w czasie gdy cała wieś zbierała się na modlitwę, ja w swoim gabinecie czekałam na ich powrót. Przez tę godzinę ksiądz miał wieś dla siebie. Ja miałam po mszy zarówno proboszcza, u którego czasem jadałam obiady, jak i trzódkę, która po posiłku była do mojej dyspozycji aż do wieczora. Teraz było inaczej. Od dawna nie było rozmów, nie było obiadów, badań, kontroli. Może nowych księży po Marku nie powinnam była ignorować? Próbowałam się z nimi zaprzyjaźnić, ale bez entuzjazmu. Żaden z nich nie dorastał staremu przyjacielowi do pięt.

– Jedź do kościoła – poleciłam Staszekowi.

Bimbrownik popędził konie, które chętnie przeszły w kłus. Dzwony biły, a ja miałam koc w spoconych dłoniach. Może znów zwyciężyło zniecierpliwienie? Brakowało mi informacji, prognozy były niepewne, dlatego zamierzałam od razu uzyskać jednoznaczny obraz sytuacji. Oczywiście korzystny dla mnie.

Po kilku minutach wjechaliśmy pomiędzy chałupy. Staszek wprawnie prowadził konie w stronę kościoła, podczas gdy ja szykowałam w myślach

przemowę, a raczej kazanie. Tym razem pamiętał, żeby zatrzymać się przed bramą. Zeskoczył energicznie, obszedł wóz i pomógł mi zejść. Wyprostowałam się i dziarskim krokiem poszłam w stronę grobu księdza Marka. Znow nie wzięłam kwiatów.

Kamień był czysty, ale śladów na topniejącym śniegu nie przybyło. Patrzyłam tępo na nagrobek, szukając natchnienia. Przez myśli przebiegały wspomnienia: porody i chrzty, zgony i pogrzeby; problemy małe, jak kłótnie sąsiadów przy odnawianiu polichromii, ale też duże, jak pan Tomasz czy atak bandytów.

– Zawsze miałeś rozwiązanie – powiedziałam głośno i chyba czekałam na odpowiedź, ale ta przecież nie mogła nadejść. Może powinnam była pytać Joasię? Wszak trwała wojna, a o wojnie więcej wiedziała Joasia. Groby nagle zwały się w jeden. Czemu obok zaniedbanego kamienia nie stała pokryta mchem deska? Kiedyś mi się wydawało, że do siebie pasowali, mimo różnicy wieku.

– Trzymajcie kciuki – poprosiłam oboje i zawróciłam w stronę bramy. Oba skrzydła otworzyłam na oścież. Z jednym, rzadko używanym, siłowałam się przez chwilę.

– Jedź za mną – poleciłam Staszce. Poszłam w stronę głównego wejścia do kościoła. Bałam się strasznie, ale musiałam ukryć strach i to szybko, zostało mi tylko kilka kroków. Konie stukwały kopytami tuż za mną. Ich ciepłe oddechy ogrzewały, gdy chrapami wodziły w okolicach kieszeni kurtki w poszukiwaniu przysmaków. Zza drewnianych, okutych i ciężkich drzwi budynku dobiegał dźwięczny głos młodego księdza, ale zbyt cicho, więc nie rozumiałam słów. Mogłam tylko rozpoznać melodykę. Wygłaszał kazanie.

Wrota otworzyły się ze zgrzytem wiekowych zawiasów. Stałam na chwilę w progu. Zrobiłam pierwszy niepewny krok, ale potem poszło już gładko. Za plecami słyszałam rzenie. Wikary stał za mównicą na lewo od ołtarza. Padające przez okna jasne światło sprawiało, że wyglądał łagodniej niż wtedy, gdy pierwszy raz z nim rozmawiałam. Bynajmniej nie był przestraszony, bo w sumie czemu miałyby być, ale zaskoczenia nie udało mu się ukryć. Zyskałam kilka sekund, choć mężczyzna szybko się opanował.

– Koni nie wolno wprowadzać na teren kościoła! – krzyknął w moją stronę.

Wyciągnęłam palec w górę, wskazując kaseton na stropie niedaleko organów. Brązowoszare malowidło przedstawiało konia otoczonego liśćmi.

– Taki uczonek, a czytać nie umie! Co tam jest napisane? To podziękowanie dla konia Jakuba, który wraz z mieszkańcami budował ten kościół. Konie mają większe prawo tu wejść niż jakiś przybłęda z Rzymu. Okartowscy! – zwróciłam się od razu do zebranych, korzystając z tej drobnej przewagi. – Jak to się stało, że pozwoliliście wpuścić tu takiego gada? Jak to się stało, że zdradziliście swoich przyjaciół i sąsiadów i poszliście za nim, mimo że nic dla was nie zrobił? Jątrzył i jątrzył, aż doprowadził do tragedii, i to nie jednej. Spalił mi oborę. Napuścił na Staszkowego pierworodnego młodych, głupich jeszcze chłopców, a potem przyłożył rękę do ich śmierci. Właśnie wracam z kolonii, gdzie znalazłam dwa trupy! Listkowie, Pawłowscy... Wasi synowie nie żyją, bo ksiądz wysłał ich, żeby zniszczyli moje gospodarstwo. Sam to przyznał, gdy z nim rozmawiałam!

Wśród uczestników mszy podniósł się rwetes, a matki obu chłopaków z krzykiem i płaczem pobiegły w stronę wozu, zza którego burty, spod przykrycia, wystawały obute stopy. Przez chwilę panował chaos. Wikary patrzył mi prosto w oczy ze szczerą nienawiścią. Twarz mu nie drgnęła, ale gotów był zabić wzrokiem. Odwzajemniłam spojrzenie. Do zawodzących dołączały kolejne sąsiadki i kumy. Pośrodku całego zamieszania przy wejściu stał Staszek, a ciekawski konik wtykał głowę do kościoła. Ksiądz w końcu się otrząsnął.

– Kochani parafianie! Nie słuchajcie i nie dajcie się zwieść! Przyszła tu czarownica i co ma na swoją obronę? Przywozi ciała naszych ukochanych braci. Mówi, że znalazła ich u siebie w gospodarstwie. Skąd się tam wzięli? Oskarża mnie, a ja odpowiadam słowami Pisma Świętego: Czy jestem stróżem braci moich? Czy jeśli drwal zginie w lesie przy wyrębie, to też będzie moja wina? Czy jeśli rybak utonie, to też ja będę winny? A może odpowiesz, więdźmo, jak umarli? Czemu nie ma ich już wśród żywych, ale zasilili chóry anielskie?

– Weszli do zaminowanego domu. Każdy wie, że do kolonii się nie wchodzi. Od lat to powtarzam wszystkim, ale ty nie możesz tego wiedzieć. Nakłamałeś młodym, że to wszystko bujdy. – Z satysfakcją zauważyłam, że kilka osób zaczęło potakiwać.

Płacz matek odbijał się pogłosem słyszonym mimo pomruków tłumu. Ojcowie chłopców z pomocą sąsiadów ściągnęli ciała z wozu.

– Bracia i siostry! – Ksiądz zignorował mnie zupełnie. – Czarownica zakłęła swoje gospodarstwo i gotowa jest zabić każdego, kto tam wejdzie

nieproszony. Co tam ukrywa? Jakie pieczęcie do przyzywania demonów, jakie diabły na poddaszu, jakie szkaradzieństwa i okropności? Zabiła dwóch niewinnych chłopców tylko dlatego, że poszli zaglądać przez okna. Czy zamierza zamordować każdego, kto zagapi się sąsiadowi w okno? Pomyślcie. Była tu, gdy ginęli niewinni chłopcy, ciekawi świata i jego tajemnic. Kto wie, może swojego ucznia też połamała czarami, siedząc w kolonii nad kotłem i wzywając diabła?

– Ty gnoju! – Staszek ruszył w stronę księdza, rozglądając się w poszukiwaniu jakiegoś drąga. Ostatecznie wrócił do wozu i chwycił bat tak gwałtownie, że konie zarżały zdenerwowane. Drogę zastąpił mu sołtys.

– Nie w kościele. Nie tutaj. – Rozłożył ramiona, zagradzając przejście.

– Zaglądać przez okna? – wtrąciłam się, mijając blokującego mi drogę mężczyznę. – Cały dom mi zdemolowali, zniszczyli leki, książki, meble. Okna powybijali. Odkąd pamiętam, a mieszkam tu od czasów wojny, nic takiego się nie zdarzyło. Nigdy okartowski miejscowego nie napadł. Jeśli już, to były to przybłędy z innych stron. Jak ten! – Wskazałam palcem wikarego.

W ławach szumiało. Pojedyncze okrzyki oburzenia mieszały się z zawodzeniem. Huk rozmów narastał.

– Koślawa – zwrócił się do mnie sołtys. – Wyjdźcie, proszę. Niczym dobrym się to nie skończy. Przyjdę do Kaniów po mszy, a wy na razie wracajcie do gospodarstwa doglądać chorego. Proszę – powtórzył. – Nic tu po was. Ja się wszystkim zajmę.

– Nie oddam mu teraz pola! – zaprotestowałam i pchnęłam mężczyznę, a raczej spróbowałam go odepchnąć. Równie dobrze mogłabym siłować się z kolumną.

– Bo zaraz dojdzie do jakiegoś nieszczęścia. Idźcie, błagam.

Stałam przez chwilę wściekła, patrząc sołtysowi w oczy. Nie opuścił wzroku, mimo że bardzo na to liczyłam. To się mu się zebrało na odwagę. Trudno. Już i tak wioska wrzała. Facet miał rację, że za chwilę ktoś mógł oberwać po łbie, i to niekoniecznie ksiądz.

Przytaknęłam i pociągnęłam wzburzonego Kanię za kurtkę. Chciałam jeszcze coś powiedzieć księdzu, ale w głowie miałam pustkę jak nigdy. Taki skurwiel, taki niebezpieczny skurwiel.

Minęłam obie zapłakane pary, pocieszane przez sąsiadów. Nie potrafiłam wykrzesać w sobie współczucia, dlatego starałam się zachować

obojętność, żeby nie zabrać Staszкови bata i nie obić głupich ludzi, którzy straszną cenę zapłacili za słuchanie wikarego.

Wsiadłam na kozioł, a bimbrownik stanął przed końmi i poprowadził je tak, żeby wóz wystawić przez bramę. Dopiero wtedy zajął miejsce obok mnie, cmoknął na zwierzęta i na skrzyżowaniu skręcił w lewo, w stronę swojego gospodarstwa. Jechaliśmy w milczeniu. Widziałam, że Staszkiem nadal trzęsło. Miałam nadzieję, że nie zrobi nic nierozważnego. Pomyślałam jednak cynicznie, że znacznie ułatwiłby życie nam wszystkim, gdyby zaczął się na młodego księdza z widłami lub tylko trochę go sponiewierał. Bo nie widziałam na razie innego sposobu na przywrócenie starego porządku. Przegrałam wszystko, przegrałam całą wioskę. Jak mogłam dać się podejść tak głupio, pójść na konfrontację bez przygotowania, bez odpowiedniej wiedzy? A może nie? Po prostu posłuchałam sołtysa. Niech mnie, że akurat ten jeden raz w życiu postanowił się wykazać odwagą! Zaskoczył mnie tym, nie ukrywam, dlatego mu ustąpiłam, choć powinnam była żądać wygnania wikarego i pewnie by mnie posłuchali.

Teraz mogłam już liczyć tylko na przyjaciół, ale przecież nie sformuję sobie armii z sołtysa pijaczka, staruszki plotkary i skutnika z żoną i niepełnosprawnym dzieckiem. Najwyraźniej samą swoją obecnością prowokowałam młodego, dlatego na razie musiałam zniknąć, przeczekać, przeczekać. Zakłęłam cicho pod nosem, bo był to najgorszy moment na wycofanie. Ale cóż, czasem trzeba poświęcić królową, żeby odciągnąć uwagę od innych figur. Potrzebowałam innych figur.

Jeszcze przed skrętem do gospodarstwa dostrzegłam w oknie twarz Zofii Kani. Staszek powoził agresywnie i konie zbyt szybko weszły w zakręt przy wjeździe, przez co wóz lekko otarł się burtą o jedno ze skrzydeł bramy. Na progu czekali na nas parobkowie Kaniów, Rowińscy, którzy, zanim zdążyliśmy się zatrzymać, podbiegli do zwierząt. Ojciec Michasia zeskoczył z kozła prosto w kałużę i pomaszerował do domu, nie oglądając się ani na mnie, ani na żonę. Ja też nie grzeszyłam uprzejmością. Wyciągnęłam rękę w stronę młodszego parobka i zaczęłam nią potrząsać, żeby pomógł mi zejść. Zatrzymałam się przy gospodyni, zdezorientowanej zachowaniem męża.

– Co tam u Michasia? – spytałam bez powitania.

– U Michasia? Lepiej – odpowiedziała niepewnie. – Co się stało, skąd ta krew? – Wskazała wóz.

Obróciłam się i spojrzałam na załadowany ocalonymi gratami pojazd. Rowińscy też przyglądali się brunatnej plamie. Cholera.

– Moje zwierzęta nakarmione? Nie? To na co czekacie? – krzyknęłam do braci, gdy zaprzeczyli. – Sama mam się tym zająć? Sprzęty z wozu zanieść do stodoły, a sam wóz wymyć. Do roboty!

Gdy zniknęli w stodole, chwyciłam Zosię za ramię i poszłyśmy do domu. Nie opierała się, gdy dosyć bezceremonialnie zaprowadziłam ją do kuchni i posadziłam przy stole. Usiadłam naprzeciw, nabrałam powietrza, starając się uspokoić nerwy i rozedrgane dłonie. Kobieta czekała cierpliwie.

– Jest źle. Wikary wysłał do kolonii młodych Listka i Pawłowskiego...

– Czyli to oni pobili Michała? – przerwała mi.

– Tak przypuszczam. Ale nie musisz się już nimi przejmować. Zginęli od miny. Za to my wszyscy jesteśmy teraz głęboko w dupie. I zrozumiem, że jesteśmy w dupie zarówno ja, jak i cała twoja rodzina i wszyscy nasi przyjaciele. Nie udało mi się spacyfikować wikarego, dlatego będzie atakował. I to ty będziesz musiała sobie z tym atakiem poradzić, rozumiesz? Sama. Porozmawiamy o tym później.

Kiwnęła głową i poszła do syna, a ja za nią.

Michał czytał. Biorąc pod uwagę liczbę stron pod lewym kciukiem, już poznał van Helsinga i z pewnością się z nim zaprzyjaźnił. Nie zauważył mnie, dopóki nie podeszłam do łóżka.

– Jak zdrówko? – zażartowałam, przyjmując najbardziej pogodny wyraz twarzy, na jaki mogłam się zdobyć.

Chłopak uśmiechnął się, ale nie mogłam przeoczyć cienia rozdrażnienia z powodu przerwania lektury.

– Widzę, że się podoba. Już nie przeszkadzam. Będę u siebie – poinformowałam Kaniową i poszłam w stronę schodów.

W przydzielonym mi pokoju siadłam ciężko na łóżku. Przymknęłam oczy i spróbowałam sobie przypomnieć twarze ludzi w kościele. Kto był oburzony moją postawą, kto słowami księdza, kto był zdezorientowany. Bardzo głupio zrobiłam, przyjeżdżając z ciałami na mszę, głupio zrobiłam, odstawiając szopkę, której nie przećwiczyłam i ostatecznie nie doprowadziłam do końca. Zostawiłam pograżonych w żałobie rodziców pod opieką, tfu!.. na pastwę wikarego. Zostawało mi niewiele możliwości, a wszystkie złe. Mogłam zebrać swoich i po prostu wywieźć księdza na taczkach, licząc, że mają dla mnie wciąż wystarczający respekt i nikomu nie przyjdzie do głowy krzyknąć, że Koślawej na starość we łbie się

pokićkało. Mogłam wrócić na kolonię i drzeć przed kolejnym pomysłem młodego wikarego, bo przecież w spokoju to mnie raczej nie zostawi, a i Michasiowi nie odpuści. Mogłam też plunąć na całą osadę i po prostu wyjechać. Nie kłamałam, gdy chwaliłam się, że pieniędzy mi nie zbraknie. Jeśli po drodze nikt mnie nie okradnie, to w Jańsborgu mogę kupić sobie dom i żyć z odcinania kuponów. Tyle że starych drzew się nie przesadza, to po pierwsze, a poza tym obecny porządek we wsi, moja pozycja w tej społeczności były dziełem mojego życia. Może gdybym miała trzydzieści-czterdzieści lat lub trzydzieści-czterdzieści lat mniej, to z bólem serca mogłabym wyjechać i rozpocząć życie od nowa. A teraz? Osiem krzyżyków, z czego pół wieku w Okartowie.

Z zadumy wyrwały mnie odgłosy tupania i ciche rozmowy na parterze. Ktoś przyszedł. Więcej niż jedna osoba, chyba że Staszek wpuścił do domu dwie młode kozy. Podniosłam się z wysiłkiem i poszłam się przywitać.

Przy wieszaku ustawiała się kolejka. Sami starzy przyjaciele, teraz moja armia. Na początku sołtys ubrany w marynarkę, czyli służbowo. Już zaglądał do kuchni w poszukiwaniu gospodarzy. Za nim Zarembowie, Waldkowa przekrzykująca wszystkich oburzonym głosem, Drawska ze swoim przystojnym mężem, zawsze w kurtce moro z łatami posmarowanymi dziegiem i... niech mnie, wielebny ksiądz dobrodziej! Wykrzywiłam usta w złośliwym uśmiešku, ale szybko się opanowałam. Teraz nie mogłam sobie pozwolić na utratę ani jednej osoby. Zofia i Staszek zapraszali już gości na pokoje, to jest do kuchni. Jak dotąd nikt nie reagował na moją obecność, poza delikatnym skinieniem głową na powitanie. Uciekali wzrokiem. Trudno, widać trzeba się przyzwyczaić do stanu sparszywienia.

Gospodarze usadzili gości wokół stołu i na ławeczce stojącej pod oknem. Ja dostałam miejsce najbliżej pieca, gdzie było ciepło i gdzie najmocniej pachniał wywar gotowany na sarninie. Nos podpowiadał, że również mama Michała zaopatrzyła się w liście laurowe u Krysi. Zaczął sołtys.

– Koślawa, my tu wszyscy przyszli powiedzieć, że nie chcemy twojej krzywdy.

Mojej? – pomyślałam ze złością, bo akurat sołtys i proboszcz najbardziej bali się o własne tyłki. Nie powiedziałam tego na głos, tylko kiwnęłam głową, że przyjęłam deklarację.

Głos przejął wielebny.

– Ksiądz doktor mówił, że on tylko na jakiś czas. Że tylko stajnie chce posprzątać i poleci dalej w świat. Tak właśnie obiecał.

– Czego chcecie? – spytałam wprost, bo gotowi byli godzinę kluczyć.

– No, dobrze dla ciebie i dla wioski by było, gdybyś wyjechała. Nie na kolonię, bo tam jest za blisko, a ludzie i tak będą do ciebie łązić z zębem i kolką. My tu chcemy... – przerwał i rozejrzał się po zebranych, którzy jak jeden spuścili wzrok. – Chcemy, żebyś ty do Jańsborga wyjechała.

– W delegancje – przerwał księdzu sołtys. – A my tu będziemy udawać, że wikarego słuchamy i że jesteśmy posłuszni, to on wtedy szybciej wybędzie, a my pošlemy po ciebie z powrotem. W końcu jesteś naszą Wiedzącą i cię tak samej u jańsborskich nie zostawimy.

– Przecież tyle dobra uczyniłaś. – Znów głos przejął proboszcz. – Życie uratowałaś mnie, Michasiowi, córce Zarembów. Pomogłaś Drawskim, gdy chcieli dziecka. Jesteśmy ci dłużni.

Uśmiechnęłam się gorzko, widząc, jak wszyscy energicznie potakują. Pacynki.

– Taka nasza, że lepszy nawet obcy klecha – westchnęłam z teatralną przesadą. – Staruchę wywalić na poniewierkę i jeżeli nie skapieje, to może się po nią pošle, jak po parobka. A jak zdechnie, to ładny kamień jej postawimy. Lubię różowy granit.

Zapadło milczenie. Sołtys kilka razy próbował coś powiedzieć, ale tylko wyciągał dłoń, otwierał usta i za chwilę znów kurczył się, zgarbiony. W końcu wstał Staszek Kania.

– Starsza, nie na poniewierkę, bo jadę z tobą. Mówiliśmy po drodze do wioski, wyjaśniliśmy kilka rzeczy. Sama przyznałaś mi rację. – Kluczył, starając się nie zdradzić szczegółów naszej rozmowy na wozie. – Niczego ci brakować nie będzie.

Teraz mi zabrakło słów. Bo to był, kurczę, dobry pomysł. Staszek też postawił się księdzu, ruszył na niego z batem, więc gdybym zniknęła tylko ja, to całą złość okartowskich wikary skupiłby na bimbrowniku i jego rodzinie. Nie zamierzałam dalej się stawiać, bo inaczej gotowi wszyscy czmychnąć. Cud, że jeszcze tego nie zrobili.

– Dobrze – zgodziłam się. – Pojadę w delegację do burmistrza Jańsborga. Chcę tylko od sołtysa pełnomocnictwo, to może nawet jakiś handel wiosce załatwię. Nie będę tam przecież praktyki otwierać.

Widziałam, jak wszyscy z ulgą odetchnęli. Sołtys w ogóle się nie krył i głośno zaświszczał przez zaciśnięte zęby.

– Jutro wyjeżdżamy – zwróciłam się do księdza. – Możesz uspokoić wikarego. Tylko macie mi zadbać o Kaniów, żeby żadna krzywda im się nie stała. To jedyny warunek, jasne?

– To już dogadane – zapewnił Staszek. – Pokażesz tylko Zosi, jak ma się zajmować Michasiem.

Jeszcze chwilę omawialiśmy szczegóły. Kilka minut zajęło też sporządzenie pełnomocnictwa. Znów przydały się przybory ucznia. Potem poleciłam Zarembom, żeby opowiedzieli gospodyni wszystko, co wiedzą o rehabilitacji, a sama przeprosiłam zebranych i wyszłam do Michasia.

– Odłóż książkę. Muszę z tobą porozmawiać – poleciłam. – Jak się czujesz?

– Dobrze – odpowiedział po chwili zastanowienia.

Zanim usiadłam, uchyliłam okno, bo nie pachniało tu zbyt pięknie. Będę musiała porozmawiać z Zosią.

– Ci, co cię pobili, nie żyją. Ale nie ciesz się, bo pewnie wikary ich nasłał, a teraz cięty bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Wyjeżdżam sprowadzić pomoc, dlatego nie będę mogła cię chronić. No i jeszcze chcę zabrać twojego ojca. Sama nie dam rady.

– Kiedy wrócisz?

Dziwiłam się spokojowi, z jakim przyjął wiadomość.

– Jak najszybciej – zapewniłam. – Ale to może być kilka tygodni. Nie wiem, co się dzieje w Jańsborgu, jak długo burmistrza trzeba będzie przekonywać, że ma pomóc wiosce. Dlatego kończysz *Draculę* i wracasz do nauki. A za pięć tygodni zaczynasz trenować nogę, jasne? Zarembowie pokażą ci ćwiczenia. No i pod moją nieobecność będziesz wioskowym Wiedzącym. Masz ludziom pomagać, badać ich i leczyć...

– Ale ja jeszcze nie potrafię – zaprotestował.

– Ja też kiedyś nie potrafiłam – pocieszyłam ucznia. – Z książek nauczysz się wielu rzeczy, ale potem będziesz musiał sam spróbować, czy ta wiedza ma jakąkolwiek wartość. Potrzebujesz jeszcze doświadczenia.

– Jak z tą krwią? – przerwał mi.

– Tak. Z krwią, moczem, miękkością brzucha, odgłosem oddechu. W książce możesz mieć wszystko idealnie opisane, nie tylko czy ten brzuch twardy lub miękki, ale przecież książka nie wytłumaczy tego twoim palcom. Każdy lekarz ma swój własny cmentarz pomyłek. Pamiętaj o tym.

– Będę pamiętał – powiedział poważnie.

- Dobrze. Wracaj do lektury, a ja jeszcze pogadam z twoimi rodzicami.
- Odruchowo przytknęłam mu wierzch dłoni do czoła, mimo że już wczoraj nie miał temperatury, i ruszyłam w stronę drzwi.
 - Uważaj na siebie. – Usłyszałam za plecami.
 - Jeszcze nie wyjeżdżam – uspokoiliam Michasia i poszłam szukać Kaniów.

Staszek miał zdążyć przed zmrokiem, ale najwyraźniej zgromadziłam więcej gratów, niż podejrzewałam. I miałam rację. Największy wóz, latem wykorzystywany do przewozu siana z pól, był wypełniony po brzegi. Połowę zajmowały fanty ze schronu, których wcześniej nie zabraliśmy przez brak miejsca lub dlatego, że nie spodziewałam się, by były przydatne na handel. Jakże się myliłam! Sama przecież niedawno kupiłam pusty akumulator i reflektor samochodowy. W Jańsborgu może nawet mogłabym sprzedać świece samochodowe, agregat i ten nieszczęsny rower bez opon. A bo to one do jeżdżenia niezbędne?

Resztę zajmowały moje prywatne rzeczy. Ubrania, książki, wszystkie ocalałe naczynia z pracowni, każde owinięte w koc lub chociaż ukryte w czapkach i skarpetach. Staszek zabrał nawet zapałki z piwniczki. Ba, odnalazł zapalniczkę zippo, którą zgubiłam czterdzieści lat temu. Obaj Rowińscy prawie się popłakali, gdy usłyszeli, że cały ten bałagan będą musieli przenieść do stodoły, żebym mogła podzielić wszystkie rzeczy na przydatne i nieprzydatne. Oraz na przydatne dla Michasia, na wypadek gdybym nie wróciła.

Przed wyjazdem na kolonię przekazałam bimbrownikowi szczegółowe instrukcje, a potem zgarnęłam Zosię i pokazałam, jak ma pielęgnować syna. Że powinna nie tylko odwijać bandaże, zastępować je czystymi i brudne prac, ale też myć jego samego.

– Łubki i tak są ze sobą powiązane. Odwijaj tylko tam, gdzie są rany. Patrz, opatrunki przy złamaniach są owinięte oddzielnie, dlatego krzywdy Michasiowi nie zrobisz. A gazy na ranach masz zmieniać na sterylne, to znaczy te zapakowane w papier – pouczałam.

Z tych zabiegów najmniej zadowolony był sam pacjent, ale dzielnie maskował ból, gdy odklejałyśmy kawałki materiału od pokrytych strupami ran. Na szczęście goiły się ładnie. Zmęczony zasnął, zanim zdążyłyśmy zebrać zużyte opatrunki. Laudanum też mu w tym pomogło. Posegregowałam gaziki i bandaże na te do wyrzucenia i te, które można

jeszcze przeprać i po wysuszeniu nakładać na sam wierzch, żeby umocować opatrunki. Po chwili przyszedł wyraźnie zniecierpliwiony sołtys. Pytał, choć nie wprost, czemu jeszcze tu jestem. Pogoniłam go i poszłam do stodoły porządkować wczorajszy transport.

Wieczorem, po spakowaniu wozu na nowo, zjedliśmy kolację. Staszek był zdenerwowany, ale trzymał się nieźle. Ja też nie narzekałam, mimo że od dawna, znaczy od pożaru obórki, tak się nie napracowałam. Położyłam się wcześniej, ale nie spałam zbyt długo.

Wyjechaliśmy przed świtem. Nie pożegnałam się z Michasiem. Nie chciałam go budzić, poza tym zamierzałam niedługo wrócić.

4 *Ich, Jacob, karrte den größten Teil der Steine zum Bau dieser Kirche heran* [Ja, koń Jakub, większość kamieni na budowę tego kościoła przyciągnąłem – tłum. aut.] – napis na suficie kościoła parafialnego w Okartowie.

CZĘŚĆ DRUGA

JANSBORG

Pradziad Zarembówny, jak jeszcze był młody, na polu trafił na kamień tak ogromny, że trzy dni ziemię kopał wokół, a nawet do połowy nie dotarł. I gdy czwarty dzień tak się męczył, podszedł do niego chłopak z ciemną twarzą i czarnymi włosami. Na grzbiecie miał kolorowy dres, ale czysty i z suwakiem, a na głowie czerwoną czapkę z kaczym dziobem. Zapropował chłopu, że za drobną opłatą nie tylko kamień wydobędzie, ale też połupie na drobne, spakuje na wozy i piękną oborę postawi. Zaremba się zgodził, bo czemu nie, i dał nieznajomemu łopatę.

Młody wskoczył do wykopu i począł tak szybko machać narzędziem i tyle ziemi wyrzucać, że aż się sąsiedzi zbiegli patrzeć, co tam dziwnego się dzieje. A działa się, bo młody już skończył odkrywać kamień, wyciągnął go z dziury, sapiąc przy tym strasznie, i już się zabierał za łupanie. Bach! – co jedno uderzenie, to kawał granitu odpadał na bok. Bach! – i kolejny.

A obok stała żona Zaremby i przyglądała się podejrzliwie, bo to niemożliwe, żeby człowiek miał tyle siły. Próbowła męża ostrzec, ale ten nie słuchał. W końcu podeszła do chłopaka i krzyknęła na niego.

– Dobrze pracuj, dobrze, bo dużo nam kamienia potrzeba na kościół.

Mężczyzna, jak tylko usłyszał te słowa, wrzasnął jak przeklęty, zaskwierczał i poleciał w górę, zabierając ze sobą wszystkie kamienie, także te połupane. Potem wszystko pieprznął do Kałuzy przy półwyspie i uciekł do piekła przez dziuplę w lipie rosnącej na Czarcim Ostrowie.

Ksiądz Wojciech Dziewulski, absolwent Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie, doktor teologii fundamentalnej i misjonarz, klęczał przed niewielkim ołtarzem na plebanii i się modlił. Zaciskał przy tym powieki tak mocno, że przed oczami co chwila przeskakiwały mu błyskające czerwienią i błękitem mroczki, rozpraszając i odciągając od Boga. Ksiądz Wojciech modlił się jak dziecko, bo też wierzył jak dziecko – pełnią serca i rozumu, bez obaw i bez zwątpienia. Tak też żył – z ufnością i oddaniem pracując na chwałę Stwórcy i Kościoła, jego umiłowanej córki.

Uważał się za szczęściarza. Nie dlatego, że w wieku pięciu lat przeżył napaść, w której zginęli jego rodzice i siostra. Nawet nie dlatego, że nie umarł potem z głodu i zimna. Nie dlatego, że przygarnął go pustelnik mieszkający w ruinach klasztoru – stary mądry dominikanin, który go wychował jak syna, nauczył prawdziwej wiary, a w końcu wysłał do

jedynej na kontynencie metropolii nietkniętej wojną, która obecnie była, i owszem, zrujnowana, ale na skutek biedy i głodu, a nie bombardowań.

Ksiądz Dziewulski uważał się za szczęściarza, ponieważ urodził się taki, jaki się urodził. Znał potencjał wszystkich Bożych darów i z Bożą pomocą rozwijał je dzięki ciężkiej pracy i żarliwej modlitwie. Codziennie, również teraz, dziękował za zdrowie i atrakcyjny wygląd, tak ważny w pracy misyjnej. Dziękował za sprawny umysł, za karność i dyscyplinę, te dary ducha, którymi Bóg w swojej łaskawości go obdarzył.

Wysłany na studia, obiecał nie zmarnować czasu i pokładanych w nim nadziei. Teraz miał pewność, że nie zawiódł opiekuna, siebie i Boga. Uczył się pilnie, stroniąc od uciech tak typowych dla żaków. Wkrótce po święceniach został asystentem, zaufanym profesora tak starego, że pamiętał czasy sprzed wojny. To właśnie przełożony podsunął mu pomysł urządzenia świata na nowo, zbudowania *Civitas Dei*. Sędziwy zakonnik zachwalał regułę augustiańską, dzieło patrona swojego zakonu. W końcu przekonał młodego doktoranta, że tak właśnie powinien wyglądać świat idealny: pozbawiony wojen, podporządkowany Bogu, zamieszkały przez ludzi żyjących w pokoju i skromności. Pod wpływem impulsu młody ksiądz stworzył elaborat o konieczności ponownego nawrócenia odległych regionów. Oderwane od Stolicy Apostolskiej społeczności chrześcijańskie z konieczności dziczały, oddalały się od prawdziwej i nieskażonej wiary. Poza tym była to niepowtarzalna okazja, by Kościół przejął również jak najbardziej świeckie funkcje na terenach, gdzie społeczności pograżyły się w anarchii: Watykan jako jedyny zachował centralną administrację. Poza tym przetrwały liczne parafie i zakony, a najważniejsze, że ludzie nie odwrócili się od Boga. Pismo wysłał do kancelarii Rady Iustitia et Pax i, ku swojemu zdziwieniu, został zaproszony na audiencję. Zaproponowano mu organizowanie misji – wyjazdów młodych księży w rodzinne strony, aby tam nawracali na prawdziwą wiarę, wolną od zabobonu i odstępstw; tworzyli struktury i umacniali probostwa.

Wojciech podziękował profesorowi za wsparcie, bo przecież było oczywiste, że ktoś musiał szepnąć o nim dobre słowo. A może nie?

Do pracy przystąpił natychmiast. Najpierw długo planował, rozważał różne ewentualności, problemy, scenariusze. Potem opracowywał rozwiązania, sposoby postępowania w różnych sytuacjach i regulaminy. Odpowiedzi te kwestionował, podważał ich skuteczność.

Do następnego etapu przystąpił dopiero wówczas, gdy zakończył prace nad owym „podręcznikiem misjonarza”. Nie był to poradnik uniwersalny, bynajmniej. Wojciech tłumaczył urzędnikom Kongregacji, że najważniejszych fragmentów w dokumencie nie ma, bo być nie może. Bo jak opisać wszystkie warianty, problemy, przypadki?

Rada dokument przyjęła, zatwierdziła i przekazała dalej. Podręcznik uzyskał imprimatur, a autor podziękowanie.

I tyle, bo projekt przekazano Kongregacji ds. Ewangelizacji Narodów, która miała go wdrożyć.

Pierwsza próba była całkowitą katastrofą! Wysłany delegat, zresztą kolega Wojciecha z czasów studenckich, jeszcze z Gregorianum, wyjechał do parafii na Podkarpaciu zastąpić tamtejszego proboszcza. Trzy miesiące później do Rzymu dotarł list, w którym przyjaciel zegnał się i powierzał swoją duszę modlitwom współbraci. Niezadowoleni ze zmian mieszkańcy wsi napadli w nocy misjonarza i ranili go nożem. Wdało się zakażenie, a po dwóch tygodniach męczarni mężczyzna zmarł. Poprzedni proboszcz odzyskał stanowisko i miał, na szczęście, tyle przyzwoitości, żeby pismo przekazać handlarzom wędrującym na zachód.

Wtedy dopiero ksiądz Wojciech zrozumiał, że nie może tak po prostu kogoś wysłać z instrukcjami i poleceniami. Bolał bardzo nad stratą, nad męczeńską śmiercią druha, ale nie zrezygnował z planów. Zmienił tylko sposób działania. Postanowił pojechać osobiście. Nie zastępować proboszcza, a tylko schronić się za jego plecami; nie walczyć z całą społecznością, a tylko namierzyć najbardziej wpływową osobę i zwrócić parafian przeciwko niej. Jednocześnie pracować z miejscowym księdzem. Przekonywać go, że w nowych warunkach będzie mu po prostu lepiej. Że jego posługa będzie łatwiejsza i bardziej owocna.

Pierwsza misja do wsi Wiele, koło Czerska, zakończyła się pełnym sukcesem. Miejscowy sołtys, bardzo obrotny, choć prosty człowiek, przez jakiś czas próbował buntować mieszkańców, jednak bezskutecznie. Ostatecznie przyszedł do spowiedzi, przyjął pokutę i oddał serce Najświętszej Pani. Po trzech miesiącach Wojciech mógł pozostawić wieś pod dobrą opieką dotychczasowego proboszcza.

Przez cały ten czas zbierał też informacje o kolejnych miejscach, które wymagały podobnej ewangelizacji. Pytał ludzi najlepiej poinformowanych, czyli obwoźnych handlarzy. Kilku z nich wskazał proboszcz, kilku kolejnych nawrócony sołtys. Jeden z kupców poinformował o wyjątkowo

prężnej społeczności w małej wsi nad Śniardwami. Podobno tuż po wojnie zorganizował i ucywilizował ją miejscowy proboszcz, a po jego śmierci obowiązki przejęła znachorka, teraz sędziwa kobieta.

Po powrocie do Rzymu ksiądz Wojciech spisał raport, poczekał na posłuchanie, a następnie przez tydzień zbierał gratulacje, często od bardzo ważnych, a zazwyczaj tylko ważnych hierarchów.

Przygotowania do kolejnej misji trwały kilka tygodni, mimo gorącego poparcia samego Ojca Świętego, Marcina VI, który przyjął młodego misjonarza na audiencji i ogłosił bullę *Fortis novus orbis terrarum*, wyraźnie skrojoną pod działalność księdza Dziewulskiego. Pisma rozwiezione do parafii pozostawały bez odpowiedzi – bez pisemnej odpowiedzi, ale kurierzy dostarczyli cennych danych. Księża proboszczowie na prowincji byli niewykształceni, w większości niepiśmienni. Z ambon opowiadali bzdury, nie znali Ewangelii, dogmatów, często też byli spychani na margines przez co bardziej krewkich, charyzmatycznych i obrotnych wójtów, sołtysów, gospodarzy lub po prostu miejscowych bandytów.

Przed wyruszeniem Wojciech modlił się długo i żarliwie. Spędzał w kaplicy całe godziny, aż kiedyś zaniepokojony profesor upomniał go, że powinien być oszczędny w słowach i myślach.

Na Mazury dotarł wozem. Na brzegu jeziora, a raczej jezior, bo zatrzymali się na styku Śniardw i Bełdan, z pomocą woźnicy ustawił na ziemi i zmontował motolotnię, do plecaka wrzucił Biblię, kopię bulli, notatnik, w którym zaczynając od pierwszej strony, pisał raporty, a od ostatniej homilie, dwa długopisy i trochę drobiazgów, do których był po prostu przywiązany. Do tego torbę z bielizną, dwiema sutannami na zmianę, kosmetykami. W końcu nie zamierzał spędzać tu reszty życia.

Maszyna była mu potrzebna do wywarcia odpowiedniego wrażenia, a przynajmniej tak to sobie tłumaczył. Kochał latać. W Rzymie udało mu się kilka razy pilotować pod nadzorem prawdziwy samolot, choć strasznie prymitywny w porównaniu z przedwojennymi konstrukcjami. Na przekazanie tej małej maszyny na potrzeby misji naciskał chyba nawet zbyt mocno, żeby wyglądało to wiarygodnie, ale w końcu otrzymał to, co chciał. Zamierzał odpowiednio wstrząsnąć parafianami, lądując w środku wioski, i pójść prosto do kościoła, zanim mieszkańcy podniosą szczęki z ziemi. Ale przede wszystkim mógł przez chwilę krążyć nad wodą, podziwiając z góry największy akwen w tym regionie. Obserwował stada ciężkich

kormoranów, obsiadających wszystkie niemal gałęzie nadbrzeżnych drzew, przelatywał nad majestatycznymi łabędziami. Poniżej rozpościerała się szara lodowa pustynia. Mrużył oczy przed kalejdoskopem błysków słońca, odbitych od śniegu. Nie chciał kończyć tej podróży, ale obowiązek wzywał.

Ksiądz doktor Wojciech Dziewulski klęczał przed niewielkim ołtarzem w plebanii i się modlił. O powodzenie swojej misji, o pomyślność swoich parafian, w końcu o nawrócenie zagubionych dusz, także tych dwóch, które opuściły wieś. Nie życzył im źle, o nie – byłoby to niechrześcijańskie, dlatego prosił Boga, żeby obdarzył je swoim błogosławieństwem, gdziekolwiek są i dokądkolwiek się udają.

1.

To nie było wcale tak dawno, bo wtedy już nie żył Wasilczyk.

W lesie pod Mikołajkami mieszkał kowal, któremu bardzo źle się w życiu wiodło, choć pracowity był i pobożny. On i jego żona gospodarni byli i skromni, a mimo to wciąż klepali biedę. Ja to sobie myślę, że jak kto kuźnię w lesie stawia, i to przy Mikołajkach, to dureń jest, i nawet jak znajdzie mu się klient, to prędzej po mordzie da, niż zapłaci.

Aż pewnego dnia skończyło się jedzenie, więc kowal zamknął kuźnię i poszedł nad Kałużę ryb nałapać, coby jakoś pożyteczniejszy czas spędzić i o życiu sobie podumać.

I może by i podumał, ale mu się nagle wędka wygięła, że mało z rąk nie wypadła. Godzinę prawie się biedak z rybą męczył, ale w końcu coś mu mignęło pod powierzchnią wody, potem znowu. Jeszcze raz się chłop sprężył, przyciągnął zdobycz. No i hop! – wlaź do Kałuży po pas i szybko chwycił złotą sielawę w podbierak.

Rybka była niewielka, może by na zupełną starczyło, dlatego przez chwilę trzymał ją na brzegu i podziwiał piękne łuski. W ręku trzymał kamień, którym chciał jej w łeb przyłożyć. A ta nagle zaczyna gadać:

– Wypuść mnie, to nigdy nie zaznasz głodu. Tylko nigdy więcej nie zarzucaj tu sieci ani wędki.

Kowal zacukał się na chwilę. Myślał i myślał, ale w końcu wyjął ostrożnie haczyk i puścił rybę do wody. Żona mu oczywiście nie uwierzyła i kazała wracać, żeby chociaż raków nałapał, skoro taki niedojda.

Złota sielawa nie kłamała. Chłop tylko dotarł do Kałuży, a już zobaczył zaplątanego w wodorosty szczupaka i skaczącego na piasku sandacza.

Odtąd codziennie szedł nad Kałużę i zabierał dwie ryby. Pilnował też, żeby nikt inny tam nie łowił.

Z piętra dochodziły krzyki i przekleństwa. Normalne o tej porze dnia. Pan Tomasz głośno analizował swoje obliczenia: wzory wypisywane na każdej wolnej powierzchni. Ksiądz Marek dostarczył mu z budynku przedwojennej szkoły podstawowej tablicę i pudełko kredy. To ostatnie chory zużył w błyskawicznym tempie, część chyba zjadł.

Była niedziela. Msza właśnie się skończyła, dlatego tradycyjnie gościłam na obiedzie u proboszcza, pod pretekstem kontroli stanu zdrowia podopiecznego parafii. Pretekstem, bo po dwóch latach ksiądz Marek znacznie lepiej ode mnie potrafił zatroszczyć się o pacjenta.

– Może by tak odwołać kwarantannę za mostem? – spytałam. Nałożyłam sobie chochlą pysznej zupy i rozejrzałam się w poszukiwaniu soli. Gospodarz prawie nie solił.

– A po co? – Podał mi pojemnik. – Jest tyle opuszczonych gospodarstw w Okartowie i Wężewie, poza tym wieś będzie lepiej funkcjonować, jeśli będzie zwarta. No i pomyśl perspektywicznie. Most się kiedyś zawali i co wtedy zrobimy?

– Słusznie – przytaknęłam. Nigdy nie zastanawiała mnie perspektywa trwałości przeprawy. Zmieniłam temat. – Myślałam ostatnio o wojnie – spróbowałam zagadnąć.

Wojna była tematem tabu. Za bardzo bolały wciąż świeże rany.

– Niewiele na ten temat wiem – odpowiedział. – Pod namiotem to się raczej słucha Lata z Radiem i wyłącza, gdy zaczynają się wiadomości. Bardziej interesowały mnie robaki na ryby niż sytuacja geopolityczna.

– Czyli nie wiesz, jak to się zaczęło?

– Coś tam niby wiem. Chodziło o drobiazg. Jakąś wyspę czy złoża podwodne. A potem bum! Któremuś z dowódców puściły nerwy i strzelił. Na nieszczęście nie spudłował, tylko zatopił fregatę kraju, który w ogóle nie zamierzał się angażować w konflikt. Domino.

– Kto wygrał? – spytałam, sięgając po kolejny kawałek chleba.

Marek odpowiedział dopiero po chwili zastanowienia, gdy kończyłam smarować miodem świeżą kromkę. Taki skromny deser.

– Myślę, że nikt. Z pewnością nie my. Od stuleci przy okazji każdej wojny to cywile najbardziej zbierali po tyłkach. Teraz też tak było, ale zmieniły się narzędzia, taktyka i same proporcje. Żołnierzy nie ma zbyt wielu, bo są kosztowni, każdy jest na wagę złota. Dlatego automatyczne drony uderzające w każdy żywy cel będą trafiać przede wszystkim w cywilów. Żołnierze się obronią, o nich się nie martw. Za to cywile... no cóż, jak zwykle.

– Tęsknisz czasem za Warszawą? – Ponownie przeskoczyłam na inny temat.

– A ty? – odpowiedział pytaniem.

Wzruszyłam ramionami w niejednoznacznym geście.

– Czasami. Czasem tęsknię za ludźmi. Za tłumami ludzi. Tutaj znam każdego i każdy zna mnie. Nie da się utonąć, zniknąć.

Uśmiechnął się.

– Ja miałem odwrotny problem. W tamtym czasie starałem się zapamiętać każdego parafianina, ale było to praktycznie niemożliwe przy tej liczbie i rotacji. Tutaj i teraz sprawa jest jasna. Znasz każdego, znasz jego problemy i zmartwienia. Jest łatwiej. Może to jest część bożego planu?

– Co? Wybić wszystkich? – spytała zszokowana.

– Nie! Skąd! – zaprzeczył zdecydowanie. – Umieścić nas w społeczności tak niedużej, że będziemy w stanie wszystkich poznać i wszystkim pomóc. Tworzymy całkiem niezły zespół. Razem możemy naprawdę dużo zrobić dla tej wioski i dla swojej własnej satysfakcji, nie uważasz?

Przytaknęłam tylko, milcząc. Co ja bym bez niego zrobiła? A o ile mniej on by zrobił beze mnie.

– Za drużynę! – podniosłam kieliszek z nalewką żurawinową.

– Za drużynę – odpowiedział i upił mały łyk. – Muszę cię przeprosić. Zaraz mam popołudniową rozmowę z panem Tomaszem. Systematyczność i punktualność mają dla niego wyjątkowe znaczenie. Pewnie ma jakiś uraz po kontaktach ze studentami – zażartował. – Nie obrazisz się, że cię nie odprowadzę?

Pokręciłam głową, bo nie chciałam mówić z ustami pełnymi pszennego chleba z miodem, którym zagryzłam alkohol. Przełknęłam w pośpiechu, zanim wyszedł.

– Może porozmawiamy później? Teraz pójde do pacjentów, ale po kolacji mogę wpaść i najwyżej zostałabym na noc.

Zatrzymał się przy drzwiach i spojrzał mi w oczy.

– Lepiej nie. Nie chcę tworzyć niepotrzebnego... napięcia. Wierzę, że moja żona wciąż żyje.

Sen skończył się. Rozpłynęła się twarz przyjaciela i tylko jego brązowe oczy zostały mi w pamięci.

Kostniałam z zimna, mimo skór i ciepłych kamieni, które Rowińscy ułożyli pod ławką. Niebo na wschodzie dopiero szarzało, ale widoczność była wystarczająca, chociaż ciężkie chmury wisały tak nisko, że zdawały się prawie dotykać wierzchołków sosen i topoli. Siedziałam z przymkniętymi oczami i wsłuchiwałam się w synkopowy, rytmiczny stukot

kopyt, w modulowany szum kół rozjeżdżających śnieg, trzask lodu na powierzchni zamarzniętych kałuż, chlupot błota. Jakiś źle umocowany przedmiot obijał się o burtę wozu, Thelma i Louise parskały, strącone przez wiatr suche gałęzie głucho waliły się na ziemię.

Zastanawiałam się, czy wzięłam wszystko, co potrzebne lub przydatne. Pakowaliśmy się w pośpiechu, nie byłam też obecna w czasie ewakuacji kolonii. Co przegapiłam? Chyba nic. Większość przedmiotów przeznaczona była na sprzedaż. Wszystkie te latarki, odzież, syrena alarmowa czy agregat nie były ani mnie, ani Kaniom potrzebne, skoro obywaliliśmy się bez nich od czasu wojny; tak samo śpiwory, pakiety przeciwchemiczne czy butle z gazem. Podobnie krótkofalówki zespolone kiedyś przez Asię z dynamem z latarek. Staszek znalazł też w bunkrze dwa ładunki trotylu, które najpierw kazałam Zosi ukryć gdzieś głęboko, ale po chwili namysłu schowałam je do torby z lekami. Nie chciałam ryzykować wypadku, gdyby rodzeństwo Michasia okazało się równie wścibskie jak mój uczeń. Zabrałam też leki, notatki, książki. Staszek pragmatycznie spakował je w skrzynie, przez co w perspektywie miałam kilka dni porządkowania papierów. Zabrał też aloes, który przed wyruszeniem przykryłam kocem i położyłam przy kamieniach, żeby nie przemarzł.

Okolica zaczęła nabierać barw, dopiero gdy minęliśmy ruiny Nowych Gut. Sosny, świerki i jałowce zazieleniły się, pojedyncze pokryte szronem owoce dzikiej róży i grona jarzębiny nasyciły się czerwienią. Tylko lód na powierzchni Kałuży pozostał szarostalowy. Stojący obok drogi zespawany z rur krzyż wrastał w pień klonu. W pewnej chwili dostrzegłam jakiś obiekt. Stał niedaleko, na prawie pożartym przez samosiejki polu. Za kilka lat zarósłby tak, że już bym go nie zauważyła.

– Zatrzymaj się – poprosiłam Staszka.

On też chyba drzemał, bo otrząsnął się, jakbym mu wrzasnęła prosto w ucho. Ściągnął lekko wodze i wydał konikowi komendę.

Zeszłam z wozu i podreptałam do obiektu. U podstawy szara, pokryta porostami szpica przymocowana była do aluminiowej konstrukcji w kształcie kwiatu. Sześć kompozytowych płyt przypominających płatki pokrywały kiedyś ogniwa fotowoltaiczne, teraz rozbite i zniszczone. Pośrodku z rozłupanej, ośnieżonej obudowy wysokości człowieka wystawały układy scalone, rury, przewody. Wielu elementów z pewnością brakowało. Podniosłam z ziemi rozbite urządzenie, chyba obiektyw, sądząc po zespole soczewek. Wsadziłam drobiazg do kieszeni.

– Co to jest? – spytał Kania, bo już od pięciu minut chodziłam wokół instalacji, oglądając ją z każdej strony.

– Stacja dokująca dronów. Nie widziałam takiej od dobrych czterdziestu lat. Zajrzyj do środka, czy nie ma tam butli – poleciłam. – Będzie podobna do tych, co je przysypałeś, tylko większa.

Mężczyzna klęknął i zajrzał przez odchylony kawałek obudowy. W końcu wstał i pokręcił głową.

– Nie ma, Starsza. Pewnie ktoś zabrał.

– Trudno. Nie widzę tu nic przydatnego. Jedźmy dalej – powiedziałam i dałam się poprowadzić w stronę wozu.

Gdy w końcu wgramoliłam się na górę, Staszek sięgnął po nóż i siekierkę, a potem zniknął w lesie. Po kilku minutach wrócił z brzoźowym kijem. Wsiadł na kozioł i ruszyliśmy. Laskę obrabiał nożem przez kolejną godzinę.

– Masz, Starsza. – Podał mi ładnie okorowany kij. – Ślisko jest, łatwo się połamać.

Przyjęłam podarek i położyłam za sobą na wozie. Widziałam, że chce zadać mi pytanie. Wiedziałam, jakie.

– To była taka stacja, do której wracały drony, gdy kończyła im się energia. Widziałeś te rozrzucone szkiełka? Przetwarzały światło słońca na prąd. Drony lądowały na nich, zabierały ten prąd, uzupełniały gaz i leciały dalej.

– To nie wystarczyło zniszczyć te gniazda? Żeby drony przestały działać.

– Tak, tyle że stacje dobrze się broniły. Poza tym nikt nie wiedział, gdzie znajdują się wszystkie. Przyjaciel mi o tym opowiadał. Nie był żołnierzem, ale co nieco wiedział. Raz nawet zaatakowali taką jedną.

– No i?

– I nie dali rady – odpowiedziałam zdawkowo. Ten znajomy, Rysio, wtedy zginął. Podobnie kilku innych z naszej paczki. Ja zostałam w krzakach, bo nie nadawałam się do szturmu nawet na kawałek drzewa, a Asia, moja przyjaciółka, też została, bo od początku sprzeciwiała się takim próbom. – Zabrałeś bimber? – zmieniłam temat.

– Tak, Starsza. Ale te twoje cuda chyba będą więcej warte. Tak myślę, że chociaż te światełka i mundury.

Skinęłam bez słowa i skupiłam się na podziwianiu okolicy. Las pojaśniał. Nie, nie z powodu śniegu. Po prostu w tej okolicy więcej było

brzóz, a mniej sosen. Brunatno-białe patyki zaścielały ulicę na całej szerokości. Niektóre musieliśmy ominąć. Kałuża po prawej stronie, kilka metrów poniżej poziomu drogi, straszła szarością martwej pustyni.

W porze śniadania błąd krążek słońca pojawił się na tle chmur. Wiatr kęsał, ale po kilku godzinach byłam tak przemarznięta, że nie robiło to różnicy. Wjechaliśmy do Jeglina. Z niegdysiejszych kilku domów po drugiej stronie kanału został jeden. Na tym brzegu nie było żadnego. Sam most przerzucony nad zaniedbanym, prawie zarośniętym ciekiem uzbrojono w druty kolczaste i siatki maskujące tylko z nazwy, bo przetrzepane przez wiatr przypominały zwykłe sieci rybackie. Strażnik dojrzał nas, zanim minęliśmy pordzewiałą tarczę znaku zakazującego przekraczania prędkości czterdziestu kilometrów, przestrzeganego bez wyjątku od kilku dekad, od kiedy nie działają już żadne wystarczająco szybkie pojazdy. Mężczyzna zszedł z mostu i zanim dojechaliśmy do przeprawy, wrócił w towarzystwie dwóch kolejnych, w tym jednego z bronią.

– Kontrol – rzucił bez przywitania jeden z nich, najwyraźniej dowódca, bo jako jedyny ubrany był tylko w lekką kurtkę narzuconą na postrzępiony sweter, czyli zapewne nie pełnił służby na świeżym powietrzu.

– My okartowscy, na handel do Jańsborga – powiedział Staszek spokojnym głosem.

Strażnik podszedł do burty i zajrzał do wozu. Zaczął wyciągać co bardziej interesujące przedmioty. Patrzyłam przed siebie, obserwowałam pozostałych dwóch.

– Jest opłata za przejazd mostem. Taka decyzja burgmajstra.

– Ile? – spytałam, nie odwracając się.

– Sierżant wybiera, ja wyceniam – powiedział stojący przede mną strażnik z bronią. Uśmiechał się znacząco, sugerując, że wybór fantów i ich wycena będą dla nas bardzo niekorzystne.

Pojazdem zachybotowało, gdy mężczyzna wspiął się na pakę. Odgłosy wskazywały, że nawet jeżeli niewiele wezmą, to dużo zniszczą.

– Staszek, przegoń gówniarza, bo buja – poleciłam bimbrownikowi.

Speszył się trochę, bo o jańsborskiej straży miejskiej wiedział zapewne nie mniej niż ja, ale posłusznie odwrócił się w tył.

– Zejdź pan z wozu – polecił mężczyźnie, który roześmiał się na całe gardło.

Po chwili dołączyli do niego koledzy. Westchnęłam teatralnie i sięgnęłam po kij wystrugany przez Staszka. Drągiem uderzyłam trzy razy w

podłogę wozu.

– *Oh, Dies Irae! Perpetua a verbis ad verbera!* – krzyknęłam. Człowiek z bronią wymierzył we mnie, gdy tylko zaczęłam stukać, ale nie przerywałam deklamacji, choć kończyły mi się „zaklęcia”. – *Pater noster, IKEA, Castorama i musculus sphincter ani externus...*

– Zamknij się, stara! – Ten za mną spanikował. – Co to jest? Kto to?

– To Kośława. Wiedząca znad Kałuży – wyjaśnił Staszek spokojnie, ale w jego głosie również wyczułam strach. I to nie z powodu jańsborskich celników.

– Jaka Kośława? Ta Kośława?! – spytał dowodzący i przeżegnał się zamaszyście.

Przytaknęłam i jeszcze trzy razy uderzyłam laską. Bałam się, żeby nie przegiąć, dlatego zamierzałam od tej chwili obniżyć ciśnienie. Przez chwilę wszyscy milczeli. Wiatr uderzał szkwałami, ale gotowa byłam przysiąc, że pocili się wszyscy obecni na jeglińskim moście.

– Ta Kośława – potwierdziłam. – A teraz wybierzmy coś, czym zapłacimy za przejazd. Staszku, latarka i buty – poleciłam.

Kania przekazał mi lejce i obrócił się na koźle. Po chwili podał mi przedmioty. Do prawego buta włożyłam latarkę i rzuciłam pod nogi dowódcy. Po chwili, gdy zbliżył się niepewnym krokiem, podałam mu do ręki drugi.

– Tyle będzie musiało wam wystarczyć. Jedziemy dalej, bo interes mamy do burgmajstra.

Podalam bimbrownikowi lejce i wpatrzona w dal, ponad głowami strażników, czekałam, aż stojący na wozie mężczyzna zeskoczy na ziemię.

– Ej, babo, a te czary, to co to? – spytał ten uzbrojony, lekko się zacinając.

– Przekonasz się, jak następnym razem coś ci poleci z rąk – wyjaśniłam możliwie słodkim głosem. Usłyszałam ciche bluzgi. – Spokojnie. To nic groźnego. Jak będę już w Jańsborgu, to się zgłosicie. Za wizytę zapłacisz butem, ty drugim butem, a ty latarką. – Wskazałam po kolei każdego z nich. – Jedźmy.

Staszek wydał konikom polecenie i wóz powoli ruszył. Mineliśmy skrzyżowanie z drogą prowadzącą do śluzy, dymiącą z komina stróżówkę, ruiny budynków gospodarczych, pokryte śniegiem z jednej strony betonowe słupy latarni, każdy u góry zwieńczony koroną bocianiego gniazda. Między nami i Jańsborgiem została ostatnia prosta.

Im większe miasto, tym rozleglejszy teren wokół niego jest skażony. Więcej można spotkać pojedynczych gospodarstw, leśniczówek, drwali, połamanych gałęzi, śladów po ogniskach. Po prostu miasto rozrzuca ludzi z większą siłą, aby je karmili. Wojna tego nie zmieniła. Jańsborg był największą ludzką osadą w promieniu wielu kilometrów. Mieszkańcy musieli się jakoś wyżywić, musieli gdzieś mieszkać, rzemieślnicy zarabiać, dlatego od Jeglina las nie był już tak gęsty, przybywało pól i gołych karczowisk pokrytych guzami pni i kępami sterczących w niebo korzeni. Pojawiały się pierwsze zabudowania. Na przedwojennych betonowych fundamentach jańsborscy postawili domy z bali. Nad dachami unosiły się pachnące żywicą wstęgi dymu, z obór bił smród odchodów, z tartaków i warsztatów dochodziły odgłosy siekier i pił.

Od tej strony do Jańsborga, a raczej ówczesnego Pisz, wjeżdżałam ostatnim razem jeszcze przed wojną. Na rynku miejskim miały odbywać się jakieś koncerty i zabawy zakończone o północy pokazem sztucznych ogni. Razem z koleżankami wcześniej skończyłyśmy pracę w stacji w Popielnie i astrą kolegi pojechaliśmy trochę się rozerwać. Tamta zabawa nie utkwiała mi w pamięci, czyli nie była jakimś szczególnym przeżyciem.

Gdy wraca się po latach w znajome strony, często wydaje się, że podczas nieobecności zakodowane w pamięci budynki zmalowały, dlatego trudno po długiej przerwie odwiedzić jakieś miejsce i nie poczuć zawodu. W tym przypadku nie było mowy o złudzeniu. Patrzyłam na rozmytą przez wilgotne powietrze panoramę za torami, kiedyś zasłoniętą domkami i blaszanymi hurtowniami, po których teraz nie było śladu. Strasząca na horyzoncie po prawej stronie wieża ciśnień, zrujnowana jeszcze przed wojną, obecnie miała może jedną trzecią swojej pierwotnej wysokości. Poniemieckie magazyny kolejowe ktoś pozbawił dachu. Ich czerwone mury oplatała sieć pokrytych śniegiem rusztowań. Ale najbardziej brakowało mi drzew. Cały Jańsborg wydawał się z nich ogołocony. Przedwojenny Pisz zapamiętałam jako miasto zielone, pełne rozrzuconych pojedynczo i grupami topoli, kasztanów i dębów. Teraz poza niskimi, sięgającymi maksymalnie dwóch metrów patykami nie dostrzegłam ani jednego. W sumie nie było w tym nic dziwnego: po co biegać do lasu, skoro tyle opału rośnie pod oknami?

Przecieliśmy zaśmiecone korą tory kolejowe i wjechaliśmy na brukowaną ulicę prowadzącą w stronę kościoła. Rozglądałam się, jak wówczas, gdy po raz pierwszy pojechałam z wycieczką do Warszawy.

Podobnie jak wtedy konfrontowałam okolicę ze swoimi wyobrażeniami i wspomnieniami. Nie zgadzało się nic, może poza składem drewna daleko za nami przy torach. I dwoma posterunkami kolejowymi, które jakoś przetrwały, mimo że po dworcu nie było śladu.

– Jedź do ratusza. W lewo – sprecyzowałam, bo przecież Staszek nie znał drogi.

Ukradkiem spoglądałam na niego. Był chyba równie oniemiały jak ja, ale nie dawał tego po sobie znać. Prowadził pewnie. Ruchu nie było, po drodze minęliśmy tylko dwa wozy i może tuzin pieszych, którzy obserwowali nas z nieszczególnym zainteresowaniem.

Główna ulica poza tym, że stojące po obu jej stronach budynki nosiły wyraźny ślad wielu lat zaniedbania, nie zmieniła się od czasu, gdy uciekałam z miasta w czasie wojny. Zniknęła większość latarni. Ich funkcję pełniły koksowniki z beczek i kosze z prętów zbrojeniowych. Na końcu uliczki, po lewej stronie, zobaczyłam duży gmach dawnego urzędu miasta, podobnie jak magazyny pozbawiony dachu i otoczony rusztowaniami. Chwilę później rozległo się wycie syreny, a zanim w szybkim glissando dźwięk osiągnął wysokie docelowe rejestry, dołączyły do niego dzwony kościołów: stojącego przy rynku i tamtego przy torach, który minęliśmy kilka minut temu. Mieszkańcy, jakby czekając na ten sygnał, wylegli na ulicę. Niektórzy nieśli młoty, kilofy i łopaty, inni do pleców mieli przymocowane pasami deski z niewielkimi poziomymi półkami u dołu. Widziałam jeden czy dwa rowery z przytroczonymi drewnianymi skrzynkami. W tłumie dominowali mężczyźni, choć kobiet też nie brakowało. Kilka osób prowadziło dwukołowe wózki i taczki. Wszyscy szli w kierunku przeciwnym do naszego. Niektórzy docierali do skrzyżowania i odbijali w bok, w stronę urzędu miasta, inni maszerowali dalej, prosto. Po tej pierwszej fali ludzi wypływającej z podwórek na ulicę wyjechały wozy, ciągnięte przez konie i woły. Z szumu rozmów zagłuszanego przez syrenę i dzwony wyławiałam pozdrowienia, bluzgi, dowcipy i śmiechy. Nasz wypełniony dobrami wóz wzbudzał zainteresowanie. Kilka osób pozdrowiło nas zdawkowo.

– Tu się dzieje coś dziwnego – oceniłam podejrzliwie.

Staszek przytaknął. Wciąż rozglądał się na wszystkie strony i łagodnym głosem uspokajał koniki, coraz bardziej nerwowo reagujące na hałasy i harmider.

Rynek znajdował się na prawo od ulicy. Z dwóch stron otaczały go zwartymi fasadami piętrowe budynki, u szczytu zamykał neogotycki ratusz z czerwonej cegły. Wygląd samego budynku miło mnie zaskoczył. W większości okien były szyby, ale nie oryginalne tafle szkła, tylko poskładane z kawałków mozaiki przypominające witraże. Ceglane fragmenty ścian umyto, a pozostałą część elewacji pomalowano czymś białym, może wapnem. Mimo zacieków i widocznych śladów okopcenia ratusz wyglądał porządnie. Stanowił wyraźny sygnał, że miasto ma gospodarza. Wyłożony granitową kostką plac zabudowano dwoma rzędami straganów i drewnianych szop. Zdziwiły mnie tylko dwa elementy: stara armata wycelowana gdzieś w niebo i ustawiony w samym centrum placu niski postument z ciemnego granitu, zwieńczony niezgrabnie i krzywo przymocowaną głową w berecie z szarego kamienia. Na cokole ktoś napisał czerwoną farbą „BISMARCK”.

– Kto to? – spytał Staszek.

– Cholera wie – odparłam rozbawiona. – Z twarzy niepodobny zupełnie do nikogo. Zatrzymaj się przed wejściem – poleciłam.

Przed budynkiem było pusto, nie licząc dwóch roślących facetów uzbrojonych w solidne drągi. Ubrani byli w wojskowe mundury, dużo bardziej zniszczone od naszych. Nie reagowali, dopóki nasz wóz nie stanął dwa kroki od wejścia.

– Tu nie wolno parkować – zwrócił uwagę stojący na prawo od drzwi.

Gestem poleciłam Staszekowi, żeby zszedł z kozła.

– Oficjalna delegacja z Okartowa. Mamy sprawę urzędową – wyjaśniłam, czekając, aż Kania obejdzie wóz i pomoże mi wysiąść. Podał mi jeszcze bagaż i kij. Z torby wyjęłam kartkę podpisaną przez członków Rady Starszych i pokazałam strażnikowi. – Przeczytasz to i mnie wpuścisz albo zaprowadzisz mnie do kogoś, kto umie czytać.

Mężczyzna obracał papier, sylabizował pod nosem, od czasu do czasu zerkał niepewnie w stronę towarzysza. W końcu się poddał.

– Sekretariat na piętrze. Na lewo. – Oddał mi dokument i odsunął się pod ścianę portalu. Ale już nie pomógł otworzyć ciężkich drzwi.

– Pilnować wozu. Jak coś zginie, to burgmajster do dupy się wam dobierze, jasne? – krzyknęłam do strażników i weszliśmy ze Staszkiem do budynku.

Nigdy wcześniej tu nie byłam. Betonowa szara podłoga z pojedynczymi popękanyimi płytkami kontrastowała ze zdobieniami, filarami i łękami

stropowymi z cegły o zaokrąglonych krawędziach. Z prawdopodobnie białych niegdyś ścian miejscami odpadł tynk, gdzie indziej pokrywały je rysunki wykonane węglem. Wąskimi schodami weszliśmy na piętro. Bariereka, również wykonana z cegły, była poszczerbiona, niektórych kolumn brakowało.

Młody, szczupły mężczyzna siedział za prostym stołem, zwrócony twarzą w naszą stronę. Wyglądał na dwadzieścia kilka, może trzydzieści lat. Oczy miał półprzymknięte, jakby nie dosypiał. Wpatrywał się w okno, wychodzące na tył budynku. Zauważył nas dopiero wtedy, gdy głośniejsz stuknęłam laską o podłogę.

– Jak mogę pomóc? – spytał uprzejmie, zanim weszliśmy do pokoju. – Burgmajster jeszcze nie przyjmuje. Dopiero od trzynastej.

– A która jest? – odpowiedziałam możliwie słodkim głosem. Uśmiechnęłam się nawet.

– No, tego. Syreny wyły może dwadzieścia minut temu, więc będzie dziesiąta dwadzieścia. – Chłopak wydawał się zmieszany. – Ale mogę was wpisać. Dziś tylko... – przewrócił stronę w sfatygowanym notesie z dwa tysiące osiemnastego roku – ...tylko dwóch petentów. Może być na trzynastą trzydzieści.

– Dobrze. Koślawa, kolonia nad Kałużą i Stanisław Kania z Okartowa – przedstawiłam nas.

Chłopak patrzył przez chwilę marszcząc czoło, a potem wybuchnął śmiechem. Spojrzałam zdziwiona na Staszka. Urzędnik po chwili powstrzymał się i aż otarł oczy.

– Przepraszam, ale miesiąc temu burgmajster spławił Koślawą w rzece. To już chyba była trzecia.

No tak. Skoro o mnie słyszeli, a słyszeli, co potwierdziło się na moście w Jeglinie, to pewnie mógł pojawić się ktoś, kto chciał na tej sławie zarobić. Podeszłam do biurka, wyrwałam chłopakowi ołówek, odwróciłam notes w moją stronę i wpisałam nasze nazwiska w wierszu oznaczonym po lewej trzynastką i trzydziestką.

Mężczyzna poczekał, aż skończę, obserwując mnie uważnie. Oddałam mu ołówek i odsunęłam notes.

– Ty piszesz? – skomentował przeczytany wpis.

– No jasne, że piszę – odburknęłam oburzona.

– Może faktycznie jesteś ta Koślawa? To się burgmajster ucieszy. Coś go w plecach łupie i od jakiegoś czasu o lasce musi chodzić.

– Za co spławił tę ostatnią? – przerwałam mu.

Chłopak wyraźnie się ucieszył z faktu, że go nie okłamywałam.

– Masaż mu zrobiła i to taki, że darł się na pół miasta. To potem zaczął mieć problemy z chodzeniem.

Kiwnęłam tylko głową. Nie zamierzałam zajmować się diagnozowaniem pacjenta na odległość.

– Gdzie możemy się zatrzymać?

– Tu kawałek dalej jest hotel. Kupcy zazwyczaj tam stają – odpowiedział, wskazując ręką kierunek. – Jest tam kuchnia i woda.

– To wrócimy o pierwszej. Jak się nazywasz, chłopcze? – spytałam jeszcze z korytarza.

– Ja? Krzysiek Kietzman. Miło mi – dodał po chwili wahania.

– Mazur?

– Nie, to po ojcu. – Nie zrozumiał pytania.

Uśmiechnęłam się i chwyciłam wyciągnięte ramię Staszka, oferującego mi pomoc na schodach.

2.

Jak mój dziadek był jeszcze małym srelem, to nad Jańsborgiem przeszła ogromna burza. I takie trąby też wtedy były, co wysały całą wodę z rzeki i wlały się ludziom do domów. Cudem tylko rybacy z jeziora uciekli w trzciny. Tam łódki porzucili i w nogi. Dużo chałup było zniszczonych, a drzewa to połamało wszystkie bez wyjątku. Ani jedno nie zostało.

No i żył wtedy tutaj taki gospodarz, co miał tartak czy jakiś inny warsztat. Poprzedniego wieczora było wesele jego córki i chłop tak zapił, że do roboty poszedł jeszcze na cyku. Siadł za stołem, wyciągnął wodę i sobie poprawił, bo czuł się nieswojo. I wtedy przyszedł wiater. Walnął raz i drugi, i połamał topole, co to stały w rządku równusieńko przed tartakiem. No i te wszystkie kłody bach na wozy, które przyjechały po deski. Chłopki się wszystkie przestraszyli i biegiem chować się w warsztacie. A gospodarz nie. Wziął flaszkę i wężykiem wylazł na ten plac, i patrzy, patrzy: wozy połamane stoją, pogniecione, konie w pole uciekły. A wichura duje, że hej! – mało faceta nie obali. A ten sobie jeszcze golnął z gwinta i obraca się do robotników, co patrzyli przez okno.

„Ja was, kurwy, jeszcze nauczę drzewa sadzić! Wypierdalać wszyscy!”.

No i został bez pracowników. A potem, jak już wytrzeźwiał, to chodził po domach z powrotem ich wołać do roboty, ale nikogo nie było, bo wszyscy sąsiadom pomagali drzewa z dachów zwałać i domy naprawiać.

Hotel był gorszą speluną niż najtańsza agroturystyka w Okartowie. Gorszą nawet od mojego kurnika. Ale i tak właściciele liczyli sobie niemało za kilka zagrzebionych metrów kwadratowych z niedużym oknem wychodzącym na rzekę... a raczej z ramą po niedużym oknie, zabezpieczoną dziurawym i przewianym kocem. Widok za to był niezgorszy. Na drugim brzegu dostrzegłam ogrodzone, pokryte śniegiem pole, a może ogródek warzywny, bo niewielkie kwadratowe wysepki spulchnionej ziemi oddzielały wąskie ścieżki. Z przerzuconej w poprzek cieku betonowej pieszej kładki pozostały tylko dwa niewielkie wzniesienia na obu brzegach. Środkowa część leżała na dnie rzeki, ale wzdłuż. Widocznie mieszkańcom zależało za zachowaniu spławności, choć ta była

dyskusyjna. Mimo opadów i odwilży po jednej i drugiej stronie wystawało z wody kamieniste dno.

Za to zabezpieczenie towarów w hotelu było pierwszorzędne. Cóż, widocznie handlarzom bardziej zależało na interesach niż na wygodach. Zwierzęta dostały siano i obrok, a wóz stanął na prawdziwym strzeżonym, otoczonym murem parkingu. Staszek przyjął żółty kawałek plastiku z wybitym czarnymi literami numerem. Takimi kolczykami przed wojną znakowano krowy.

Rozpakowaliśmy się szybko, szczególnie że do pokoju nie zabieraliśmy wielu rzeczy poza jedzeniem, śpiworami i dodatkową odzieżą na zmianę, no i pieniędzmi.

Minęło południe, bo dzwony zabrzączały kilka razy, czyli mieliśmy jeszcze godzinę. Bez apetytu żuliśmy chleb z grubymi plastrami szynki, popijając rozcieńczonym sokiem z jabłek.

– Starsza, co tam zrobiłaś na cle?

Od chwili opuszczenia Jeglina czekałam na to pytanie. Kania od tamtego incydentu był milczący i jakiś nieswój.

– Nic nie zrobiłam.

– Ale tam chłopu powiedziałaś, że go nieszczęście jakie spotka.

– Wcześniej czy później jakieś go spotka. – Wzruszyłam ramionami. – Ty nigdy nie walnąłeś się młotkiem w palec? Albo nie potłukłeś naczyń? No – dodałam, gdy przytaknął. – Któryś z jeglińskich strażników w końcu potknie się, coś upuści lub zniszczy i uzna, że to moja klątwa. Tylko dlatego, że mu to powiedziałam, a on uwierzył. Sam będzie się doszukiwał nieszczęść, które normalnie by zignorował.

– To czemu im powiedziałaś, że zdejmiesz klątwę?

– A co miałam zrobić? Nie chcę, żeby do końca życia ganiłi się z zajacami, coby im łapki ucinać. Poza tym to dobre buty były. I latarka dobra.

– Dobra – powtórzył.

Skarciłam się w myślach. Trzeba było od razu mu wytłumaczyć, że to bujda.

– Zbieramy się. Stara jestem i wolno chodzę. Jeszcze do wozu zajdziemy po moją torbę. Mrozu nie ma, ale w nocy może chwycić i leki się zmarnują – zdecydowałam i wyciągnęłam rękę, żeby pomógł mi podnieść się z drewnianej skrzynki, jedyne go mebla w pokoju, który posłużył mi za stółek.

Przed wyruszeniem do ratusza przekonałam się, że kible też mieli do niczego.

Gości, czy też petentów, jak nas tu nazywano, wprowadzał sekretarz. Najpierw przyszedł sam jańsborski włodarz. Z trudem wdrapał się na schody, podpierając się kijkami narciarskimi. Szedł dosyć mocno pochylony, teatralnie nas ignorując, mimo że prawie potknął się o mój bagaż. Chyba już wiedziałam, jaki upominek byłby najtrafniejszy. Gdy zniknął, a Kietzman zaprosił pierwszego w kolejce, wąsatego mężczyznę w średnim wieku, w nieprawdopodobnie brudnej i śmierdzącej czapce z daszkiem, zajrzałam do torby. Znalazłam trochę suszonego nagietka. Mało, ale na pierwsze wrażenie powinno starczyć. W końcu młody Kietzman wyszedł z petentem i wezwał nas do środka.

Gabinet burgmajstra wyglądał, jakby gospodarz nie mógł się zdecydować, styl której epoki pomieszczenie miało udawać. Stara, pięknie zdobiona szafa stała w rogu tuż obok przeszklonego kredensu z odchodzącą okleiną, spod której wystawała płyta wiórowa. Błat ogromnego biurka, stojącego na czarnych stalowych nogach, był aluminiowy, z ogromną dziurą ziejącą z jednej strony, nieudolnie zamaskowaną serwetą. Pewnie niegdyś tę część przykrywała szyba. Betonową podłogę ze śladami po klepce przykryto wypłowiałym dywanem z trudnym do określenia wzorem. Na ścianie wisiały drewniany ryngraf z jeleniem i antyrama z wypłowiałym zamkiem Neuschwanstein ułożonym z puzzli. Kilku elementów brakowało.

Mężczyzna siedział na zdobionym drewnianym fotelu z wysokim oparciem, z pewnością potęgującym ból pleców. Dla nas krzeseł nie było. No tak. Czemu niby petent miałby siedzieć?

Burgmajster nie odzywał się, tylko uśmiechał szeroko, pokazując równe, ale zniszczone zęby. Zdjęłam okulary i wytarłam szkła o rękaw. Chciałam mu się lepiej przyjrzeć. Głęboko osadzone oczy w pociągłej, szczupłej twarzy nie zatrzymywały się nawet na chwilę. O dziwo, był niewiele starszy od swojego sekretarza. Na oko mógł być trochę po trzydziestce.

– Jestem Koślawa – przedstawiłam się neutralnym głosem. – To jest Staszek Kania, gospodarz z Okartowa i mój asystent. Przyjechaliśmy z pismem od Rady Starszych wsi Okartowo w sprawie rozciągnięcia jurysdykcji powiatu piskiego na Kałużę.

Podeszłam do biurka i położyłam na blacie pismo. Odwrotnie. Chciałam sprawdzić, jak tam u burgmajstra z czytaniem.

– Willkommen, willkommen! – wykrzyknął nagle i z grymasem bólu podniósł się z krzesła. Wyciągnął dłoń na przywitanie. – Krzys już mi o was mówił. Świetnie się składa, bo widzisz, babo, jak mnie połamano. Słyszeliśmy nawet tutaj, w Jańsborgu, że biegła jesteś w leczeniu i czary znasz. Ba, nawet jakaś stara kurew próbowała się pod ciebie podszywać...

– Jedna? Kiepsko z tą sławą – przerwałam.

Coś niedobrego pojawiło się w jego oczach, jakiś niepokojący błysk. Mięśnie zuchwy zagrały, ale po sekundzie opanował się i roześmiał na całe gardło.

– Eh, lubię cię, babo. Nie, nie jedna. Chyba już trzy tego będzie. Krzysiu! – krzyknął nad moim ramieniem. – Ile tych Koślawych tam było? Drei?

– Trzy, to jest drei, panie burgmajster – odpowiedział Kietzman z za swojego biurka, nie odwracając się.

– No właśnie. Trzy. Ale my tu sobie gadamy, a w krzyżu łupie. – Pomacał plecy, krzywiąc się teatralnie. Na pismo nawet nie zwrócił uwagi.

– Dobrze – zgodziłam się po chwili zastanowienia. – Najpierw zajmę się pacjentem, policzymy się za poradę, a potem pogadamy o Okartowie.

Znów ten błysk, znów tylko przez moment. Podeszłam bliżej i postawiłam torbę na biurku. Poleciałam Staszce, żeby usunął z blatu wszystkie bibeloty, i wyprosiłam go za drzwi. Kazałam burgmajstrowi usiąść na metalowej płycie.

– Boli w krzyżu? Tutaj? – spytałam, macając kręgosłup. Nie musiał odpowiadać. Syknięcie wystarczyło. – Mrowienie w nogach? Dupa sztywnieje? Bardziej boli rano? Mniej. Dobrze. Połóż się na plecach i podciągnij nogi. Lepiej? Mniej boli?

Potakiwał, co chwila zerkając w stronę drzwi. Pozycja, w której się znajdował, z pewnością nie podbudowała by autorytetu, gdyby ktoś tu wparował.

– Spokojnie, nikt tu nie wejdzie. Teraz jest tam i twój sekretarz, i mój. Nikogo nie wpuszczą w trakcie badania. Możesz wstać – poleciałam i sięgnęłam po torbę, którą Staszek odstawił na podłogę. – Od kiedy tak się dzieje?

– Od jesieni. Wcześniej nie było tak źle, dopóki tamta stara czarownica nie zaczęła mi ugniatać pleców – poskarżył się ze złością w głosie.

– Wypadł ci dysk. Leków za bardzo na to nie ma. Masz jak najmniej siedzieć i mało chodzić, dopóki ból nie zelżeje. Dużo leż na plecach z

nogami położonymi na poduszkach, a najlepiej na taborku. Potem będziesz musiał ćwiczyć te plecy. Dostaniesz dziurawiec i miętę, ale zabrałam ich mało, więc musisz kupić więcej. Niech ktoś ci robi z nich ciepłe okłady. Jedz dużo raków i bierz ciepłe kąpiele.

– Raków? – spytał zdziwiony.

– Tak, raków. Mogą być gotowane. Coś jeszcze dolega?

– Nie. Poza tym wszystko richtyg – odpowiedział, kalecząc na koniec niemieckie słówko.

Patrzyłam na niego przez chwilę z satysfakcją. Gdzie się podział ten rezolutny roześmiany facet, którego najwyraźniej się tu bali? Który jakiś czas temu utopił kobietę w rzece za oszustwo? Ja to chyba jednak za miętka byłam, bo bym ją tylko kijami z miasta przegoniła. Tak, teraz miałam nad nim władzę, jak każdy lekarz nad swoim pacjentem. Spotulniał, spokorniał, jak każdy prawie pacjent. Teraz mogliśmy porozmawiać o poważnych sprawach.

– To może ja powiem, co mnie boli. Jak się w ogóle zwiesz?

– Marcin Wójcik – odparł.

– A ja Koślawa. W Okartowie mieszkam od wojny. Przez te wszystkie lata wioska chodziła jak ten twój zegarek, co tam masz na ręku. – Zwróciłam uwagę na czasomierz, rozbawiona niespodziewanym odkryciem przyczyny obowiązujących w Jańsborgu godzin i minut, nie pór dnia. – Ale teraz pojawił się ksiądz, który mi bruździ. Chcę ze dwóch twoich strażników, którzy zrobią w wiosce porządek. W końcu nią rządysz, bo jest w twoim powiecie. Zadbaj o swoje – połechtalam go na koniec.

– Sam klechę wygnałem z miasta – odpowiedział z satysfakcją i znów z tym niedobrym wyrazem twarzy. – Ale co mi po Okartowie? I co tobie, babo? Przecie już chyba tu zostaniesz. Moje plecy to moje plecy, ale jest tyle wypadków, chorób, szczególnie teraz, gdy zamek budujemy.

Prawie parsknęłam śmiechem. Powstrzymałam się w ostatniej chwili, przykładając pięść do ust. Przez chwilę trwałam tak, udając, że coś rozważam.

– Jakiś czas mogę zostać, ale mam ucznia w wiosce, całe gospodarstwo na kolonii do oporządzenia. No i muszę Radzie Starszych sprawozdanie złożyć. Nie da się tak na stałe. Niestety, ale nie mogę – odmówiłam z udawanym żalem.

Burgmajster jakby wcale się tym nie przejął. Znów szeroko się uśmiechnął i zeskoczył z biurka. Chyba dopiero w locie się zorientował, że

rwa mu nie przeszła. Przez chwilę zgięty wpół siłował się ze wzbierającymi łzami, a potem znów wybuchnął rechotem.

– No, dobra. Jak mus, to mus. Ale jańsborskich najpierw trochę mi poleczysz. Dom przy rynku wyrychtujemy, żeby ci niczego nie brakowało. A ja pomyślę, co z tymi strażnikami. Umowa? – Wyciągnął rękę.

Obawiałam się okartowskiego gniewu, ale nie. Uścisk mężczyzny był prawie niewyczuwalny. Delikatny i strasznie zimny.

– Świetnie. Kietzman! – krzyknął na sekretarza, który po kilku sekundach pojawił się w drzwiach. – Zabierzesz babę Koślawą i jej sekretarza miasto im pokazać. Już dziś nikogo nie przyjmę, wracam leżeć.

Krzysiek kiwnął głową i odszedł na bok, odblokowując mi przejście.

– I koniecznie pokaż im zamek. Koniecznie! – darł się za naszymi plecami burgmajster.

Pierwsze pozytywne wrażenie minęło. Miasto nie było już tak interesujące, ratusz tak zadbane. Może to wina ruchu, bo teraz ulicą od dworca w stronę rzeki i z powrotem jeździły wozy wypełnione cegłami, kawałkami drewna, narzędziami. Krzysiek prowadził nas pewnie w stronę mostu, gdzie zresztą panował chyba największy zgiełk. Ze swadą opowiadał o realizowanych projektach. Udzielał obszernych odpowiedzi. Czasami zapominał się i wyprzedzał nas o kilka kroków, po czym przystawał lub nawet cofał się, gdy stuknęłam kijem. Zanim opuściliśmy rynek, dowiedziałam się, że mieszka z żoną, Marysią, już w wyraźnej ciąży. Że to będzie ich pierwsze dziecko po długich staraniach. Opowiedział, że burgmajstra zna ze szkoły prowadzonej niegdyś przez swojego ojca, a wcześniej dziadka, który po wojnie uratował większość dokumentów przechowywanych obecnie w piwnicach rathauzu, jak zwano tu ratusz. Dziadek sekretarza biegle władał niemieckim. Ojciec już nie tak dobrze, ale jakoś udało mu się przetłumaczyć część archiwum, którego zawartość udostępniał potem uczniom. Wtedy właśnie Wójcik tak się zapalił do historii miasta. Nabrał przeświadczenia, że najlepszy okres dla Jańsborga przypadał na przełom dziewiętnastego i dwudziestego wieku. To dlatego odbudowywał zamek, który podobno spalili Ruscy pod koniec przedostatniej wojny. Z tego też powodu kazał postawić na rynku niby-Bismarcka, po tym jak na starej fotografii zobaczył pomnik z ratuszem w tle.

Burmistrzem został w mało demokratyczny sposób. Wcześniej był skarbnikiem swojego poprzednika, straszego opoja i brutala, bardziej nadającego się na herszta jakiejś leśnej zgrai. Młody Marcin miał dostęp do kasy całej bandy trzęsącej Piszem. Zdolny i inteligentny chłopak sprytnie maskował fakt, że wyciąga środki, przede wszystkim gotówkę, ale też biżuterię i inne drobne, cenne przedmioty. Gromadził też różne przysługi i informacje. Kiedyś bym powiedziała „haki”. Wykorzystał później cały ten kapitał do kupowania bardziej wpływowych żołnierzy. Rok nie minął, a zgrabnie przeprowadził pucz i obsadził władze miasta swoimi ludźmi. Poprzednika spławił w rzece. Najwyraźniej lubił tę formę egzekucji.

Starego Kietzmana zrobił sekretarzem, nie przyjmując odmowy. W zasadzie powinien był go nazwać archiwistą, jeżeli brać pod uwagę zakres obowiązków. Od tamtego czasu minęło może jedenaście lat. Nowy burgmajster przemianował Pisz na Jańsborg i zabrał się za cywilizowanie miasta. Wprowadził sensowne podatki i dyscyplinę w straży. To ostatnie wymagało jeszcze pracy, czego dowodził incydent na moście w Jeglinie. Zamiast podatków, skoro myta wystarczały do spięcia budżetu, wprowadził obowiązek odpracowania przez mieszkańców dwóch dni w tygodniu na rzecz miasta.

Doszliśmy do mostu. Po lewej stronie dawny park był jednym wielkim placem budowy. Kilkunastu mężczyzn wyrzucało łopatami ziemię z głębokiego wykopu. Druga grupa szufłowała urobek na wozy. Kolejne zaprzęgi podjeżdżały załadowane cegłami zabranymi z magazynu i urzędu miasta. Budowa najwyraźniej jeszcze się nie rozpoczęła.

– Czekamy na transport wapienia. Wysłaliśmy łodzie na jesieni, po zniwach – wytłumaczył sekretarz.

Nie znałam się na budowlance, ale rozmach przedsięwzięcia mi zaimponował. Pracowało tu więcej ludzi, niż widziałam na raz przez ostatnie kilkadziesiąt lat. Ktoś przecież tym kierował, ktoś to zaplanował. Mieszkańcy zdecydowanie mieli szczęście do burgmajstra.

Przeszliśmy przez betonowy most, przecięty w połowie szpalerem drewnianych koziołków. Pomysł był niegłupi. Przejścia pośrodku było w sam raz dla pieszych, ale wóz już nie przejedzie: musiał podejść strażnik i rozsunąć przynajmniej dwa. Oczywiście po przyjęciu opłaty mostowej.

Wschodnia strona miasta była znacznie bardziej zaniedbana. Z większości budynków, niezamieszkałych, pokrytych mchem, z drzewkami wystającymi z rynien lub nawet z wnętrza, zostały tylko puste skorupy,

ograbione ze wszystkiego, co mogło się do czegoś przydać. Zarośnięte trawniki sąsiadowały z małymi ogródkami i sadami owocowymi. Jedyne przypominający kiczowaty zameczek piętrowy dom, stojący tuż przy moście, wyglądał na używany.

– Ten fort jest znacznie młodszy niż rathauz czy kościół. Burgmajster każe nazywać go gargamelem – wyjaśnił sekretarz. – Tu mieszkają strażnicy.

– A czemu nie zrobić zamku z tej budy? – spytałam zaciekawiona.

– Bo zamek był na drugim brzegu. Tam, gdzie teraz kopią. No i burgmajster uważa, że wyglądał inaczej.

Kiedyś widziałam jakąś rycinę jańsborskiego zamku i wydawało mi się, że przypominał tego tu gargamela.

– Co to za inny projekt? Skąd go wzięliście? – Chciałam dowiedzieć się czegoś więcej.

– No, ten z obrazka w gabinecie. Z tego za szkłem.

Próbowałam sobie, przypomnieć, co to burgmajster miał na ścianie. Gdy w głowie pojawiła się układanka, wybuchnęłam śmiechem.

– Neuschwainstein budujecie? W Pizzu?

Kietzman nie wyglądał na rozbawionego, a Staszek w ogólnie nie rozumiał, co mnie tak rozśmieszyło.

– Takie polecenie, to stawiamy. – Chłopak spojrzął pod nogi. Mówił teraz znacznie ciszej.

– Ten wasz Wójcik to albo wizjoner, albo wariat. No, dość widziałam, wracajmy – zaproponowałam i nie czekając na reakcję, odwróciłam się i poszłam z powrotem w stronę mostu.

Trzeba przyznać, że perspektywę zmiany noclegu przyjął z zadowoleniem. Tym bardziej ucieszyłam się z miejsca zaproponowanego przez urzędnika. Okazało się, że kamienicę, gdzie miałam założyć gabinet, ktoś okradł i zdemolował. Z tego powodu przez kilka dni musieliśmy przemęczyć się w starym dworku za ratuszem, nazwanym przez Kietzmana kinigshauzem.

Piętrowy, wyglądający na stary budynek prezentował się nieźle. Dachówki w różnych kolorach wskazywały, że ktoś dokonywał tu napraw. Tylko dwa okna od frontu były przeszklone – nic dziwnego przy deficycie szkła – a pozostałe zabito sklejką. Zawsze to lepiej, niż zostawić zakryte kawałkiem tkaniny, jak w hotelu.

– Będzie wam tu dobrze – zapewnił sekretarz i jak się okazało, nie kłamał.

Wąski korytarz, prowadzący na przestrzał do tylnego wyjścia, w połowie długości rozszerzał się w lewo na mały czworoboczny hol z czterema pomieszczeniami wychodzącymi z każdej strony. Ogromna liczba dziur w ścianach wskazywała, że przed wojną były one czymś wyłożone. Po prawej od wejścia znajdowały się dwie pozbawione drzwi małe toalety, teraz całkowicie zdewastowane, a także dwa wejścia prowadzące do dużej, zajmującej całe skrzydło budynku sali. Ładnie nawet umeblowanej i czystej. Na zapadniętym, leżącym na ziemi materacu pościeli oczywiście nie było. Za to pod ścianami stały proste meble, a nawet wisiał na drzwiach wieniec ze sztucznych iglaków i plastikowych szyszek. Chyba wigilijny. Z korytarza zużyte drewniane schody prowadziły na piętro. W jednym z czterech z pomieszczeń, które miały skośne ściany wyłożone drewnem, stała metalowa beczka z wodą i balia. Proszę, nawet o łazienkę zadbali. Było jeszcze drugie skrzydło, do którego wchodziło się oddzielnym wejściem od strony ogrodzonego podwórza, z wychodkiem wciśniętym pod płot w najdalszym rogu. Tamtą część budynku zajmował nie kto inny, tylko sam Krzysztof Kietzman wraz z żoną. Krzywiłam się, że będziemy mieć sąsiada, ale dobrze, że tak kulturalnego. No i bez dzieci, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas.

Maria Kietzman była sympatyczną drobną kobietą, młodszą chyba od męża, cichą myszką, zupełnie inną niż gadatliwy i rezolutny małżonek. Przyszła się przywitać i zaprosiła nas na kolację. Odmówiłam grzecznie i zaproponowałam wspólny posiłek następnego dnia, gdy już trochę się zaaklimatyzujemy i wypoczniemy.

Sekretarz burgmajstra pomógł nam wypakować graty i wyprowadził koniki do stojącej kawałek dalej drewnianej stajni, obiecując, że przekaże zwierzęta pod dobrą opiekę. Było wcześniej, ale trudy dnia mnie znużyły, szczególnie że spałam niewiele. Tyle się wydarzyło w ciągu tych kilkunastu godzin: o świcie byliśmy jeszcze w Okartowie, a potem tamta dokstacja dronów, Jeglin, spotkanie z burgmajstrem, zdecydowanie nieprzeciętnym człowiekiem, a następnie spacer po mieście i rozpakowywanie dóbr. Nie, oczywiście niczego nie nosiłam, w końcu miałam dwóch pomocników. Zabrałam sobie tylko do mojej sypialni lampę naftową i budzik, przy którym Michaś zdawał testy. Ustawię go przy okazji.

Już drzemałam, gdy zawyła syrena odwołująca mieszkańców z pracy. Nakręciłam stojący obok na podłodze mechanizm i ustawiłam na godzinę szesnastą. Po chwili zastanowienia, znając swoją punktualność, na dwie po. Stary nawyk. Chwilę później śniłam już o mieście. Nie o tej ruinie, ale o prawdziwym mieście z pomalowaną w białe pasy ulicą, z latarniami, ze smugami świateł samochodów. Słyszałam dzwonek tramwaju, przerywane śmiechem rozmowy, grające telefony komórkowe. Nie mogłam rozpoznać miejsca. To była noc, więc wszystko wyglądało jakoś dziwnie, inaczej. Znajomo, ale jednocześnie obco. Znałam tylko miejsce docelowe wyprawy i jej przyczynę...

Szkoda, że zapomniałam je zaraz po przebudzeniu.

Wstaliśmy przed świtem, więc i śniadanie zjedliśmy wcześniej. Mówiąc dokładnie, to obudziłam się jeszcze w nocy, zziębnięta i obolała. Ruch dobrze robi na stawy, ale chyba systematyczny, bo w kolanach i biodrach łomotał mi każdy wczorajszy krok.

Staszek po pobudce zrobił obchód. Strasznie głośno tupał po schodach i podłodze nade mną. Zawołałam go, żeby pomógł mi się podnieść.

Uzgodniliśmy, że magazyn przeniesie jednak na piętro, a moją sypialnię do jednego z pokoi przy holu. W dużej sali zamierzałam otworzyć tymczasowy gabinet, jak najszybciej ogarnąć jańsborskich i wracać do wsi, gdy tylko pojawi się okazja. W trakcie pracy uzupełniałam spis brakujących sprzętów i mebli. No i narzędzi, desek, gwoździ i kilku jeszcze innych materiałów potrzebnych do załatania ciekącego dachu, które podyktował mi Staszek. Kartkę przekazałam Krzyśkowi, gdy pojawił się u nas kwadrans po dziewiątej. To bardzo fajne uczucie ponownie korzystać z zegara.

Do jedenastej, kiedy mieliśmy spotkać się z burgmajstrem, większość rzeczy posegregowaliśmy na te potrzebne w gabinecie, w kuchni, w pokojach i na nieprzydatne, przynajmniej na razie. Część przedmiotów pozostawiliśmy na dole z przyczyn czysto marketingowych, bo przecież pierwsze wrażenie jest najważniejsze. I tak na dostarczonym przez Kietzmana stoliczku stanęła butla gazowa z nakręconą u góry lampą. Półki kredensu, odkurzone i przetarte, zapełniłam całym zabranym wyposażeniem medycznym. Brakowało mi tylko porządnej lampy, bo z powodu zabitych płytą okien w gabinecie było strasznie ciemno.

– Znajdzie się trochę benzyny i oleju? – spytałam sekretarza, przekazując mu papier z wykazem. Potwierdził. – A kwas solny? Przezroczysty, silnie parzy, przechowywany w plastikowym lub szklanym pojemniku. Bezbarwny jak woda, ale ma duszący zapach.

– Rozejrzę się – zapewnił.

Staszek stał obok i przysłuchiwał się rozmowie. Znów odczuwałam tę podniecającą satysfakcję, jak wtedy, gdy pokazałam Michasiowi schron. Dziś jego ojciec może będzie miał podobne wrażenia. Oczywiście jeżeli kwas się znajdzie lub agregat odpali.

Pierwsze towary przyjechały, gdy wychodziliśmy z domu. Krzysiek dogadał się z woźnicą, żeby na razie wszystko składowali na podwórzu. Pogoda była ładna, bardziej wczesnowiosenna niż zimowa, a nie zamawiałam niczego, co nie mogłoby poleżeć trochę na powietrzu.

Do rathauzu mieliśmy może sto metrów, może mniej. Ciekawa byłam, jak burgmajster dociera do pracy i skąd?

– Mieszka w baszcie. – Kietzman wskazał palcem stojący po drugiej stronie zabłoconego placu dwupiętrowy budynek z małymi okienkami, architektonicznie ładnie komponujący się z rathauzem. – Jeździ dorożką, a jak jest dużo śniegu, to saniami. Choć zazwyczaj to dorożką.

Wyobraziłam sobie siedzącego na sankach mężczyznę odpychającego się kijkami narciarskimi i uśmiechnęłam się.

Strażnicy tym razem otworzyli nam drzwi, pewnie ze względu na Krzyśka. Nie rejestrowaliśmy się, nie czekaliśmy w kolejce. Od razu podeszliśmy do drzwi gabinetu.

Marcin Wójcik leżał na biurku na plecach. Nogi, zgięte pod kątem prostym w biodrach i kolanach, położył na krześle ustawionym tuż przy pośladkach. Ręce złożył na piersi i wyglądał, jakby drzemał, choć przecież zareagował na pukanie.

– Dzień dobry, panie burgmajster. Jesteśmy – przywitał się sekretarz po chwili krępującego milczenia.

Wójcik westchnął ciężko. Otworzył oczy, wstał sycząc z bólu, ale po chwili uśmiechnął się szeroko. Ręką niechcący strącił oparty o biurko kijek narciarski. Schylił się z wysiłkiem, a gdy się wyprostował, w dłoni trzymał pistolet. Strzelił do Kietzmana trzy razy. Po pierwszym huku Staszek aż przykucnął. Ja odruchowo chciałam zasłonić chłopaka, ale na szczęście stawy nie pozwoliły mi na szybką reakcję. Trafiony dwoma pociskami sekretarz przez chwilę stał prosto, a potem spojrzał na mnie i upadł na

plecy, zanim zdążyliśmy go chwycić. Jedna kula przebiła serce lub któreś z głównych naczyń, bo czerwona plama na swetrze od razu rozrosła się w koło sięgające z jednej strony do pachy. Drugi otwór znajdował się gdzieś niżej, na wysokości jelit. Klękłam przy postrzelonym i przycisnęłam dłońmi obie rany. Wiedziałam, że nie miał szans. Patrzyłam z nienawiścią na burgmajstra, który odłożył broń i zaczął znów ładować się na biurko.

– No, następnym razem nie każ tak ważnym gościom czekać w korytarzu. To niegrzeczne było. Świetna ta pozycja. Świetna – chwalił pogodnym głosem. – Już prawie nie boli.

Krzysiek próbował wymacać rany, ale napotkał moje ręce. Jego twarz nie wyrażała bólu, raczej zdziwienie. Zmarszczył czoło, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie mógł sformułować myśli. Chwilę po tym, jak poczułam ciepłą krew pod kolanami, ciało chłopaka zwiotczało, jedna dłoń opadła na podłogę. Skinęłam Staszce, że może już puścić głowę, i wyciągnęłam zakrwawioną rękę, żeby się o niego oprzeć przy wstawaniu. Widziałam, że chce wiać. Zabroniłam mu ukradkowym zaprzeczeniem. Uśmiechnęłam się lekko i odwróciłam w stronę biurka, poprawiając zsuwające się okulary.

Najwyraźniej burgmajster chciał zobaczyć moją reakcję, bo leżał jak wtedy, gdy weszliśmy do gabinetu, ale tym razem zwrócony twarzą do nas, z tym swoim serdecznym uśmiechem, który rozszerzył się jeszcze bardziej, gdy dostrzegł mój.

– To co z pomocą dla Okartowa? – spytałam, starając się zapanować nad drżeniem głosu. Wójcik skrzywił się, udając zadumę. – Przez dwa tygodnie będę leczyła jańsborskich, ale potem chcę wracać. To pismo...

– Zgubiłem – przerwał. – Wczoraj tyle się działo, jak już poszłicie. Miasto mam całe na głowie, zamek, a nikogo kompetentnego. Nawet sekretarz do dupy. Dwa tygodnie?

– Dwa – potwierdziłam. – Gabinet otworzę w tym domu, co się zatrzymaliśmy, żeby nie czekać. Mogę przyjmować od jutra od dziesiątej. Potem muszę wracać do wioski ze strażnikami. Umowa? – Podeszłam z wyciągniętą dłonią.

Burgmajster zaczął przewracać się na jeden bok, żeby dosięgnąć mnie prawą ręką. Obok jego głowy leżał pistolet.

– Umowa – powiedział niechętnie, wycierając krew o spodnie. – Powiedźcie tam komuś, żeby tu posprzątał.

Wyprosił nas machając, jakby coś wymiatał i znowu przymknął oczy. Audiencja się skończyła.

Na dole poinformowaliśmy strażników, ale niepotrzebnie. Widocznie byli przyzwyczajeni do zmiennych humorów burgmajstra, które czasami kończyły się egzekucją. Wróciliśmy do domu, odprowadzani wzrokiem zdziwionych przechodniów. Musiałam przekazać wiadomość Marysi, ale przecież nie cała zakrwawiona. Umyłam się i przebrałam w kinigshauzie na piętrze i dopiero wtedy poszłam do domu Kietzmanów.

Wdowa wieści przyjęła nie lepiej, ale też nie gorzej niż się tego spodziewałam. Zanim skończyłam zdawać relację, łzy już ciekły jej po policzkach. Rozpłakała się na głos, jak tylko skończyłam formułką „bardzo mi przykro”. Byłam wściekła na burgmajstra, na siebie i na samego denata, który tyle pierdzielił o mieście i o samym Wójciku, a słowem nie wspomniał, że facet jest niebezpiecznym wariatem. Dotarło do mnie, że przecież mógł wystrzelać nas wszystkich! Reakcja straży dowodziła, że był zdolny nasać na nas swoich brytanów i, nie wiem, przywiązać nas za nogi do wozu i przeciągnąć po bruku, bo czemu nie?

Uspokajałam Marysię do wieczora. Z podwórza przyniosłam do gabinetu szarpie i chusty. Staszek wygrzebał trochę zapasów, bo przecież dziewczyna obiadu sobie nie przygotowuje. Inna sprawa, że nie zjadła zbyt wiele, chociaż Kania gotował całkiem nieźle. zaproponowałam jej przeprowadzkę do nas. Staszek zaoferował, że pomoże z pogrzebem i w ogóle zadba o wszystko. Spuchniętą na twarzy i szarpaną szlochem wdowę zaprowadziłam do mojej nowo urządzonej sypialni. Potem pewnie przeniesiemy resztę rzeczy na górę, żeby zwolnić miejsce dla mnie w jedynym wolnym pomieszczeniu na parterze, ale najwyraźniej na razie musiałam zostać w gabinecie i o poranku zwijąć i chować bambetle przed przyjęciem pacjentów.

3.

Kiedyś mój teść wracał z działek do domu. Była już noc, ale księżyc świecił, więc wszystko dobrze widział. Żeby skrócić drogę, wszedł na nasyp i powoli szedł mostem żelaznym, bo tam zawsze deski były luźne, niektóre spróchniałe i można było spaść do rzeki. No i gdy tak szedł i szedł, to nagle usłyszał straszny łomot na dole, a potem szum. Myślał, że to most się wali, ale nie. Podeszedł do krawędzi i popatrzył na rzekę, a tam woda wpada do jakiejś dziury. No znika po prostu. I trochę to trwało, bo ta woda znikła i znikła, aż wszystko się skończyło. Teściu wrócił do domu i opowiedział, co widział, ale nikt mu nie uwierzył. Potem, następnego dnia, też ludziom opowiadał i oni też mu nie dawali wiary, aż dopiero stary Witkowski przypomniał sobie, że kiedyś pod rzeką był taki tunel wykopany, co to szedł od zamku aż do lasu na Łupki, do ruin wsi. To ten tunel w nocy się zawalił i rzeka go zalała. Podobno był tam skarb rycerzy jańsborskich i cała komnata z bursztynu, ale teraz to już nikt tego nie znajdzie.

Obudziłam się, jak na mnie, dosyć późno. Zegar wskazywał ósmą trzydzieści. Uśmiechnęłam się na myśl, że kiedyś oznaczałoby to spóźnienie na wykłady, poza poniedziałkiem i czwartkiem, wtedy tylko obróciłabym się na drugi bok, żeby „dospać”.

Poprzedniego dnia rozmawialiśmy ze Staszkiem do późnej nocy. Nie sądziłam, że incydent w rathauzie tak nim wstrząsnął. Z drugiej strony, czemu miałyby być inaczej?

– Nie wiem, Starsza. Ja chyba tak nie potrafię jak ty. Tak samo wtedy w kolonii, gdy młodych Listka i Pawłowskiego wyciągnęliśmy, to ja od razu biec chciałem do żony i dzieci.

– No, ja to nie bardzo miałam gdzie biec, bo przyleźli do mnie. – Nieudolnie spróbowałam rozładować napięcie. Mężczyzna tylko na mnie spojrział. Zbladł? A może to światło lampy gazowej.

Siedzieliśmy oboje w gabinecie, żeby rozmową nie przeszkadzać Marysi. Powoli żułam okraszoną wędzonką kaszę, którą mężowi spakowała Zosia.

– Starsza, ja wtedy tylko myślałem, że tam jest krew. Tyle krwi. Jakbyś mi nie kazała, to bym chyba nic nie zrobił. Tak samo dzisiaj. I ten karabin.

- Pistolet – poprawiłam.
- Widziałem, jak go zabierałaś. Po co ci to?

Wzruszyłam ramionami, ostentacyjnie nabierając jedzenie cynową łyżką.

- Do obrony, gdyby była taka potrzeba.
- Dziś nie było?

Milczałam przez chwilę, pracowicie żując i patrząc Staszкови w oczy.

– Nigdy nie zabiłam człowieka. Nie wiem, czy potrafię. Tego nikt nie wie, dopóki nie spróbuje. Normalny człowiek nie odbierze życia drugiemu, jeżeli nie zmuszą go do tego okoliczności. Pomyśl, że na wiosce od wojny nikt nikogo nie zabił, nie licząc tamtej dawnej bitki, co wioskę napadli. Wtedy okartowscy byli zmuszeni. Pojawiły się powody, które skłoniły ich do zabijania. Dla każdego będą one inne. Jednemu dasz broń i zagroziś śmiercią, a i tak nic nie robi. Drugi zabije z ciekawości lub z nudów, jak burgmajster, choć to trudno powiedzieć, dlaczego, bo facet ma zdecydowanie nierówno pod sufitem. A ja najwyraźniej nie jestem gotowa pierwszy raz zabić w obronie dopiero co poznanego człowieka.

- A młody Listek?

Przed oczami miałam charczącego, puszczającego różowe bańki chłopaka. Zmroziło mnie.

– To co innego – odwarknęłam. – To było nieudzielenie pomocy, nie morderstwo. Nie wbiłam mu pręta w płuco i nie zaprowadziłam do stodoły. Zrobił to wikary. I to wikary kazał zabić Michasia. Zapamiętaj różnicę!

Staszek odstawił miskę i złożył ręce na kolanach. Wzrok wbił w podłogę. Znowu wyglądał, jakby miał na plecach półtonowy balast. Jak wtedy, gdy przyjechał z wiadomością o pobiciu i później, kiedy pomagał mi nastawiać złamania.

– Chciałem zabić księdza. Wtedy w kościele, jak nas sołtys zatrzymał – powiedział cicho. – A teraz, jak byliśmy u Marysi, to też myślałem, żeby zabrać ten twój karabin i zabić burgmajstra.

Zapadło milczenie. Przecież miałam podobnie, również dziś, ale i po tym, jak dowiedziałam się o Michasiu. I teraz nie chciałam po prostu zastrzelić Wójcika. Przez godzinę, może dłużej, gdy trzymałam płaczącą kobietę za rękę, głaskałam po głowie, wycierałam jej twarz, jednocześnie wymyślałam najprzeróżniejsze sposoby pozbycia się tego karalucha. Nienawidziłam burgmajstra jak nikogo wcześniej. Bałam się go jak nikogo wcześniej. Bardziej niż wikarego, który zabrał mi chyba wszystko, do

czego byłam przywiązana – ucznia, dom, przyjaciół. Ale on przynajmniej działał racjonalnie. Nie usprawiedliwiałam go, ale rozumiałam pobudki. Za to jańsborski władarz był szalony. Nie istniała metoda, nie istniała strategia zapewniająca nam bezpieczeństwo. Po raz pierwszy zrozumiałam strach i nienawiść Asi. Zrozumiałam, czemu zgromadziła cały ten arsenał, czemu przekształciła nasz dom w fortecę. Biedna dziewczyna.

– Myśleć to sobie możesz. Każdy sobie czasem pomyśli, żeby komuś łeb ukręcić, szczególnie jak go mało używa. Mówiłam, że dopóki kogoś nie ukatrupisz, to nie wiesz, czy to potrafisz. Jest o tym w książkach – dokończyłam niekoniecznie sensownym argumentem.

Staszek odetchnął głęboko, wyraźnie uspokoiony.

– Co robimy dalej?

– Jutro otwieram gabinet, jak ustaliliśmy. Ty najpierw zajmiesz się pogrzebem i poszukasz kogoś do pomocy. Popytaj też o rodzinę. Będziemy mieć dwa tygodnie na ciąганie ludzi za języki. A potem się pomyśli. Już nie będę jeść. – Podałam mu miskę. – Idę zęby umyć.

Było już po północy, gdy się kładłam. Potem długo nie mogłam zasnąć. Wychodzi na to, że zamiast otworzyć we wsi gabinet i budować sobie z mieszkańców Okartowa bufor, chroniący mnie przed księdzem, będę budowała podobny z mieszkańców Jańsborga, aby chronić się przed burgmajstrem. Dopiero się okaże, czy skutecznie.

Po późnej pobudce i kąpieli poszłam obudzić Staszka. Pokój Marysi był pusty. Znalazłam ją w drugim skrzydle, gdzie porządkowała i pakowała rzeczy męża. Dobra terapia. Spytałam tylko, czy niczego jej nie brakuje, gdy rozwyła się syrena w rathauzie, a chwilę potem dołączyły do niej dzwony. Spojrzałam pytająco na dziewczynę, ale też nie wiedziała, co się dzieje. Chwilę potem pod ścianą stanęła dorożka z wyszczerzonym burgmajstrem zagląającym przez okno.

– Zostań tutaj – poleciłam.

Założyłam okulary i wyszłam na podwórze. Strażnicy już szarpali się z bramą. Niepotrzebnie. Nie zamierzałam ich wpuszczać.

– Czego? – spytałam opryskliwie, zastawiając drogę odchylanym do wewnątrz skrzydłom.

– Burgmajster prosi – odpowiedział wyższy z mężczyzn i gestem wskazał drogę.

Wójcik ubrany był odświętnie. Wypłowiały wełniany płaszcz wyglądał, jakby przez przynajmniej kilka sezonów robił za stołówkę moli. Doszyte

przy kołnierzu wilcze futro nie pasowało ani kolorem, ani fasonem, a jeszcze bardziej gryzło się z wypłowiałą polarową czapką narciarską.

– Wsiadaj, babo, jedziemy cię zapowiedzieć! – krzyknął, machając trzymanym w dłoni pistoletem i nakazał strażnikom mnie podsadzić.

Opędziłam się i samodzielnie wsiadłam do bryczki. Na rynku, przed samym wejściem do rathauzu, stała platforma z desek, z mównicą pośrodku. Nie było jej tu wczoraj, gdy wychodziliśmy z budynku. W trakcie ostatniej rozmowy poinformowałam tylko, że gabinet otworzę o dziesiątej, a Wójcik w pół dnia to wszystko zorganizował. Dobra. Teraz to dopiero byłam przerażona.

Plac był pełen ludzi, kolejni nadchodzili ze wszystkich stron. Gdy weszliśmy na podest, wybuchł grzmot oklasków. Gwizdy i okrzyki przecinały powietrze. Mieszkańcy uwielbiali burgmajstra, a on uwielbiał to uwielbienie. Objął mnie ramieniem i pociągnął w stronę ambonki.

Obronę mojej pracy magisterskiej zapamiętałam jako koszmar. Dziekan, promotor i recenzent. Niby tylko trzy osoby, które znałam przynajmniej z widzenia od pięciu lat, ale i tak spływałam potem. Byłam przygotowana, pewna swojej pracy i swojej wiedzy, a mimo to ledwo dukałam odpowiedzi. Trema oplątała mi wtedy żołądek jelitami, wyłączyła mózg i odessała z gardła całą wilgoć. „To tylko formalność” – uspokajał mnie przed obroną promotor, ale dla mnie było to przesłuchanie połączone z torturami.

Teraz stałam przed setkami, może tysiącem zupełnie mi obcych ludzi. Mężczyźni, kobiety i dzieci patrzyli na mnie z zaciekawieniem i podnieceniem. Czułam się naga, prześwietlona, byli w mojej głowie i wyciągali wzrokiem wszystkie sekrety. Przychodzili kolejni, coraz więcej, przybiegały małe szkraby z drewnianymi konikami i łódkami, mężczyźni w baranich kozuchach brali je na ręce i sadzali na ramionach. Kobiety uspokajały przestraszone hałasem niemowlęta. A ja mdlałam z nerwów.

Marcin Wójcik stanął przy mównicy i podniósł rękę. W prawej dłoni cały czas trzymał broń. Wyglądał jak Jezus z Rio. Pozdrowiał i błogosławił, i przyjmował hołdy. W końcu machnięciem lufy, jak dyrygent batutą, uciszył tłum. Wrzawa ustała w kilka sekund.

– Mówiłem wam wielokrotnie, że Bismark postawił w Jańsborgu szpital, żeby mieszkańcy mieli opiekę, na jaką zasługują – mówił zaskakująco głośno, mimo że nie krzyczał. Jednocześnie pistoletem wskazał granitową głowę wystającą z tłumy. – Obiecywałem też, że wam

ten szpital odbuduję, bo wcale nie jesteście gorsi niż tamci jańsborscy. A ja nawet myślę, że jesteście lepsi. Obiecywałem?

Tłum odpowiedział entuzjastycznym: „Jaaaa!”.

– I wreszcie mamy w mieście lekarza, i to nie byle jakiego! Jańsborscy, dziś o dziesiątej w kinigshauzie słynna na całe Mazuren Koślawa z Kałuży otwiera szpital, gdzie każdy otrzyma najlepszą opiekę. I tym razem to prawdziwa Koślawa! – Wskazał mnie ręką, a zebrani zaczęli klaskać i gwizdać. Mężczyzna poczekał chwilę, patrząc to na mnie, to na tłum, po czym uciszył ich gestem. – Powiedziałem sobie, że tak dalej być nie może. To skandal, co nam się tu dzieje. Posłałem pismo do Okartowa. Napisałem, że nie ma tu doktora, który by mieszkańców doglądał. I przyjechała, jak tylko przeczytała, że nam tu dzieci czemuś kapieją. Bo to normalne, że czasem stary wilka złapie i od gorączki umrze, ale że dzieci? Jak tylko przyjechała, to od razu sam ją sprawdziłem na sobie, jak ostatnio, czy znowu nie oszustka łasa na nasz geld. Kto mnie widział dwa dni temu? Kakowski – wyłowił z tłumu mężczyznę po trzydziestce, który, wezwany, ściągnął czapkę z daszkiem. – Byłeś przedwczoraj w rathauzie. Jak wyglądałem dwa dni temu?

– Połamany, z kijem pan burgmajster chodził – zeznał wywołany.

– No właśnie! Bo to było jeszcze przed wizytą Koślawej. A teraz, patrzcie. – Wyprostował się, a nawet trochę odchylił w tył, potem zrobił skłon, podskoczył dwa razy, robiąc pajacyka, czym wywołał śmiech zebranych.

Widziałam, mimo obszernego płaszcza, jak nerwy i mięśnie Wójcika protestują przeciw tej gimnastyce. Ale mieszkańcy byli zachwyceni. Burgmajster kręcił się, drobiąc, a tłum śmiał się i klaskał. Mieli swojego gospodarza, władcę, który o nich dbał, bawił ich, nagradzał i karał. Był jego dziećmi. Po chwili skończył swój taniec, zatrzymał się i oparł o mównicę. Nogi mu drżały.

– A teraz... – przerwał i poczekał, aż ucichną owacje. – A teraz każdy z was będzie miał tak samo dobrą opiekę. Jak już wiadomo, że to prawdziwa Koślawa, że leczyć potrafi. O dziesiątej zagra syrena, już bez dzwonów. W pierwszej kolejności połamani i pokaleczeni na budowie, żeby szybciej mogli wrócić do roboty. Potem dzieci. A potem reszta mieszkańców. Szpital będzie czynny do... – Odwrócił się w moją stronę.

Wciąż stremowana, nie zrozumiałam od razu, czego ode mnie chce.

– Do szesnastej? – zaproponowałam.

– Od dziesiątej do szesnastej, żeby jeszcze widno było. Dziś ustawcie kolejkę. Szpital będzie nieczynny w niedziele i poniedziałki, kiedy budujemy zamek. Wtedy mają przychodzić tylko na moje polecenie, czyli albo z budowy, albo straż, *ales klar?* A teraz wracajcie do domów. I pamiętajcie, że codziennie tworzymy lepsze jutro! – Ponownie podniósł ramiona na wysokość barków, a tłum wybuchł owacjami. „*Danke, danke!*” krzyczeli unisono, klaszcząc.

Burgmajster stał tak przez chwilę, po czym pstryknął palcami, a jeden ze strażników pobiegł do rathauzu i po chwili rozległo się wycie syreny. Dzwony rozbrzmiały z opóźnieniem. Mieszkańcy miasta cichli i rozchodzili się, choć wielu zbierało się w grupki. Inni już zmierzali w stronę kinigshauzu. Burgmajster odwrócił się w moją stronę. Wyglądał, jakby właśnie wziął coś, co przed wojną było nielegalne. Żrenice miał rozszerzone, twarz zastygła w uśmiechu.

– Dorożka odwiezie cię do kinigshauzu. A, będę jeszcze potrzebował tego twojego sekretarza. Mój poprzedni nie czuje się ostatnio zbyt dobrze.

Cudem tylko powstrzymałam się, żeby nie zdzielić go w twarz.

– Niestety, teraz będę potrzebować go bardziej niż ty. Pacjentów będę mieć przez dwa tygodnie więcej niż ty petentów. Założymy się?

Roześmiał się głośno i poklepał mnie po ramieniu.

– Lubię cię, babo, oj, lubię.

I w tym momencie zupełnie stracił mną zainteresowanie. Po prostu odwrócił się i poszedł do rathauzu. Po drodze przywołał jednego ze strażników i zaczął wydawać mu jakieś polecenia.

Ekspонат na dzisiejszej wystawie wrócił do kinigshauzu wkurwiony. To znaczy ja czułam się jak ekspонат, jak statuetka, jak ten BISMARCK. Jeszcze bardziej wściekłam się, gdy nie spotkałam na miejscu Staszka. Marysia ciągle składała ubrania, wsadzała do pudeł narzędzia, książki i notatniki. Nie wiedziała, gdzie podział się jej sąsiad. Był kwadrans przed dziesiątą. Kolejka przed wejściem rosła. Właściwie to były dwie kolejki: jedna biegła prosto na rynek, druga wiła się po placu za rathauzem i znikwała za basztą.

– Chodź, to może zaczekać – poleciłam wdowie i obie przeszłyśmy do gabinetu, który jak na razie wciąż był moją sypialnią. Szybko wyniosłyśmy materac. Pościel upchnęłam w szufladzie kredensu. Z magazynu

przyniosłyśmy trochę naczyń. Poleciałam dziewczynie przegotować dużo wody, a sama otworzyłam frontowe drzwi.

Tym razem tłum już tak nie onieśmiał. Ba, nie onieśmiał mnie w ogóle. Oklaski i wrzaski, jakie wybuchły na mój widok, już nie paraliżowały, raczej drażniły. Wymachując rękami, starałam się uciszyć zebranych.

– Zamknąć się, bo nikogo nie przyjmę! – darłam się raz za razem. Hałas stopniowo ucichł, zmienił barwę na bezdźwięczny szum wzajemnego uciszania się, szeptów i syczenia. W końcu zgasł zupełnie.

– Jak burgmajster kazał, najpierw ranni na budowie. Ręka w górę, kto miał wypadek, pracując przy zamku? Ustawiać się zaraz tutaj przy drzwiach i czekać, aż zawołam.

Zgarnęłam pierwszego mężczyznę i pociągnęłam do gabinetu.

Zasmrodził mi całe pomieszczenie. Poprosiłam Marysię, właśnie awansowaną na pielęgniarkę, żeby pootwierala lufciki. W sumie dobrze, że nie było tu szyb, inaczej musiałabym wszystko pozasłaniać, bo do środka dało się zajrzeć wprost z ulicy. Na szczęście zgorzel była płytka, ale i tak oczyszczenie i zdezynfekowanie rany zajęło mi prawie dwie godziny, głównie przez brak światła. Zmieniłam zdanie co do szyb i prywatności.

Z kolejnymi pacjentami szło już sprawniej. Rany w większości ładnie się goiły, niektóre były już za stare na szycie, złamaniami ktoś się zajął wcześniej. Nakazywałam tylko niektórym przychodzić codziennie na zmiany opatrunków i wypuszczałam, licząc, że z każdym kolejnym wyjściem i okrzykiem „następny” zobaczę, że ogonki się skróciły. Naiwna.

Po budowlańcach zostało mi może pół godziny do czwartej. Kazałam wszystkim, poza matkami z dziećmi, iść do domu, a spośród samych małych pacjentów wybrałam trzech, którzy wyglądali na wymagających pilnej interwencji. Wszystkich pozostałych również odesłałam, czym zaskarbiłam sobie gorące pożegnanie. Mało mi uszy nie spłonęły od bluzgów, jakie poleciały w moją stronę. Trzy pary matek z dziećmi posadziłam w korytarzu, na ławie znalezionej wczoraj w sypialni Marysi. Pierwszą z nich, z chłopcem wyglądającym, jakby zaraz miał upaść, zaprosiłam do gabinetu. Pozostałe dwie od razu zaczęły wskrzeszać charakterystyczną dla poczekalni w przychodniach przedwojenną tradycję licytacji schorzeń.

Chłopiec miał na imię Daniel. Wyglądał jak śmierć na urlopie. Chudy, niski jak na swoje sześć lat, z podkrążonymi oczami, brzydką wysypką. Lał

się matce przez ręce.

– Je? – spytałam, oglądając pokrzywkę na brzuchu, w pachach i zgięciach łokci.

– Czasem je dużo, czasem nie je.

Skinęłam głową, nie przerywając badania.

– Jak się zachowuje w nocy? Rozdrażniony? Drapie się po tyłku? Od kiedy tak? – zadawałam kolejne pytania, gdy kobieta potwierdzała skinieniem.

– To będzie jakoś od żniwów, jak burgmajster kinderkarten otwarł. Kinderka...

– Wiem, co to jest – przerwałam. – Masz pestki z dyni? To kup – poleciłam, gdy zaprzeczyła. – Tak samo czosnek. I suszone śliwki. Dwie łyżki pestek masz rozetrzeć i podawać pacjentowi na czczo, to znaczy zaraz po przebudzeniu. Wymieszaj je z mlekiem i miodem. Czosnek też rozcieraj, zalewaj przegotowanym mlekiem i podawaj wieczorem. Rano, jak już się wyszykujesz do roboty... Dobra, jak już chłopca wyszykujesz do roboty, to dziecku daj garść namoczonych śliwek, żeby robaki wydalili, znaczy wysrał się.

Kobieta notowała w pamięci, cały czas kiwając głową. Daniel, wciąż rozebrany, już się krzywił na myśl o obowiązku jedzenia tych wszystkich świństw. Teraz miałam trochę informacji dla młodego.

– A ty masz zawsze po kupie i siku myć ręce. I zawsze przed jedzeniem. Masz w brzuchu wstrętne robale, bo wsadzałeś brudne ręce do buzi. Te lekarstwa zabijają robaki, żebyś już nie był taki chudy. Za każdym razem, jak będziesz chciał coś zjeść lub wypić, to masz najpierw myć ręce. Inaczej robaki podziurawią ci brzusek – postraszyłam go na koniec.

Druga pacjentka, pięcioletnia dziewczynka, tylko potwierdziła moje przypuszczenia. U kolejnego dziecka rozpoznanie było tylko formalnością. Dodatkowo brzydko rzęziło przy osłuchu.

W środku ostatniej wizyty do gabinetu wparował strażnik. Tak po prostu, bez pukania, władował mi się z buciorami do gabinetu, jakby był u siebie.

Odruchowo zasłoniłam dziewczynkę, choć praktycznie była już ubrana.

– Czwartą minęła. Zamykaj i jedziemy do burgmajstra na leczenie – polecił mężczyzna w wojskowej kurtce. Nie przywitał się, nie przeprosił, ba, nawet nie zapukał.

– Burgmajster niech najpierw nauczy swoje psy kultury. Wypieprzaj mi stąd i grzecznie czekaj za drzwiami! – wydarłam się na niego, aż cofnął się pod ścianę. – Nikt nie ma prawa przejść przez te drzwi, dopóki nie zapuka i go nie zawołam. Nigdy, rozumiesz? Stań na korytarzu i pilnuj, żeby nikt nie wchodził.

Palcem wskazałam mu wyjście. Z satysfakcją obserwowałam, jak czerwienieje na twarzy. Dłoń zbliżył do wiszącej przy pasie drewnianej pałki.

– Wytlumaczę burgmajstrowi, czemu przyszłam później, albo zadbam, żebyś jeszcze dziś karmił ryby w rzece. Ostatni raz proszę.

Strażnik wyszedł, a ja wróciłam na swoje krzesło. Usiadłam powoli, starając się nie obciążać kolan. Sześć godzin biegania między pacjentami i apteczką nadwyrężyło kondycję. Marysia bardzo starała się pomagać, ale nie wiedziała, co ma mi podawać, gdzie przytrzymywać, więc w końcu wywaliłam ją do pilnowania porządku na zewnątrz.

Na złość czekającemu mężczyźnie wizytę przeciągnęłam jeszcze trochę, wypytuując matkę i samą pacjentkę o wszystko, co dotyczyło ochrony. Żywili tam całkiem nieźle, choć bardziej ubogo niż w Okartowie. Nawet dzieci biednej Jankowej miały bardziej urozmaiconą dietę. To będę musiała omówić z Wójcikiem.

Wyszliśmy wspólnie. Na ławce cały czas siedziały cztery osoby.

– To, co wam dziś powiedziałam o myciu, macie przekazać wszystkim rodzicom. Tak samo recepty na leki. Wszystkie jańsborskie dzieci mają być tak leczone przez miesiąc, może nawet do wiosny. Nie wszyscy muszą przychodzić, rozumiecie?

– Tak – odpowiedziały jednocześnie trzy kobiety.

Zapytałam jeszcze Marysię, czy Staszek się gdzieś nie kręcił, ale zaprzeczyła. Niepokoiliłam się trochę o niego, ale przecież jest dorosły.

– Możecie już iść. My też – zwróciłam się do strażnika, który zniecierpliwiony przestępował z nogi na nogę. Czyli Wójcik lubił punktualność. Ha, nic dziwnego. Prawdopodobnie miał jedyny działający zegarek, przynajmniej do mojego przyjazdu.

Do baszty szłam wściekła na burgmajstra z dwóch powodów. Po pierwsze, bo rozwinął sobie epidemię robaczycy w Jańsborgu, a po drugie, ponieważ zorganizował opiekę nad dziećmi. Kurwa, jaki ten facet był obrotny! Zazdrościłam mu i jednocześnie wstydziłam się tego uczucia. Byłam też wściekła na siebie. Przecież nic nie stało na przeszkodzie, żeby

stworzyć taką placówkę w Okartowie. Jaki problem, skoro wioska funkcjonowała tak sprawnie przez tyle lat, odkąd ksiądz Marek utworzył kilka instytucji działających do dziś? A raczej do niedawna, zanim pojawił się młody wikary. Co stało na przeszkodzie, żeby Okartowo miało swoją szkołę, którą w Jańsborgu samodzielnie, jak przypuszczam, utworzył dziadek Krzyśka Kietzmana? Czemu przez tyle lat nie zajęłam jakiegoś pustostanu pod klinikę, skoro nie wymagałoby to ode mnie żadnego wysiłku, bo wszystkim zajęliby się wdzięczni mieszkańcy? Czemu nie powstało przedszkole działające choćby sezonowo, w czasie żniw?

Bo byłam leniwa! – ochrzaniłam się w myślach. Bo wolałam siedzieć na swoim zadupiu, pojawiać się w tylko w umówione dni, a nagłych pacjentów przyjmować u siebie, jak już się przebili przez las. Dzięki temu było ich mniej, bo nikt z lekkim przeziębieniem czy stłuczonym palcem nie poświęcał połowy dnia na wycieczki do Koślawej. I teraz się to zemściło. Gdybym skupiła okartowskich wokół siebie, jak to z jańsborskimi zrobił burgmajster, na sam pomysł wyrzucenia mnie z wioski mieszkańcy widłami by go pogonili do Kałuży, a wikary pewnie chętnie by wiał, dziękując Bogu za ocalenie skóry, nie licząc kilku siniaków.

Przez lata tłumaczyłam sobie, że nie zamierzam się wtrącać, a tak naprawdę nie chciało mi się wtrącać. Programy higieny? Okresowe badania? Jasne, bo to mnie bawiło. Lubiłam to. Podobały mi się efekty tych działań. Na inne obszary nie starczyło mi już zapału. Głupia Koślawka.

Baszta przed wojną była jakimś małym magazynem, a może restauracją? Parterowe pomieszczenia znajdowały się chyba na tyłach, bo drzwi otwierające się od strony placu i mojej kliniki prowadziły od razu na schody. Pierwsze piętro podzielone zostało na mniejsze pokoje z jednym dominującym, za to na całe drugie zajmowała tylko jedna sala, w której burgmajster urządził sobie przytulne mieszkanko. Stojące w rogu ogromne łóżko osłaniał baldachim z firan zawieszonych na karniszach. Te przymocowane były bezpośrednio do stropu. Obok znajdowała się pięknie zdobiona ława, z poręczami zakończonymi rzeźbami w kształcie lwich głów. Mebel ładnie komponował się ze ścianami z nieotynkowanej czerwonej cegły, zakratowanymi małymi oknami i drewnianą szafą, mniej fikuśną niż ława, ale też wyjątkowo ładną. Reszta mebli była typową zbieraniną wyposażenia z różnych epok. Peerelowska meblościanka, ikeopodobne biurko, strasznie zniszczony fotel na kółkach, stoliczki, komódki, taborety. No i stojąca na podłodze wypchana czapla z ułamaną

jedną nogą. Szyja również wyglądała tak, jakby eksponatowi ktoś wcześniej urwał głowę i niewprawnie przymocował ją z powrotem.

Moją uwagę zwróciła wisząca na ścianie duża reprodukcja czarno-białej ryciny przedstawiającej wysoki kościół ze strzelistą wieżą, oblepiony mrowiem domków i drzew. Miasteczko otaczał mur. Po lewej znajdował się zamek, połączony z resztą zabudowań mostem. Rzeka otaczała go fosą i wypływała poza rysunek. U dołu artysta dorysował jeźdźca na koniu i kilka psów. Na górze dominowało słowo Johannisburg. No tak. Patrzyłam na Jańsborg. Zauważyłam, że wieża kościoła zmieniła się, a zamek z pewnością nie przypominał odbudowywanego, a raczej budowanego Neuschwanstein.

Burgmajster leżał na biurku, z nogami opartymi na taborecie. Zegarek trzymał oburącz tuż przy oczach. Poruszał stopami w rytm wskazówki sekundnika. Również mięśnie żuchwy rysowały się i znikwały co sekundę. Broń położył sobie na klatce piersiowej.

– Spóźniliśmy się. – Głos miał zimny.

– Nie będę przerywać wizyty w połowie, chyba że zdarzy się coś, co będzie wymagało natychmiastowej interwencji – odpowiedziałam spokojnie. – Pacjent musi czuć się u mnie bezpiecznie, inaczej będzie się bał powiedzieć, co mu dolega, a ja nie będę mogła go wyleczyć – powiedziałam, a potem przeszłam do sedna: – Masz w mieście problem i to poważny. Ale łatwo mu zaradzić.

– Plecy znowu bolą – zignorował mnie. – Wczoraj było lepiej, ale teraz trudno mi chodzić. Jak ja się jutro ludziom pokażę, co?

– Trzeba było nie brykać jak żrebak. Mówiłam, że masz się oszczędzać – zganiłam go. – Mogę ci dać coś na ból, ale znów będziesz podskakiwał i w końcu uszkodzisz rdzeń kręgowy, a wtedy, panie burgmajster, skończy się chodzenie, nawet na czworakach.

Przez chwilę milczeliśmy i nagle Wójcik wybuchnął takim śmiechem, że aż się cofnęłam. Z grymasem cierpienia podniósł się z biurka. Stał oparty o krawędź blatu, krzywiąc się i pocierając pośladki.

– Wunderbar, babo, wunderbar. Taki skarb przez tyle lat siedział nad Kałużą. Trzeba było posłać po ciebie lata temu. No, ale w końcu jesteś. Zobacz te plecy – poleciał.

– Tam nie ma na co patrzeć. Masz leżeć, nie siedzieć i nie łązić. A z pewnością nie podskakiwać i nie tańczyć. Jedz raki i pij ziółka. Jeszcze jedno, kto mi zapłaci za wizyty? Połowę opatrunków dziś zużyłam na tych

twoich budowlańców, a one nie rosną na drzewach. Ziół i leków też mam mało. No i coś jeść muszę. A Staszкови to kto zapłaci?

– O, właśnie o tym chciałem pogadać, tylko zapomniałem. Daj mi tego swojego sekretarza.

– Zapomnij – odmówiłam. – Jest mi potrzebny. Trzeba było nie strzelać do Kietzmana. Swoją drogą, kiedy będzie można go pochować?

Wójcik uśmiechnął się szeroko.

– Nigdy – odpowiedział po chwili.

Zaczynał mnie wkurzać tym swoim infantylnym zachowaniem. Nie pozwalał ani na chwilę zapomnieć, że ma problemy nie tylko z plecami. Ciekawe, co na jego temat myślą mieszkańcy? Trzeba będzie ich wy badać.

– Spławiłem go, jak wszystkich zdrajców.

Skinieniem głowy zakomunikowałam, że przyjąłem to do wiadomości. Ust nie otwierałam, na wszelki wypadek.

– To co z tym pieniędzmi? Kto będzie mi płacił?

Burgmajster skrzywił się, powoli obszedł biurko i ostrożnie usiadł w fotelu. Najpierw ręką wskazał mi miejsce na ławie, a potem złożył dłonie na brzuchu. Skorzystałam z zaproszenia. Usiadłam i przez chwilę wycierałam okulary.

– Powiedzmy, że dwa dni w tygodniu będziesz leczyć w zamian za wyżywienie i budynek. Wtedy będą przychodzić ci pacjenci, których ja ci przyślę...

– I wymagający pilnej pomocy – przerwałam, patrząc pod światło na szkła. – Ci wchodzi poza kolejnością o każdej porze dnia i nocy.

Przez chwilę robił dziwne miny, jakby ssał cytrynę.

– Gut. W pozostałe dni przyjmujesz, kogo chcesz, kiedy chcesz, a płacą jańsborscy sami za siebie. O czwartej po południu przychodzisz sprawdzić moje plecy.

– Wizyta u pacjenta jest droższa.

Znowu się skrzywił.

– Dogadamy się. Tylko masz być punktualnie. Jak zagra syrena albo jak strażnika po ciebie przyślę, fersztejen?

– Zgoda. I mieszkanie, i jedzenie też dla Marysi Kietzmanowej. Pomaga mi w gabinecie – targowałam się dalej. – Za dwa tygodnie, jak będę wyjeżdżać, zabiorę ją ze sobą. Nie jest ci tu do niczego potrzebna. A poza tym jest w ciąży. Muszę mieć na nią oko.

Wójcik machnął tylko ręką. Mogłam przejść do kolejnego tematu.

– Przyślesz do mnie człowieka, który kieruje ochronką, tym kindergartnem. Prawdopodobnie tam dzieci pozarażały się robakami. Muszę mu przekazać kilka instrukcji, co ma robić, żeby to się nie powtórzyło.

– Ha, popatrz. – Informacja go zaskoczyła. – Przyślę ci nowego prezesa.

– Ani się waż! Równie dobrze możesz mi przysłać nowego burgmajstra, bo ty też nic o przyczynie choroby nie wiedziałeś. Dawaj dotychczasowego prezesa – zakpiłam – a ja już się z nim dogadam. To tyle. Będę u siebie. Dzisiaj robiłam za darmo, więc tobie też nie policzę.

Odesłał mnie podobnym gestem dłoni, jakim wskazywał mi miejsce, i obrócił się w fotelu. Wstałam i powoli poszłam w stronę drewnianych schodów. Wójcik patrzył na rycinę.

– A, jeszcze jedno. – Zatrzymałam się przed schodami. – Masz w rathauzie i kościele dwa zegary. Po jaką cholere wyjesz tymi syrenami? Łeb od tego pęka. Napraw je. Jańsborscy sami sobie poradzą z godzinami.

Odwrócił się dopiero po chwili. Chyba nie podobał mu się ten pomysł. Nic dziwnego, w końcu straciłby przewagę, choćby symboliczną.

– Będiesz mógł zrobić uroczyste odsłonięcie zegara, zorganizować wielkie święto dla mieszkańców. Pomyśl o tym.

Przy ostatnich słowach wyraźnie się rozpozodził. Zanim wyszłam, kątem oka zobaczyłam, że już coś kombinował przebierając palcami, pstrykając i uśmiechając się do siebie.

4.

Dawno temu, obok placu, tam gdzie teraz są krzaki, stał mały kościółek. W czasie wojny, ale nie tej ostatniej, tylko poprzedniej, w piwnicy budynku była mordownia, gdzie Niemcy męczyli złapanych żołnierzy. Ksiądz, co tam później mieszkał, mówił, że w nocy słyszał jęki i wrzaski, ale gdy schodził do kaplicy, to nic nie widział, a jęki ustawały. Jak byłem mały, to ten kościół jeszcze stał. Nikt tam nie mieszkał, bo ludzie mówili, że tam duchy żołnierzy straszą. Później, któreś zimy, ktoś ogień zaproszył i cały budynek spalił się do ziemi, bo i belki w ścianach były, i trzcina. Ładnie się paliło, oj ładnie. Tylko piwnice zostały. Wiele lat później Wilczewscy wracali z zabawy w Noc Janową i przechodzili obok tej piwnicy. I jak się tylko zbliżyli trochę do krzaków, co tam wyrosły, to słyszą, a ktoś wyje i jęczy, jakby go kijem okładali. Myśleli, że ktoś zapił i wpadł do dziury, nogę sobie połamał albo co. Poszli do samej krawędzi tej piwnicy i zajrzeli do środka. A tam zupełnie nikogo nie było i ten jęk też ucichł.

A rano Wilczewska była zupełnie siwa.

Staszek zniknął. Nie wrócił na noc, następnego dnia też nikt go nie widział, a zagadywałam o niego wszystkich pacjentów. Pytałam też o burgmajstra, solennie zapewniając o lekarskiej dyskrecji, która nawet na torturach nie pozwala mi zdradzić, co pacjent powiedział w trakcie wizyty. Moje podejrzania w większości się potwierdziły. Marcin Wójcik był nieprzewidywalny. Miasto traktował jak swój folwark lub raczej plac zabaw. Dbał o mieszkańców, ale chyba dlatego tylko, że chciał, żeby mieli powody do okazywania mu wdzięczności. I uwielbiali go głośno i na pokaz, bo tego oczekiwał. No i się go bali. Na pytanie, czy chcieliby pracować w rathauzie, większość z przerażeniem kręciła głowami. Właśnie z tego powodu budynek stał praktycznie pusty. Pewność utrzymania się na stanowisku, a często też przy życiu, mieli tylko ludzie niezastąpieni, jak strażnicy miejscy, którzy w Jańsborgu wykonywali wszystkie funkcje, od powożenia dorożką i poboru myta po aresztowania i nadzór nad budowniczymi. Przeżyć mogli również ci, którzy nie mieli z burgmajstrem kontaktu.

Wszystkie te informacje wyciągałam z trudem. Obchodziłam się z każdym chorym jak z jajem Fabergé. Badałam delikatnie, co chwilę pytałam, czy nie boli, załamywałam ręce nad każdą krostką, każdym kaszlnięciem. Powtarzałam do znudzenia, że przeziębienia, artretyzm, zwichnięcia, nieżyty żołądkowe, kolki, kamienie nerkowe, grzybice i co tam jeszcze im dolegało muszę wyleczyć szybko i skutecznie, bo przecież za dwa tygodnie wyjadę i pewnie nigdy już nie wrócę. Że o miasto pytam z ciekawości, bo całe życie spędziłam nad Kałużą. No i nie liczyłam za wizyty, a skąd! Takiemu schorowanemu człowiekowi? To niech lepiej owoce kupi i rybę albo dziecku jakąś zabawkę. Niektórzy pękali i zaczynali się zwierzać. Inni opowiadali anegdotki o burgmajstrze. A to wodociągi chciał naprawiać, żeby ludzie w kranach czystą wodę mieli. Cały tydzień rury kazał nosić do waserturmu, potem zamknął się tam i walił w nie przez miesiąc, aż zimno się zrobiło i do baszty wrócił. Raz z kawałkiem materiału w rękach z magazynu skakał, ale na materace, więc się nie połamał. Pewnego lata, a było wtedy bardzo gorąco, kazał wszystkim wodę wносить na piętro domów w rynku i dzieciom stojącym na dole kąpiel urządził. Tak samo zrobił zimą, bo jakiś chłopak powiedział na wiecu, że chciałby mieć ślizgawkę. Ale to wtedy nie na dzieci lali, bo mróz był.

Pomiędzy tymi historyjkami pojawiała się jedna czy druga gorzka uwaga, dysonans w obrazie jańsborskiego barona Münchhausena. Wójcik zmieniał zdanie zupełnie bez powodu, karał bez przyczyny i nagradzał bez zasług. Ludziom w burgmajstrze najbardziej nie podobała się jedna cecha – nieprzewidywalność.

Przyjęłam też trzech skruszonych jeglińskich strażników. Najpierw wystali się na chłodzie przed kinigshauzem, ale potem poczęstowałam ich ciepłym mlekiem z miodem.

– Pani Koślawa, przepraszamy.

– To was nauczy szacunku do starszych. Jak będziecie dla starych bab uprzejmi, to i one będą uprzejme. Tak jak ja dzisiaj. Zrozumiano?

– Tak jest, pani Koślawa – odpowiedział drugi, który najwyraźniej nigdy nie rozstawał się z bronią.

– No, bardzo grzecznie. Lekarstwo jest w mleku. Wypijcie do dna i możecie iść.

– Zapłata. – Trzeci sięgnął do wojskowej torby.

– Nie trzeba – powstrzymałam go. – Dziś przyjmuję za darmo. Zatrzymajcie to sobie. Mówiłam, że jak ze mną dobrze, to ja też dobra.

Idźcie już, bo kolejka.

Staszek odnalazł się dopiero następnego dnia, jakoś wieczorem, gdy odwiedzałam burgmajstra. Zauważyłam, jak siedzi na wozie przed wejściem do naszego domu. Najpierw chciałam go opieprzyć, ale mi przeszło, gdy za jego plecami dostrzegłam trumnę skleconą z sosnowych desek. Najwyraźniej dopiero co podjechał. Dwóm chłopakom, których nie kojarzyłam nawet z widzenia, wydawał instrukcje. Zanim zdążyłam podejść, już ich odesłał. Zniknęli po chwili, jeden za rathauzem, drugi w ulicy biegnącej wzdłuż bocznej ściany kinigshauzu.

– Dzień dobry, Starsza – powitał mnie dopiero wtedy, gdy podeszłam, mimo że z pewnością dostrzegł mnie wcześniej.

– Gdzie byłeś? – odfuknęłam, żeby ukryć ulgę w głosie. Drugi dzień w gabinecie był tak intensywny, że ani ja, ani Marysia nie miałyśmy głowy, żeby się martwić, co się z nim dzieje. A wieczorem, potwornie zmęczone, po prostu natychmiast zasypiałyśmy. Dopiero dziś, kiedy było znacznie mniej pacjentów, a część z nich przyszła na zmianę opatrunków, nie po diagnozę, zaczęłam myśleć z coraz większym niepokojem o Staszku.

Dobrze było widzieć go całym i zdrowym.

– Pogrzeb Kietzmana – wytłumaczył zdawkowo, zmęczonym głosem. – Ciała nie mogliśmy znaleźć. Najpierw strażnik powiedział, że wrzucili je do jeziora, drugi, że do rzeki. Sprawdziliśmy brzegi, a potem popłynęliśmy z prądem, patrząc w zarośla. Dopiero dziś rano go znaleźliśmy. – Ruchem głowy wskazał trumnę za plecami.

– Skąd masz trumnę? – spytałam z ciekawością.

– Kupiłem. Za nowym mostem jest duży tartak. – Wskazał dłonią kierunek. – Tylko problem mamy. Burgmajster zakazał grzebać wyrzuconych do rzeki. Podobno od tego topichy przychodzą potem na cmentarzu.

Wykrzywiłam się ze złości. Topichy, ha! Wójcik po prostu nie chciał, żeby mu się gromadziła opozycja złożona z żałobników. Wyciągnęłam rękę do Staszka, żeby pomógł mi wsiąść na kozioł.

– Cały pogrzeb już gotowy?

Skinął głową.

– Na wdowę czekam. Księdza nie ma, bo go burgmajster wyrzucił, za to jest dawny ministrant i to on odmawia modlitwę. Rodzina już na cmentarzu. Niewiele jej, ale rozumiesz...

– Rozumiem – potwierdziłam. – Ludzie boją się nadepnąć Wójcikowi na odcisk. Grabarzy znalazłeś?

– Nie, ja sam zakopię – stwierdził.

Zamiast siedzieć beczynnie na wozie poszliśmy do gabinetu po butlę, lampę i zapalniczkę zipo, bo już zmierzchało, a nigdy nie wiadomo, ile czasu będzie trwała posługa. Wdowa wyszła przed kinigshauz, gdy ponownie gramoliłam się na kozioł. Siadłam bliżej burty, żeby zrobić jej miejsce. Wyglądała dostojnie, mimo że oczy miała czerwone i zapuchnięte. Za plecami woźnicy chwyciłam ją pod łokieć. Po chwili podała mi dłoń i ścisnęła mocno.

Pierwszy problem napotkaliśmy przed bramą starego cmentarza przy torach. Rodzina kłóciła się ze strażnikami blokującymi przejście. Kazałam Staszкови przyspieszyć.

– Co jest? – spytałam stojącą najbliżej kobietę, chyba matkę lub teściową Krzyśka.

– Nie wpuszczają – odpowiedziała, gotowa się rozplakać. Nie wiedziałam, czy ze smutku, czy złości.

Zlazłam z wozu i podeszłam do mężczyzn w mundurach. Rozpoznałam ich, oni mnie również. Nerwowo przestępowali z nogi na nogę.

– Pani Kośława, burgmajster zabronił. Nie wolno nam wpuszczać.

– Wpuszczać na cmentarz zabronił? – spytałam, udając zdziwienie.

– Nie, Kietzmana chować zabronił.

– To jak jakiegoś będziemy chcieli pochować, wtedy będziecie mieli pełne prawo nie wpuścić konduktu. To jest żałobników. A teraz wynocha, bo chcę sobie skrzynkę z drewna zakopać i z przyjaciółmi pośpiewać. Tego chyba burgmajster nie zakazał?

– A co jest w środku?

– Nie mogę powiedzieć. Przepisy sanitarne zabraniają, a ja tu jestem w Jańsborgu z polecenia burgmajstra, żeby właśnie sanitarnie było. Możecie odejść – poleciłam możliwie chłodno i formalnie.

Strażnicy przez chwilę patrzyli na siebie, ale w końcu rozeszli się na boki. Towarzyszący grupie żałobników mężczyzna rozsunał skrzydła zardzewiałej i skrzypiącej potępieńczo bramy. Wóz wjechał.

Drugi problem pojawił się już po wykopaniu grobu.

– Gdzie ten ministrant?

– Nie ma. Straż przepędziła – odpowiedziała starsza kobieta, która wyklócała się przy bramie.

– Zdejmijcie trumnę – poleciłam.

Staszek wyszedł z dołu i skinął na jedyne go obecnego wśród zebranych mężczyznę. Ten spłoszył się, ale po chwili wykonał polecenie.

W czasie gdy dźwigali skrzynię, ja zapaliłam lampę, bo już mało co widziałam.

– Wracamy. A wy macie tu stać. Dokładnie tu, gdzie stoicie, dopóki nie wrócimy. Staszek, tempo.

Kania cmoknął na koniki i machnął lejcami. W szarówce prawie nie dostrzegłam strażników, którzy rozbiegli się na boki. Jechaliśmy najkrótszą drogą. Przez pewien czas pod prąd, jeśli wierzyć znakom drogowym. Przeskoczyliśmy ostatnie skrzyżowanie i byliśmy już prawie na miejscu. Wóz stanął przy skrzydle zajmowanym przez Kietzmanów... Teraz już tylko Kietzmanową.

Weszłam drzwiami od podwórza i z lampą w dłoni szybkim krokiem pomaszerowałam do magazynu. Mimo że skrzynie i sprzęty Staszek ułożył przypadkowo, książki namierzyłam dość szybko. W tym tę ważną, którą dostałam kiedyś w prezencie. Przy świetle gazowego płomienia oglądałam niebieską okładkę z białym napisem. Dłonią wodziłam po złożonym z czterech splecionych ze sobą wypukłych prostokątach krzyżu. Otworzyłam ją i przeczytałam dedykację. Nie dla mnie i nie ode mnie. Cienkie kartki zaszeleściły.

Markowi w dniu konfirmacji z Bożym błogosławieństwem

Rodzice

Przekartkowałam dalej, do stron, na których mój przyjaciel spisał swoje doświadczenia z okresu od wojny aż do swojego przybycia do naszej wsi. Znałam te notatki na pamięć, a że pisał szpetnie, przy gazowej lampie i tak nie byłabym w stanie ich teraz przeczytać. Dobra, starczy tych sentymentów.

W drodze powrotnej próbowałam znaleźć przydatne fragmenty w śpiewniku. Wóz podskakiwał na wybojach, więc gubiłam linijki tekstu. Butla bujała się niebezpiecznie, co chwilę poprawiałam zsuwające się okulary. Na szczęście zakładki z tasiemki były aż trzy, dlatego mogłam zaznaczyć fragment liturgii, modlitwę i pieśń, której nie zamierzałam śpiewać.

Na cmentarzu od naszego wyjazdu prawie nic się nie zmieniło. Tylko starsza kobieta przysiadła na pobliskim pieńku i mruczała pod nosem jakąś modlitwę.

- Matko przedziwna...
- Módl się za nami – odpowiadali zebrani.
- Matko dobrej rady...
- Módl się za nami.

Przerwali, gdy dotarliśmy do bramy. Strażników przed wejściem nie było, nikt nas nie zatrzymywał.

Dopiero nad trumną zdałam sobie sprawę, że ubrana jestem nieodpowiednio do uroczystości i roli, jaką miałam odegrać. Pod rozpiętym mundurem moro miałam jeszcze szary sweter, a pod spodniami wełniane kalessy, te ostatnie na szczęście niewidoczne.

– Zbierzcie się przy zmarłym – powiedziałam, zsiadając z wozu. Młodej dziewczynie wcisnęłam w ręce butlę i poleciłam, żeby oświetlała mi kartki. Pociągnęłam za niebieską zakładkę. Litery były małe, światło marne, dlatego czytało mi się z trudem.

– Błogosławieni są odtąd umarli, którzy w Panu umierają. Zaprawdę, mówi Duch, odpoczną po pracach swoich; uczynki ich bowiem idą za nimi – zadeklamowałam, jękając się i przerywając kilka razy, bo oczy mi łzawiły od wysiłku. Żadnej reakcji, czyli chyba nie ten fragment. Zaczęłam szybko kartkować, szukając czegoś bardziej znanego. W końcu trafiłam. Ręce zaczynały mi się pocić z nerwów.

- W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego...
- Amen – przerwali mi chóralnie.
- Pan niech będzie z wami.
- I z duchem twoim – znów natychmiastowa reakcja.

Dalej były jakieś komentarze, didaskalia, więc przeskoczyłam do wytłuszczonego fragmentu na następnej stronie.

- Ojcze nasz...

Żałobnicy podjęli modlitwę. Czekaając, aż skończą, pociągnęłam zieloną tasiemkę.

– Boże, dusze nasze okryte są smutkiem. Tak bardzo brakować nam będzie drogiej sercu osoby, która od nas odeszła... znaczy brakować nam będzie Krzysztofa, który od nas odszedł. W Twoje ręce ją... jego oddajemy, z wiarą, że w Twojej miłości znajdzie odpocznienie. Udzielaj nam pociechy w cierpieniu. Pocieszaj, gdy sami staniemy u progu śmierci. Ty bowiem podtrzymujesz nas i nie dopuścisz, abyśmy upadli, cokolwiek się zdarzy. Amen.

- Amen – odpowiedzieli.

Teraz chyba powinno coś nastąpić, ale nie wiedziałam, co. Zamknęłam śpiewnik i odwróciłam się twarzą do zebranych.

– Słuchajcie. Nie znam się na mszach i modlitwach. Za to znam się na ludziach. Krzyśka znałam krótko, zaledwie dwa dni, i mogę tylko powiedzieć, że był pierwszym człowiekiem w tym mieście, który był dla mnie życzliwy, i to bezinteresownie. Niczego ode mnie nie chciał, nie bał się mnie, tylko po prostu był miły. Mieliśmy być sąsiadami przez pewien czas i pewnie poznałabym go lepiej. Ale nie poznam. Winny temu jest burgmistrz, który zabił go z zimną krwią. Wiem, byłam tam. Staszek też był i może potwierdzić, że Wójcik strzelił zupełnie bez powodu i bez jakiegokolwiek Krzyśka winy. Wiedźcie o tym. Dziś żegnamy dobrego człowieka, który po prostu chciał być miły. Takim go zapamiętam. Amen.

Tym razem nikt nie odpowiedział. Skinęłam Kani, żeby zaczął zasypywać trumnę. „Dobry Jezu, a nasz Panie...” – zaczęła śpiewać starsza kobieta, a pozostałe podchwyciły, poza Marysią, która łkała i wycierała nos w rękawy. Melodia zagłuszyła głucho dudnienie ziemi zrzuconej na wieko. Odebrałam lampę i postawiłam przy samym wykopie, żeby ułatwić mężczyznom szufłowanie. Po pogrzebie wdowa przedstawiła mi zebranych. Trafnie się domyśliłam, że awanturującą się kobietą była matka Kietzmana. Na imię miała Krystyna. Dalej stały dwie siostry zmarłego, a dziewczyna, która pomogła z oświetleniem, okazała się córką jednej z nich.

– A to jest Wojtek Stachelek. – Marysia przestawiła mi mężczyznę, który pomagał Staszкови.

– Rodzina? – spytałam, ściskając wyciągniętą rękę.

– Nie. Byliśmy z Krzyśkiem w szkółce jego ojca.

– Razem z Wójcikiem? – spytałam, przypominając sobie, co pierwszego dnia po przyjeździe opowiadał mi Kietzman.

Przytaknęłam.

Stypy nie przewidziano. Wróciliśmy we trójkę do kinigshauzu. Jechaliśmy powoli. Lampa nie nadawała się do oświetlania drogi, więc ją zgasiłam, a koksownicy, w których drewno raczej żarzyło się niż płonęło, też nie ułatwiały nawigacji. Staszek poszedł oporządzić konie, a my we dwie przygotowałyśmy skromną kolację. A raczej Marysia przygotowała, bo ja przycupnęłam ze śpiewnikiem przy świeczce i odpłynęłam myślami. Zastanawiałam się, co z tym miastem jest nie tak, poza gospodarzem? I jak to coś naprawić. Czy w ogóle naprawiać? Policzyłam w pamięci, że do wyjazdu zostało jedenaście dni.

Obawiałam się następnej wizyty w baszcie, bo ktoś z pewnością doniósł Wójcikowi o pogrzebie. Niepotrzebnie. Już pierwszy pacjent poinformował mnie, że burgmajster wyjechał w delegację. Uśmiechnęłam się z ulgą na tę wiadomość.

Od tej chwili przez cały dzień było mi jakoś lekko. Co prawda znowu stawy nie pozwalały o sobie zapomnieć, ale pacjenci najwyraźniej już się oswoili z moim charakterem i wizyty zyskały bardziej towarzyski wymiar. Matki, przychodzące z dziećmi z ochronki, dopytywały o różne sposoby radzenia sobie z bólem głowy czy z bólami menstruacyjnymi. Narzekały na trudności ze zdobyciem czosnku i pestek dyni. Plotka się rozniosła i teraz wszyscy chomikowali owo cudowne remedium. Doprowadziłam niechcący do hiperinflacji na lokalnym rynku tych produktów. Zanotowałam w pamięci, żeby porozmawiać o tym z burgmajstrem przy następnej okazji.

Różnicę dostrzegł również Kania. Łaził po domu, nie mając nic, w co mógłby włożyć ręce, dlatego zaproponowałam, żeby zajął się naprawą dachu. Zajął mu to zaledwie dzień i następnego znów kręcił się jak smród po gaciach.

– Tęsknisz za rodziną – stwierdziłam, gdy po zamknięciu gabinetu we trójkę usiedliśmy do późnego obiadu.

Zapasów zostało niewiele i Marysia zaoferowała się, że zrobi zakupy na targu. W trakcie ustalania listy sprawunków Staszek bawił się kawałkiem kiełbasy pływającym w polewce.

– No tęsknię, Starsza – odpowiedział po chwili takim tonem, że zrobiło mi się go żal.

– Jak skończyłeś dach, to możesz do nich wracać. We dwie sobie poradzimy. Dom gotowy, gabinet gotowy, pomoc przy chorych mam. Tylko przyjedź po mnie w następną niedzielę.

Pokręcił głową.

– Mówisz tak, bo burgmajstra nie ma. Jak wróci, to znowu będziesz w nerwach gadać. W końcu narobisz sobie kłopotów.

Ze zdziwienia przestałam jeść. Faktycznie, celna obserwacja. Mijający dzień był pierwszym w Jańsborgu, kiedy nie czułam tego dziwnego napięcia, które tak mnie drażniło. Może nie odczuwałam jakiejś szczególnej radości, ale przynajmniej nie myślałam z niepokojem o Wójciku; o tym, co dziś zmaluje. Po prostu zajmowałam się tym, czym zwykle, czyli leczeniem pacjentów. Również jańsborscy zachowywali się zupełnie inaczej. Stali się... zwyczajni – chyba o to słowo mi chodziło. Niektórzy z nich byli

bucowaci, inni sympatyczni. Mieli różne swoje problemy, które wcześniej mi umykały, szczególnie gdy szli tłumnie na plac budowy lub wznosili okrzyki na wiecu. Tak, dotychczas byli tłumem i dopiero po zniknięciu burgmajstra zaczynałam z niego wyławiać pojedyncze osoby. Jaki wpływ na całą społeczność może mieć jeden człowiek! Ha, no tak – zgaśniłam się w myślach. To już drugi taki człowiek w kolejnej społeczności. Że też, w ciągu zaledwie kilku dni, zupełnie zapomniałam o zostawionym w Okartowie wikarym.

Przed przyjazdem do Jańsborga wszystko wydawało mi się takie proste: „O, tu papier, panie burmistrz. Okartowo wraca pod skrzydła miasta powiatowego. Omówimy podatki, daniny, a na razie daj mi tych swoich strażników, bo chcę jednego takiego wywalić”. Wyobrażałam sobie, że rządzi tu jakiś kolejny herszt, podobny do poprzednich. Burmistrzowie przychodzili i odchodzili. Kiedyś dopytywałam o nich handlarzy. W końcu przestałam. Skoro jeden bandyta zastępował kolejnego, przejmował jego metody i politykę? To po co? Nie było sensu. Nie zwracali uwagi na wioskę, więc tylko sprawdzałam, czy się im nie odwidzi. Wiadomość, że Pisz od teraz jest Jańsborgiem, a burmistrz Burgmajstem (mieszkańcy podkreślali, że kazał to wymawiać wielką literą) po prostu przyjął do wiadomości i zważyłam na tytułomanie, tak charakterystyczną dla większości ludzi głodnych władzy. Ależ się pomyliłam!

Dotarło do mnie, że Wójcik tak łatwo mnie nie wypuści. Byłam prawie pewna, że mi nie pomoże. Poza tym, z perspektywy ostatnich wydarzeń, strach było w ogóle wzbudzać jego zainteresowanie Okartowem. Pierwsza oferta i pierwszy plan były nieaktualne, a nowych nie miałam. Najbardziej mnie drażniło tempo, w jakim wciągnął mnie w jańsborską psychozę. Przecież już po pierwszej rozmowie zachowywałam się w jego obecności jak wszyscy jańsborscy, z wyjątkiem Krzyśka, który przełożonego traktował z autystyczną naiwnością. Na cmentarzu mówiłam prawdę, że był pierwszą życzliwą osobą spotkaną przeze mnie w Jańsborgu... Nie, był jedynym zachowującym się naturalnie mieszkańcem miasta. Poza samym włodarzem, oczywiście.

Czyli jednak mogłam potrzebować pomocy nie tylko Staszka. Na razie zamierałam jednak nacieszyć się luźną atmosferą panującą w mieście.

Następnego dnia o świcie poszliśmy na targ. Najbardziej pomocna okazała się Marysia, która znała miejscowych handlarzy. Wędliny kupiliśmy od sympatycznego mężczyzny z wozu stojącego po przeciwnej

względem rathauzu stronie placu, przy ruinach. Płaciliśmy gotówką, co akurat tutaj nie dziwiło. Trudniej było rozliczać się w towarach, gdy więcej osób przyjeżdżało z okolicznych rolniczych kolonii. Zauważyłam też, że tutejsze ceny były znacznie niższe niż w Okartowie. Czemu zatem nie mieliśmy co pół roku najazdu na targ? Tłumaczyłam to sobie faktem, że sprzedawcy zapewne zazdrośnie strzegą tajemnic przed konkurencją.

Nabyliśmy jeszcze pieczywo, choć wdowa proponowała, że sama je upiecze, za to zrezygnowaliśmy z wędzonych ryb, które nie wyglądały szczególnie apetycznie. W niesionym przez Kanię plecaku ładowały po kolei pojemniki i słoje z kaszą jaglaną, suszonym grochem i fasolą. Luzem wsypaliśmy ziemniaki i jabłka. Staszкови sprawunki wyraźnie zaczynały ciążyć, dlatego wieszowałam sobie, że nie wzięliśmy normalnej torby czy kosza.

Większość mijających nas jańsborskich kłaniała się i zagadywała. W niektórych rozpoznałam swoich pacjentów, a poza tym wszyscy widzieli mnie przecież na tamtym wiecu, na którym Wójcik ogłosił otwarcie kliniki. Z uśmiechem słuchałam narzekań na brak dyni i czosnku, a z zadowoleniem zapewnień handlarzy, że już sprowadzają i za kilka dni towar będzie, choćby z Kolna, Rucian czy Białej Piskiej. Ze wszystkich stron dochodziły pojedyncze śmiechy. Ludzie plotkowali i żartowali, targowali się i kłócili. Co ciekawe, nie widziałam żadnego munduru. Jakby wraz z wyjazdem burgmajstra zniknęli jego ludzie. Czy to dlatego było tak gwarno i wesoło, bo nikt z nich nie psuł atmosfery swoją obecnością? Dwaj, i owszem, stali przed wejściem do rathauzu, ale nie patrzyli na rynek, tylko stali oparci plecami o ściany portalu i rozmawiali, leniwie gestykulując. Pogoda, o świcie nieprzyjemna i chłodna, zmieniła się i teraz słońce rozjaśniało plac, czasem tylko chowając się za biegnącymi szybko po niebie obłokami. Szkoda, że musieliśmy wracać, żeby otworzyć gabinet. Poza tym rynek od jakiegoś czasu pustoszał. Dziś niedziela, czyli dzień budowania zamku. Zanim zdążyliśmy rozpakować zakupy, zawyła syrena.

5.

Jak byłem dzieckiem, to poszliśmy z kolegą w nocy do rathauzu, do piwnic, bo tam podobno straszło. Wzięliśmy lampy na olej i świece, żeby cośkolwiek widzieć. Wszędzie na podłodze stała woda, ale było lato, więc ciepła. Tam nie znaleźliśmy nic ciekawego, bo już wcześniej stary Kietzman kazał zabrać meble i papiery, a wypchane zwierzęta to jeszcze wcześniej rozkradli. Mieliśmy patyki, żeby macać, czy coś nie leży na podłodze pod wodą. Kietzman mówił, że tam przed wojną było muzeum, czyli takie miejsce, gdzie się trzyma stare graty, takie jak miecze. I my wtedy myśleliśmy, że znajdziemy tam taki miecz. Może królewski? Bo skoro jest kinigshauz, to musiał tam przecie kiedyś żyć jakiś król. No i ślad po mieczu widzieliśmy na drzwiach baszty. Trudno było coś znaleźć, bo ciemno, a jeszcze ludzie butelki wrzucali i inne śmiecie. W końcu poczułem pod stopą coś dziwnego. Jak to podniosłem, to zobaczyłem, że to jakiś gwóźdź musiał być, ale strasznie stary, bo cały zardzewiał. Zabrałem go ze sobą i potem pokazałem Kietzmanowi, a on powiedział, że to nie gwóźdź, tylko bardzo stary oszczep, jakie się robi z gwoździ do łapania ryb. Że jest starszy niż całe miasto, że ma kilka tysięcy lat, taki jest stary. Kazał mi go trzymać, żeby nie zginął. Jak chcesz, to mogę pokazać. Moje wnuki go często z komody wyciągają. Mam nadzieję, że nie zgubiły.

Dobrze się złożyło z tą budową. Pilnych pacjentów nie miałam, a pozostali albo pracowali, albo przestrzegali wytycznych Wójcika, że w niedzielę i poniedziałek mają przychodzić tylko wyznaczeni przez niego chorzy. Dziwnie się ten jańsborski weekend przesunął. Byłam przekonana, że najpierw pojawił się obowiązek odpracowania dnia przy zamku, żeby ludzie do kościoła nie chodzili, a dopiero potem miejscowy proboszcz został wygnany. Zamierzałam przy okazji o to spytać któregoś pacjenta. Jeżeli nie zapomnę.

Wolne godziny poświęcałam na porządkowanie magazynu. W walizce, z którą jeździłam na targ do Okartowa, znalazłam trochę leków zabranych przez Staszka z pracowni. W najgorszym stanie były książki lekarskie i moje notatki. Te ostatnie Listek i Pawłowicz ubrudzili olejami i maściami, ale nadal dawało się je odczytać. Cieszyłam się, że nie wpadli na pomysł,

by wszystko podpalić. Na koniec zajęłam się moim chwastem, znaczy aloesem, który tak niezbyt pieszczotliwie nazywałam. Wyjęłam go z doniczki, bo dwie odnóżki zdecydowanie można już było rozsadzić; odciąłam suche końcówki łodyg i podlałam go nieco.

Po kolacji położyłam się późno, zrelaksowana i po prostu szczęśliwa. Mieszkanie z obcymi ludźmi nie było jednak takie złe. Szczególnie podobały mi się regularne wspólne posiłki. Owszem, w Okartowie jadałam u miejscowych, ale zawsze były to tak rzadkie obiady lub kolacje, że z definicji uroczyste. Tutaj po prostu Marysia lub Staszek szykowali posiłek i prosili do stołu. Bez specjalnych grzeczności, rytuałów, prostowania pleców i robienia dziubków.

Drugi dzień prac budowlanych uprzytomnił mi, że minął tydzień, a ja nadal nie mam pomysłu na pozbycie się wikarego, poza tym wciąż jeszcze nie spotkałam się z kierownikiem przedszkola. Pardon, kindergartenu.

Zaraz po syrenie i dzwonach zapowiadających koniec pracy usłyszałam łomotanie w drzwi.

– Proszę – krzyknęłam znad książki.

Ku mojemu zaskoczeniu w drzwiach pojawił się strażnik. Ten sam, który przyszedł po mnie w środę, gdy otworzyłam klinikę.

– Już idę – zakomunikowałam zmęczonym głosem. Odłożyłam książkę na półkę i podniosłam się z fotela.

Burgmajster leżał na stole, jak podczas ostatniej wizyty w baszcie. Wyciągniętym daleko palcem próbował dotknąć czubka dziobu wypchanej czapli. Nie najlepsza gimnastyka.

– Usiądź – polecił bez przywitania. Zajęłam miejsce na ławie. – Używałaś sobie, jak mnie nie było. Zakazałem chować Kietzmana.

– To był pogrzeb symboliczny – skłamałam. – Skąd niby miałam wziąć ciało? Pogrzeb urządziłam dla wdowy, żeby uniknąć syndromu pustego grobu. Pamiętaj, że mam leczyć, a czasami smutek może przekształcić się w chorobę. Pochówek się odbył, sprawa zakończona, Kietzmanowa może zakończyć żałobę. – W tym momencie zorientowałam się, że znów zniknęła gdzieś cała moja uprzejmość. – Nie wtykam nosa w nie swoje sprawy, więc skończmy ten temat.

– Wiem, wiem. Sołtys szprechał to samo – odpowiedział z bezczelnym uśmiechem, a mnie zmroziło. Już wiedziałam, gdzie był w tej delegacji. – A tak w ogóle, to ten okartowski wikary to bardzo rozsądny człowiek. A jaki

wykształcony! Doszliśmy do pewnego porozumienia, które będzie korzystne dla nas wszystkich. Jak on to nazwał? „Sojusz krzyża i tronu”. Hm, może by tak koronę jakąś znaleźć? Plecy. – Zmienił temat. – Tak, pamiętam, mam leżeć i się nie przemęczać. Nie będę. Ale myślę, że skoro już wszystko w wiosce za ciebie załatwiłem, to możesz tu zostać i leczyć jańsborskich. W końcu nikomu nie powiedziałem, że chcesz wyjechać, a tutaj będziesz mieć więcej pacjentów, bo jest tylu mieszkańców. Politykę zostaw mężczyznom.

Słyszając ostatnie zdanie, zacisnęłam szczęki, ale tylko na chwilę, bo nie spuszczał ze mnie wzroku. Udawałam, że zastanawiam się nad czymś.

– Przemyślę to. Ale w Okartowie jest mój uczeń, syn Staszka.

– Tak, wiem. Jego matka to okropnie nieprzyjemna kobieta. Nie chciała mnie wpuścić, nawet swoimi robotnikami poszczuła, a przecież Okartowo podlega Jańsborgowi. Mam to na piśmie.

– Co im zrobiłeś? – Zerwałam się z ławy. Bałam się, że Rogińskich potraktował tak, jak wcześniej Kietzmana.

– Nauczkę dostali, ale spokojnie. Do wesela się zagoi. I mam list od Michała. Chcesz?

Chciałam, ale wołałam tego po sobie nie okazywać. Tęskniłam za uczniem, to prawda, tyle że najlepszym sposobem, żeby mu pomóc, było tłumienie tej tęsknoty. Jak na razie udawało się to wcale nieźle. Aż do tej chwili. Z udawaną obojętnością podeszłam do burgmajstra i drżącą ręką sięgnęłam po wydarty z jakiegoś brulionu arkusz papieru. Był czymś sklejonny, chyba woskiem. Mądry chłopak – tyle mu mówiłam o tajemnicy korespondencji. Podejrzliwie obejrzałam pieczęć, po czym złamałam ją i rozłożyłam kartkę.

Stara babo,

zostań u Burgmajstra, bo mi tu dobrze bez ciebie. A ksiądz dobrze cie zastępuje.

Michał

Spojrzałam z wściekłością na Wójcika, a ten szczerząc się czekał na jakąś reakcję.

– Bardzo dobry dowcip. Winszuję. – Złożyłam kartkę i schowałam ją do kieszeni kurtki. Siliłam się na spokój w głosie, ale chyba nie wyszło, bo wybuchnął głośnym śmiechem.

– Prawda, że zabawne? U chłopaka wszystko w porządku. Jest pod dobrą opieką. Swoją drogą, nieźle go ktoś urządził, a ty go ładnie

poskładałaś. Naprawdę jesteś Koślawa. Ale przejdźmy do interesów.

Zszedł z biurka z wysiłkiem i sięgnął do szuflady. Na blacie położył pistolet, a obok jakieś stare papiery, pożółkłe, z wyblakłym nadrukiem, przez co trudno było je rozszyfrować.

– Przed wojną na Kałuży był Fort Lyck. – Podał mi pierwszy arkusz. – Na wyspie. Myślę, że zajmę się tym zaraz po ukończeniu zamku. Ten Dziewulski gorąco popiera pomysł i wcale mu się nie dziwię, bo to dobry pomysł. Mój pomysł. Sołtys obiecał zebrać mieszkańców. Zaproponowałem im takie prace, jak przy zamku, w zamian za zwolnienie z podatków.

– W Okartowie nie ma podatków – stwierdziłam cierpkim tonem. Starając się odsunąć myśli od okrutnego żartu, skupiłam się na rysunkach.

– Teraz już są, a raczej już nie ma. Zbudujemy fort na wyspie i w ten sposób wioska zapłaci daninę. To będzie potężna twierdza. No i rozmawiałem z nim o tobie, a były to rozmowy trudne. Bardzo trudne – podkreślił. – Ale wstawiłem się za tobą i zgodził się zostawić cię w spokoju, jeżeli zamieszkaż w Jańsborgu. I słusznie, bo gdzie ci będzie lepiej?

– Po co ci ten fort?

– A taki dla rybaków, a potem handlarzy. Postawi się tam wieżę, wyśle kilku strażników, żeby patrzyli, czy ktoś kłopotów nie ma. Przecież jak burza zaskoczy, to nawet na naszym wąskim jeziorku rybacy mają problem ze spłynięciem w trzciny, a co dopiero tacy zaskoczeni na środku Kałuży? To sobie pomyślałem, że pomoc im się przyda, skoro już Jańsborg się nimi zaopiekował, nie? Żebyś widziała, jaki sołtys był z pomysłu zadowolony. Potem tylko się naprawi kanał i znowu będziemy ze sobą handlować, a nie jak teraz, że trzy wozy do was pojedą i trzy do nas, a potem pół roku nic.

– Bardzo dobry projekt. Życzę wam powodzenia – odpowiedziałam bez entuzjazmu, mimo że pomysł burmistrz miał genialny. Podejrzywałam, że samą tylko obietnicą tej stacji WOPR kupił serca i dusze przynajmniej rybaków, a z pewnością ich żon. Obawiałam się, że gdy tylko obaj chłopcy, Wójcik i Dziewulski, się rozkręcą, to będę musiała sobie poszukać nowego domu. Najlepiej gdzieś w głuszy. To samo pewnie czekało Kaniów, chyba że wcześniej burmistrz znowu wpadnie w zły humor i ich powystrzela. Zadrzałam na tę myśl. – Jutro lub pojutrze dostaniesz listę brakujących rzeczy. Jeżeli mam ci leczyć jańsborskich, to muszę mieć czym. Obrotny jesteś, z pewnością znajdziesz dla mnie leki – stwierdziłam zgodnie z

prawdą. – Dużo sprzętów zostawiłam w wiosce. Będę musiała w końcu po nie pojechać. Może jutro?

– Coś się zorganizuje. Pojedziemy razem, jak już przygotujemy budowę fortu. Babo, nie wiedziałem, że ta wasza Kałuża taka ogromna!

Wzruszyłam tylko ramionami. Straciłam ochotę na dalszą rozmowę, Wójcik chyba też, bo obrócił się gwałtownie na pięcie i śmiesznie przygarbiony zrobił dwa kroki w stronę ściany. Zatrzymał się i po chwili wrócił po pistolet. Nie zwracał na mnie uwagi. Wpatrywał się w rycinę na ścianie. Dopiero teraz zauważyłam, że była inna niż poprzednio. Nie przedstawiała panoramy z kościołem dominującym nad miastem, ale plan jakichś fortyfikacji z szańcami i przystanią po prawej stronie. *Plan von Fort Lyck*, brzmiał umieszczony u góry tytuł. Zostawiłam Wójcika z jego nową obsesją.

W czasie mojego pobytu w baszcie zaczął padać śnieg. Cienka warstwa pokrywała dziurawe ulice, błotnisty plac, krzywe chodniki i zaniedbane klomby z wystającymi z ziemi jeżami suchych badyli. Nie zmienił jeszcze faktury powierzchni, a tylko zabarwił ją na białe. Podniosłam kołnierz kurtki i szybkim krokiem poszłam do kinigshauzu. Zastanawiałam się, jak na te wieści zareaguje Staszek. Cóż, nie przekonam się, jeśli nie sprawdzę. Przypadkiem zorganizowałam ciekawy sojusz, niech mnie diabli.

Kania zadziwił mnie po raz kolejny. Nie miałam swojej rodziny ani bliskich mi osób od czasu śmierci Asi i może księdza Marka. Mimo to potrafiłam sobie wyobrazić, że na wieść o najściu moich najbliższych przez niebezpiecznego czubka rzuciłabym wszystko i poleciała do Okartowa, przynajmniej dowiedzieć się, co tak naprawdę się stało i czy wszyscy są cali i zdrowi. Szczególnie po doniesieniach burgmajstra, że niektórzy nie są.

Staszek po wysłuchaniu relacji zadał tylko kilka dodatkowych pytań. Na każde odpowiedziałam, że nie wiem. I tyle.

– Co planujesz, Starsza?

– Ha, biorąc po uwagę, jak mi ostatnio plany wychodzą, to może przestanę planować – zązartowałam, żeby trochę uspokoić nerwy. – Marysiu, ten chłopak, co był na pogrzebie Krzyśka... Dobrze go znasz? – spytałam po chwili. Chyba zaczynało mi się coś kłuć w głowie. – Porządny?

– Wojtek Stachelek. Tak. Taki trochę jak Krzyś. Zresztą razem się u teścia uczyli, zanim ten zmarł.

– Przyprowadziłabyś go jutro? Muszę z nim porozmawiać. Niech przyjdzie do gabinetu, jak inni pacjenci. Skoro burgmajster zainteresował się Okartowem, to możemy mieć dużo większy problem. – Wyłożyłam Staszкови swoje obawy. – Ja nie mogę być w dwóch miejscach naraz, a skoro rozmawiał z wikarym, to pewnie wie wszystko o tym, co zdarzyło się w kościele, jak przyjechaliśmy z Listkiem i Pawłowskim, i będzie bardziej się miał na baczności. Dziś próbował mnie wybadać tą niby wiadomością od Michasia. Cholera wie, na ile mu się to udało i co z tego, co mi powiedział, jest prawdą.

Marysia ze Staszkiem, który wyglądał na bardziej zmartwionego niż zdenerwowanego, potakiwali. Miałam poczucie winy, że zabrałam go ze sobą. Wydawało mi się wtedy, że to dobry pomysł, że wszyscy będziemy bezpieczni, jeżeli z dala od wioski zajmiemy się zbieraniem sprzymierzeńców. No, to wreszcie trzeba zacząć, zgańłam się w myślach. Ale nie dziś.

– Myślę, że przez kilka dni ludzie Wójcika będą nas uważniej obserwować, dlatego róbmy zwyczajnie to, co do nas należy. Jutro normalnie otworzę gabinet, pojutrze też. Marysiu, będziesz mi pomagać, jak dotąd. Staszek...

– Tak, Starsza? – przerwał.

– Ty sobie znajdź coś do roboty.

Rozmowa ze Stachelkiem niewiele dała. Być może dlatego, że za bardzo kluczyłam z pytaniami, a może on z odpowiedziami. Poza tym nie wiedziałam jeszcze, czego od niego chcę. Marysia mu ufała, więc i ja podeszłam do niego z życzliwością. On natomiast dziękował, że nie porzuciliśmy wdowy, mimo że była na cenzurowanym. Było coś intrygującego w tym niskim chudzielcu z głową wciśniętą głęboko w kołnierz, przez co ramiona wędrowały mu do poziomu uszu.

Wojtek został z nami na obiedzie i to właśnie w czasie posiłku stał się bardziej rozmowny. W trakcie opowieści Stachelka o historii przyjaźni jego i Krzyśka pomyślałam, że celowo lub mimowolnie stary Kietzman chciał stworzyć załążek miejscowej elity i poniekąd mu się to udało. Rzadko się zdarza, że wychowankowie tylko jednej klasy, i to z tego co powiedział Stachelek nielicznej, biorą w mieście praktycznie całe rozdanie: Marcin Wójcik w ratuszu, Adam Tomczyk jako dowódca straży w gargamelu, a do niedawna Kietzman w roli sekretarza i archiwisty. Z obiegu wypadli tylko

ci, którzy podczas zmiany warty, jedenaście lat temu, byli nieobecni lub nie chcieli brudzić sobie rąk i sumień.

– To skąd tam Krzysiek? – spytałam, bo ostatni sekretarz burgmajstra nie pasował mi do rodzaju ludzi zdolnych wspinać się na stołki po trupach.

– To zbieg okoliczności. – Baryton chłopaka miał wyjątkowo ciepłą barwę, brzmiał wyraźnie i głośno, więc słuchało się go z przyjemnością. – Po przejściu władzy Wójcik poprosił swojego byłego nauczyciela, żeby ten stworzył miejskie archiwum. Stary Kietzman zgodził się, bo uznał, że bez względu na sposób postępowania władz mieszkańcy mieli prawo do zachowania informacji o przeszłości miejsca, w którym żyją. Gdy jakiś rok temu zmarł, burgmajster posłał straż po syna. Krzysiek nigdy nie potrafił odmawiać. Poza tym podejrzewam, że Marcin go okłamał, mówiąc, że jego ojciec był sekretarzem. Nie było to trudne, szczególnie że archiwum od lat było już gotowe i jego twórca chodził do rathauzu chyba tylko po to, żeby nikt się go nie czepiał. Z czasem sam zaczął zmieniać się w jedną ze swoich kronik.

Po posiłku zaproponowałam jeszcze herbatę, bo dobrze robi na trawienie, ale odmówił. Pożegnał się, wylewnie dziękując za gościnę.

Moje wizyty w baszcie na umówione sesje z burgmajstrem stawały się rutynowe. W tym sensie, że gdy tam przychodziłam, gospodarza nie było lub nie życzył sobie odwiedzin. Po kilku razach przestałam i nikt nie przysłał po mnie strażnika. Myślałam, że Wójcik znów wyjechał, choć dorożka stała wyprzęgnięta na placu za rathauzem, a w samym budynku widać było jakiś ruch.

Tajemnica wyjaśniła się właśnie w piątek. Gdy rozległa się syrena, od razu się ubrałam, obawiając się, że burgmajster urządza kolejne przedstawienie. Nie pomyliłam się. Jak tylko usłyszałam jedno puknięcie w drzwi, pchnęłam je i wyszłam, nie zwracając uwagi na to, że trafiłam strażnika w twarz. Odmawiając pomocy, wsiałam do dorożki.

Marcin znów wyglądał jak pajac w tej swojej czapce-narciarce i dziurawym płaszczu. Kazał woźnicy jechać na rynek.

– Hej, babo. Mam dla ciebie niespodziankę. No, mam dla wszystkich, ale dla ciebie specjalną, bo to ty sama wymyśliłaś.

Nie musiałam udawać zdziwienia. Miałam tylko nadzieję, że to miła niespodzianka.

Dziwne, jak człowiek szybko się przyzwyczaja do nowych sytuacji. Zupełnie nie zaskoczył mnie widok drewnianej sceny stojącej przed

frontem rathauzu, mównica i tłumy ściągające na rynek. Spodziewając się wiecu, przygotowałam się psychicznie, dlatego poza suchością w gardle i łomotaniem serca nie dało się zauważyć objawów mojej demofobii. Tym razem jednak burgmajster nie zapraszał mnie na scenę, co przyjął z ulgą. Sam z nieodłącznym pistoletem w dłoni podszedł do mównicy. Przez chwilę uciszał wiwatujących.

– Jańsborscy! Spotkała nas wszystkich ogromna tragedia. Minęło od niej już tyle lat, że prawie o tym nie myślimy. Odebrano nam cywilizację. Odbudujemy ją powoli, tworzymy lepsze jutro, zawsze to wam powtarzam, ale to są małe kroki. Ale dobrze jest czasem zrobić jeden, za to duży, nicht war? No to my dziś jeden taki zrobimy.

Skończył i oparł się łokciami o ambonkę. Rozglądał się po tłumie, a tłum milczał. Jak na kazaniu, pomyślałam.

– Skrodzki?

W dali pojawiła się podniesiona w górę ręka. Otaczający wezwanego ludzie rozchodzili się na boki, żeby nie blokować drogi. Ale chyba jańsborski szedł za wolno, bo Wójcik po chwili oczekiwania wyszedł mu naprzeciw. Mieszkańcy rozchodzili się przed nim, tworząc dwumetrowy bufor. Spotkali się kilka kroków od podwyższenia. Skrodzki był chyba jednym z handlarzy, a przynajmniej jego twarz zapamiętałam z targu.

– No, Rysiu, jak tam? Zdrowy? W gospodarce ordnung? – pytał Burgmajster, szeroko się uśmiechając i poklepując go po plecach. Ten albo wcale nie odpowiadał, albo odpowiadał tak cicho, że nie słyszałam. – A powiedz mi, Rysiu, czemu to się w niedzielę spóźniłeś na budowę, co?

Mieszkaniec zbladł i próbował coś dukać, po czym spanikował i tylko chichotał, rozglądając się dokoła.

– Spokojnie. Nic się nie stało. Każdy czasami ma jakieś ważne sprawy, które go zatrzymają gdzieś na dłużej. Przyszedłeś do rathauzu i wszystko wytłumaczyłeś, a ja chcę tylko, żeby wszyscy usłyszeli, że to z mojej winy Rysio Skrodzki spóźnił się na budowę.

Przesłuchiwany wyraźnie się uspokoił, nawet uśmiechnął, pokazując mocno zdekompletowane uzębienie.

– No, mogłeś tak od razu. Po co się denerwować? Słuchajcie! – Wójcik ponownie zwrócił się do tłumy. Tyle dobrego, że poza kilkoma krokami nie próbował żadnych sztuczek gimnastycznych czy pajacyków, jak ostatnio. – Rysio spóźnił się na budowę, bo był za daleko i nie słyszał syreny. Nie mógł wiedzieć, że już pora wracać, a przecież nie jest głuchy. I wiecie co?

To moja wina, że nie wiedział. Jak do mnie we wtorek przyszedł, to sobie o tym porozmawialiśmy i Rysio podsunął mi bardzo dobry pomysł. Zajęło mi to trochę pracy i czasu, ale on już jest. Jańsborscy, pytam was, która godzina?

Tłum dobrze wyczuł dobry nastrój Wójcika, bo co i raz ktoś rozbawiony wykrzykiwał coraz bardziej absurdalne godziny, przy czym „godzina śmierci naszej” jakoś nikogo nie rozbawiła. Ale burgmajster nie pozwolił zepsuć atmosfery. Odwrócił się i pstryknął na strażnika, który czekał na ten sygnał. Ten szarpnął za linę. Dopiero wtedy spojrzałam w górę. Ryzalit budynku przykryto materiałem. Róg tkaniny zaczepił o kawałek blachy i rozdarł się, ale i tak już wiedziałam, czemu służyła ta cała szopka. Burgmajster naprawił zegar! Naprawił zegar! – powtórzyłam w myślach, pełna podziwu. Wytarłam okulary, bo nie mogłam uwierzyć w to, co widzę. Ile czasu mu to zajęło? Trzy dni? Mniej? Może wystarczyło tylko nasmarować mechanizm, uspokajałam się. Poza tym mógł posłużyć się swoim zegarkiem, żeby porównać konstrukcję.

Ludzie najpierw nie reagowali. Nic dziwnego, wszak na tarczy pozbawionej wskazówki sekundnika nie było widać żadnego ruchu. Dopiero po chwili ktoś wskazał tarczę i krzyknął jak dziecko.

– Patrzta, to działa!

W odpowiedzi Wójcik ponownie odwrócił się twarzą do zebranych, kłaniając się. Powiedziałybym, że głęboko, ale w trakcie schylania stęknął i zastygł z lewą dłonią wyciągniętą daleko w bok i prawą z pistoletem przyciśniętym do serca. Życzyłam mu porażki. Niech się potknie, przewróci. Niech zdarzy się coś, co go ośmieszy. Niech się nie szczerzy, głupi pajac. Wyprosiłam. Z tłumu, ku zaskoczeniu wszystkich, wybiegł mężczyzna z nożem podniesionym wysoko nad głową. Krzyczał głośno, głośniej niż ludzie naokoło, i to była przyczyna jego porażki. Najbliżej stojący mieszkańcy chwycili go, zanim zdążył zrobić tych kilka kroków, które dzieliły go od burgmajstra. Widać było, że nie miał wprawy. Ostrze błysnęło, a w sekundę później już nic nie widziałam, mimo że siedziałam w dorożce, wyżej niż reszta. Do kotłujących się ludzi dobiegli strażnicy i przy pomocy pałek zaczęli przywracać porządek. Gdy dotarli do zamachowca, ten był już ledwo przytomny, pokrwawiony. Twarz zaczynała mu puchnąć.

Burgmajster był wściekły. Przez chwilę mierzył z broni w stronę kotłowaniny, ale w końcu zszedł powoli z podestu i zniknął w tłumie. Ludzie rozstępowali się przed nim. Podszedł do nożownika i strzelił mu w

pierś, z góry, żeby wychodzący z tyłu pocisk nie trafił kogoś z tłumu. Ciekawe, czy kiedyś postrzelił kogoś postronnego? Być może. Wszystko odbyło się bezceremonialnie, bez słów, gestów, podobnie jak z Kietzmanem. Obserwowałam zebranych. Początkowe zaskoczenie powoli gasło. Czekałam, co będzie dalej... Niestety. Podniecenie, radość, satysfakcja znów stopniowo pojawiały się na twarzach jańsborskich. Ciało zabitego wyslizgiwało się dwóm mężczyznom z rąk, a gdy uderzyło piersią i twarzą o bruk, wydobył się przerażający w swym hałasie i ładunku emocji wrzask z tysiąca gardeł. Wójcik podszedł, schylił się nad ciałem, przyklęknął na jedno kolano i otarł dłoń o ranę wylotową na plecach, na wysokości nerek. Wstał z trudem i zakrwawionymi palcami naznaczył twarze dwóch bohaterów, którzy jako pierwsi zaatakowali zamachowca. Wydawało mi się, że przed chwilą wrzawa osiągnęła swoje apogeum, ale teraz do krzyków dołączyły gwizdy i oklaski, tupanie i odgłosy uderzania o jakieś garnki czy pokrywki. Sabat trwał w najlepsze. Burgmajster nawet nie próbował przerywać lub jakkolwiek wpływać na tłum. Skupił się na dwóch pomazańcach. Poklepywał ich po ramionach, podawał im dłonie. Uśmiechał się szeroko, a każdy taki gest powodował kolejną falę owacji. W końcu objął ich ramionami i poprowadził do ratusza. Strażnicy pospiesznie otworzyli przed bohaterami oba skrzydła pięknie zdobionych drzwi, a potem stanęli na baczność. Wszyscy zebrani mogli obserwować, jak Marcin Wójcik prowadzi po schodach dwóch odważnych obrońców miasta, dwóch bohaterów, chroniących Jańsborg przed szaleńcami. Zmierzali do gabinetu z biurkiem o stalowym blacie, gdzie z pewnością odbiorą należną im nagrodę.

Zniknął maestro, więc i ja powoli zwijałam się z placu. Szczególnie że strażnik szedł w moją stronę, pewnie by wywalić mnie z dorożki. Nie dałam mu tej satysfakcji. Na ulicy prowadzącej do kinigshauzu stał Kania, blady na twarzy; kawałek dalej Marysia pozawijana w szaliki i chusty, z kożuchem zarzuconym na plecy. Staszek chyba wyskoczył z domu w tym, co akurat miał na sobie, więc nie potrafiłam powiedzieć, na ile bledość wynikała z nerwów, a na ile z zimna.

– Wracamy – poleciłam dwójce współlokatorów.

Po spektaklu nie mieliśmy już wątpliwości, że nie pasujemy do tego miasta. Pozostawało mi tylko przekonać Staszka, że jeżeli nie zaczniemy faktycznie zajmować się tym, po co tu przyjechaliśmy, to niedługo możemy dopasować się do trumien.

– Widziałeś to na rynku? Przecież to mokry sen Dziwulskiego! – wydzieralam się na Staszka, który konsekwentnie odmawiał wyjazdu. Marysia tłumaczyła, że zamachowiec był mieszkańcem domu stojącego po drugiej stronie rzeki, przy sadzie. Do niedawna stojącego, bo burgmajster kazał go spalić. Dlaczego? Nikt nie wiedział. – Zabierzesz dokumenty, które Wójcik podpisze mi jeszcze dzisiaj. To moja część zadania. Twoja polega na dostarczeniu tych pism. I na przywiezieniu pomocy.

– Pojedź ze mną – namawiał.

Wybuchnęłam śmiechem, szybko stłumionym, żeby nie straszyć szczerbą w zębach.

– Tak. Panie burgmajster, jadę z wizytą do Okartowa, ale jutro wrócę, jak bonie dydy. Z samego ranka – kpiłam. – Wiesz, co mi odpowie i że raczej nie będzie to „jawohl”. Ale najpierw te pisma. Marysiu, twój jest Stachelek. Namawiaj go delikatnie, żeby się nie spietrał. Czas i miejsce spotkania podasz mu, dopiero gdy się zgodzi.

Dziewczyna skinęła bez słowa. No, przynajmniej z nią nie było problemów.

– A ja muszę jeszcze pomyśleć, co zrobić z tym popieprzonym domem wariatów.

Prawdę mówiąc, już wiedziałam. Wstydziałam się jeszcze tej wiedzy, ale miałam świadomość, że mój dyskomfort minie.

Do burgmajstra poszłam jak zwykle tuż po czwartej. Tym razem go zbadałam, żeby móc pochwalić postępy. Nawet kłamać nie musiałam, bo za kilka tygodni z krzyżem Wójcika będzie już całkiem dobrze, chyba że znów spróbuje podskakiwać.

– Potrzebny nam tu ksiądz – stwierdziłam, gdy już skończyliśmy medyczną część spotkania.

Wykrzywił się, ale nic nie odpowiedział, najwyraźniej ignorując temat. Nie zamierzałam odpuszczać.

– Ludziom podoba się większość rzeczy, jakie dzieją się w mieście...

– Większość? – Tym razem udało mi się wzbudzić zainteresowanie.

– Większość, bo nie ma księdza. Nie wiem, jak poprzedni proboszcz zaszedł ci za skórę, ale powinieneś znaleźć kogoś na jego miejsce. Przynajmniej do pogrzebów, ślubów i chrzcin. Przecież ludzie tego potrzebują. Próbujać sobie radzić, ale nie muszą robić tego samodzielnie.

Zorganizowałaś kindergarden, żeby mieli spokojną głowę w czasie pracy, to niech też nie martwią się tym, co się stanie, gdy umrą.

Grzecznie czekałam na odpowiedź. Wójcik po badaniu znów leżał na biurku i gapił się w sufit. Trzymana na klatce piersiowej broń podnosiła się i opadała w rytm oddechu.

– A skąd ja niby wezmę księdza? Przecież nie Dziewulskiego.

– W Okartowie jest dwóch duchownych. Mamy tam proboszcza, który jest ważniejszy niż wikary Dziewulski, czyli bardziej nadaje się do miasta niż na wioskę, prawda? Do tego wielebny nigdy nikomu nie wchodził w drogę, tylko robił swoje, czyli msze, modlitwy i pogrzeby – zachwalałam starego klechę. – Tutaj będziesz mieć proboszcza, tego drugiego zrobi się proboszczem Okartowa i wszyscy będą zadowoleni. Przywróć msze, zanim ci się ludzie zaczną buntować.

Poszło łatwiej, niż się spodziewałam. Z przekonywaniem przynajmniej, bo pismo sama musiałam sporządzić, a burgmajster tylko przeczytał, czy czegoś nie przemyślałam.

– Ty też byś się nadała na sekretarza – zażartował, zalepiając złożone krawędzie papieru woskiem.

Jeden-zero dla mnie.

6.

Lato to wtedy było tak gorące, że rzeka prawie wyschła. Za mostem żelaznym można było nogami chodzić po zielsku w wodzie, tyle go urosło. No i dzieciaki tak się bawili, że przechodzili po tych glonach na czworaka na drugi brzeg i z powrotem, a inne skakały z mostu. Jasiek Kulesza też skakał. Aż raz, jak stanął na zewnątrz, to mu się przechyliła poluzowana deska i źle spadł, tak na plecy. Inne chłopaki śmiali się i śmiali, a potem, jak nie wypływał, to zaczęli go wołać. Nigdzie Kuleszy nie było widać. Potem jeszcze rybacy go szukali na rzece, czy gdzie nie spłynął z prądem, ale też nic nie znaleźli. Niektórzy opowiadali, że chwilę zanim wpadł do wody, widać było czerwoną czapeczkę i zieloną rękę pokrytą skrzekiem, i że to topich go ze sobą zabrał.

Kiedyś pojechałam do takiego starego przedwojennego dworku. Ale wiesz, z kolumnami, dużymi oknami, z pięknymi zdobieniami. Nie pamiętam, po co tam byłam. To były lata sześćdziesiąte. Bardzo mi się ten dom podobał. Stał w zaniedbanym parku ze stuletnimi drzewami, z małym oczkiem wodnym, wtedy już zupełnie zarośniętym. Gdy weszłam do środka, zauważyłam połamaną poręcz i dziury w ścianach. Podłoga była brudna, schody uszkodzone. Spytałam gospodynię, czemu tak zapuścili piękny budynek. I wiesz, co mi odpowiedziała? Że nie będą tego remontować, bo i tak Niemcy wrócą i zabiorą. Tak jest do dzisiaj, a przecież ile czasu minęło od wojny? Siedemdziesiąt lat.

Ci ludzie trafili tu z małych chat, gdzie biedowali, a tutaj mogli przebierać: duże domy, dużo ziemi. Za nic dostawali bogactwa, o jakich nie marzyli, a wzięcie tych domów nie wymagało od nich wysiłku, więc nie czuli z tą ziemią żadnego związku. Eternit i świerk srebrzysty – to były wyznaczniki bogactwa. Dlatego te miasta zawsze były martwe, bo ludzie nie mieli wspólnej przeszłości, bo każdy był przybłądą. Nie znali się i nie chcieli się poznać. Widziałaś, żeby ktoś chodził na spacer, rozmawiał z sąsiadami, spotykał się, ot tak, po prostu, żeby powąchać bzy? W maju to chyba bzy, prawda? Wolą siedzieć w swoich domach i gapić się w telewizor. Mówię ci: jeżeli ludzie nie mają wspólnej historii, to nie powstanie społeczność, której by zależało na mieście, w którym żyją. I

będzie taki syf, jaki tu widzisz w okolicy: zawałone obory, bo Niemcy przyjdą, brudne ulice, bo Niemcy przyjdą. Tak naprawdę to jest zwykłe niechciejstwo. No i to wmawianie sobie, że to nie jest mój dom, że to cudze. A przecież o cudze się nie dba.

Usłyszałam to tuż przed wojną od pani technik w stacji w Popielnie, wtedy już emerytowanej. Nie wiem, czemu zapamiętałam jej słowa, ale wiedziałam, czemu przypomniałam je sobie właśnie teraz. Potem już nie mogłam zasnąć.

Zorganizowanie koalicji wymagało przede wszystkim dyskrecji. Po ostatnim przedstawieniu na rynku strategia wolnych kroków i spolegliwej lekarki z rubieży poszła do kosza.

Trudno powiedzieć, na co wielebny był tak wściekły. Na sam transfer, na burgmajstra, z którym przed chwilą rozmawiał, czy na mnie. A jeżeli Wójcik zdradził mu, kto był pomysłodawczynią? Po opuszczeniu rathauzu ksiądz ruszył od razu do mnie. Nie poszedł na swoją nową plebanię, gdzie od wczoraj trwały prace nad przywróceniem do stanu używalności przynajmniej jednego pomieszczenia. Szklarze wstawiali, a raczej sztukowali szybę z rozbitych fragmentów, klejąc je żywicą i dziegciem. Stolarze wieźli od strony południowego mostu nowe drzwi i meble. Nie udało się tylko pozyskać materiału na ocieplenie ścian – już dobrą dekadę temu z ostatniego nieużywanego budynku w mieście wypruto termoizolację.

Czekałam na księdza na progu, uprzedzona chwilę wcześniej przez Staszka.

– Wiedzmo, tego to już za wiele! – darł się przez plac.

Uśmiechałam się pod nosem, ale z zadowolenia, że wielebny najwyraźniej wziął sobie do serca moje rady i kondycja zdecydowanie mu się poprawiła. Poczekaliśmy cierpliwie, aż podejdzie. Miałam rację – nawet się nie zadyszał.

– Pozdrowiony, księżę proboszczu – przywitałam go grzecznie i z nieukrywaną radością.

Trochę go to zbiło z tropu, na tyle, że przystanął. Korzystając z okazji otworzyłam drzwi i odsunęłam się, puszczając go przodem.

– Mówi się „pochwalony” – poprawił mnie, ale już mniej zdecydowanym głosem. Skorzystał z zaproszenia.

Zaprowadziłam go prosto do kuchni i postawiłam na stole dzbanek z herbatą i dwa kubki. Staszka poprosiłam, żeby pilnował wejścia, a sama gestem zasugerowałam gościowi, żeby rozmowa odbywała się cicho.

– Nie złość się, wielebny. Nie ściągалаbym cię tutaj, gdybym miała inną możliwość. Wierz mi, nie jestem twoim wrogiem i nie chcę ci szkodzić. Zamiast tego pomogę, bo chociaż strasznie się na mnie i na moich pacjentów zawzięłeś, to przynajmniej wiosce nie szkodziłeś. Z sołtysem współpracowałeś? Współpracowałeś. Od Jankowej zapłaty za komunię dzieci nie brałeś? Nie brałeś. A teraz powiedz, ale tak uczciwie, że wikary Dzewulski nie szkodzi.

Milczał, a ja musiałam mieć przecież jego deklarację.

– Księżę, szkodzi czy nie szkodzi? Przecież dlatego cicho rozmawiamy, żeby wszystko zostało w tajemnicy.

– Szkodzi – wreszcie wydusił z siebie. – Dużo krzywdy narobił we wsi. Ludzie już sobie nie ufają. A ty mnie wyciągasz do Jańsborga. – Ostatnie słowa wypowiedział z wyrzutem, trochę głośniej. Uciszyłam go gestem.

– A jak zamierzałeś mu w tym przeszkodzić? – spytałam przesadnym szeptem. – Udało ci się cokolwiek, chociaż raz powstrzymałeś Dzewulskiego?

Proboszcz zarumienił się i spuścił głowę.

– To ja ci powiem, jak ja chciałam się pozbyć wikarego. Akurat możemy rozmawiać otwarcie, bo ciebie obowiązuje tajemnica spowiedzi, a mnie lekarska. W tym piśmie, co wtedy ci od Rady Starszych przynieśli, było, że Okartowo podlega pod Jańsborg, co zresztą jest prawdą i wielokrotnie to powtarzałam. Chciałam, żeby mi burgmajster dał dwóch strażników, którzy by wikarego wykurzyli.

– Jak? – przerwał mi wielebny. Najwyraźniej uważnie słuchał.

– A co mnie to obchodzi? Cała wina by spadła na Jańsborg. Ty byś odzyskał swoją farę, sołtys wioskę, a ja bym wróciła sobie na kolonię. Dobry pomysł? Pewnie, że dobry – potwierdziłam, gdy skinął głową. – Tylko że Wójcik, znaczy burgmajster, okazał się wariatem. Pewnie pamiętasz pana Tomasza z opowiadań. Tamtego łatwo było powstrzymać, bo siedział sam w stosie śmieci. A ten tu zabił swojego sekretarza tylko za to, że kazał nam czekać jak innym mieszkańcom. Ale nikt mu nic złego nie powiedział, bo choć zachowuje się jak Tomasz, to ma władzę, straż miejską, siedzi w rathauzie. No i ten tutaj jest jeszcze ubrany.

– Zabił? – Ksiądz nie dowierzał.

– Tak. Na moich oczach i na oczach Staszka Kani. Ale nie to jest najgorsze. Zakazał grzebać tego człowieka.

Teraz byłam pewna, że proboszcz nie udawał zgorszenia. Ani strachu.

– Najważniejsze to nie wchodzić mu w drogę. Nie bój się burgmajstra, wystarczy, że będziesz go unikał. Siedź na farze i rób to, co robiłeś w Okartowie. Tak jak ci na targu mówiłam: ja lecę ciała, ty leczysz dusze. Pamiętaj tylko, że tu żyją zupełnie inni ludzie niż w naszej wiosce, dlatego musimy trzymać się razem. Nad Kałużą mogliśmy się gryźć ze sobą, ale w Jańsborgu jesteśmy po jednej stronie płota.

Ruchem głowy potwierdził, że się ze mną zgadza. Dolał sobie herbaty. Pił łąpczywie, jakby w dzbanku była porządna nalewka. Zawołałam Staszka, żeby odwiózł wielebnego na plebanię. Dopiero po jego powrocie miałam chwilę, żeby porozmawiać o sytuacji w Okartowie, wypytać o Michasia. Rowińscy, oprócz kilku sińców, nie mieli żadnych urazów po bliskim kontakcie z jańsborską strażą. Zosia tylko najadła się strachu. Za to wieści od Michasia były już tylko radosne. Chłopak zdrowiał pod czujnym okiem troskliwej matki, ale też Zarembów i nadopiekuńczej Waldkowej. Nawet Ania Knitprodówna odwiedziła chłopca i przez kilka godzin słuchała, jak czytał jej *Draculę*. Kazał przekazać pozdrowienia i zapewnić, że czyta i pilnie się uczy. O Dziewulskim nie dowiedziałam się wiele, poza tym, że wielebnego bardzo nie chciał wypuścić i że na razie nie mamy po co do wsi wracać, bo sołtys już w ogóle nic do powiedzenia w Okartowie nie ma.

Wóz wyłożyliśmy wszystkimi miękkimi materiałami, jakie znaleźliśmy. Na burtach i podłodze wylądowała słoma, resztki dywaników. Wszystko to przykryliśmy zdjętymi z karniszów zasłonami i ubraniami wygrzebanymi z szaf i szuflad. Założyłam, że większość sprzętu, jaki uda nam się znaleźć, będzie tak stara, że nie przyda nam się do niczego, w tym węże gumowe i silikonowe. Leków nie warto było nawet szukać. Podejrzewałam, że znajdziemy jakieś narzędzia ze stali szlachetnej, szklane naczynia, może trochę opatrunków, stojaki pod kroplówki, ramy łóżek. Niewiele się pomyliłam. Zamierzałam załadować na wóz wszystkie graty, nawet te nieprzydatne.

Szpital powiatowy w Piszcu był kiedyś pięknym budynkiem. Kiedyś, znaczy przed wojną, a może jeszcze wcześniej, bo kolejne modernizacje i dobudówki mocno zdeformowały harmonijną fasadę. Na teren obiektu

wjechaliśmy od strony najstarszej części kompleksu. Dawniej od frontu znajdował się chyba park, bo ze śniegu co kilka metrów wystawały pnie pozostałe po ściętych dorodnych drzewach. Przed nami zza rogu wystawał kawałek budy wypalonego samochodu, zapewne karetki – obok oparte o podjazd stało skrzydło tylnej klapy z resztkami napisu LANS.

Prowadziła Marysia, która budynek znała najlepiej. Weszliśmy na piętro i skierowaliśmy się w lewo, na oddział chirurgiczny. Przez pozbawione szyb okna wpadał zimny wiatr, szarpiąc rozrzucone papiery, głównie wyblakłe ulotki reklamowe suplementów diety, zbierające się w rogach i załomach korytarzy.

Tuż za drzwiami oddziału skręciliśmy w prawo. Weszliśmy do dużego pomieszczenia znajdującego się na końcu szerokiego korytarza, gdzie czekali na nas pozostali uczestnicy spotkania, przezornie trzymając się z dala od okien. Stachelek pod maską uśmiechu ukrywał strach, może podniecenie? Nie potrafiłam ocenić. Obok mężczyzna ubrany w mundur polowy złożony ze spodni w pustynną panterkę i kurtki z deseniem zimowym wyraźnie starał się zachować dystans. Był wyższy od Wojtka, co akurat nie wydawało się niczym szczególnym. Jego usta tonęły w siwiejącej już brodzie. Skinęłam obu głową i rozejrzałam się za jakimś miejscem do siedzenia. Znalazłam tylko ramę łóżka. Przysiadłam, sprawdzivszy najpierw, czy rury i sprężyny wytrzymają. Oparłam się na kiju, żeby zmniejszyć obciążenie.

– Wojtku, przedstawisz nas? – poprosiłam przyjaźnie.

Niższy mężczyzna zrobił krok naprzód.

– Waldek Bąk. Przyjaciel rodziny, odkąd pamiętam. Opiekował się mną, jak rodzice szli w pole.

– Ufasz mu?

– Całkowicie – odpowiedział z pewnością w głosie. – Jak nikomu innemu w tym mieście.

– Dobrze. Ja jestem Koślawa, lekarka z kolonii nad Kałużą. Staszek Kania, ojciec mojego ucznia z Okartowa. Marysię chyba wszyscy znają. – Wskazałam ich ręką. – Przejdę od razu do rzeczy, bo jeszcze musimy graty na wóz zapakować. Wojtek zapewne przedstawił ci powód naszego przyjazdu do Jańsborga? Nie przewidziałam, że macie tu wariata za burgmajstra. Pomocy mi nie udzielili, pewnie nie wypuści, bo mu się tu przydadają. Dlatego mamy tylko jedną możliwość.

Zawiesiłam głos, czekając, że może ktoś inny wypowie to zdanie. Nikt? Żadnych chętnych?

– Musimy zmienić burgmajstra. Wolałabym pokojowo i bezkrwawo, ale rozumiecie, że Wójcik może się wzbraniać. – Uśmiechnęłam się lekko. – Zanim powiem, co i jak, muszę mieć deklarację każdego z osobna, że mogę na was polegać.

– Co będę z tego miał? – spytał strażnik. Konkretny facet.

– Stanowisko Tomczyka, czyli kierowanie strażą miejską. Wystarczy?

Nie odpowiedział, tylko kiwnął głową.

– Ja pomogę – zadeklarowała Marysia.

Staszek też potwierdził.

– Ja też. – Po chwili przerwy dołączył Stachelek.

– I bardzo dobrze, bo poza tobą nie mamy innych kandydatów na burgmajstra. Oto, na czym stoimy. Wójcik ma straż miejską, ludzie go uwielbiają lub się go boją, co w sumie wychodzi na jedno. Dlatego najpierw trzeba mu tę popularność trochę utemperować.

– Jak? – spytał Waldek.

– Marysiu – zwróciłam się do dziewczyny. – Co ludzie myślą o zakazie grzebania zmarłych? Co mówili po wygnaniu księdza?

– Że to bluźnierstwo. Że nieszczęście jakieś ściągnie na miasto, bo tak się nie godzi walczyć z wiarą.

– Tak właśnie – potwierdziłam. – A teraz mamy w Jańsborgu swojego proboszcza, który się z mieszkańcami zgodzi. Szczególnie gdy zacznie dochodzić do niewytłumaczalnych wypadków.

– Jakich wypadków? – spytał Stachelek.

– To już wasze zmartwienie, jakich. Najprostsze i najmniej podejrzane będą pożary. Gdzieś, gdzie nie ma ludzi, bo nie chcę ofiar. Może rusztowania przy magazynie lub urzędzie miasta albo jakieś łodzie?

– To nie wystarczy, nawet jeżeli ksiądz będzie gadał na Wójcika. – Bąk nie krył wątpliwości.

– Masz rację. Dlatego potem spłonie kościół.

Po ostatnim zdaniu zapadło milczenie. Wiedziałam, że zbyt łatwo tego pomysłu nie łykną.

– Starsza, to się nie godzi. – Pierwszy zaprotestował Staszek. – Rusztowania i jakieś porzucone domy, to jeszcze ujdzie, ale nie kościół.

Pozostali zebrani pokiwali głowami.

– Właśnie że kościół. Wójcik profanuje zwłoki i wygania księdza, czyli musimy jańsborskich przekonać, że to przez jego bluźnierstwa te wszystkie nieszczęścia, a nie będzie lepszego potwierdzenia niż pożar w kościele. Musimy mieć symbol. Zamiast kościoła może być baszta albo Reichstag. Tfu, rathauz – poprawiłam się, gdy spojrzeli na mnie zdziwieni. – Ale żadnego z tych dwóch nie podpalimy niezauważeni, prawda? Kościół biorę na siebie, więc rąk sobie nie pobrudzicie.

– A jak chcesz niezauważona wejść do kościoła? – spytał Stachelek.

– Nie wejdem. Teraz już nie muszę. Podpalacz mieszka na plebanii. – Nie dodałam, że jeszcze muszę go przekonać.

– A co potem?

– A potem pozbywamy się Wójcika i wsadzamy ciebie do rathauzu, Waldek zostaje szefem straży, dajecie mi dwóch ludzi do pomocy przy usunięciu księdza Dziewulskiego z Okartowa i wszyscy będą żyli długo i szczęśliwie. Wy w Jańsborgu, my w Okartowie.

– Jak się pozbywamy? – Tym razem odezwał się Bąk.

– Zobaczymy, jakie będą nastroje po pożarach. Może jańsborscy sami go usuną, może nie. Najpierw ogarnijcie te podpalenia. Ja się na tym nie znam. Tylko zorganizujcie je w piątki, żeby wielebny miał wzburzonych parafian. Takimi łatwiej kierować.

– Dziś też? – upewnił się przyszły władarz Jańsborga.

– Dziś. Sami wybierzcie, co i o której spłonie. Im mniej osób będzie znało plan, tym lepiej. To się tyczy wszystkiego, co będziecie robić, jasne? Nawet jak ktoś wpadnie, nie wyśpiewa wszystkiego. O samym burgmajstrze porozmawiamy później. Coś jeszcze? Dobrze. – Zakończyłam, gdy nie odpowiedzieli. – Zabieramy się do pakowania, a wy już idźcie. Nie ma powodu, żeby ktoś nas widział razem.

Zgodnie z przewidywaniami, nie znaleźliśmy wielu przydatnych sprzętów. Szkło laboratoryjne było porozbijane, gumy sparciałe. Opatrunki po latach w zimnie i wilgoci nie nadawały się do niczego. Załadowaliśmy trochę gratów i pojechaliśmy z powrotem do kinigshauzu. Staszek przez cały czas był markotny. Dopiero po kolacji, gdy Marysia doglądała koni, przyszedł do gabinetu, gdzie układałam na półkach ogromne słoje z brązowego szkła, bo kiedy je w końcu znaleźliśmy w jednym z piwnicznych pomieszczeń szpitala, było już za ciemno, żebym mogła odczytać etykiety.

– Starsza, muszę z tobą słowo. – Zakradł się tak cicho, że aż podskoczyłam, gdy się odezwał. – Bardzo źle robisz z tymi pożarami. Nie chciałem nic mówić, ale wiedz, co myślę.

– Wiem, co myślisz – odpowiedziałam, wciąż odwrócona plecami. Trzy woskowe świece dawały akurat tyle światła, żebym mogła rozróżnić kształt stawianych w kredensie przedmiotów.

– Wiesz, że tak nie można. To się niczym nie różni od rzeczy, które zrobił wikary we wsi i na kolonii.

Odłożyłam ostatni słój i usiadłam w fotelu. Staszek nadal stał w drzwiach, oparty barkiem o futrynę.

– W szpitalu tłumaczyłam, po co tu jesteśmy. Zapomniałeś już? Tu nie chodzi o wikarego. Problemem jest to, co zrobił z naszą wioską, co zrobił twojemu synowi. No i co zrobił z kolonią, bo tego też nie odpuszczę. Przyleciał do naszej wioski i ją zdemolował. Nasz dom!

– Ty chcesz zrobić to samo – odparł.

– Nie, nie chcę – zaprzeczyłam. – Ale masz jakieś inne pomysły? Poradz mi, panie Kania, co mam zrobić z wariatem, który strzela do ludzi? Dzewulski przynajmniej ma jakiś plan, jakieś cele. I ja doskonale rozumiem te cele. Tak, tutaj mam podobne i je zrealizuję właśnie po to, żeby ratować nasz dom. Bo Jańsborg, wyobraź sobie, nim nie jest i nigdy nie będzie. Jest nim Okartowo nad Kałużą. Przypomnij sobie, co mówiłeś, gdy jechaliśmy do kościoła po wybuchu w kolonii – że wioskę bym spaliła, żeby księdza przepędzić. Nie miałaś racji, bo Okartowa bym nie tknęła, za to Jańsborg puszcze z dymem, jeśli będzie trzeba. Wychodzi na to, że to był twój pomysł. Wyobraź sobie, co będzie za rok, za pięć lat, za dwadzieścia, jeśli teraz odpuścimy. Jakie życie będą miały twoje dzieci z wikarym na karku? Podpowiem ci: będzie trochę przypominało życie w Jańsborgu. Pełne paranoi, szeptów, tajemnic i wieców, ale organizowanych w kościele, nie przed rathauzem, chyba że Dzewulski zażyczy sobie, żeby mu okartowscy jakiś wybudowali, oczywiście na chwałę Bożą. Masz jeszcze coś do dodania?

– Nie, Starsza – odpowiedział spokojnym głosem. – Wiedz tylko, że nawet jeżeli nie ma innego rozwiązania, to twoje nie staje się przez to dobre.

– Oho, pouczać mnie będzie, filozof od siedmiu boleści! Wylazł Kant z gnoju i będzie mi mówić, co jest dobre, a co nie. A gdzie był pan Stanisław, jak mnie wielebny gnoił w kościele i na targach? No, wtedy to widocznie

nie było wystarczająco złe, żeby księdza pouczyć. Odesłanie syna do Koślawej, bo tatuś sobie nie radził, to też wzór cnót. To teraz podpowiedz, którą zasadę mam zastosować? Oko za oko czy drugi policzek nadstawić, bo już się troszkę pogubiłam? Zwijać manatki i wiać w las, gdzie mnie ani wikary, ani burgmajster nie znajdą, a może czekać spokojnie w Jańsborgu, aż Wójcikowi znów palma odbije i zrobi mi kilka dodatkowych dziur w głowie? Nie, już wiem. Jutro pójdę i ładnie go poproszę, żeby nie był wariatem. Kwiatek dostanie albo cały bukiet. A jeśli się nie zgodzi, to czmychniemy z powrotem do Okartowa. Padnę krzyżem przed Dzewulskim i droga do raju stanie otworem. Będziemy wszyscy żyć długo i szczęśliwie, z czystym sumieniem, bo nie zrobiliśmy nic złego. A psychopaci nadal niech nami rządzą, bo im raczej taka refleksja, jak pewnemu bimbrownikowi, do głowy nie przyjdzie. Nie chcesz, to mi nie pomagaj. – Machnęłam ręką. – Całe piętro zawałone gratami, które miały pójść na handel, więc masz się czym zająć. Wynocha i nie wchodź mi w drogę.

Nawet w marnym świetle widziałam, jak czerwienieje na twarzy, ale nic nie powiedział, tylko dwa razy otworzył usta. Kiwnął głową i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Zostałam sama ze swoimi myślami. Wiedziałam, że przegięłam, ale przecież nie pójdę teraz przeproszać. Wściekła walnęłam pięścią w poręcz fotela i poszłam zrobić coś pożytecznego. Ubrałam się szybko, zgarnęłam stojący przy schodach kij i wyszłam na ulicę.

Ksiądz nawet się ucieszył z odwiedzin. Ja również odpowiedziałam uśmiechem, gdy bez specjalnych protestów zgodził się na zaproponowany temat homilii. Potem wysłuchałam żalów pod adresem wikarego, podziękowań za to, że o starym księdzu pomyślałam. Nad butelką wódki i słoikiem ogórków siedzieliśmy do późnej nocy. Przez cały czas udawałam przed sobą, że to niedzielny obiad z księdzem Markiem. Po kilku kieliszkach okazało się, że wielebny ma poczucie humoru. Sypał z rękawa dowcipami i anegdotami, trochę prostackimi, ale nadal zabawnymi. Ujawnił też inne talenty, w tym wokalny. Facet miał głos! Przysypiając trochę, słuchałam pieśni, głównie kolęd. Odpędzałam od siebie myśl, że ten wieczór i to spotkanie były spóźnione o wiele lat. Gdybym lata temu przyszła na plebanię, wprosiła się na kielicha i pogawędkę, kto wie, może teraz bym nie siedziała w Jańsborgu i nie rozpętywała małej wojenki. Może nie musiałabym wyciągać trupów z ruin stodoły, łątać połamanego Michasia. Coraz częściej łapałam się na żalu, że zrobiłam coś złe lub że nie

zrobiłam czegoś dobrze. Miałam nadzieję, że nie dokładam sobie właśnie kilku dodatkowych rozterek.

Proboszczowi nie powiedziałam o swoich planach związanych z kościołem. Uznałam, że jeszcze za wcześnie.

Tej nocy pogoda była ładna, choć mroźna. Zimowe gwiazdozbiory prowadziły mnie przez wymarłe miasto. Na horyzoncie majaczył płomień w koksowniku, dziecko krzyczało w jakimś domu przy rynku, chyba na piętrze, psy przy rzece czekały. Poza tym nie było żadnego ruchu, żadnego życia i praktycznie żadnego dźwięku, oprócz stukotu mojego kija o bruk. Przeklinając zmęczenie, doczłapałam do kinigshauzu. Staszek nie spał – otworzył mi, zanim zdążyłam wgramolić się na schody. Uchylił drzwi i poszedł do siebie bez słowa. Przygotowywałam się do spoczynku, gdy usłyszałam syrenę. Jańsborg już nie spał.

7.

Mieszkał kiedyś w Jańsborgu masarz. Oj, dobre robił kielbasy. Zakład miał tutaj, zaraz nad rzeką, gdzie przed wojną dawali obiady i potańcówki robili. No i miał żonę, a jak to zwykle bywa, z żoną przypałała się teściowa. Wredne to było babsko, że pół miasta na nią gadało. Tyle że bogata. Pewnego dnia teściowa znikła. Pytali się i sąsiady, i straż miejska, gdzie zięć kobitę zgubił, ale masarz tylko rozkładał ręce, że przecież to nie ze starą się zenił, więc pilnować jej nie zamierza. Tylko z czasem ślubna też mu zaczęła głowę myć o mamusię, a facet naobkręgåło, że to nie jego sprawa. Minęło kilka lat i tak samo jak wcześniej teściowa, znikła i żona. Znowu wszyscy pytali, gdzie chłop ślubną zgubił i że dziwny jakiś, bo w ogóle jej nie szuka. Niektórzy mówili, że z jakimś kupcem uciekła, bo ją mąż bił. Inni, że w las poszła jałowiec do wędzarki zbierać i rysia spotkała. Jeszcze drudzy, że do jeziora wlażła po ochłodę i ją topichy porwały. Ale ja myślę, że ją mąż tasaczkiem ubił i na kielbasę przerobił. No i potem jańsborscy ją zjedli. Teściową też.

Przez całą drogę milczeliśmy. Wcześniej zamieniliśmy ze sobą może ze dwa słowa, zaprzęgając koniki. Marysia też taktownie milczała, czując, że coś ciężkiego zawisło między naszą dwójką. Poleciałam Staszкови zatrzymać się z dala od płonącego budynku, bo zwierzęta po ostatnim pożarze mogą wpaść w panikę.

Ognia nikt nie gasił, bo niby czym i po co? Zebrani w grupki mieszkańcy komentowali, wskazując palcami co ciekawsze miejsca, gdzie przepalone kolumny rusztowań waliły się z hukiem, uderzając o bruk i wzbudzając snopy iskier. Nie wiało, dlatego nie było obaw, że zajmie się coś jeszcze, szczególnie że w okolicy magazynu nie zachowało się zbyt wiele łatwopalnych elementów. Mimo obecności straży, oddzielającej jańsborskich od ognia, co chwilę powietrze wypełniały salwy śmiechu. Staliśmy ze Staszkiem i Marysią w bezpiecznej odległości, prawie przy ulicy. Plac przed nami był pełen, jak na rynku w dzień targowy. Wielebny będzie miał niezłą pożywkę na jutrzejszej mszy. Wypatrywałam też podpalaczy, mimo świadomości, że jeżeli mają choć odrobinę rozumu, to raczej nie będą kręcić się w pobliżu. Z drugiej strony to nie dwudziesty i nie

dwudziesty pierwszy wiek: nikt z potencjalnych śledczych nie ma pojęcia, że podpalaczy-piromanów szuka się na fotografiach przedstawiających gapiów. No i to nie piromani.

A jednak po chwili wśród pilnujących dostrzegłam brodatego Bąka. Trzymanym w obu dłoniach kijem odpychał wyjątkowo rozbawioną grupkę ludzi. Od innej po kilku minutach odłączyła się jedna osoba, niski mężczyzna, który wolnym krokiem podszedł do nas. Widziałam tylko czarny kontur, otoczony migoczącym światłem płomieni.

– Co teraz? – spytał Stachelek przyciszony głosem, gdy w końcu się do nas zbliżył.

– Na razie nic – odpowiedziałam. Patrzyłam przed siebie, na płomień, bojąc się, że spojrzeniem zdradzę sprawcę. Refleksy na szklach okularów mamły wzrok. – Pałeczkę przejmie proboszcz, a wy się wycofujecie do następnego piątku. Nikomu nic się nie stało?

– Nie. Łatwo poszło. Zapaliły się nasączone olejem szmaty, w które zawijali narzędzia, żeby nie rdzewiały.

– Dobrze. Co będzie za tydzień?

– Pewnie łodzie. W piątek jest wesele Kowalskiego, więc nikt nie będzie pilnował portu.

– Przekażę księdzu, żeby się przygotował. – Usłyszałam, jak Staszek zgrzyta zębami. Zignorowałam go.

Stachelek skinął każdemu z nas po kolei i wrócił do garstki gapiów. Jakiś strażnik darł się na dwóch innych. Wyteżyłam wzrok, starając się zobaczyć coś więcej, ale daremnie. Ogień w tle zmienił całą okolicę w teatr cieni.

– Kto to? – spytałam Marysię. – Ten strażnik, co się tak wydziera.

– To? To Tomczyk. Rzadko wychodzi z gargamela – odpowiedziała. Chyba wyczułam obawę w jej głosie. – Powinniśmy już iść.

– No, późno jest.

Rusztowania płonęły do rana. Jedna ze ścian budynku, pozbawionego dachu, który usztywniłby konstrukcję, zawaliła się. Nie myśląc o tym, niechcący przyspieszyliśmy pozyskiwanie cegieł na zamek.

Msza i homilia okazały się niekoniecznie tak spektakularnym sukcesem, jakiego się spodziewałam. Wielebny nie był złym mówcą, ale nie do wszystkich mieszkańców dotarła wiadomość o nowym proboszczu, a nawet jeśli, to i tak większość odsypiała nocny spektakl przy magazynach. W

kościelne, zadziwiająco dobrze zachowanym, usiadłam w jednej z ostatnich ław pomiędzy Staszkiem i Marysią. Chciałam mieć na wszystko oko. Przez chwilę oglądałam wystrój. Ściany kiedyś musiały być białe, podobnie jak drewniane proste kolumny. Farba złuszczyła się również na ambonie i ołtarzu, mimo to oba elementy wystroju prezentowały się całkiem nieźle. Brakowało może jednej czy dwóch figurek świętych, kilka innych nie miało rąk, palców lub głów.

W świątyni zebrały się ze trzy tuziny jańsborskich, wliczając naszą trójkę. Może więcej, bo niektórzy przyszli później. Najwyraźniej ruszyli z domu dopiero po tym, jak usłyszeli dzwony. Będę musiała zwrócić wielebnemu uwagę, żeby dzwonił dwa lub nawet trzy razy, jak w teatrze.

Prawie przez całą mszę śmiałam się pod nosem. Trochę z siebie, trochę z duchownego, bo liturgia była jeszcze bardziej pokraczna niż ta czytana przeze mnie na cmentarzu przy lampie gazowej. Niektóre melorecytacje kojarzyłam z tymi zapamiętanymi przy rzadkich okazjach, gdy przed wojną rodzice zaciągali mnie na uroczystości kościelne. Melodie popularnych pieśni i piosenek, niekoniecznie religijnych, mieszały się z deklamacjami. Po twarzach zgromadzonych widziałam, że oni również będą musieli osłuchać się z nowym kanonem, bo nie bardzo wiedzieli, kiedy dołączać i na jaką nutę, dlatego mruzcili coś cicho, a tylko na *Amen* lub *Alleluja* śpiewali odważnie. Mimo to wydawało mi się, że ten nowy nabytek parafianom przypadł do gustu, głównie za sprawą fenomenalnego wokalu solisty. Po chwili słuchania zdjęłam okulary i przymknęłam oczy, próbując poczuć się jak na koncercie. Od potężnego głosu wydawały się drzeć kolumny, wibrować belki ryglówki. Brakowało tylko sopranowego kontrapunktu.

Gdy wybrzmiało ostatnie *Amen*, cudem się powstrzymałam, żeby nie wstać i nie zacząć bić brawa. Ale by było, pomyślałam zawstydzona. Mężczyzna w swojej szarej i połataniej sutannie, w której na oko brakowało więcej niż połowy guzików, spokojnym krokiem wszedł na ambonę. Przez chwilę patrzył na drewniany baldachim, jakby obawiał się, że ten spadnie mu na głowę. Odchrząknął i rozpoczął kazanie. Tfu, homilię, poprawiłam się.

– Drodzy, taki to zaszczyt, że tu jestem z wami i w tym kościele – spauzował, rozglądając się po niespecjalnie okazale prezentującej się trzódce. – Myślicie pewnie, co to takiego wam przygnało znad Kałuży? Ano mnie przygnało, bo potrzeba taka była. Takie miasto ładne i zadbane,

widać ludzie robotne, ale bez Boga i swojego duszpasterza żyć nie wolno. Bo stąd tylko krok do piekła i do tych tysięcy diabłów, co krzywdę za grzechy na różnych wstydlivych częściach czynią kobietom i mężczyznom. Krzywdę bolesną i straszną, ogniem i widłami, a inne narzędzia, jakimi znęcają się nad ludźmi, to sobie możecie pewno sami wyobrazić. Jak się nie ma księdza i nie łązi na msze to też grzech. Tylko czekać, aż diabły zaczną różne złe podsuwać do głowy. I ja myślę, że tak właśnie się działo, co ten pożar w nocy wybuchł. Bo nie od ognia w kuchni, jak to czasem bywa. To nie las się zajął, bo gospodarz sobie łąkę podpalił przed wysiewem. Wypalać trawy nie wolno. Od wypaleń do tragedii może dojść, ale tego tłumaczyć nie muszę, bo mądrymu nie trzeba, a głupi... a głupi ma po prostu słuchać tych mądrych. Ten pożar w nocy sam się z siebie nie wziął. Niebo było czyste, żadnej burzy, od której drewno by się zajęło, więc to musiał być ktoś, komu ludzka praca się nie podoba. Diabeł takiemu podszeptał, że jańsborskim zaszkodzić trzeba. Czyli jak nie opętany przez złego, to chyba wariat musiał być, żeby samemu ogień rozniecać i to nie na przykład u sąsiada, z którym zatarg jakiś ma, co akurat jest normalne... Znaczą nadal to grzech i piekło, ale normalne. Jeśli ktoś podpala stary magazyn, gdzie pracują wszyscy jańsborscy, to albo nienawidzi całego miasta, albo wariat, albo opętany. I ja myślę, że jednak opętany. Dobrze się stało, że się tu zjawiłem. Z Bożą pomocą znajdziemy tego podpalacza i pod sąd oddamy. Tylko spytacie, skąd ta pomoc ma przyjść? Już wam mówię. Bóg pomaga pobożnym, tym, co się modlą i do kościoła chodzą, i przykazań świętych przestrzegają. Co wstają rano, a nie po nocach siedzą, nie gadają z duchami, które po nocy wyłażą. A tutaj ilu jańsborskich w kościele widzę? W Okartowie kościół co niedziela był pełen, że nie było gdzie siedzieć, a przecież wioska maleńka. Nawet się wzięli chłopcy i ławek dorobili. Te stare w ogóle wyrzucili, bo kiwały się na boki i skrzypiały. I choć od tych ław aż ciasno było, to i tak miejsca brakowało. A tutaj miasto duże, kościół duży, tylko wiernych brakuje! To skąd ludzie mają wiedzieć, jak się diabła strzec, skoro do kościoła nie chodzą? Skoro się nie modlą, a nawet słyszałem, że zmarłych nie grzebią. To sobie odpowiedzcie, skąd potem opętania i pożary? Ano stąd, że bezbożnicy bez kościoła i bez księdza żyli. Stąd, że dusze wystawiali na diabelskie pokusy, aż się co niektórym w głowach pomieszało. Dlatego mam nadzieję, że za tydzień kościół będzie pełen, aż ławki trza będzie dostawić. I że już żadnego ognia w Jańsborgu nie zobaczymy. No. Módlmy się.

Wszyscy wstali, ja również. Słów modlitwy nie słuchałam, ciesząc się w myślach, że ściągnięcie wielebnego okazało się dobrą decyzją. Wreszcie jakaś dobra decyzja. Amen.

Nie chciałam zatrzymywać kolejki, więc tylko uścisnęłam rękę proboszczowi, stojącemu po mszy przed wejściem i żegnającemu się z wiernymi. Protestancki zwyczaj, który w Okartowie wprowadził ksiądz Marek, a przyjmowali jego następcy, właśnie został przeszczepiony na nowy teren, ku zdziwieniu i zadowolenia parafian.

Do kinigshauzu wracałam ze Staszkiem pod rękę, bo brak snu i nocne przejażdżki dały o sobie znać, przede wszystkim w lewym kolanie, dlatego wolałam polegać na dodatkowej podporze oprócz laski. Mieszkańcy powoli zbierali się do pracy. Ciekawa byłam, jak wielebny rozwiąże problem niedzielnej pańszczyzny. Kolejny argument za zmianą w ratuszu.

Tego dnia nie miałam wielu pacjentów. Nastoletni chłopak poparzył się, ale nie w nocy przy pożarze – podnosił garnek z fajerki niezabezpieczonymi dłońmi. Potem pojawił się kierownik przedszkola. Wreszcie, chciałoby się powiedzieć. Najpierw przez kwadrans go uspokojałam, bo z nerwów nie był w stanie sklecić zdania. Przekonywałam, że chodzi mi tylko o zdrowie dzieci i że choroby w takich placówkach zdarzały się nawet przed wojną, a u burgmajstra to gadam o jego plecach, nie o karaniu kogokolwiek. Oddychał głęboko, z wyraźną ulgą. Dopiero wtedy mogłam przekazać informacje dla pracowników kindergartenu i dla rodziców. Okazało się, że wizyta była formalnością. Wieści o sposobach leczenia robaczycy rozeszły się już po całym mieście. W mniejszym stopniu te o zapobieganiu.

Kierownik, nijaki, choć sympatyczny, wylewnie dziękował, dopóki w końcu postawiłam szlaban kolejnym, zbytecznym już pytaniom, powtarzanym zapewnieniom i obietnicom. Na pożegnanie nieszczerze zapewniłam, że może przychodzić z problemami o dowolnej porze dnia i nocy, bo zdrowie dzieci jest najważniejsze. Odprowadziłam go na zewnątrz, obawiając się, że albo on mnie zamorduje gadaniem, albo ja jego za gadanie. Z powodu pracowitej nocy byłam wykończona, mimo że spotkanie trwało może trzy kwadranse.

Kompletnie niewyspana udałam się do burgmajstra. Miałam nadzieję, że po pożarze będzie zbyt zajęty i odwoła wizytę, ale najwyraźniej dla niego jednodniowa przerwa to aż nadto. Przed wyjściem szybko

nakreśliłam wydumaną listę braków w apteczce i wyposażeniu kliniki, i opierając się na Staszkowej lasce poszłam do baszty, a później, poinstruowana przez stojącego przed drzwiami strażnika, do rathauzu.

Do gabinetu przeszłam przez sekretariat bez pukania. Drzwi były otwarte na oścież. Wójcik stał pochylony nad leżącymi na biurku papierami. Towarzyszyło mu dwóch strażników i jeszcze ktoś, kogo nie znałam. Gospodarz co chwilę wypowiadał jakieś zdanie i wybuchał śmiechem, a rozmówcy próbowali mu wtórować.

– O, baba. Już kończymy – powiedział bardziej w stronę uczestników narady niż w moją. – Czyli jutro robimy dzień wolny i przemówienie o dwunastej. Idźcie już, bo mój krzyż domaga się badania.

Ostatni wychodzący zamknął drzwi. Chwilę później burgmajster zebrał kartki i wrzucił nieulożone do szuflady. Sięgnął po stojący obok taboret i już gramolił się na biurko.

– Mam listę braków do uzupełnienia. W szpitalu nie znaleźliśmy zbyt wiele przydatnych rzeczy. – Wetknęłam kartkę w wyciągniętą w moją stronę dłoń.

– Dopisałaś dynię i czosnek? Bo teraz to już handlarze dwa dni w jedną stronę muszą jechać, żeby jakieś znaleźć. Jak ci się podobał pożar? – zmienił temat.

Wzruszyłam ramionami, spodziewając się tego pytania.

– Pożar jak pożar. Pojechaliśmy sprawdzić, czy nikt pomocy nie potrzebuje.

– Mogłaś chociaż bandażę jakieś zabrać czy maści. No, ale mnie się podobał, chociaż nie widziałem. Poszedłem dopiero rano, jak byłaś w kościele.

– Na poparzenia nie kładzie się maści, chyba że na te lekkie. Trzeba schłodzić w czystej wodzie i zawinąć czystym opatrunkiem. – Zignorowałam uwagę o kościele. Wójcik znów mnie zaskoczył, mimo że już po jego wizycie w Okartowie powinnam mieć się przed nim na baczności. – Gadałam z tym człowiekiem od kindergartenu. Więcej problemów z robakami nie będzie. To dobry człowiek na dobrym stanowisku – wstawiłam się za męczybułą. – Po nocy nikt się z poparzeniami nie zgłaszał, więc chyba ofiar nie było. Jak plecy?

– Plecy lepiej. Najważniejsze, że tyłek mi już nie drętwieje, chyba że się schylam, wtedy tak.

Rozmowa nie zeszła już na inne tematy niż wypadnięty dysk, ale uwagą o bandażach wytrącił mnie z równowagi.

Weszłam od podwórza i skierowałam się do mieszkania Kietzmanów. Marysia coraz częściej przebywała u siebie i w ogóle coraz chętniej wychodziła do miasta, co bardzo mnie cieszyło. Otworzyła mi po chwili walenia w drzwi.

– Gdzie jest Stachelek? – Weszłam do domu, nie czekając na zaproszenie.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Może przy magazynie?

– Zaniesiesz mu wiadomość. Masz kartkę i ołówek?

Skinęła głową i wskazała mi drogę do kuchni. Zanim wyszła, wytłumaczyłam jej, co ma robić w przypadku, gdyby ktoś ją złapał z wiadomością.

– Jeśli zdążysz, zjedz kartkę lub spal. Tu masz zapalniczkę. – Podałam moją starą zippo, pokazując wcześniej, jak jej używać. – Stachelek po przeczytaniu musi ją zniszczyć.

– To ja mogę zapamiętać.

– Nie. Im mniej wiesz, tym jesteś bezpieczniejsza. Nie wiem, czy potrafisz kłamać, a tak, jeśli ktoś spyta o treść, będziesz mogła zgodnie z prawdą powiedzieć, że jej nie znasz.

Skinęła głową, zwiniętą karteczkę wsunęła do rękawa. Wyszliśmy. Marysia poszła w stronę magazynu. Do wieczora czekałam z niecierpliwością na jakieś informacje.

Dopiero następnego przedpołudnia przyszedł Bąk z notatką, o którą prosiłam. No, może nie przyszedł, bo przyjechał dorożką z burgmajstrem. Chciałam go opieprzyć za tę niefrasobliwość, ale po chwili zastanowienia uznałam, że postąpił roztropnie. Schowałam kawałek papieru w osłonce doniczki z aloesem i wyszłam za mężczyzną. Wiec miał rozpocząć się za chwilę. Burgmajster tradycyjnie ubrał się w zniszczony płaszcz i czapkę narciarską, mimo że było znacznie mroźniej. Znów nie zapraszał mnie na scenę. Po prostu zostawił w pojeździe, gdy tylko dojechaliśmy na miejsce. Maszerował znacznie sprawniej, co nie było dziwne. W końcu leczenie trwało już dwa tygodnie. Dwa tygodnie, czyli zgodnie z pierwotnym planem powinnam już wracać do Okartowa.

Staął przy mównicy i gestem uciszył wiwatujący tłum.

– Jańsborscy, jakie to nieszczęście nas spotkało, co nie? – Odpowiedział mu szmer potakujących głosów. – Ale sobie pomyślałem, że w sumie to wcale nie była to jakaś katastrofa, a pomoc. Bo zamiast włączyć na rusztowania, odłupywać kolejne cegły, znosić się z powrotem na ziemię i weiter... tyle pracy, a człowiek jak nie musi, to nie pracuje, chyba że głową. Teraz z jednej ściany cegły leżą na placu, więc tylko po nie sięgać i na wóz ładować. Ile czas zajęłoby nam rozebranie takiego muru? Nie wiem, tydzień? Miesiąc? Jest tu gdzieś Piotrowski? O, tam. – Wskazał mężczyznę w średnim wieku, podnoszącego rękę wysoko nad głowę. – Powiedz, Piotrowski. No, widzicie? Do wiosny co najmniej. A tak już wszystko gotowe i na roztopy, jak tylko przemroza puści i łodzie z wapnem wrócą, będziemy mogli wylewać fundamenty. A jeszcze jak dużo tych cegieł nieuszkodzonych zostało!

Przerwał i upił łyk wody ze stojącej na mównicy musztardówki. Rozglądałam się po twarzach zebranych. Większość stała za daleko, żebym mogła widzieć ich wyraźnie, dlatego nie potrafiłam stwierdzić, czy faktycznie zaczęli szeptać między sobą, czy tylko mi się wydawało. Wójcik idealnie wpasował się w mój plan. Wiedziałam, co za chwilę powie. Pewnie inni też już się domyślali. Szkoda, że na wczorajszą mszę przyszło tak niewiele osób.

– Dlatego zrobimy to samo z urzędem. Wczoraj rozmawiałem z majstrem i powiedział, że nawet te białe cegły powinny wytrzymać, bo że czerwone, to już widzieliśmy. Skoro tyle pracy mamy z głowy, ja myślę, że do wiosny zrobimy sobie jeden dzień wolny.

Ostatnie słowa burgmajstra wzbudziły aplauz mieszkańców. Ale mojego nie. Wciąż czekałam na swoją obietnicę. Stał chwilę, dopóki oklaski nie ucichły.

– Dlatego w sobotę przed robotą przy zamku podpalimy urząd, a od niedzieli będziemy zbierać materiał najpierw stamtąd. No i jest jeszcze kilka budynków z cegły, które potem też przyda się zniszczyć.

Tym razem radość ludzi nie była już tak jednoznaczna. Byłam pewna, że jańsborscy zaczynają wymieniać między sobą uwagi. Ku mojej satysfakcji Wójcik popełnił błąd. Ludzie obserwujący pożar magazynu śmiali się, ale nie cieszyli. Pomysł dalszego palenia miasta nie przypadł im do gustu. To normalne, szczególnie jeśli ktoś urząd czy domy przy dworcu mijał od dzieciństwa, bawił się tam z rówieśnikami, tracił tam dziewictwo. Przypomniałam sobie koleżankę ze studiów, która z żarem w oczach

opowiadała o kolejnych protestach przeciwko wyburzaniu zabytków warszawskich. Kilka razy dałam się namówić na udział w pikietach. Zawsze łądowaliśmy z transparentami pod jakąś zapuszczoną rudera, jakich setki, wyjątkowo szarą i śmierdzącą. Na początku nie rozumiałam, o co w ogóle chodzi protestującym. Dotarło to do mnie dopiero wówczas, gdy naprzeciwko mojego akademika zniknął niski pawilon, w którym czasem kupowaliśmy piwo po północy, a jego miejsce zajął kilkupiętrowy biurowiec. Nowy budynek nie był brzydki, niemniej żał mi było tego betonowego reliktu po słusznie minionej epoce. Po prostu do niego przywykłam: dla mnie stał tam od zawsze.

Obawiałam się jednak, że sam sentyment może nie wystarczyć. Potrzebowałam czegoś spektakularnego, co pokaże mieszkańcom, że działania burgmajstra są groźne. Że są, to pewnie wiedzieli wszyscy, ale na razie jego nieprzewidywalność była niebezpieczna tylko dla pojedynczych osób. Uśmiechnęłam się pod nosem. Wystarczyło dodać trochę efektów specjalnych.

8.

O, przed wojną to w Jańsborgu było mnóstwo pomników, ale Bismarka akurat nie, bo tego to zniszczyli dawno temu. A tak w ogóle, pierwszy pomnik powstał za to, że Bismark to rathauz i szpital zbudował. Potem Ruscy ten pomnik ukradli i wywieźli, ale potem oddali, cholera wie, po co. Może gdzieś go tam u siebie postawili, ale mimo to rathauzu nie dostali? Nie wiem. No i jak oddali, to znowu stał na targu, to znaczy placu, do końca kolejnej wojny. Potem jakieś chłopcy go do rzeki ściągnęły. Leżał tam przy brzegu trochę czasu, aż go w końcu ktoś wziął.

Był jeszcze drugi pomnik, chyba jakiego poety czy pisarza, który tu pływał kajakiem aż hen do Nidzkiego i tam się zamykał w jakimś domu nad jeziorem i pisał książki. A, i jeszcze dzieci tu w Jańsborgu uczył śpiewać. No i tamten drugi pomnik stał za rzeką, o tam, przy moście.

A jak się pojawił burgmajster, to chciał koniecznie, żeby Bismark tu stał znowu, bo tak było dawniej, jak Jańsborg był normalny. Wzielimy tamtego kamiennego z za rzeki, to znaczy jego głowę, bo reszta się rozbiła, i taką kamienną babę, co ją ktoś położył w wądołku przed Białym Domem, bo tam woda się zbierała i nie było jak wejść do środka. Na czubku tej baby zrobiliby dziurę, tak samo u dołu głowy, wsadzili pręt, no i Bismark stał jak malowany.

Tuż przed wojną jańsborscy postawili jeszcze pomnik Klementowskiego, takiego doktora, co dzieci leczył. Trochę jak stara Koślawa, gdy tu przyjechała do Jańsborga. I tamten Klementowski leczył je, nawet jak sam był już bardzo chory. Nawet kazał sobie miejsce urządzić w szpitalu, bo już do domu nie miał siły łązić i tak się jeszcze resztkami sił tymi jańsborskimi dziećmi zajmował. Widać ludzie doceniają takich doktorów, bo mu w końcu ten postawili, co nie?

Był jeszcze w Jańsborgu jakiś inny pomnik, bo taka wielka gęba z kamienia leży w rzece, ale tamten to już nie wiem, kto to był.

Informacje przekazane przez Bąka były dalece niewystarczające. Jedynymi informatorami Tomczyka, których wskazał, byli jego najbliżsi współpracownicy w gargamelu, czyli nic odkrywczego. Spotkaliśmy się dwa dni później przy bunkrach. Waldek zapewnił, że nikt tu nie przychodzi,

mimo to Staszek został na czatach na skraju wyrębiska przy torach na Ruciane.

– Moglibyście pieczarkarnie tu urządzić – zaproponowałam, widząc konstrukcje w zadziwiająco dobrym stanie, biorąc pod uwagę, że powstały przed drugą wojną. – Co z tym Tomczykiem? – Bez dalszych pogaduszek przeszłam do tematu.

– Co z Tomczykiem? Ano kieruje strażą.

– Jak kieruje?

– Nie wiem. – Bąk wzruszył ramionami. – Ma dwóch zastępców, z czego jeden cały czas kręci się przy Wójciku. Drugi wydaje dyspozycje, ustala patrole, przydziały i takie tam.

– Ilu w sumie jest tych strażników? – przesłuchiwałam go dalej.

– Wszystkich łącznie? Może dwudziestu.

– Może?

– To wie tylko Tomczyk. Niektórzy są na rok, niektórzy tylko w żniwa lub tylko zimą, a jeszcze inni cały czas, jak ja.

Zakląłam pod nosem.

– A czy oni muszą nosić te mundury?

Waldek w odpowiedzi znów wzruszył ramionami.

– Chyba. Ludzie chętnie je zakładają, bo to porządne ubrania, nie jakieś chałaty.

– Pewnie nie wiesz też, jak się rathauz kontaktuje z gargamelem?

Westchnęłam zawiedziona, gdy zaprzeczył ruchem głowy.

– Może przez tego zastępcę, ale on tylko przy drzwiach stoi i nawet nieczęsto się do ludzi odzywa, dlatego mówimy na niego „klamkowy”. Nigdy też nie widziałem, żeby przynosił burgmajstrowi jakieś wiadomości od Tomczyka.

– Takie małe miasteczko, a niczego się dowiedzieć nie można. Przejrzystość władzy w najlepszym wydaniu – zakpiłam. – To masz zadanie. Dowiedz się o straży tyle, ile się da. Pasywnie, znaczy nie wypytuj za dużo, żeby nie zaczęli cię podejrzewać, za to uważnie słuchaj. Resztę załatwią Staszek i Marysia. No i jeszcze pożar.

– Co z nim? – przerwał.

– Właśnie nic. Skoro burgmajster chce sfajczyć urząd, to mu w tym pomożemy. Mówiłeś, że nikt tu nie zagląda?

– Latem drwale, ale teraz to nikt.

– To w piątek Staszek przewiezie do bunkrów beczki z ropą, drugą z benzyną i butlę z gazem, taką dużą. Natomiast to mogę dać ci od razu. – Z torby wyjęłam paczkę trotylu i podałam mu. – W nocy przed pożarem położyście te beczki, butle i to tutaj w takich miejscach w budynku, żeby nikt tego nie znalazł, ale też żeby na pewno nie ominął ich ogień.

Bąk nie był zadowolony. Nic dziwnego: podpalenie łodzi rybackiej w opuszczonym porcie było zadaniem znacznie prostszym i mniej ryzykownym niż zaminowanie urzędu, który ma być spalony, nomen omen, z urzędu.

– Słuchaj, nie chcemy szkodzić jańsborskim, dlatego jeżeli można uniknąć niszczenia łodzi rybakom, to unikajmy. Strażnik krzywił się jeszcze chwilę, ale w końcu skinął głową.

– Dobrze, babo, ale muszę się zastanowić, jak tam podejść.

– Zastanawiaj się. Ty znasz miasto, my nie.

Staszekowi zakomunikowałam zmianę planów, gdy wracaliśmy do kinigshauzu. Dopiero na miejscu zorientowałam się, że mówimy przyciszonymi głosami. Całkiem jak jańsborscy.

W piątek odwiedziłam wielebnego. Staszek dał mi jakiś swój wynalazek ze starych zbiorów, pędzony jeszcze w Michasiowym alembiku, tym zniszczonym. Nie znając gustu wielebnego, zabrałam jeszcze po słoiku marynowanych podgrzybków i korniszonów.

Ksiądz zaprowadził mnie do kancelarii, którą pracownicy urzędzał przez ostatni tydzień. Skądś wyczarował stylową kozetkę z siedzeniem wyłożonym dziczymi skórąmi. Biurko nie prezentowało się już tak dobrze, za to krzyż podebrał chyba z kościoła. Zajmował całą ścianę i prezentował się imponująco. Ku mojemu zaskoczeniu na blacie biurka leżały arkusze papieru z nierówno narysowanymi liniami i jakiś elementarz z kartkami od brzegów do połowy szerokości pokrytych liszajami pleśni.

– Uczę się – wytłumaczył, pospiesznie zbierając kartki. – Zacząłem po tym, jak mi przeczytałaś wtedy u sołtysa.

– Chętnie pomogę – zaoferowałam się, choć z tą chęcią to niekoniecznie była prawda. Nabrałam jej, dopiero gdy ksiądz z powrotem rozłożył podręcznik na blacie i po chwili wahania podał mi kartki zapisane strasznie koślawymi literami udającymi drukowane.

– Jak długo, mówiłeś, ćwiczysz? – spytałam po chwili.

– Będzie z pół roku.

– Jak wrócimy do wioski, to będziemy cię uczyć regularnie. Nie minie rok czy dwa, a będziesz sobie zapisywał homilie jak Dzewulski.

Rozpromienił się. Wyszedł z gabinetu i po chwili wrócił z ucztą. Do mojej butelki dołożył drugą, również zagrychy przybyło. Przy kozetce ustawił taboret, na którym ostrożnie umieścił tacę z dobrami i zaprosił mnie na ucztę. Dziwnie się czułam, siedząc obok wielebnego, a nie naprzeciw, oddzielona stołem.

– Źle cię oceniłem, Koślawa. Gdyby nie te czary, to w ogóle słowa złego bym na ciebie nie powiedział.

Podniosłam kieliszek, przepiłam do księdza i nalałam mu kolejkę, zanim sięgnęłam po korniszona.

– Zdradzę ci pewną tajemnicę, ale nikomu nie mów. – Zagryzłam jeszcze podgrzybkiem, bo bimber słabo mi wchodził. – Czarów nie ma. Nie wierzę w czary, w magię, klątwy, złe oko i czerwone wstążki, w przełamane dzieci i we wsadzanie ich do pieca. Popytaj wioskowych, jak już wrócimy: prawie każdego przynajmniej raz opieprzyłam, że stosuje jakieś zabobony. Może nie pamiętasz, bo nie byłeś wtedy w najlepszym stanie, ale jak miałeś atak na targu, to wypowiadałam nad tobą jakieś formułki czy tylko lek podałam? A tutaj dzieci leczyłam dynią i czosnkiem. Mało to czarodziejskie, co nie?

Wielebny spuścił wzrok i przez chwilę bezmyślnie popychał palcem kieliszek.

– To czemu Dzewulski? Przecież on czytały, wykształcony.

Uśmiechnęłam się, ale bez radości.

– Bo to dla niego wygodne. Jeżeli przyjeżdżasz do nowego miejsca, gdzie chcesz namieszać, to musisz... no właśnie, namieszać. Napsuć krwi, a jak już ludzie całkiem się pogubią i pogłupieją, zaproponować rozwiązanie. W Okartowie to rozwiązanie będzie się nazywać Wojciech Dzewulski. No, ale dość o wikarym. On jest daleko. Zajmijmy się lepiej burgmajstrem. Przetrzyjmy kolejkę – zwróciłam uwagę proboszczowi, ciągle trącającemu kieliszek.

Potrząsnął głową, jak gdybym go wyrwała z zamyślenia.

– Samotny tu jesteś, co? – spytałam ze szczerym współczuciem. Po latach życia w odosobnieniu po raz pierwszy dotarło do mnie, że nie każdemu oprócz mnie odpowiadała taka sytuacja.

Ksiądz westchnął ciężko i przytaknął. Chwyciłam go za rękę w geście solidarności.

– No to jak najszybciej zrobmy swoje i wracajmy do domu. Bardzo mi się podobała twoja ostatnia homilia. Śpiew też bardzo, bardzo mi się podobał. W niedzielę przyjdę znowu. Znowu będziesz mówił o pożarze i opętaniu?

– No, ma być pożar.

– Będzie, i to większy niż ten ostatnio. I tym razem naprawdę groźny. Co ciekawe, do ludzi nie dociera, jak Wójcik może im zaszkodzić. Ale ty wiesz.

– Co wiem? – spytał, nie rozumiejąc lub udając, że nie rozumie.

– Wiesz, że diabeł krąży po Jańsborgu i w głowach miesza. Sam tak mówiłeś w niedzielę. Teraz wystarczy, że będziesz o tym ludziom przypominał. Co tydzień – podkreśliłam. Podniosłam szkło napełnione przez wielebnego i wychyliłam. Tym razem weszło gładko. – W przyszłym tygodniu będę miała do ciebie prośbę. Bardzo szczególną prośbę. Nie spodoba ci się, ale jeżeli zrobisz wszystko, jak powiem, to niedługo wrócimy do Okartowa. Ufasz mi?

Zapadła cisza. Z proboszczem znaliśmy się od dawna i jednocześnie od tygodnia. Bałam się, że spyta wprost, czego od niego chcę, że swoją decyzję uzależni od wyłożenia na stół wszystkich kart tu i teraz. A ja bardzo nie chciałam tego robić. Nie dopóki nie nakręci się po jutrzejszym pożarze.

– Niech ci będzie – odpowiedział w końcu bez przekonania.

Posiadówka na parafii trwała jeszcze może z pół godziny. Po powrocie do kinigshauzu czekałyśmy z Marysią na powrót Staszka. Nie powiem, że w spokoju.

Kania zjawił się dopiero po północy. Nigdy nie widziałam go tak zmęczonego. Prawie wtoczył się od podwórza, gdy już z trudem walczyłam z opadającymi powiekami. Poprowadziłyśmy go od razu do jego pokoju. Usiadł ciężko na materacu i zaczął zdejmować gumofilce. Kietzmanowa przyniosła mu wody.

– Jak poszło? – spytałam zniecierpliwiona.

– Dobrze, Starsza. Tam w budynku stało już trochę pustych beczek i pudeł, więc tych naszych raczej nikt nie zauważy. Butle schowane na najwyższym piętrze w stosie drewna zrzuconego z dachu, a ten mały pakunek to już w samym rusztowaniu.

– To już was nie męczę. Jutro ciężki dzień, wyśpijcie się. Staszek, dziękuję – powiedziałam z wdzięcznością i poszłam do gabinetu.

Wykrakałam z tym ciężkim dniem. Na spektakl pojechaliśmy we trójkę, tym razem z odpowiednim wyposażeniem, żeby znowu mi Wójcik nie wypominał. Spóźniliśmy się na przemówienia, no i na dobre miejsce, byliśmy jednymi z ostatnich przybyłych. Zsiadliśmy z wozu i stanęliśmy na chodniku, na wysokości łącznika między budynkami parafialnymi. W sumie mogliśmy wprosić się do wielebnego na pięterko, skąd widok byłby znacznie lepszy. Nie widziałam, kto i gdzie rozniecał pożar, ale czułam już zapach dymu z palonej słomy lub trzciny. Wyschnięte drewno zajęło się szybko i po chwili całe prawe skrzydło objęły płomienie rozświetlające łuną plac i twarze wpatrzonych weń mieszkańców. Wiatru nie czułam, mimo to dym tuż nad ścianą skręcał w lewo, kłębił się, jak gdyby nie chciał ulecieć w niebo. Tym razem nawet nie szukałam wzrokiem „wspólników”. Czekałam w napięciu... Pierwsza eksplozja zaskoczyła wszystkich, nawet mnie. Siłą. Wystraszyła konie, które pognały przerażone gdzieś w miasto, ciągnąc za sobą cały nasz sprzęt poza torbą, którą trzymałam w ręku. W jednej chwili ściana rozpadła się, rozrzucając na wszystkie strony pokruszone cegły i nadpalone kawałki drewna. Również w tłum. Jańsborscy najpierw zamarli, a potem zaczęli uciekać w panice.

– Z drogi, do plebanii! – krzyknęłam do Staszka i Marysi, widząc gęstniejącą masę ciemnych sylwetek oświetlonych od tyłu przez płomienie, gotowych za chwilę nas stratować.

Szturchnęłam Marysię, która najpierw nie zareagowała na polecenie, a potem ocknęła się i ruszyła za Staszkiem. Zanim ukryliśmy się za budynkiem, eksplodował kolejny ładunek, tym razem chyba gaz, bo wybuch był znacznie silniejszy. Kilkoro jańsborskich skręciło na teren parafii; większość pognała z krzykiem i płaczem w stronę rynku i swoich domów. Gdy przeszła największa fala, pociągnęłam Kanię i Kietzmanową z powrotem na plac przy urzędzie. Nawet z tej odległości widziałam, że jest źle. Na ulicy leżało i siedziało kilka osób. Niektóre się ruszały. Podeszłam do pierwszej ofiary, kilkunastoletniej dziewczynki krzyczącej z bólu, zapewne stratowanej. Nie miała widocznych obrażeń. Poleciałam Marysi, żeby przy niej została i pokuśtykałam dalej. Dwóm kolejnym osobom nie mogłam już pomóc: dziecko zostało po prostu zdeptane. Leżało z dziwnie przekreśloną głową, zwinięte w pozycji embrionalnej, obok mężczyzna z tryskającą z szyi krwią, spokojny, jakby nieobecny. Nieopodal siedząca kobieta trzymała się za nogę. Stopę miała nienaturalnie wykreśloną do

środku. Przykucnęłam koło niej i sprawdziłam, czy złamanie nie jest otwarte, i... nie mogłam się podnieść. Poprosiłam Staszka, żeby mi pomógł. Kilka metrów dalej leżał mężczyzna w podartym dresie. Głowa mu krwawiła, ale był przytomny, choć ogłuszony. Rozerwałam paczkę z bandażami, przyłożyłam do rany i przycisnęłam ręką rannego.

– Trzymasz? – upewniłam się.

Przytaknął, choć trudno powiedzieć, na ile mnie zrozumiał. W końcu dotarłam do dorożki burgmajstra. Leżała przewrócona, a sam Wójcik pod nią, przygnieciony burtą. Z tej odległości pożar huczał tak głośno, że nie sposób było zbadać, czy oddycha. Przyłożyłam ucho do jego klatki piersiowej i po chwili usłyszałam szmer.

– Dasz radę podnieść? – spytałam Staszka, wskazując wóz.

– Spróbuję – odpowiedział i stanął okrakiem nad rannym. Zaparł się i po chwili ruszył lekki na szczęście pojazd.

Dostrzegłam, że jedno z kół pękło przy uderzeniu o bruk. Spojrzałam na płonący budynek. Ogień dochodził już do zachodniego skrzydła. Coś mnie tknęło.

– Ile było wybuchów? – spytałam Kanię?

– Trzy – odpowiedział po chwili zastanowienia.

– Pod wóz – poleciłam.

Ustawił się obok mnie i chwycił burgmajstra pod ramiona. Cały czas trzymałam głowę Wójcika. Czekaliśmy ukryci pod pojazdem. Dopiero po chwili Staszek spojrzał na mnie przerażony i wyskoczył bez słowa, zanim zdążyłam go chwycić. Patrzyłam, jak biegnie w stronę Marysi obejmującej dziewczynę. Zrobiło mi się strasznie wstyd, że o niej zapomniałam. Teraz miałam nadzieję, że pobiegną razem do plebanii, ale nie, najwyraźniej na to nie wpadli. W piątkę pod wozem było już ciasno. Na szczęście nie musieliśmy czekać długo. Tym razem eksplozja była jeszcze silniejsza. Cholera wie, gdzie wsadzili ładunek, ale z pewnością w jakimś newralgicznym punkcie, bo najpierw usłyszeliśmy huk, a potem łomot uderzających o nasz „schron” ciężkich elementów. Wszędzie wokół opadał deszcz cegieł i rozbitego w drzazgi drewna. Po minucie przycichło i tylko ogień pożerający rusztowania grzmiał ogłuszająco. Dopiero teraz poczułam ciepło.

– Starsza, chyba wóz się pali – zwrócił uwagę Staszek, leżąc plackiem obok Wójcika.

Skinęłam głową i wyturlałam się spod schronienia. Miałam nadzieję, że nie wyglądało to zbyt komicznie. Za mną wyszedł Kania. Od razu wstał, zdjął kozuch i zaczął strącać nadpalone kawałki drewna, od których już zajmowały się futra zaścielające siedziska. Marysia i wciąż łkająca dziewczyna pomogły mi wstać. We trzy wyciągnęłyśmy burgmajstra.

– Weź tamte deski. – Wskazałam Staszкови wyrzucony na bruk fragment rusztowania. Wrócił z nim, zanim zdążyłyśmy ułożyć Wójcika do transportu. We czwórkę przenieśliśmy nieprzytomnego na prowizoryczne nosze. – Ciągnij do kościoła, ale ostrożnie, żeby nie spadł. A wy za mną – poleciłam.

We trzy poszłyśmy do kobiety ze złamaniem. Otaksowałam ją szybko wzrokiem, sprawdzając, czy nie oberwała dodatkowo od ostatniego wybuchu. Chyba nie, nie licząc kilku zadrapań.

– Pod ręce, ty z tej, ty z drugiej. – Wskazałam dziewczynom, jak mają chwycić siedzącą na ziemi.

Ranna krzyczała i płakała, ale się nie broniła. Nie mam pojęcia, jakim cudem udało nam się dotrzeć do budynków parafii. Ślizgałyśmy się po wodzie z roztopionego od ognia śniegu. Wójcik już leżał pod łącznikiem, gdzie było sucho. Obok stał wielebny i coś tam mówił do Staszka. Na mój widok odetchnął z ulgą.

– Kośława, do środka, bo zemrze.

Przytaknęłam. Mężczyźni chwycili nosze i z wysiłkiem zanieśli je do sekretariatu, w którym wczoraj imprezowałam z proboszczem. Na kozetce usiadła kobieta ze złamaniem.

– Dziewczyny, idźcie na plac sprawdzić, czy jeszcze ktoś nie został. Staszek, do kinigshauzu po rzeczy z magazynu, takie jak dla Michasia – wydawałam dyspozycje.

– Ja też pójdę pod urząd – zaoferował się wielebny.

– Ty zostaniesz tutaj. Nie potrzebuję jeszcze zawałowca. Pomożesz mi z nogą. Znajdź jakieś kawałki drewna na łubki. Mogą być tamte. – Wskazałam taboret, na którym wczoraj stała taca z wódką i zakąskami. – Nogi, wyłam nogi – wyjaśniłam.

Staszek zorientował się pierwszy i kilkoma kopnięciami rozebrał mebel na części pierwsze. Po chwili ratownicy opuścili parafię, a ja z wielebny przystąpiliśmy do nastawiania połamanej kończyny. Miałam nadzieję, że ranna szybko zemdleje, ale się cholera trzymała. Wykrakałam, że to będzie ciężki dzień.

Dopiero po północy zjechaliśmy z najciężej rannymi do kinigshauzu. Pomogli nam strażnicy miejscy, których z powrotem do urzędu ściągnął Bąk, chociaż nie miałam pewności, czy z własnej inicjatywy, czy dostał takie polecenie. Proboszczowi kazałam zostać i przygotować homilię. Miałam pewność, że będzie emocjonalna, szczególnie że poprzedzi kilka pogrzebów. Staszek po dostarczeniu całych naszych zapasów opatrunków, szarpi i szyn poszedł szukać wozu. Koniki namierzył dopiero w sadzie za rzeką. Widocznie w całym mieście panował taki burdel, że przez most można było przejechać niezauważonym, a może po prostu strażnicy bali się zatrzymywać spanikowane zwierzęta. Odetchnęłam, widząc, że ani Thelmie, ani Louise nic się nie stało.

Siedmioro pasażerów przewieźliśmy na dwa razy. Nieprzytomny Wójcik pojechał z dotychczasową pomocnicą Marysi i kobietą, której nastawiliśmy złamanie. W drugim transporcie znalazła się jeszcze czwórka poobijanych jańsborskich, ale nie dolegało im chyba nic groźnego. Postanowiłam jednak, że zostaną na obserwacji.

Zasnęłam może o trzeciej w pokoju Marysi. Ona sama zaoferowała się, że będzie dyżurować przy chorych i obudzi mnie, gdyby zaszła taka potrzeba. Widać nie zaszła.

Na mszę przyszłam spóźniona. Wielebny mówił podobnie jak w poprzednią niedzielę, ale tym razem z pasją, szczerze, od serca.

Kościół był pełen ludzi.

9.

Opowiadał mi to rybak, co przyjechał na targ z Kałuży. Dawno temu w Rucianych, ale to zanim tam była zaraza, ktoś zaczął gadać, że podobno jakiś chłop z Nidy jest wilkołkiem, bo się w wilka zmienia zawsze na świętego Jana i na Sylwestra. I wtedy chodzi po zagrodach i kozy dusi. No i tak przez jakiś czas gadali, nie? Ale nic więcej nie robili, bo to dopiero na zażynki się zbierało, więc do Sylwestra to jeszcze mieli czasu, że ho ho. Poza tym niektóre baby go broniły, że on spokojny, nie? Przez jakiś czas ktoś mówił, że widział, jak z Nidy jako wilk przychodzi i przychodzi, ale tak to mało kto wierzył, dopóki faktycznie nie zaczął się na drodze za torami pojawiać wilk. Dopiero jak go ludzie idąc od kościoła naraz zobaczyli, to uwierzyli. No ale uwierzyć, że przychodzi wilk, a uwierzyć, że wilkołek, to dwie różne wiary, nie? Niektórzy nadal kręcili nosami, bo to przecież nie Sylwester i że za spokojny na wilkołka, ale na to niektóre baby twierdziły, że chłop z Nidy też spokojny, nie? Jak ten wilk. I on tak przychodził coraz częściej, więc ludzie zaczęli się niepokoić.

Aż w końcu któryś wpadł na pomysł, żeby wilkołka z tego wilkołectwa wyleczyć. A jak się z tego leczy? No kijami, nie? To się wzięli w kilku chłopów, poszli najpierw poświęcić drągi, a potem powoli zaczęli otaczać zwierzaka i zaganiać go do zagrody. Normalnie wilk to sobie tak nie pozwoli, nie? Dlatego ostatni, co jeszcze wątpili, że to naprawdę sąsiad z Nidy, w końcu uwierzyli. No i jak do zagródki przegonili, bramę zamknęli, to już zabrali się do leczenia.

No i tego. Ten sąsiad, co go podejrzewali, to nie był on, nie? Znaczą może i jest wilkołkiem, ale to nie on do Rucianych chodził. A tamtego wilka to kijami całkiem ubili, nie? Tyle że potem czterech chłopów na wścieklicę poumierali. I ja myślę, że to od tego wilka zaczęła się zaraza, co Ruciany wybiła, nie od czarownika z Krzyżów.

Na rozgrzeszenie musiałam poczekać. Po wyjściu z kościoła zobaczyłam dorożkę burgmajstra. Popalona i poobijana, ale stała zaprzęgnięta z nikim innym, tylko Bakiem na koźle. Wypatrywał kogoś i gdy tylko mnie dojrzał, zaprosił do siebie gestem.

– Co robimy? – spytał, gdy wyjechaliśmy poza zasięg słuchu parafian.

Staszkową laskę położyłam na podłodze w poprzek i przycisnęłam stopą.

– Ty mi lepiej powiedz, dokąd jedziemy?

– Tomczyk cię wzywa. Burgmajstra już zwieźliśmy do baszty. Już przytomny, tylko na bolące plecy i głowę narzeka. Znaczy kurwami rzuca.

– To dlaczego nie jedziesz do Wójcika?

– Polecenie Tomczyka. Najpierw do gargamela. To co robimy? – powtórzył pytanie, bo już wjeżdżaliśmy na most.

– A co mamy robić? – odburknęłam. – Burgmajster sam kazał urząd podpalić, to się na nim zemściło. Gdybyś był na mszy, to byś wiedział, bo wielebny gadał to samo. – Uśmiechnęłam się złośliwie, ale przestałam pod spojrzeniem Waldka. – Trudno, stało się. Wypadek przy pracy. Co mam ci powiedzieć? Przepraszać, że jebło mocniej niż planowałam?

– Cicho – upomniał, bo zbliżaliśmy się do strażników, którzy już rozsuwali drewniane kozły, umożliwiając przejazd.

Gabinet Tomczyka znajdował się w „wieży” paskudnego budynku. Szef jańsborskiej straży najwyraźniej nieszczególnie przejmował się wystrojem i chyba nie dbał o dobra materialne: poza zawalonym papierami regałem, pozbijanym z nieheblowanych desek, w pomieszczeniu znajdowało się tylko proste biurko i jedno krzesło, zajmowane przez samego komendanta. Znaczy, ja będę musiała stać. Dopiero teraz miałam okazję mu się przyjrzeć z bliska w pełnym świetle. Tomczyk był mały. I nijaki. Nie wiedziałam, ile ten człowiek o mnie wiedział, dlatego zamierzałam tylko zdawkowo odpowiadać i nie zadawać zbyt wielu pytań.

– A, babo Koślawa, wreszcie się widzimy. – Nieudolnie udał zaskoczenie na mój widok.

– Dzień dobry, panie Adamie – odpowiedziałam możliwie najuprzejmiej. – Gdzie mogę usiąść?

Mężczyzna uśmiechnął się złośliwie.

– Zaraz wydam dyspozycje. Coś do picia?

– Dziękuję, muszę szybko wracać do pacjentów.

– Zapewne zadajesz sobie pytanie, po co cię tu sprowadziłem. – Tomczyk położył na blacie dłonie splecione w pięść.

– Zadaję sobie pytanie, gdzie te dyspozycje? Nogi już niemłode.

Tym razem nie był już złośliwy. Wstał zza biurka i wychylił się na korytarz, gdzie przy schodach siedział strażnik. Nie odwracałam się, ale

sądząc po hałasach, sam wyciągnął podwładnemu mebel spod tyłka i postawił tuż za mną. Usiadłam z ulgą i złożyłam dłonie na kolanach.

– Dziękuję. Teraz już zadaję sobie pytanie, po co mnie tu sprowadziłeś?

Tomczyk wolnym krokiem wędrował po gabinecie. Co chwilę podchodził do okna i wyglądał z zainteresowaniem.

– Zastanawia mnie ten twój sekretarz, ten Staszek. Wiesz, bimbrownik z Okartowa...

– Wiem, kim jest Staszek – przerwałam mu, ale nie dlatego, że jakoś wytrącił mnie z równowagi swoją tajną wiedzą: po wizycie Wójcika we wsi niewiele mogło mnie zaskoczyć.

– Wiem, że wiesz. Strasznie miesza w Jańsborgu. Ten pogrzeb Kietzmana, znikanie, wyjazdy, myszkowanie po okolicy. Jeździ z tymi cennymi towarami po całym mieście, choć nimi nie handluje, a one potem znikają. Albo ma tu jakieś swoje interesy, albo wykonuje czyjeś polecenia. Może warto go zaprosić i dokładnie wypytać? A może od razu wygnać?

– Mam lepszą propozycję – uśmiechnęłam się przymilnie. – Może byście tak z burgmajstrem wygnali mnie i Staszka. I dajcie jeszcze dwóch swoich strażników do eskorty. Mogą być ci z Jeglina. Bardzo sympatyczni, kulturalnie odnoszą się do starszej kobiety. Chętnie się zwiniemy, jak tylko dostanę to, po co przyjechałam. Wystarczy mi pismo od burgmajstra, że mam do dyspozycji dwóch twoich ludzi na, powiedzmy, dwa dni. I że Jańsborg będzie się z dala trzymać od Okartowa i w ogóle od Kałuży, chyba że mieszkańcy postanowią inaczej. I na razie zapomnijcie o forcie.

Tomczyk roześmiał się głośno, odchylając głowę. Przez chwilę straszyl dziurawymi zębami.

– A co mi to da? Mam w mieście lekarkę, która nieźle wywiązuje się ze swoich obowiązków i to za darmo. Doszedł ksiądz, który trochę mi bruździ, ale chyba nieświadomie. Będzie wymagał niewielkiej, hm, korekty. Ale na razie ludzie wydają się zadowoleni. No i Wójcik miałby stracić potencjalnie cenną wieś, ba, cenny region, który dopiero pozyskał. Powiedz mi, babo, gdzie tu zysk?

– Dobre pytanie. Mam inną propozycję. Wynajmiemy sobie dom w mieście od któregoś z Jańsborskich, rozumiesz, żebym nie musiała odwalać pańszczyzny. Wprowadzę specjalny cennik na usługi. Dla budowniczych, strażników, a przede wszystkim dla burgmajstra bardzo specjalny. Szczególnie teraz, gdy już nie tylko na krzyż narzeka. W zasadzie to już nie narzeka...

– Już narzeka. Wybudził się – przerwał mi Tomczyk. – Leży u siebie i faktycznie na krzyż narzeka.

– No widzisz. Dodatkowo zawsze mogę odmówić leczenia pewnych chorób lub wydawania niektórych leków. Powołam się na klauzulę sumienia: przed wojną była szczególnie modna.

– I co niby chcesz w ten sposób osiągnąć? – zakpił.

– Cieszysz się, że masz lekarkę, to nie będziesz jej miał. Nie zmusisz mnie do stawiania właściwej diagnozy, bo gdybyś mógł, to nie byłabym ci potrzebna. A widzisz, że stara jestem. Głowa nie pracuje już tak sprawnie, jak przed laty. Nie pamiętam, co jadłam na śniadanie, więc co dopiero skomplikowane receptury.

– Nie jadłaś śniadania. – Machnął ręką. – Dobrze. Doprowadzisz burgmajstra do formy i wynoś się. Pisma też dostaniesz. Coś mi się wydaje, że mam tu przez ciebie więcej problemów niż pożytku.

– Jakich problemów?

– Właśnie nie potrafię powiedzieć. Niby wszystko z tobą w porządku, a jednak gdzieś zgrzyta. Znasz pewnie to uczucie. Nie ukłuło cię, gdy we wsi pojawił się Dziewulski?

– Tak. Szczególnie jak mi spalił oborę. Bolesne ukłucie – zakpiłam.

– O tym właśnie mówię. – Podniósł palec, podkreślając celność analogii. – Bo mnie też, wyobraź sobie, wybuchł tajemniczy pożar i to niedługo po waszym przyjeździe. Jeszcze nie wiem, czy jesteś naszym Dziewulskim, czy może jest nim Kania, ale dopóki nie wyjedziecie, będę miał na was oko.

– To wszystko? – westchnęłam, zbierając się do wyjścia.

– W zasadzie tak. Powiedz mi jeszcze tylko, co się stało z twoją stodołą?

Odwróciłam się w drzwiach. Staralam się nie spuszczać wzroku z jego oczu.

– Nie wiem. Może jakiś niewypał z drugiej wojny? – Wzruszyłam ramionami. – Myślisz, że czemu przez tyle lat bałam się uprawiać pola wokół kolonii?

Komendant uśmiechnął się i gestem wygonił mnie z biura.

Większość pacjentów już się wyniosła, szczególnie że po drodze z gargamela zawitałam do baszty obejrzeć burgmajstra. Wójcik leżał w swoim wyrze pod baldachimem i jęczał. Najpierw skłęłam wszystkich

obecnych w budynku i wokół niego strażników, że przenieśli rannego bez mojej wiedzy i zgody, a potem zajęłam się pacjentem. Siniaki na klatce piersiowej i prawym ramieniu ładnie podbiegły krwią. Musiało boleć. Na czole wybuchnął, a może wyrósł imponujący, przykryty strupem guz, zapewne ślad po uderzeniu cegłą i przyczyna utraty przytomności. Choć nie wykluczałam, że burgmajstrowi film urwał się dopiero po kontakcie potylicy z brukiem, dlatego ostrożnie obejrzałam całą głowę. Reszta mózgowiaszki była w porządku, dlatego tylko poinstruowałam czatującego na pierwszym piętrze mundurowego, że pod żadnym pozorem nie wolno ruszać pacjenta, i wróciłam do kinigshauzu. Jeszcze bez papierka, ale z cudowną obietnicą: wracamy do domu!

Staszka nowina nie ucieszyła, czym dokumentnie wyprowadził mnie z równowagi.

– Nie możesz teraz wyjechać.

Rozmawialiśmy w magazynie na piętrze, gdzie było mniej uszu. Zaczynałam naprawdę popadać w paranoję.

– Przecież Marysię zabierzemy ze sobą – powtórzyłam, bo wydawał się zabetonowany na wszelkie argumenty. – Zaraz pójda sobie wszyscy pacjenci, a następnii mogą przyjechać do Okartowa. Księżda też zabieramy, bo Tomczyk już na niego narzeka. Nic nas tu nie trzyma. Pakuj nas – rozkazałam, mając nadzieję, że to koniec dyskusji.

– Nie jadę.

– Co nie jedziesz? Ty chyba masz we wsi więcej interesów niż ja, za to w Jańsborgu żadnych. Zbieraj nasze graty – poleciłam. – Zaraz poinformuję Kietzmanową.

– Nie jadę – powtórzył i na potwierdzenie swoich słów usiadł na beczce z naftą.

Zakłęłam w myślach.

– Kania, co ty odwalasz?

– Mamy umowę ze Stachelkiem i Bąkiem. Nie możemy ich teraz zostawić.

– Zaraz, jaką umowę? Obiecaliśmy im stołki, jak znikną Tomczyk i Wójcik. Nie znikną, zatem stołków nie będzie, więc nie ma umowy. Przestajemy mącić i się wynosimy, ale szybko, bo straż nas obserwuje i to uważnie. Wiesz, że nie jadłam dziś śniadania?

Staszek zmarszczył czoło, zaskoczony, i pokręcił głową.

– A Tomczyk wiedział. Jeżeli dalej będziemy się kręcić po mieście, to skończymy w rzece jako karma dla łabędzi. Rozumiesz, że to nas podejrzewa o pożar magazynu i wybuchy w urzędzie? Dał mi to wyraźnie do zrozumienia. Proszę, zbierajmy się stąd.

Milczał, wgapiony w podłogę. Wzdychał od czasu do czasu.

– Czyli podejrzewa też naszych przyjaciół. Nie możemy ich tak zostawić. Wiesz, Starsza, że jeszcze dwa tygodnie temu dałbym w twarz każdemu, kto by mi zarzucił, że przyłożę rękę do śmierci człowieka? I to nie tak, jak wtedy w kolonii, gdzie... jak to nazwałaś?

– Nieudzielenie pomocy – odpowiedziałam odruchowo.

– No właśnie. Dałbym w pysk każdemu jednemu, który by powiedział, że przeze mnie ktoś zginie i że będzie to dziecko. Dziś bym do tego kogoś poszedł z flaszką i przeprosinami. A potem do kościoła, leżeć krzyżem w kałuży pod dziurą w dachu. Bo ja tego nie chciałem, wiesz? Ja chciałem tylko, żeby Michaś był bezpieczny, żeby wyzdrowiał i został Wiedzącym. – Głos mu się załamał. Przedramieniem otarł oczy. Spojrzał tępo w bok, starając się powstrzymać łzy.

– A ja to niby inaczej? – odpowiedziałam oburzona. – Przecież właśnie mówię, że możemy wracać nad Kałużę. Dostaniemy papier, dostaniemy strażników i za trzy dni będziemy mieli wikarego z głowy. Zapomniałeś, gdzie jest twój dom? Gdzie jest nasz dom? Nie tutaj, a ci ludzie nie są naszymi sąsiadami. Nie jesteśmy im nic winni.

Zapadło milczenie. Ręce mi drżały ze zdenerwowania. Wściekła byłam na Staszka, który zepsuł mi taki piękny i niespodziewany triumf. Patrzyłam z wyrzutem na niego, odwróconego do mnie bokiem, pociągającego nosem. Dobry Staszek Kania, szlachetny bimbrownik z Okartowa, wyłośliwiałam się w myślach. Wiedziałam, że nawet jeśli zostanie w mieście sam, to i tak spróbuje zrealizować plan do końca. Dobrze, że nie znał końca. Ale nadal będzie gotów wszczynać kolejne pożary lub, kto wie, wyskoczyć na wiecu z nożem, jak tamten nieszczęśnik. Bo obietnica. Bo dał słowo. Kurwa, nawet nie on, tylko ja. Już wiedziałam, co mnie u niego wkurza.

– Tydzień. Zostaniemy jeden tydzień. Wystarczy? Przez ten czas macie ty, Bąk i Stachelek wykonywać wszystkie polecenia. Co do joty. Niech tylko raz któryś z was wywinie numer w rodzaju „nie jadę”, to ja się pakuję i wynoszę, zanim dojdzie do nieprzyjemnego wypadku zakończonego kąpielą.

Kiwał głową, nic nie mówiąc. Czułam się, jakbym właśnie zapłakanemu synkowi obiecała, że jednak dostanie pieprzoną konsolę. I pewnie tak wyglądałam. Sięgnęłam do kieszeni kurtki i wyjęłam czystą gazę, która została tam po wczorajszej akcji.

– Wydmuchaj nos. – Podałam ją Staszкови. – I nie pokazuj mi się dziś na oczy. Muszę pomyśleć.

A myśleć było o czym. Głównie o Tomczyku, który zupełnie rozwałił moje wyobrażenie o funkcjonowaniu Jańsborga. Mimo zmęczenia w głowie miałam jasność, choć wydawało mi się, że co jakiś czas przysypiam, że myśli mieszają się ze snami przychodzącymi w trakcie krótkich drzemek. Tworzyłam nowe konstrukcje, nadal niekoniecznie sensowne, skoro brakowało danych, ale przecież i tak wiedziałam niemało.

Po pierwsze, zajmował się, jeśli można to tak nazwać, resortami siłowymi. Przy tym praktycznie się nie pokazywał. Nawet nie to, że nie towarzyszył Wójcikowi na platformie w trakcie wieców, ale w ogóle nie widziałam go poza gargamelem, z wyjątkiem sytuacji, kiedy faktycznie jego obecność mogła być niezbędna. Ciekawe, czy pojawił się również pod urzędem miasta? Chyba nie, skoro pożar był planowany: takie zdarzenie mógł zorganizować wcześniej ze swojego gabinetu w wieży gargamela. Czyli Tomczyk nie był typem brylującego tyrana, nie interesowało go nic poza wykonywanymi obowiązkami.

Po drugie, lubił gromadzić informacje, nawet te nieistotne. Tajniak, szpicel? Nawet na takiego wyglądał. Znaczyło to, że prawdopodobnie miał na Jańsborg większy wpływ niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. A jeżeli to właśnie komendant stał za realizacją chorych pomysłów Wójcika? Burgmajster był obecnie... niedysponowany, a mimo to dorożka stanęła na kołach: ktoś pomyślał nawet o takiej pierdole, jak nadpalony i uszkodzony pojazd.

No i jeszcze jedna wskazówka: budowa zamku. Pomysł wyszedł niewątpliwie od burgmajstra, ale czy faktycznie Wójcik zrobił cokolwiek, żeby go wdrożyć? Pierwszego dnia pobytu w mieście największe wrażenie wywarł na mnie porządek panujący na budowie, płynność pracy. Wozy z budulcem przyjeżdżały regularnie, nie tworzyły się żadne zatory, każdy znał swoje miejsce, swoje obowiązki. Nie znałam się na tym, ale na miejscu powinien znajdować się chyba ktoś w rodzaju kierownika budowy, nadzorującego i korygującego ewentualne nieprawidłowości. A może był

ktoś taki? Przecież widziałam u komendanta cały teren prac, most, drogę dojazdową. Wystarczyło spojrzeć przez okna gabinetu.

To kto w końcu jest miejskim demiurgiem?

Wpółdrzemałam do zmroku. Marysia chyba też przysnęła w międzyczasie, bo przy kolacji nie wyglądała na osobę, która całą dobę spędziła w gabinecie, doglądając rannych. Nie pomyliłam się. Przy posiłku dołączyła do nas Karolina, dziewczyna uratowana poprzedniego wieczoru. Mimo siniaków kipiała humorem i choć miała może dwanaście lat, wcale się mnie nie bała. Uśmiechała się szeroko, aż czubek jej nosa wędrował trochę do góry. Miła odmiana po wychudzonych okartowskich dzieciach. Możliwość pomocy przy klinice przyjęła z prawdziwym entuzjazmem, który udzielił się samej Kietzmanowej. Obie szczebiotały jak wróble. Jednocześnie starały się ignorować humorek mój i Staszka, ale i tak widać było, że nie czują się przy wspólnym posiłku komfortowo. My również. Dlatego szybko zjadłam swoją porcję, podziękowałam i wstałam od stołu. Poszłam najpierw do magazynu. Zapaliłam lampę naftową i zaczęłam przetrząsać zapasy. W końcu namierzyłam skrzynkę, której potrzebowałam. Na podłodze rozłożyłam szmacianą torbę, porwaną i upapraną olejem, i zaczęłam do niej pakować potrzebne przedmioty, sprawdzając wcześniej, czy w ogóle działają. Krótkofalówki po podładowaniu dynamem zaskrzeczały, podpięty do kabli iskrownik wystrzelił kilkoma błękitnymi igłami. Te rzeczy, które mogły się przydać później, odkładałam na bok.

Na dole założyłam kurtkę i wełnianą czapkę. Sięgnęłam po torbę i z kijem w ręce ruszyłam do drzwi.

– Starsza. – Głos za plecami zahamował mnie w pół kroku. – Gdzie idziesz?

– A jak myślisz? Mam tydzień na spełnienie obietnicy. Samo się nie zrobi. Odwróciłam się do Staszka. – Możesz sprzedać wszystko, co jest w magazynie poza tym, co jest w plastikowej skrzynce. Nie ruszaj też beczek. Nie wracamy z pełnym wozem.

Nie bardzo wiedziałam, jak podejść wielebnego. Po trzech discopolowych kawałkach i kilku innych znanych szlagierach, po serii głębszych zaczęłam delikatnie tłumaczyć mu nasze strasznie ciężkie położenie.

– Rozmawiałam dziś z komendantem straży – mówiłam niewyraźnie, żując soczystego małosolnego. – Narobi nam jeszcze problemów. Groził

mi, no i nie podobają mu się twoje msze.

Proboszcz otworzył usta, ale zamiast wydać jakiś dźwięk, po prostu wlał do gardła kolejkę. Moją. I od razu ponownie napełnił kieliszek.

– Przecież ja tylko prawdę mówiłem – usprawiedliwiał się, wyraźnie zdenerwowany. – Że trzeba się nawrócić i na msze chodzić, i po bożemu żyć, żeby diabli nie szaleli po mieście.

– To właśnie mu się nie podoba. Na razie tylko ostrzegął, ale nie wygląda na faceta, który odpuszcza takim jak ja czy ty. Może nam narobić problemów.

– To mam wyjechać? – spytał, wyraźnie przestraszony. Dobrze.

– Tak, ale jeszcze nie teraz. I nie sam. Pojedziemy wszyscy, jak tylko dostaniemy wsparcie od Jańsborga. Bo je dostaniemy. – Podniosłam kieliszek i przepiłam do wielebного. Wódka zdążyła się już zagrzać.

– To co mam robić?

– Przygotuj dwie msze: na sobotę i na niedzielę...

– Ale przecież w niedzielę nie wolno – zaprotestował.

– Będzie wolno. Teraz, gdy tylu zginęło, ludzie potrzebują twojego wsparcia. Ja pomagam rannym, ale na duszy ranni są chyba wszyscy. Dlatego miałeś tylu wiernych w kościele w sobotę. Oni potrzebują pocieszenia, a ty masz ich pocieszać. Będziesz pocieszał?

– Będę – odpowiedział po chwili, czując przyływ odwagi. – Nawet codziennie, jeśli trzeba.

– O to chodzi. Ja też muszę niektórych pacjentów doglądać codziennie. Widzisz, jednak nie różnimy się tak bardzo. Możesz zacząć nawet jutro.

Uśmiechnął się, sięgnął po kieliszek, który właśnie kończyłam napełniać i podniósł go na wysokość oczu.

– Za nas! – wzniósł głośno toast i od razu uzupełnił zawartość.

– Za nas – odpowiedziałam toastem, ale ciszej niż wielebny. – A, jeszcze jedno. Będę musiała prosić cię o przysługę. – Zmieniłam temat, niby mimochodem, udając, że walczę z cofającą się w gardle wódką. – I bardzo proszę, żebyś nie pytał o szczegóły, dobrze?

Na twarzy proboszcza znów pojawił się strach, ale tym razem inny. Domyślałam się, co go wywołało. Nie zamierzałam oszukiwać księdza, no, nie całkiem, dlatego tylko z mojej mimiki mógł wyczytać, że będzie to coś złego. Jeszcze nie wiedział, jak bardzo. Ostatecznie jednak skinął głową bez słowa. Zamilkliśmy.

Do kinigshauzu wróciłam dosyć wcześnie jak na moje schadzki w parafii. Tak jak poprzednim razem Kania otworzył mi drzwi i odszedł bez słowa, zanim wspięłam się na schody.

– Staszek – zawołałam go. – Obiecuję ci, że nie pobrudzisz sobie rąk. I że wszystko się uda. Obiecuję.

Nie czekając na odpowiedź, poszłam do kliniki, gdzie Marysia, a może Karolina przygotowała mi już posłanie. Zасыpiając, wsłuchiwałam się w oddech pacjentów – lekki, miarowy. Jutro będzie można ich wypisać.

10.

Na początku rzeki, przy jeziorze, tam gdzie teraz cumują rybaki, stał kiedyś hotel, ale nie taki jak przy zawalonym moście, tylko taki piękny, z dużymi oknami i podłogami z kamienia. A obok był port i dźwig, zresztą ten dźwig to nadal tam jest, tylko że popsuty. Stary burmistrz, nie ten poprzedni tylko jeszcze wcześniejszy, pomyślał sobie, że zamieszka w tym hotelu. Wziął ludzi, żeby mu uprzętnęli, bo tam syf był straszny. Chłopaki tak sprząkali, że po dwóch dniach praca ustała. Potem przez jakieś dwa tygodnie nic się nie działo. Dopiero wtedy kogoś posłano, żeby zobaczył, czemu dom jeszcze niegotowy. Oj, różne głupoty wtedy ludzie mówili, że to Zły ich ubił lub że sami się trutką jaką skazili albo bimbrem podłym. Ja sobie myślę, no i tatek tak mówił, że oni tam sobie wstawili piecyk i gryla chcieli zrobić, bo szynkę mieli i boczek, i wędliny. A że się w małym pokoju zamknęli, okna mieli zabite, cugu żadnego, to zaraz czad ich uśpił. Tam wtedy mało kto chodził, dlatego przez dwa tygodnie sobie gnili.

No i wrócił ten poseł do burmistrza i mu gada, że wszystkie budowlańce trupem leżą i to od dawna, i że smród niesie się aż do jeziora, a z drugiej strony do sadów przy torach, bo upał wtedy był okrutny i wszyscy tam już mocno spuchnięci i zgnici byli. Burmistrz oczywiście taki był wściekły, że kurwami rzucał aż uszy wędły, i tak trzy dni. W końcu pomyślał, że przecie jeszcze drugi hotel stoi trochę dalej, przy zawalonej wieży na plaży. Tam już grzecznie wszystko w tydzień wysprząkali, wystroili i zaraz można było zamieszkać. I tak było do zimy, bo już jesienią ludzie marzli, jak zawiąło od jeziora, ale potem, gdy w grudniu zaczęło piździć, to burmistrz machnął ręką i przeniósł się do baszty. I to od wtedy kolejni tam mieszkają.

Do naszego życia wróciła rutyna. Trochę wymuszona, trochę nawet zbyt przesadna. Doszedł tylko dodatkowy punkt w planie dnia, czyli poranne badanie burgmajstra, oprócz tego popołudniowego. Po śniadaniu, około dziewiątej, szłam do baszty, gdzie na drugim piętrze wylegiwał się Wójcik. Od pożaru ani razu nie pojawił się w rathauzie, nie zauważyłam też, żeby kogokolwiek przyjmował. Podejrzewałam, że kierowanie miastem przejął Tomczyk. Marcin narzekał na ból głowy, dlatego dawałam mu kielonek laudanum rozcieńczonego w wódce, żeby mógł jakoś

funkcjonować. W trakcie wizyt przypominałam mu o obietnicy komendanta straży, czyli o dokumencie, który miał podpisać. Machałam ręką z obojętnością, gdy powtarzał, że pismo niegotowe.

Gabinet otwierałam punktualnie o dziesiątej, wraz z dźwiękiem syreny. Ustawiałam godzinę na budziku i o czwartej po południu sprawdzałam na tarczy, o ile się spieszy, i od razu leciałam do baszty. W kontaktach z jańsborskimi skupiałam się na leczeniu. Nadal nie przyjmowałam opłat, skoro nie robiłam tego wcześniej, ale nie przesłuchiwałam już pacjentów, nie wiedząc przecież, który z nich robi za prywatne, czy raczej służbowe radyjko Tomczyka.

Obecnie miałam do pomocy dwie dziewczyny – Marysię, która zaczynała być naprawdę przydatna, oraz Karolinę – jej rodzice zgodzili się oddać córkę pod moją opiekę, szczególnie że zaproponowałam zapłatę za jej pracę. Z Kietzmanową umówiliśmy się na rozliczenie dopiero w Okartowie.

Staszek o świcie pakował wóz i jechał na rynek. Nie wnikałam, co sprzedaje i za ile. I tak zamierzałam całość gotówki przekazać Michasiowi, wszak zawartość magazynu była częścią kolonii, którą mu obiecałam. Z Kanią prawie nie rozmawialiśmy, nawet przy posiłkach. Rano wstawał przede mną i szybko wychodził, z targu wracał, gdy ja byłam w baszcie, a po kolacji odwiedzałam parafię, skąd rzadko wracałam przed północą.

– Co takiego się stało między tobą a Staszkiem? – zapytała Marysia we wtorkowe popołudnie, gdy beczynn timer czekając na kolejnego pacjenta, zagoniłam ją do porządkowania zniszczonych papierów.

– Nic – odburknęłam niegrzecznie. Oczywiście mi nie uwierzyła. – Cenię go, ale czasami mi przeszkadza. Jest za dobry, znaczy nie chce robić rzeczy niezupełnie chwalebnych, nawet jeżeli to konieczne lub słuszne.

– Ty też jesteś dobra – rzuciła komplementem, cały czas zanurzona w skrzyni z notatkami.

Uśmiechnęłam się.

– Nie, nie jestem. Ja jestem... pragmatyczna. Znaczy robię rzeczy pożyteczne, słuszne, nie dobre.

– Ale dzięki tobie udało się pochować Krzysia. To było dobre.

– E, tam. – Czułam, że się czerwienię. – Tamten pogrzeb był rzeczą słuszną. Nie wiem, czy dobrą. Owszem, lubię robić rzeczy, które sprawiają ludziom przyjemność, które poprawiają im życie, ale nie za wszelką cenę.

Staszek jest dobry bezwzględnie, głupio, bez pomysłu. Jak czegoś nie wolno, to nie wolno, i basta. Bez względu na koszty.

– Ty też wtedy ryzykowałeś. Przecież burgmajster...

Nie dokończyła, gdy wybuchnęłam śmiechem.

– Co niby ryzykowałam? Nie mam rodziny, nie mam już nawet domu. A życie? Ile mi go zostało? Gdybyś była w moim wieku, bez dzieci, krewnych, bez domu, ale mając jednocześnie dość pieniędzy, żeby nie martwić się o głód, byłabyś naprawdę wolna i mogła robić to, co tylko ci się podoba. Nikt nie może mi niczego zabronić, dlatego robię, co chcę. Staszek też robi, co chce, ale on ma rodzinę, gospodarkę, no i jeszcze dobrych kilka lat życia przed sobą. I nigdy nie bierze pod uwagę, że swoimi wyborami może zaszkodzić najbliższemu. On zawsze, według swojego sumienia, robi dobrze.

– To jak Wójcik.

– Co Wójcik? Żartujesz? – spytałam oburzona.

– Nie. On też jest wolny – odpowiedziała smutnym głosem. – Może robić, co chce, a i tak nikt mu nie zaszkodzi. Ale on z tej wolności korzysta inaczej niż ty. On krzywdzi ludzi, a ty im pomagasz.

Zapadło milczenie. Przed oczami stanęła mi scena z placu przed urzędem miasta. Zobaczyłam martwe dziecko ze skręconym karkiem.

– Nie. Czasami ludziom pomagam, a czasami ich krzywdzę. Ktoś przyszedł. – Wskazałam drzwi, za którymi zaskrzypiały zawiasy.

Marysia wstała i poszła po pacjenta.

W środę, po otwarciu kliniki, przesłałam przez Marysię instrukcje dla Stachelka, natomiast Karolina zaniósła karteczkę Bąkowi. Ja wcześniej, przed dziesiątą, opieprzyłam burgmajstra, który nie zdobył nawet połowy zamówionych produktów. Wypytałam go, gdzie są jakieś przedwojenne apteki, gabinety weterynaryjne i stomatologiczne.

– Mapa jest w rathauzie.

– Znajdę sobie – stwierdziłam ciepłym głosem. Nie miałam przecież sumienia ganiać wciąż słabego włodarza po mrozie. Napoiłam go laudanum i poszłam do ratusza.

W biurku w gabinecie Wójcika panował nieprawdopodobny bałagan, podobnie na półkach kredensu i w zdobionej szafie. Jakieś listy obecności mieszały się z bilansami i rycinami wyrwanymi z różnych książek technicznych. Kamienne i metalowe durnostojki przysypane były ulotkami

drukowanymi na kredowym papierze, czasopisma miały dziury, prawdopodobnie od rogów leżącej obok wypchanej głowy jelonka. W końcu udało mi się znaleźć mapę, porządną, przedwojenną... turystyczną. Podzielona była na szesnaście zalaminowanych prostokątów, z perforacjami na krawędziach, umożliwiającymi składanie. Ładne wodoodporne cacko. Jedna jej strona przedstawiała Kałużę z zaznaczonymi wszystkimi miejscowościami, ale też kamieniami i szlakami wodnymi; na drugiej znajdowały się powiększone schematy Pizsa, Mikołajek i Rucianego. Niespecjalnie szczegółowe, ale wystarczające. Wsadziłam mapę do kieszeni, mając nadzieję, że burgmajster nie był do niej szczególnie przywiązany. Dopiero wychodząc zauważyłam leżący na biurku plan zabudowania wyspy, narysowany na arkuszu papieru śniadaniowego. Zgodnie z pomysłem Wójcika najważniejszym elementem Fortu miała być wieża obserwacyjna. Poza tym zaplanował skonstruowanie na wyspie dwóch budynków – jednego mieszkalnego i jednego gospodarczego oraz małego portu, ustawionego na jej południowo-zachodnim brzegu.

Plany zostawiłam nienaruszone.

Następnego dnia Karolina została w klinice, na wypadek gdyby zgłosił się ktoś z dolegliwością wymagającą natychmiastowej interwencji. Miała wtedy przybiec mnie zawiadomić. Przed wyjściem z kinigshauzu nakręciłam budzik i nastawiłam znów na dziesiątą. Ruszyliśmy, zanim wybrzmiała syrena.

Ze Staszkiem i Marysią pojechaliśmy mostem południowym na drugi brzeg, gdzie podobno kiedyś naprzeciw siebie, po dwóch stronach ulicy, znajdowały się przychodnia weterynaryjna i apteka. Miałam nadzieję, że uda się w obu znaleźć coś przydatnego, a nawet jeżeli nie, to trudno – podobnie jak w przypadku wyprawy do szpitala nie to miało być jej głównym celem.

Wóz zatrzymał się pod wysokim drzewem na skraju placu, pokrytego spękanym asfaltem. Parterowe zabudowania i rząd garaży były zdewastowane, kilka stojących dalej blaszaków praktycznie się utleniło – w pokrywających ściany arkuszach brunatnej blachy ziały wyżarte przez rdzę dziury.

– Tam. – Marysia wskazała palcem wolno stojący budynek z niewielkimi oknami i ogromnym otworem po bramie. Zapewne kiedyś był tu parking.

Poleciłam Staszкови zabrać z wozu syrenę ukrytą pod kocem. Wdowa poprowadziła nas do małego, ciemnego pomieszczenia, w którym Bąk i Stachelek już czekali, rozmawiając cicho.

– Nikt was nie widział? – spytałam bez przywitania. – Dobrze. Plan na jutro, pojutrze i na niedzielę. Po kolei. W piątek zachowujemy się normalnie, bo będą nas obserwować. Komendant zasugerował, że kojarzy nas z pożarami i my to w pewnym stopniu potwierdzimy, nie wywołując jutro żadnego. Czyli w tym tygodniu nic się w piątek nie spali. W sobotę rano na msze idą ci, co chcą. Radzę skorzystać z okazji, bo może się nie powtórzyć.

– Książ się zgodził? – spytał Stachelek.

– Nie, ale się zgodzi. Nie przerywaj. Staszek, po mszy idziesz na targ sprzedawać nasze towary. Ja będę burgmajstra przekonywać, żeby przeniósł pracę przy zamku na poniedziałek. Pewnie będzie protestował, ale to nieważne. Bąk, ty kręć się gdzieś z dala od kościoła, może na moście, ale tak, żeby strażnicy cię widzieli. Im częściej, tym lepiej. Gadaj z nimi, żartuj, graj w kości, nieważne co...

– Mam służbę w gargamelu – przerwał mi.

Chwilę trwało, zanim odzyskałam wątek. Miałam nadzieję, że nic nie pomylę.

– Wojtek, ty też musisz zadbać o alibi. Kręć się gdzieś, gdzie będzie dużo ludzi, którzy cię zapamiętają. O, wiem. Pójdiesz do kindergartenu sprawdzić, jak sobie kierownik radzi z robaczką. Gwarantuję, że facet zajmie ci dużo czasu. – Uśmiechnęłam się złośliwie. – W ten sposób wszyscy będziemy kryci. Jak tylko wybuchnie pożar, zrobi się bałagan, pewnie większy niż przy urzędzie miasta, w końcu kościół to kościół. Od tej chwili robimy swoje, czyli gasimy, ewakuujemy, leczymy.

– Kto podpali? – W głosie Staszka wyczułam chłód.

– Nieważne. Teraz uważajcie. Stachelek, w niedzielę o trzeciej trzydzieści... krótka wskazówka w prawo, długa w dół... – wytłumaczyłam, wszak zegar nadal był dla jańsborskich nowością – wyciągasz wielebne na rynek i wyjesz syreną. Proboszcz ma wygłosić swoją homilię. Zostajecie tam, dopóki nie przyjdę.

– Ale ludzie będą pracować przy zamku.

– Czyli będą łązić w okolicach placu, gdzie ich chcemy mieć. No i zawyjesz syreną, a to oznacza koniec pracy, prawda?

– A zegar?

– Ignoruj zegar. Tłum pewnie zbierze się szybko, szybciej niż straż zdąży zareagować, szczególnie że bez polecenia od Tomczyka nic nie zrobią. A jak już rozkazy przyjdą, będzie za późno.

– Burgmajster też ma zegar – dodał Bąk. Skinęłam głową, potwierdzając.

– Tak. Ale dostanie taki, który pokaże mu godzinę, jaką chcemy. Ja i Staszek odwiedzimy Wójcika. Dam mu coś na ból, żeby nam nie przeszkadzał. Bąk, ilu masz w końcu tych ludzi?

– W straży dwóch.

– To jeden musi w tym czasie mieć służbę w baszcie. Ogarniesz to? Na pewno? – dopytałam, gdy niepewnie pokiwał głową.

– Na pewno – potwierdził ponownie.

– Dobrze. W tym czasie weźmiesz tego drugiego i zablokujecie Tomczyka w gargamelu, najlepiej w jego gabinecie. Zabarykadujcie się z nim tam, żeby nikt nie miał do niego dostępu, dopóki nie przyjdziemy. Teraz najważniejsze. Stachelek, ty też przygotuj przemowę. Będziesz nowym burmistrzem, który musi podnieść ludzi na duchu w tym trudnym momencie. Następnie z jańsborskimi kupą idziemy do gargamela zainstalować Bąka w straży.

– Co mam zrobić z Tomczykiem?

– Rób, co chcesz – odpowiedziałam nowemu komendantowi. – Ale pamiętaj, że jest niebezpieczny. Ja bym go wywiozła gdzieś daleko.

Waldek uśmiechnął się brzydko, ale to zignorowałam.

– Nowe władze dają nam pismo i strażników. Wyjeżdżamy wygonić wikarego i wszyscy żyją długo i szczęśliwie. Kałuża nie wtyka nosa w Jańsborg, a Jańsborg w Kałużę.

Zebrani kiwali głowami. Poza Staszkiem.

– Wójcik się zgodzi?

– Na co?

– Żeby Stachelka na burgmajstra.

– Tak, bo będzie naćpany. Najwyżej trochę się go przyciśnie. Obiecałam, że ręk sobie nie pobrudzisz, to nie pobrudzisz. Coś jeszcze?

– Nie – odpowiedzieli po kolei.

Zebranie się skończyło. Waldek poszedł szosą prowadzącą na Kolno, gdzie miał po drodze ukrytą w lesie łódkę, którą zamierzał przepłynąć rzekę. Bąk nie chwalił się, któreśdy zamierza dotrzeć do gargamela. My, znaczy mieszkańcy kinigshauzu, mieliśmy jeszcze dużo pracy.

Wracaliśmy tuż przed zmrokiem. Wóz był prawie pusty, jak się zresztą spodziewałam. Co w ludziach takiego siedzi, że niszczą wszystko, co jest im zbędne lub wydaje się, że jest zbędne? Liczyłam, że może trochę opatrunków znajdziemy, ale te rozpakowano i rozrzucono po podłodze. W przychodni weterynaryjnej ktoś oderwał od sufitu starożytną lampę operacyjną, w aptece podpalił regał, przez co z budynku została tylko pusta okopcona skorupa. Przypomniały mi się słowa tamtej starej pani technik z Popielna, że jak coś jest wspólne, to jest niczyje. W tym kontekście oglądałam mijane budynki i urządzenia. Skatepark z podziurawioną powierzchnią, fabryka oblana czymś czarnym, pogieęte słupy ogrodzeniowe, ślady po ławkach i śmietnikach. Pod tym względem Okartowo było lepszym miejscem, co akurat nie dziwiło. Ksiądz Marek nauczył ludzi dbać o wspólne, gdy zebrał mieszkańców do malowania wnętrza kościoła. Ciekawa byłam, ilu jańsborskich faktycznie uznawało miasto za swój dom? Całe miasto, nie tylko swoje mieszkanie, szłaś czy kawał pola. Odsetek lokalnych patriotów mogła zwiększyć budowa zamku, jak każde monumentalne przedsięwzięcie. Jeżeli w ogóle powstanie. Były też inne sposoby, jak te Wójcikowe wiece, ale też ogarnięcie większej społeczności musiało być czymś o niebo trudniejszym niż takiego Okartowa. No, ale to nie nasze zmartwienie. Zrobić swoje i wynosić się nad Kałużę.

W piątek po południu, zaraz po wizycie u burgmajstra, który oczywiście nie zgodził się na przesunięcie dnia pracy przy zamku, poszłam do magazynu, gdzie w kącie leżała skrzynka z odłożonymi przedmiotami. Najpierw do agregatu, ustawionego pod szczytową ścianą i skierowanego wydechem w stronę okna, podpięłam prostownik samochodowy i lampę kupioną na targu dożynkowym. Ucieszyłam się, że po tylu latach wystarczyło jedno szarpnięcie, szczególnie że olej wlałam roślinny i uzupełniłam mineralnym, tyle że pięćdziesięcioletnim. Diodowa żarówka też działała. Światła miałam aż nadto.

Ponownie sprawdziłam każdy element, który wykładałam na podłogę. Siadłam z wysiłkiem na ziemi i zaczęłam składać wszystko w jeden mechanizm. Zakrztusiłam się benzyną zassaną z węża, a samo łączenie między iskrownikiem z baniaczkim ciekło, ale i tak byłam z siebie zadowolona. Przez piętnaście minut kręciłam korbą dynama, mając nadzieję, że bateria wytrzyma jeden dzień. Oby, bo nie miałam planu awaryjnego.

Przez cały czas miałam wrażenie, a właściwie czułam to wręcz fizycznie, że stoi za mną Asia i podpowiada mi tym swoim zniecierpliwionym tonem, co mam robić. Od dawna nie słyszałam jej głosu. Przewody po prostu skręcałam, choć fukała, że powinnam była je zlutować. Nie owinęłam całości szarą taśmą, bo jej nie miałam. Przeciek zabezpieczyłam miękkim woskiem świecy i nawet nie sprawdziłam, jak reaguje z naftą. Obecna w mojej głowie żołnierka nie szczędziła mi złośliwości. Szanowałam jej opinie, jej wiedzę, ale byłam za stara na głupie utarczki. Może po prostu nie miałam czasu. Trochę cierpliwości, dziewczyno. Będziemy się kłócić, jak już wrócę na kolonię.

Proboszcz powitał mnie równie wylewnie jak poprzedniego wieczoru. W przedśionku zostawiłam na wieszaku kurtkę, obok postawiłam laskę, która przeszkadzała w chodzeniu korytarzem, objając się o torbę lekarską z ciężką zawartością.

Tym razem przyniosłam jedną z nalewek mojej produkcji. Żurawinową.

– Moja prośba – zaczęłam bez wstępu. Czy domyślał się, o co mi chodzi? Z zainteresowaniem obserwował ustawiony przy sofie bagaż. – Jutro, jak zrobi się jasno, zaniesiesz torbę na dzwonnice. Ustaw ją gdzieś przy drewnianej ścianie. I nie pal żadnego światła, nikt nie może cię zobaczyć.

– Co tam jest?

– Prosiłam, żebyś nie pytał. To moja torba, tyle musi ci wystarczyć. Nawet jak zajrzysz do środka, nie dowiesz się, co to jest i do czego służy, a możesz coś zepsuć. Zaniesiesz?

– Tak – odpowiedział niepewnie.

Miałam nadzieję, że się nie wycofa.

– Poza tym w porządku? Jak tam jańsborscy? Na msze chodzą?

– Chodzą, słuchają. Niektórzy nawet zaczynają śpiewać. To dobrzy ludzie, wiesz?

– Nie wszyscy, jak wszędzie – zastopowałam jego entuzjazm. – Straż problemów nie robi? Mam nadzieję, że nie zaczną. Jeśli tylko coś się posypie, od razu cię ewakuujemy... Wszyscy się ewakuujemy. I bądź pewien, że nikt cię tu nie zostawi. Umowa?

– Umowa. – Przyjął napełniony kieliszek i wypił jednym haustem.

Więcej już nie rozmawialiśmy o torbach, straży, burmistrzach i wikarych. Ten wieczór spędziłam wyjątkowo przyjemnie, milej nawet niż ostatnie posiadówki na parafii. Przypominaliśmy sobie z wielebnym

pojedyńki, a raczej najcelniejsze szpile, jakie wbijaliśmy sobie od lat przy okazji targów we wsi. Okazało się, że proboszcz brał moje kpiny głęboko do serca, długo trawił każdy cios.

– Pamiętasz „naprawdę”? – spytał, czerwony na twarzy ze śmiechu. – Ale się potem napracowałem, nie zdajesz sobie sprawy. Naprawdę to, naprawdę tamto. Następnego dnia chciałem sobie tamtą kłótnię odbić na mszy, zaszkodzić ci. Co ja wtedy powiedziałem? „Naprawdę, bracia i siostry, mus wam wiedzieć, że czarownica z diabłem paktuje”. A oni w śmiech. „Naprawdę z szatanami po nocach potańcówki urzęda”, a ci znowu się śmieją.

– Dziecinne droczenie. Ale już tak nie masz. – Dopiero niedawno to zauważyłam.

– Długo ćwiczyłem. Całe dni gadałem do siebie, żeby tego „naprawdę” nie używać. Oj, dałaś mi w kość, Koślawa.

– Ale następnej wiosny to ty mnie wkurzyłeś. Pamiętasz, jak Wasilczykowi ze zwichniętym kolaniem kazałeś krzyżem leżeć, bo przyjechał do mnie, zamiast pójść do kościoła? Brzydko mu po tej pokucie spuchło. Jeszcze tego samego dnia do mnie przylazł.

– Przywiozłem go wtedy pod sam las – przyznał wielebny, wpatrzony w kieliszek. – Dalej nie, żeby mnie nikt nie widział.

Uśmiechnęłam się pod nosem.

– Za starych durniów, którzy zachowują się jak dzieci – wzniosłam toast.

Pożegnałam się z gospodarzem wcześniej, w końcu czekał nas pracowity dzień. Wychodząc, zatrzymałam się jeszcze, by spojrzeć na pozostawioną torbę. Tknęło mnie złe przecucie, ale jak już mówiłam, nie miałam planu awaryjnego.

– Pamiętaj o kazaniu na niedzielę. Przyjdzie po ciebie Stachelek. I wypij jakieś ziółka na gardło, bo będziesz musiał gadać głośno. Widzimy się jutro w kościele – rzuciłam na pożegnanie.

Noc była pogodna, ale coś ciężkiego wisiało w powietrzu, nie potrafiłam tylko określić, co to było.

11.

Zaraz po wojnie, jak zaczął Kowalczyk i jego banda wprowadzać porządkę, pierwsze co zrobili, to nałożyli myta za przejazd przez rzekę. Na starym i nowym moście było drożej, a na kładce taniej, bo tam przecie wóz nie przejedzie. To znaczy by przejechał, ale Kowalczyk sobie wydumał, że obok wozu musi się po jednej i drugiej stronie przynajmniej jeden chłop zmieścić. Ale znalazł się drwal, który taki wóz sobie zbudował, że na tych dwóch chłopów i jeden włos mieścił się na kładce. Co prawda kłócił się ze strażnikami z pół dnia, że nic w zarządzeniu nie ma o zakazie przejazdu takim wąskim, zanim go przepuścili. A potem jeszcze chcieli go policzyć jak za przejazd jednym z dwu pozostałych mostów, bo przecie wozem. I znowu drwal kłócił się, kłócił, aż w końcu pozwolili mu płacić jak za pieszego. Patrz, jaki sprytny. No i tym wozem zapakowanym po brzeg drewnem wjechał na kładkę. A ta jak nie zacznie się trząść i bujać, szczególnie że wiechura wtedy była straszna. W końcu pękły barierki, powyginały się latarnie i cała konstrukcja poszła w pizdu do rzeki razem z tym chłopem, z konikami, wozem i w ogóle. Ze wszystkim poszło. A najśmieszniejsze, że ten drwal nie tylko przeżył, ale jak spłynął trochę z nurtem, to przy Czystem na brzeg wylazł i w las uszedł, więc go nawet za tamto nie ukarali. Jańsborscy potem tydzień z okładem kładkę usuwali, bo rzeka była niespławna.

Wójcik w końcu wylazł z wyra i znów uwalił się na biurku z taboretom pod kolanami. Był rozdrażniony po tygodniu beczynnego leżenia z bolącą głową. I kręgosłupem, na który narzekał coraz bardziej.

– Podpisz. – Podsunęłam mu pismo pod oczy.

Treść skróciłam do jednego zdania. Upierał się, że chce przejrzeć je osobiście, zanim podpisze. Oczywiście czytać nie zamierzał, parafować tym bardziej. Drażnił się ze mną, a ja też nie pozostawałam mu dłużna, wykazując się anielską cierpliwością, co wyprowadzało go z równowagi. Cały czas myślałam o trzymanym przez niego pistolecie. Eh, żeby go można było zdalnie wyłączyć.

– Później. Na razie za bardzo boli.

Westchnęłam i wyjęłam z kieszeni małąkę, z której odlałam nakrętkę i podałam burgmajstrowi.

– Dziś więcej nie dostaniesz. Jest tu gdzieś wychodek?

– Co? Piętro niżej. Wiadro. – Wskazał ręką podłogę. Jego źrenice już przypominały główki szpilek.

– Jak wrócę, pogadamy o tym piśmie. Pamiętaj, co mi Tomczyk obiecał.

Czekający przy schodach strażnik wskazał mi niewielkie pomieszczenie, w którego rogu stało obrzydliwie brudne wiadro przykryte położoną luzem plastikową deską klozetową. Nie zamierzałam z niego korzystać. Z kieszeni spodni wyjęłam krótkofalówkę i zakręciłam korbą dynamy. Głośnik trzasnął cicho, gdy włączyłam urządzenie. Byłam w zasięgu? Miałam nadzieję, że tak. Trzymałam również kciuki za drugą baterię. Wdusiłam przycisk powiadomienia. Mimo ustawienia potencjometru na minimum, modulowany dźwięk wydał mi się okropnie głośny, dlatego odruchowo zakryłam głośnik dłonią i chrząknęłam. Powtórzyłam zabieg jeszcze dwa razy i wróciłam do Wójcika. Leżał tak, jak go zostawiłam, tylko nucił coś cicho. Dokument najwyraźniej po prostu upuścił.

– Marcin! – zawołałam.

Chyba przesadziłam ze stężeniem, bo patrzył na mnie tępo, jakby miał problem ze zogniskowaniem wzroku. Uśmiechał się i ślinił. Może sam się niechcący zastrzelił?

– Panie burgmajster! – Za plecami usłyszałam głos strażnika. – Kościół, znaczy kirch się pali. Panie burgmajster?

Wójcik nie zareagował na informację. Wciąż tylko głupekowato się uśmiechał. Chwilę później zawyła syrena.

– Dostał leki na ból. Pilnuj go – poleciłam strażnikowi i poszłam w stronę schodów.

No to miałam swój symboliczny pożar. Mieszkańcy przekrzykiwali się, kobiety płakały, naprędce organizowały się ekipy gaśnicze. Mieszkańcy ładowali beczki na wozy, z okien podawano sobie wiadra i garnki. Też powinnam się przygotować. Szybkim krokiem ruszyłam do kinigshauzu. Hałasy zagłuszyły stukanie kija.

Marysia już pakowała do skrzyń całe wyposażenie gabinetu. Powstrzymałam ją.

– Na miejscu tylko pierwsza pomoc – pouczyłam. – Nie mam wozu, więc musimy zabrać wszystko w rękach. Karolina!

– Dziś ma wolne – przypomniała Kietzmanowa.

Zakląłam.

– Weź tylko opatrunki. Idziemy.

Ulica wrzała. Nad budynkami unosiły się kłęby dymu, tańczącego w prądach konwekcyjnych. Na rynku przybywało ludzi. Przestraszone konie wyprzęgnięto, a ich miejsce zajęli ludzie, ciągnący wozy do rzeki i z powrotem. Nigdzie nie widziałam ani Staszka, ani wozu. Pewnie dołączył do gaszących. Dobrze.

Palił się drewniany szczyt wieży. Pomiędzy płomieniami migotała od czasu do czasu tarcza zegara, coraz ciemniejsza i coraz bardziej zniszczona. Grupki „strażaków” dostawiały do ścian budynku drabiny, o wiele za krótkie. Inni próbowali wyważyć drzwi i włamać się do środka, powstrzymywani przez rozsądnie tłumaczących, że to tylko da płomieniom cugu. Na szczycie dachu kościoła mignęła mi sylwetka biegnącego człowieka. Nie zauważyłam, żeby ktokolwiek koordynował akcję. Może Tomczyk jeszcze nie dotarł?

Pierwszą ofiarę zniesiono do nas kilka minut później – poobijanego chłopaka, który zleciał z dachu na rosnące wokół kościoła krzaki. Obejrzałam go i kazałam mu zostać, mimo że rwał się do powrotu. Nie wykluczałam, że był w szoku. Kolejny, na oko czterdziestoletni mężczyzna, zarobił brzydką ranę od uderzenia kawałkiem drewna. W skórze klatki piersiowej utknęły drzazgi, a krawędzie samej rany były poszarpane. Na szczęście deska ześlizgnęła się po żebrach. Prawdziwa fala poszkodowanych dotarła chwilę później, gdy wieżyczka stęknęła pękającymi elementami, zabrzączała giętym mechanizmem zegara i zwała się na ziemię, obsypując zebranych poniżej bezradnych ludzi deszczem iskier i płonącego drewnianego złomu. Z zaciśniętymi ze złości ustami patrzyłam, jak wodospad płomieni ogarnia kilkunastu mężczyzn i chłopców.

– Wody, gasić ludzi! – rozbrzmiał głos Bąka. Czyli już tu był i robił swoje.

Czekałam na rannych. Wiążąc trzymany przez Marysię bandaż, chwyciłam ją za rękę dla dodania otuchy. Kazałam jej obciąć końcówki materiału przy supłach.

– Leć po wóz. Powiedz, że to dla Koślawej. A potem biegnij do kinigshauzu i czekaj tam na mnie.

– Co mam tam robić?

– Przygotuj bandaż, nagotuj dużo wody, rozłóż prześcieradła na podłodze. Wiesz, który to aloes? Ta roślina w doniczce z grubymi liśćmi.

Obetnij najstarsze liście, ale tak, żeby soku nie marnować, i dokładnie umyj w czystej wodzie. Przygotuj deskę do krojenia i nóż. I dużo bandaży. Biegnij! – rozkazałam, bo dziewczyna nadal się wahała, jakby chciała o coś spytać.

– Ty i ty. – Wskazałam palcem dwóch wyrostków. – Pójdziecie z nią.

Po chwili całą trójka zniknęła w tłumie.

Instynkt samozachowawczy i odruchy są najlepszymi przyjaciółmi lekarza. No i samych pacjentów. Większość spod wieży zdążyła odskoczyć, przynajmniej trochę, dlatego choć poparzenia były u niektórych ratowników rozległe, to ograniczały się do pierwszego i drugiego stopnia. Co nie znaczy, że mieliśmy dzięki temu mniej pracy, o nie. Po prostu rokowania były lepsze. Nadludzkim wysiłkiem jańsborskim udało się uratować sam kościół. Mimo niebezpieczeństwa, wysokiej temperatury i lecących co chwila kamieni i kawałków tynku, z narażeniem życia wydłubywali zamurowane głazy, wałąc w nie kilofami i młotami, skuwali zaprawę i za pomocą lin, klinów i lewarów wywrócili konstrukcję, ciągniętą przez wyprężone od wozów konie. Zdążyli, zanim płomienie dotarły do ryglówki głównej bryły budynku. Do sukcesu przyczyniła się sama kamienna wieża, z małymi oknami, pozbawiona na zewnątrz łatwopalnych elementów.

Niemający dostępu do miejsca akcji, nieprzydatni przy pracy znosili rannych. A ci wrzeszczeli, płakali ciągnięci za rękawy i nogawki, odkładani na pokryty popiołem śnieg. Zebrałam kilku „medyków”, żeby rozcinali ubrania, polewali rany zimną wodą, okładali śniegiem. Każdego poszkodowanego oglądałam, oceniałam jego stan i umieszczałam w kolejce do transportu. Mimo pośpiechu starałam się wszystkich po kolei uspokoić i pocieszyć. W pierwszym rzucie do kinigshauzu pojechało razem ze mną dwunastu najciężej poszkodowanych. Prawie połowa. Dobrze.

Na miejscu poważniejsze rany polewałam zimną wodą, przegotowaną poprzedniego dnia. Kolejne zbiorniki studziły się na podwórzu. Wcześniej przez godzinę walczyłam ze stopionymi ubraniami z tworzyw sztucznych, które przywierały do skóry, tworząc na powierzchni czarne kleksy. Zadziwiająco mało miałam pracy przy urazach fizycznych. Złamania i stłuczenia mogły poczekać, również szwów założyłam mniej niż się spodziewałam, biorąc pod uwagę masę drewna, jaka spadła na ratowników. Marysia kroićła wzdłuż liście mojego biednego chwasta i podawała mi, a ja przykładalam je do lżejszych poparzeń, żeby przyspieszyć gojenie i ulżyć

pacjentom, i owiżywałam lekkim opatrunkiem. Drugi tuzin poszkodowanych przyjechał ze Staszkiem. Nie musiał nic mówić – i tak widziałam, że jest wściekły. Miałam nadzieję, że nikogo z postronnych nie doprowadzi tym swoim pyskiem do odkrycia prawdy o sprawcy dzisiejszej tragedii. Pomógł przenieść rannych do kliniki, z magazynu wziął beczki i wiadra, i pojechał z powrotem pod kościół. Pod koniec pracy musiałam prosić Marysię o pomoc przy wstawaniu i chodzeniu, tak byłam wyczerpana. Ostatniego pacjenta, młodego rybaka z opalonymi włosami i poparzonym przedramieniem, opatrzyła już samodzielnie. Ja tylko instruowałam ją z fotela, na który posadzili mnie chwilę wcześniej, bo gotowa byłam upaść. Z góry patrzyłam na leżących na podłodze i jęczących mężczyzn. Bez wyjątku mężczyzn. Pomyślałam o cesarzowej z talii Tarota.

Nie dane mi było wypocząć. Po zmroku w drzwiach kliniki stanął strażnik miejski.

– Najwyższy czas – mruknęłam rozdrażniona. Poprosiłam Kietzmanową o laskę i powoli, opierając się na jej ramieniu, poszłam do dorożki wysłanej bez wątpienia przez komendanta straży.

Na rynku mieszkańcy wymieniali się wrażeniami, częstowali wodą, przechwalali się bohaterскими wczynami ostatnich godzin, pocieszali, że przecież kościół stoi. Niektórzy, gdy mnie dostrzegli, podchodzili, pytając o krewnych i przyjaciół.

– Wszyscy opatrzeni. Tak, dobrze się czuje – uspokajałam, choć nie miałam pojęcia, o kogo chodzi. – Zostają na obserwacji, jutro możecie ich odwiedzić. Tak, wyzdrowieje.

Z trudem przebijałismy się przez gęstniejący tłum. Powożący strażnik trochę się denerwował, ale starał się tego po sobie nie okazywać. Pomyślałam, że źle zaplanowałam całą operację. Miałam tu wszystkich jańsborskich, podnieconych, zjednoczonych. Wystarczyło pokazać im palcem, kto jest winny tragedii i ruszyliby na niego. Uwierzyliby mi. W końcu to ja leczyłam rannych, więc byłam ta dobra, jak mnie nazwała Marysia. Eh, naiwna dziewczyno.

Dopiero po kwadransie dotarliśmy do mostu. Jańsborscy szli za nami, dopóki nie krzyknęłam, żeby wracali do domów, inaczej gotowi byli sforsować drewniane koziołki. Głupia Koślawa. Taka szansa!

Przed wejściem do gargamela odepchnęłam rękę strażnika chcącego mi pomóc i samodzielnie zgramoliłam się z dorożki. Oparta na kiju, poszłam

do gabinetu komendanta. Znałam drogę. Na schodach nastrajałam się do rozmowy. Jaką przybrać taktykę? Nie było czasu na improwizację. Musiałam odegrać swoją rolę tak, jak planowałam.

– Ciesz się, że lepszy ze mnie lekarz niż z ciebie komendant straży – rzuciłam bez przywitania. Rozejrzałam się po pomieszczeniu w poszukiwaniu krzesła. Oczywiście był tylko fotel. Stawiając drobne kroki, zbliżyłam się do biurka, odepchnęłam Tomczyka i zajęłam jego miejsce. Naprawdę byłam wykończona. – Masz jakiś pomysł, co zrobić z tymi pożarami? Bo mi się miejsce w klinice kończy. A może mam chorych kłaść w rathauzie? Stoi pusty, niech się do czegoś przyda.

Komendant uśmiechał się, nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Gdzie byłeś w chwili wybuchu ognia?

– U Wójcika – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Skinął potwierdzająco, bo przecież o tym wiedział.

– A Staszek?

– Nie wiem. Chyba na targu.

– Na targu.

– A ksiądz?

– Skąd mam wiedzieć? Może zamiast pielęgnować swoją fixację na punkcie mieszkańców Okartowa zajmiesz się czymś pożytecznym? Rusz dupę z tego swojego bunkra i znajdź podpalacza. Przypominam, że za chwilę wyjeżdżam i sam będziesz leczył poparzonych. Jak tylko dostanę ten papier, co to mi obiecywałeś. Wójcik udaje idiotę za każdym razem, gdy mu podsuwam kartkę do podpisu. Zrób coś z tym albo zamknę klinikę.

– Nie zamkniesz.

– Przekonajmy się.

– Nie zamkniesz, bo ci jańsborscy wejdą na głowę.

Trochę wybił mnie z rytmu.

– To się przekonamy. I dobrze ci radzę. Jeśli nie potrafisz znaleźć podpalacza, to przynajmniej rozstaw tych swoich strażników po mieście, żeby pilnowali budynków. W baszcie jest ich na raz trzech czy ilu? To samo na moście. Lubisz dbać, żeby ci twoi halabardnicy mieli na służbie do kogo pysk otworzyć, to dbaj, ale pamiętaj, że kolejny pożar może wybuchnąć w gargamelu. Jak kiedyś w Bastylii.

– Gdzie?

– Stare dzieje. Ludzie się kiedyś w Paryżu wkurwili i spalili miejskie więzienie, a tamtejszy burgmajster stracił głowę. Komendant chyba też.

Tomczykowi uśmiech nie schodził z twarzy. Stał oparty plecami o ścianę, z rękami założonymi na klatce piersiowej, i przyglądał mi się uważnie.

– Dobrze. To ja też udzielę ci rady. Znajdę choć jedno potwierdzenie, że coś kombinujesz, to znikniesz. A jak nie ty, to ten twój Staszek albo Marysia. Oni znikną na zawsze, ale przedtem powiedzą mi o wszystkich dziwnych przedsięwzięciach pewnej okartowskiej lekarki. I jeszcze jedno. Jutro dostaniesz ten swój papier i dwóch strażników, mogą być jeglińscy. Ale jeżeli po waszym wyjeździe pożarów nie będzie, to Jańsborg bardzo poważnie podejdzie do pisma, które tu przywiozłaś, rozumiemy się?

Przeszedł mnie dreszcz, ale momentalnie się opanowałam.

– Rozumiemy, bo podpalenia się nie skończą, dopóki nie znajdziesz winnego. To wszystko? Miałam dziś dużo pracy, a w tym wieku, wiesz, nogi już nie te.

– Wszystko. Pamiętaj, że mam cię na oku.

– Polecam bieluń – rzuciłam i z trudem wstałam. Mimo że byłam naprawdę wykończona, musiałam odbyć jeszcze jedną krótką rozmowę. Trudniejszą.

– A, jednak nie wszystko. – Tomczyk siedział już w zwolnionym przeze mnie fotelu. – Zastanawiam się, co się stało z twoją torbą?

– Zostawiłam wczoraj u proboszcza. W środku było pięć litrów najprzedniejszych nalewek na Staszkowym spirytusie. Wara od nich – odszczeknęłam i wyszłam. Dopiero w dorożce wytarłam o spodnie spoczone dłonie.

Poprosiłam Staszka, żeby zamknął drzwi magazynu. Usiedliśmy na skrzynkach, a on ustawił między nami lampę naftową. Cienie zagrały na naszych twarzach.

– Czy mogę na ciebie liczyć? – spytałam od razu, bez wstępu. – Znasz plan, wiesz, co zamierzam osiągnąć. Powtarzam pytanie: mogę na ciebie liczyć czy zabrać ze sobą Marysię?

Staszek westchnął ciężko, tarł dłonie. Nie poganiałam go.

– Tak, Starsza. Możesz.

– Ciągłe jesteś zły – stwierdziłam. – Co mam zrobić, żeby ci przeszło?

Podniósł wzrok i spojrzał mi w oczy.

– Nie wiem. I chyba nie zły, już nie. Raczej zawiedziony. Ja nie sądziłem, że będziesz tylu ludzi krzywdzić, nie jak za pierwszym razem,

gdy spalił się magazyn...

– Przecież mówiłam, że przy urzędzie to była pomyłka. Nie wiedziałam, że tak grzotnie – usprawiedliwiłam się.

– A przy kościele? Mówiłaś, że potrzebny ci symbol. Wybrałaś kościół, chociaż wiedziałaś, że ludzie będą go gasić, przecież nawet klinikę przygotowałaś.

– A ty, jak powiedziałaś, że zostajesz dotrzymać obietnicy, jak chciałeś się wywiązać? Jaki miałeś plan?

– Nie miałem. Nie wiem. Chyba bym ich namawiał, żeby pojechali z nami.

Uśmiechnęłam się. Pocziwy, naiwny Kania.

– Jutro zbieramy papier od Wójcika, instalujemy Stachelka i Bąka, i wyjeżdżamy. No i nie bierzesz w akcji udziału, jeżeli nie będzie takiej potrzeby.

Aż otworzył usta ze zdziwienia.

– Nawet nie musisz wchodzić do burgmajstra. Stara jestem, słaba, mogę się przewrócić czy zasłabnąć i wtedy będę potrzebowała twojej pomocy, jasne? W baszcie zostaniesz na pierwszym piętrze. Ja się wszystkim zajmę. Obiecałam ci, że nie pobrudzisz sobie rąk.

– Dobrze, Starsza. – Mężczyzna wyraźnie się rozpogodził. Chwyciłam go za rękę.

– Jak wszystko dobrze pójdzie, to pojutrze wrócimy do Okartowa i wszystko będzie jak dawniej, zanim przyleciał wikary. Idę spać.

Wstałam i ruszyłam do drzwi.

– Nie będzie jak dawniej. – Usłyszałam za plecami. Przytaknęłam.

Mimo zmęczenia nie mogłam zasnąć. Może dlatego, że z braku miejsca w klinice spałam na materacu dyżurującej przy rannych Marysi. Bałam się. Torba zostawiona wielebnemu krążyła mi po głowie. Największe niebezpieczeństwo groziło nam nie jutro, gdy będzie nas chronił tłum, ale w ciągu najbliższych godzin. Tomczyk raczej nie zaatakuje otwarcie, za to może zrobić nalot i zgarnąć nas po cichu właśnie w nocy. Jeżeli przyjdzie mu to do głowy. Miałam omamy, zdawało mi się, że coś szura przed budynkiem. Instynkt podpowiadał, że trzeba wiać. Może straż by nas wypuściła? A może staranować niegroźne przecież płotki na moście i zwiać w las, objechać jezioro i okrężną drogą dostać się do Okartowa? Kłamałam, gdy mówiłam Marysi, że jestem wolna. Nie jestem i nigdy nie byłam. Zawsze są jakieś zobowiązania, obietnice, długi. No i przywiązanie.

Zapewne za miesiąc czy dwa, gdybym poznała jańsborskich bliżej, zaprzyjaźniła się z nimi, nawet do głowy by mi nie przyszło podpalanie kościoła. Miasto stałoby się drugim domem, mieszkańcy sąsiadami. Lata przebywania w samotności w kolonii uodporniły mnie, ale i tak zaczynałam przywiązywać się do niektórych ludzi – tłum zyskiwał twarze.

Zastanawiałam się czy za kwartał byłabym gotowa rozpętać taką wojnę, bo to przecież jest wojna, a jutro ma odbyć się decydująca bitwa. No i były ofiary, oczywiście wśród cywili, jak zawsze. Żołnierze, a tym bardziej dowódcy, wyjdą bez szwanku, chyba że poniosą klęskę. Cywile dostaną po dupach bez względu na wynik. Tak było w trakcie ostatniej wojny, przedostatniej i wszystkich poprzednich. Dziewczyna broniąca koników oberwie kolbą, a potem jeszcze postraszą ją sądem polowym. Jańsborscy poparzą się ratując kościół, a następnego dnia posłużą za tarczę broniącą buntowników przed strażą miejską. Zasadzka gotowa, szachy rozstawione.

Uspokajałam się, że to Staszek podjął decyzję, że wybrał między atakiem i odwrotem. Dobrze wybrał. Nie sądzę, że w drugim przypadku bym go posłuchała. Nie na tym etapie.

12.

Nie wyprowadzamy krów. Mielim, ale byczek nam się wyrwał i teraz gania po łące, nieważne czy deszcz, czy przemroza. I nie ma go jak sprowadzić z powrotem, bo jak się tylko kto zbliży, to wali w ogrodzenie i łbem rzuca. Już je dwa razy naprawiałim. Nawet syna posłałem do Jeglina, żeby wezwał tego strażnika, co ma karabin, bo choć byczek ładny, młody jeszcze, to wariat straszny. Następnego dnia przyszedł ten strażnik. Schowalim się z rodziną za jego plecami pod ścianą i patrzymy, jak wolno podchodzi do płota. Byczek już go dojrzał, ale jeszcze nie szarżował, tylko stał. A tamten mierzy i mierzy, i w końcu strzelił. Huk był straszny! Zwierzę się spłoszyło, a tuż obok głowy mojego najmłodszego pojawiła się dziura w ścianie. O, tyle. Może o rękę. A to strażnik strzelił byczkowi w głowę, kula się odbiła od czaszki i uderzyła w ścianę. Więcej nie strzelalim.

Obudziły mnie podmuchy zimnego wiatru wpadającego przez szczelinę w oknie. Próbowałam schować się głębiej pod pierzynę, ale w końcu poddałam się. Drugą kapitulację zaliczyłam po kwadransie prób podniesienia się z materaca. Nieciekawy początek.

Zawołana Marysia pomogła mi wstać i wróciła do kuchni, skąd dochodził zapach smażonych na boczku jaj. Siedząc na krześle, próbowałam rozruszać bolące stawy, klnąc na starość i zimno. W drodze na piętro odbiłam do kliniki, gdzie Karolina rozmawiała z jednym z pacjentów, przystojnym chłopakiem, pod którego wzrokiem czerwieniła się, szeroko uśmiechnięta. Umyłam się szybko i niezbyt dokładnie, szczególnie że woda w misce zdążyła wystygnać. Nic to. Ubrana w spodnie od munduru i flanelową koszulę poszłam na śniadanie. Staszek i Marysia już jedli. Dołączyłam, życząc smacznego.

– Znajdziesz jakąś ładną wstążkę?– spytałam Kietzmanową. Gestem usadziłam ją z powrotem, bo gotowa była od razu po nią pobiec. – Spokojnie. Muszę burgmajstrowi przygotować prezent. Najedźmy się, bo dziś dużo pracy. Chyba nie wrócimy na obiad – zażartowałam, ale nikt się jakoś nie śmiał. Staszek wydawał się smutny, Marysia była po prostu zmęczona po nocnym dyżurze. Wyszłam odpowiednio wcześnie, żeby nie przegapić sygnału.

W baszcie na pierwszym piętrze poczekałam na syrenę. Gdy się rozwyła, nastawiłam budzik. Wstążkę przywiązałam do pałąka.

– Mam dla ciebie prezent – krzyknęłam do burgmajstra, gdy tylko wdrapałam się do jego sypialni. Leżał w łóżku i przeglądał jakieś papiery. Na słowo „prezent” zbystrzał. – Rozmawiałam wczoraj z komendantem. Masz mi dziś podpisać papier. Jutro pewnie wyjedziemy, ale najpierw dostaniesz upominek na pożegnanie. Proszę.

Trzymając przed sobą budzik, podeszłam do łóżka. Wójcik rozpoznał przedmiot i uśmiechnął się szeroko.

– Wunderbar, babo, jakie to piękne. To dla mnie? Naprawdę?

– Tak, a ten jeszcze dzwoni. Zobacz, tu masz pokrętko – pokazałam mu regulator wskazówki budzika. Urządzenie rozbrzęczało się głośno. Złożyłam ręce, jak do klaskania.

– Babo, ale za co? Danke. Mówiłem już, że cię lubię?

– Mówiłeś. A teraz badanie. Podnieś się – poleciłam.

W trakcie tej wizyty burgmajster był wyjątkowo niesforny. Powiesił sobie prezent na szyi i cały czas go macał, obracał, hałasując dzwonkiem, aż zęby bolały. Nagimnastykowałam się, nie powiem.

– Ustawię sobie hałas na pięć przed czwartą i będę od razu wiedział, kiedy skończą pracę.

– Budzik, nie hałas. Taki zegar ustawiało się na rano, żeby nie zasnąć do pracy.

Pacjent spojrzał na mnie podejrzliwie, a po chwili wybuchnął takim śmiechem, że się cofnęłam, ogłuszona.

– Wunderbar. To jest najlepszy prezent, jaki dostałem.

– Nie ma za co. – Uśmiechnęłam się i podeszłam do biurka. Z kieszeni wyjęłam złożoną kartkę i ołówek.

– A teraz wstawaj tu podpisać. Marcin? Wójcik! – krzyknęłam, widząc że mnie zignorował. Gdybym wiedziała, że tak się napali na budzik, to bym go po prostu wykorzystywała do szantażu czy raczej przekupstwa. W końcu burgmajster to urzędnik, czyli można mu dać w łapę. – Podpiszesz? Hej!

– Co? A, podpis. Mogę później? Jak zamkniesz klinikę. – Znowu dzwonek. Co za dzieciak!

– Dobra. Czyli o czwartej. – Pożegnałam się i zaczęłam zakładać kurtkę.

– Babo, czekaj! – usłyszałam, gdy już schodziłam po schodach. Po chwili nad głową zobaczyłam wyszczerzoną twarz Wójcika. – Masz, tutaj.

Prezent za prezent.

W wyciągniętej dłoni trzymał swój zegarek. Szkiełko i koperta były podrapane, ale nie zamierzałam wybrzydzać. Od dawna nikt mi nie sprezentował omegi. W zasadzie to był pierwszy raz.

– Dziękuję, Marcinie. Do czwartej. – Machnęłam upominkiem. Uśmiechnął się, jakby zrozumiał dowcip.

Nie, nie zrozumiał.

Przez następne trzy godziny chodziłam jak struta. Staszek też nie mógł znaleźć sobie miejsca. Co chwilę przychodził do kliniki, pytał o coś albo tylko robił „obchód”, oglądał wypełnienie okien, macał meble, zdecydowanie chciał coś naprawić. Pewnie żałował, że nie umie czytać. Ja też poświęciłam pacjentom znacznie więcej uwagi, niż tego potrzebowali. Opatrunki zmieniałam osobiście, a nowe bandaże zawiązałam w ładną jodełkę, jak na lekcjach przysposobienia obronnego w liceum. Wszystkim zmierzyłam temperaturę, co chwilę wołałam Karolinę, żeby przyniosła szklankę wody dla rannych wyglądających na spragnionych. Potem ganiałam ją po kaczkę lub do pomocy pacjentom, którzy musieli iść za potrzebą.

Czas mijał irytująco wolno. Nawet kobieta, która przyszła z dzieckiem z biegunką zajęła mi tylko kwadrans. Na podstawie wywiadu uznałam, że to prawdopodobnie zwykłe zatrucie pokarmowe, które najlepiej wyleczyć sadzą lub węglem drzewnym. Zresztą matka sama o tym wiedziała, bo mały pacjent miał usta i język zabarwione na czarno.

W końcu rajzefiber dobiegł końca. Poszłam do magazynu po walthera. Skontrolowałam wszystko, jak mnie uczyła Asia: sprawdzić bezpiecznik, odciągnąć zamek, wymierzyć z palcem wskazującym ułożonym na szkielecie wzdłuż lufy. Chwył pewny, ale nie siłowy. Obserwuj cel, nie pistolet – słyszałam w głowie. Od prawie pięciu dekad nie ćwiczyłam. Po chwili dłonie zaczęły mi drżeć. Opuściłam broń, odblokowałam zamek magazynka i wydłubałam z niego wszystkie naboje.

– Zbieramy się. – Staszek aż podskoczył na dźwięk mojego głosu. – Poczekaj. Weźmiesz pistolet, na wszelki wypadek. Chodźmy.

W chwili gdy przestępowaliśmy próg baszty, rozwyła się syrena. Spojrzałam na zegarek, wiszący luźno na nadgarstku. Trzecia trzydzieści. A więc zaczęło się. Stachelek zakręcił korbą „Druhny”. Będę musiała skrócić bransoletę, pomyślałam, walcząc z zegarkiem, uparcie obracającym się

tarczą w dół. Dopiero po chwili do mnie dotarło, że nikt nam nie otworzył. Czyżby Tomczyk wysłał strażników na patrole? Byłoby to wyjątkowo fortunne.

Dopiero na piętrze zobaczyłam młodego chłopaka. Nie kojarzyłam, czy spotkałam go wcześniej. Krótkie włosy miał posklejane i brudne, dbanie o rzadką brodę też nie było jego mocną stroną.

– Jesteś od Bąka? – spytałam, gdy podniósł się z krzesła na nasz widok i podszedł z wyciągniętą ręką, kiwając głową. Trochę się brzydziłam z nim witać. – Wyjdź na zewnątrz i stań przy drzwiach. Nie przeszkadzaj nam.

Minęłam go i podeszłam do kontuaru.

– Staszek – szepnęłam, gdy na dole trzasnęły ciężkie drzwi. – Zostań tu, ale przy schodach, słuchaj, czy nie ma jakichś kłopotów. Jeśli Wójcik nie będzie chciał podpisać papierka, postraszysz go pistoletem. Spokojnie, burgmajster wie, co to jest, dlatego nie powinien robić problemów. Jasne?

– Tak – odpowiedział przyciszonym głosem. Zabrałam mu broń i pokazałam, jak ma ją trzymać.

– Palce tu i tu. I nie zaglądać do lufy. Żartuję, wyjęłam naboje. Nikomu nie zrobisz krzywdy. – Klepnęłam go po ramieniu i podpierając się na kiju poszłam na umówioną wizytę.

Marcin Wójcik leżał na biurku i bawił się budzikiem. Gadał do siebie, a może coś nucił? Chyba to drugie, bo bujał rytmicznie zawieszonym na wstążce przedmiotem.

– Jak zdrowie? – Starłam się, by mój głos zabrzmiał naturalnie. Denerwowałam się, mimo że to ja miałam najłatwiejsze zadanie. Burgmajster uśmiechnął się szeroko na mój widok. Spróbował wstać, ale zatrzymał się w pół ruchu i opadł z grymasem bólu na twarzy. Nie mogłam stwierdzić czy to głowa, czy plecy.

– Co, boli? Pokaż czoło. – Przyłożyłam mu rękę. Było chłodne, choć spocone. Nic dziwnego. W kominku piętro niżej ktoś napalił całkiem solidnie.

– Boli, babo.

– A co ma nie boleć? Raki dziś jadłeś?

– Tak.

– Ziólkami okładałeś?

– Skończyły się – poskarżył.

– Przed wyjazdem zostawię ci cały zapas, jaki mam. Chcesz coś na ból?

No pewnie, że chciał. Nalałam mu nakrętkę laudanum, ułożoną pod kark ręką podniosłam mu głowę i wlałam zawartość do ust, starając się zachowywać możliwie delikatnie i czule. Co to prezent robi z człowieka?

– Zaraz ci przejdzie. Teraz moje sprawy.

Wyjęłam z kieszeni nieźle już wymiętoszoną kartkę i ołówek. Ten drugi niepotrzebnie. Wójcik już się podnosił. Zwolnił miejsce na biurku i wyjął z szuflady długopis.

– A ten lek też mi zostawisz? – spytał, wskazując kieszeń kurtki, w której zniknęła małpka.

– Tylko na receptę – odmówiłam. Burgmajster nie był zadowolony z odpowiedzi, ale chyba trzepnęło go już na tyle, że nie zamierzał się wyklócać. Pochylił się nad papierem i niedbale podpisał w prawym dolnym rogu, przy naskrobanej przeze mnie ołówkiem sygnaturze. Oczywiście wcześniej przeczytał treść.

Udzielam Koślawej znad Kałuży wsparcia w sile dwóch strażników miejskich i zezwalam na przejazd przez most w Jeglinie Koślawej znad Kałuży, Staszкови Kani, Marii Kietzmanowej i proboszczowi z Okartowa.

Sięgnęłam po pismo, jak tylko skończył je czytać i podpisać, żeby się nie rozmyślił lub nie zrobił czegoś głupiego.

– Wracaj do łóżka, zanim się przewrócisz – poradziłam. – Muszę wracać do kinigshauzu. Skierowałam się w stronę schodów. Zrobiłam kilka kroków i usłyszałam łomot. To Wójcik zwałił się na biurko i zsuwał na ziemię, mimo prób złapania za krawędź mebla. Chyba przesadziłam z dawką.

– Otruła mnie. Jak wczoraj. Otruła mnie! – Za drugim razem krzyknął tak głośno, że zawróciłam, żeby go uciszyć. Obeszłam go od tyłu i chwyciłam pod pachy, starając się podeprzeć, a przynajmniej złagodzić upadek. Zdecydowanie przećpał.

– Staszek! – zawołałam Kanię. Sekundę później na schodach załomotały ciężkie kroki. Burgmajster w końcu przelał mi się przez ręce i upadł na plecy. Nie zareagował na ból, bo niby czemu? – Pomóż mi zanieść go do łóżka – poleciłam bimbrownikowi, wstając. – No, nie patrz tak! Za dużo leku, nic mu nie będzie. Chodź tu.

Ale było już za późno. Burgmajster sięgnął na półkę pod biurkiem i wyjął pistolet. Zdążyłam się zorientować w ostatniej chwili. Opadłam na jego ramię całym ciałem i spróbowałam wyrwać, wydrapać, a w końcu, waląc pięścią, wybić mu broń. Ależ był silny.

– Pomocy – wystękałam, czując, że zaraz mnie zrzuci, ale Staszek już stał nad nami mierząc z pistoletu w głowę naćpanego pacjenta. Trącone okulary uderzyły o podłogę, jedno szkło wypadło i potoczyło się z brzdękiem. Miałam nadzieję, że jest całe. Chwilę wcześniej dostrzegłam, że Kania oba wskazujące palce zagiął na spuście. Chciałam, żeby rzucił to żelastwo i pomógł mi rozbroić Wójcika.

– Staszek... – zdążyłam powiedzieć i usłyszałam huk. Ciało pode mną momentalnie zwiotczało. Dzwoniło mi w uszach, widziałam rosnącą na podłodze plamę krwi. Poza tym nie otrzymywałam od organizmu żadnych impulsów. Szok, oceniłam.

Przed oczami stanęła mi scena z magazynu w kinigshauzie. Przeładowałam, jak pokazywała Asia, gdy uczyła mnie przygotowywać broń do strzału. Rany, biedny Staszek, dotarło do mnie. Podniosłam wzrok. Był blady jak ściana. Ręce drżały mu tak, że nie byłabym w stanie odebrać mu pistoletu, ale na szczęście broń już nie była niebezpieczna. Już. Wstałam z trudem i pogładziłam go po ramieniu. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– To był wypadek – rzuciłam w końcu najgłupszą możliwą frazę i od razu się skrzywiłam, słysząc jej niestosowność. Schyliłam się po okulary i szkło. Uf, całe. – Chodźmy stąd.

Kania nie stawiał oporu. Po drodze zgarnął upuszczoną przeze mnie nawet nie wiem kiedy laskę i podał mi ją. Dopiero piętro niżej usiadł na krześle strażnika i schował twarz w dłoniach. Współczułam mu, najchętniej zostałabym tu go pocieszać, ale nie mogliśmy sobie na to pozwolić. Sprawnie naprawiłam okulary, wyjęłam z kieszeni papier i ołówki, rzuciłam na ladę. Chwilę trwało, zanim znalazłam gumkę. Wytarłam podpisaną treść i sformułowałam nowe pismo. Pierwotnie miało to być zrzeczenie się stanowiska po pożarach spowodowanych zakazem grzebania zmarłych. Zamiast tego napisałam list samobójcy.

Sprzed baszty zgarnęliśmy Bąkowego człowieka, który poprowadził nas w stronę tylnego wejścia do rathauzu. Wąskimi schodami wspieiliśmy się na pierwszy poziom i na tyle szybko, na ile było to możliwe, poszliśmy do głównego wejścia. Spojrzałam na zegarek: za pięć czwarta.

– Wójcik się zastrzelił ze swojego pistoletu. Zostawił list. – Machnęłam towarzyszącemu nam strażnikowi kartką. – Skinął tylko głową, nic nie mówiąc. Słyszałam odbijający się echem głos wielebnego. Stachelek

przerywał mu od czasu do czasu, a po każdym jego okrzyku wybuchał grzmot oklasków i owacji. Przynajmniej oni swojej części nie spieprzyli. Tfu, tfu, odpukać.

Stali w samych drzwiach, otwartych na oścież, trzynaście schodów poniżej nas. Poprosiłam Staszka, żeby mi podał rękę i wolno zeszliśmy do mówców. W lewej dłoni ściszałam pismo.

Stanęliśmy za Wojtkiem i wielebny. Odwrócili się, ale gestem kazałam im kontynuować. Ksiądz przemawiał z pasją, chyba nawet większą niż ostatnio. W końcu nigdy nie miał takiej frekwencji tak żywiołowo reagującej publiczności.

– Do ilu tragedii jeszcze musi dojść, zanim burgmajster zrozumie, że jak Boga obraża, to Bóg mu tym samym odpłaci? I żeby tylko jemu, ale co my zawiniliśmy? – grzmiał. – Mówiłem wam przecie co mszę, że trzeba po wybaczenie do kościoła przyjść i krzyżem na posadzce poleżeć, z modlitwą albo i pieśnią, jak kto jaką ładną zna i śpiewa dobrze. Ale ja to sobie gadać mogłem, skoro burgmajster do kościoła nie chodzi.

– Bo nie chodzi! Bezbożnik! – wtrącił Stachelek z podniesioną pięścią. Do jego jednej dołączyły setki kolejnych.

– Tak właśnie. Aż w końcu grom poraził sam kościół. To ja już nie wiem, jaki to głupi albo opętany musi być, żeby nie zrozumiał. Dlatego ja się pytam, czy taki niespełna rozumu, co to diabła ma za koszulę i tyle zła ludziom czyni, może w rathauzie siedzieć i ludziom rozkazywać? A jak jakie diabelskie polecenia wydaje? Duszę poczciwych jańsborskich na potępienie naraża? A wy, przecie widzę, jesteście lud pobożny. Wcześniej wstajeta, pracujeta do zmroku, na mszy się nie wierzycie, w nosie nie dłubiecie...

Podeszłam do Stachelka i podałam mu pismo, bo skoro wielebny tak perorował od dwudziestu pięciu minut, to pewnie szybko nie skończy. Wojtek przeczytał treść i spojrzął na mnie rozszerzonymi oczami. Potwierdziłam skinieniem, żeby nie przeszkadzać mówcy. Podeszedł do proboszcza i szepnął mu coś do ucha. Przez chwilę rozmawiali ze sobą, ale zbyt cicho, żebym mogła cokolwiek wychwycić. Ksiądz odsunął się, robiąc miejsce Stachelkowi.

– Kochani jańsborscy. Koślawa, nasza lekarka i dobroczyńca, właśnie przyniosła list, który wam zaraz przeczytam. Tylko cicho bądźcie, żeby wszyscy usłyszeli. Uwaga! *Drodzy mieszkańcy, od jedenastu lat, jak tu jestem, wyrządziłem wam wiele krzywdy. Kazałem pracować przy zamku,*

który do niczego wam nie jest potrzebny, zabijałem ludzi, zakazywałem pogrzebów i nagradzałem łotrów tylko dlatego, że wykonywali polecenia, a te często były podłe i grzeszne, i szkodziły ludziom. W końcu przyszła kara, która dotknęła was zamiast mnie. Mnie zawsze się wszystko udawało, a wy pewnie wiecie, dlaczego. Ale w końcu przyszło mi za to zapłacić. Z tej broni, z której zabiłem tylu dobrych ludzi, odbieram sobie życie. Ale proszę was, dobrzy ludzie, żebyście nie odmawiali mi pochówku. Podpisano: Marcin Wójcik.

Zapadło milczenie. Ludzie nie wiedzieli, jak zareagować. Sama bym nie wiedziała, szczególnie znając żarty, jakie Wójcik robił przez ostatnią dekadę. Podeszłam do mężczyzn.

– Wójcik zastrzelił się w baszcie. Nie żyje – powiedziałam.

– Koślawa mówi, że Wójcik zastrzelił się w baszcie! – przekazał wiadomość Stachelek. Momentalnie wybuchła wrzawa. Ludzie gwizdali, klaskali, obściskiwali się i gratulowali sobie. Trzeba było wykorzystać moment. Chwyciłam Wojtka i proboszcza za ręce i podniosłam je do góry. Mieszkańcy wiwatowali na cześć naszej trójki: wójta, plebana i pana, znaczy pani. Dołączyliśmy do oklasków. Wydawało się, że trwają bez końca, że cały dzień stoimy w tym ogłuszającym hałasie. Zadziałała psychologia tłumu, owczy pęd. Uśmiechaliśmy się, ja skromnie z powodu szczerby. W końcu poprosiłam Wojtka, żeby zaczął gasić aplauz. Spodziewałam się, że trochę to potrwa. Dopiero po kilku minutach rynek zalała fala wzajemnego uciszania się, przetykanego płaczem dzieci. Zrobiłam krok do przodu. Nigdy nie miałam mocnego głosu, ale tym razem musiał wystarczyć.

– Jańsborscy! – sprawdziłam, że przynajmniej pierwsze rzędy usłyszały. Dalszych i tak nie widziałam. Przydałaby się Wójcikowa scena lub chociaż jakaś drabinka. – Miasto nie może zostać bez burmistrza, wiecie o tym. Zaraz się zrobi bałagan, a tego, co jest, już wam chyba starczy. Musicie mieć w rathauzie człowieka, który jest i mądry, i dobry, który jest wykształcony, umie czytać i liczyć, i będzie dbał o was, o mieszkańców, a nie tylko o swój zamek i głupie zachcianki. Ja proponuję Wojtka Stachelka. Znacie go. Wiecie, że jest spokojny i rozsądny. I pobożny – dodałam po chwili. – Dlatego nada się na burmistrza, który zadba o handel i o to, żeby dzieci nie były głodne i nie chorowały. Wojtek Stachelek na burmistrza! – krzyknęłam na koniec, na szczęście wystarczająco głośno, żeby niektórzy

podchwycili hasło. Po chwili cały rynek krzyczał unisono: „Wojtek! Wojtek!”.

Złapałam Stachelka za rękaw i pchnęłam do przodu.

– Teraz twoja kolej – powiedziałam mu do ucha i cofnęłam się na schody. Po chwili zastanowienia usiadłam. Na razie moja rola się skończyła.

Stachelek przemawiał jak rasowy polityk. Mówił głośno, wyraźnie, doskonale wychwytywał momenty, kiedy ludzie chcieli wyrazić swoją złość krzykiem i radość oklaskami. No i zdecydowanie za długo. Mówił o handlu, o konieczności reformy straży, żeby służyła mieszkańcom, nie władzy, o remoncie domów, żeby w mieście osiedlali się nowi ludzie. Snuł piękne plany, takie, które podobały się jańsborskim. Miałam nadzieję, że go nie wyniosą zaraz na rękach, bo był mi jeszcze potrzebny. Z niecierpliwością patrzyłam na zegarek. Za długo to wszystko trwało. Gestem poprosiłam wielebnego, żeby pomógł mi wstać, i podeszłam do Stachelka.

– Powiedz, żebyśmy wszyscy poszli do straży, a potem wrócimy świętować.

Przytaknął.

– Jańsborscy, trzeba wygonić ludzi burgmajstra z gargamela. Jak pójdziemy tam kupą, to nic nam nie zrobią. W końcu to nasze miasto! – zawołał, a tłum odpowiedział. Wyszliśmy z budynku. Ludzie rozchodzili się niechętnie, deptali sobie po piętach, popychali się. Hałas ogłuszał. Dopiero teraz, uwięziona w tłumie ludzi w większości wyższych ode mnie, poczułam się osaczona. Przydałaby się jakaś drabinka. Wcześniej nie miałam tremy? No, tak, szok – potwierdziłam wcześniejszą diagnozę.

Zgodnie z przewidywaniami do budynku straży doszliśmy bez przeszkód. Strażnicy na moście, widząc tłum, po prostu uciekli. Minęliśmy rondo, skręciliśmy do bramy. Nawet drzwi nam otworzono. No, cóż. Strażnicy też ludzie – wiedzą, skąd wieje wiatr.

– Do Tomczyka – rzuciłam pilnującemu przejścia mężczyźnie i ominęłam go.

Z góry dobiegały wrzaski. Na okrzyki Tomczyka stłumionym przez drzwi głosem odpowiadał Bąk, bluzgając przy tym strasznie. Ze Stachelkiem, Staszkiem Kanią i proboszczem doszliśmy do barykady, którą trzech umundurowanych mężczyzn próbowało sforsować, ale bez

przekonania, co nie dziwi, biorąc pod uwagę, że w środku znajdował się zakładnik i najwyraźniej szalony Waldek, do niedawna ich druh.

– Rozejść się! – krzyknął Stachelek, który pierwszy dotarł na górę. Popatrzyli na niego jak na kolejnego wariata.

– Słyszeliście, co powiedział nowy burmistrz? Wynocha! – wrzasnęłam, wymachując laską. Strażnicy ze zdziwieniem spojrzeli na wielebnego, ale on też potwierdził nasze słowa.

– Wójcik nie żyje. To jest nowy burmistrz. Róbcie, co mówi.

Zdyszani i zmęczeni strażnicy przez chwilę nie reagowali. W końcu odeszli na bok, odblokowując nam przejście. Podeszłam i zastukałam kijem w drzwi.

– Waldek? Tu Koślawa. Możesz otwierać.

Chwilę trwało, zanim zazgrzytała opuszczona sztaba. Przez szczelinę wyjrzał jakiś młokos.

– To oni – powiedział i otworzył.

Adam Tomczyk siedział w swoim fotelu, z rękami przywiązanymi do oparc. Brodaty porywacz oparł się o biurko, w dłoni trzymał długi nóż.

– Co tak długo? – spytał uśmiechnięty. – Udało się?

– Udało. Oto nowy burmistrz – przedstawiłam podążającego za mną mężczyznę. Bąk odbił się biodrami od biurka i podszedł z wyciągniętą ręką.

– Gratulacje, panie burgmajster. Ciekawe, kogo typujesz na komendanta, co?

– Nie myślałem o tym, ale chyba Koślawą – odpowiedział Wojtek i obaj wybuchnęli śmiechem.

W sumie mogli się już odprężyć. Zadanie było praktycznie wykonane. Mnie interesował Tomczyk. Chciałam sobie na nim odbić nieprzespaną noc, nerwy, jakie wywołało jedno jego pytanie. Był czerwony, rzeził przy każdym oddechu, chyba od tych wrzasków. Po koszuli płynęła mu ślina.

– Wiesz już, gdzie jest moja torba?

– Torba? Jaka... A, ja tylko tak pytałam. Kiedyś stary Kietzman dał mi taką książkę o lekarzu i gadających zwierzętach – paplał. Wargi mu drżały, pot ciekł po skroni.

– Doktor Dolittle? – spytałam.

– On miał torbę. A ty swojej nie, chociaż jesteś lekarka.

Uśmiechnęłam się smutno. O co ja go podejrzewałam? Był szefem straży, którego przełożony był wariatem z chorymi pomysłami. Że zbierał informacje? Też bym zbierała. Że dbał o porządek w mieście? Dla własnego

spokoju też bym dbała. A że mnie nie lubił? Normalne: nowa zmienna w sensownie funkcjonującym mechanizmie. Podejrzewał nas o pożary, bo byliśmy tutaj nowi, do tego wpływowi, potencjalnie niebezpieczni. Sami pchaliśmy się na afisz. W Jańsborgu nie działała żadna tajna superpolicja, nie kierował nią bondowski M. Czemu? Po prostu nikomu nic takiego nie przyszło do głowy. Mnie przyszło, bo oglądałam Bonda, czytałam Trzech Muszkieterów, uczyłam się historii. No i obserwowałam media, relacjonujące intrygi polityczne. Wychowałam się w dużo większym świecie, znacznie bardziej podłym i złym. Ci ludzie, nawet Tomczyk czy Wójcik, byli zbyt... prości. Skoro zwykle podbieranie pieniędzy z kasy i przekupienie kilku strażników wystarczyły świętej pamięci burgmajstrowi do przejęcia władzy, to jaką niby stanowili dla mnie konkurencję? To ja, to my przez całe życie konkurowaliśmy w wyścigu szczurów. To my doprowadziliśmy do wojny. W końcu to my doprowadziliśmy ludzkość do miejsca, w jakim obecnie się znajduje. Nie zrobił tego Wójcik. Ba, nie zrobił tego nawet... Dopiero do mnie dotarło, jaką mam przewagę nad Dziewulskim. Zaklęłam pod nosem.

– Przegrałeś i teraz pewnie wygnają cię z miasta – zwróciłam się do zdymisjonowanego komendanta. – Nie wracaj, dobrze ci radzę.

Potakiwał po każdym moim słowie. Wyraźnie mu ulżyło i nie dziwię się: po tylu latach rządów Wójcika zapewne spodziewał się kulki lub wodowania.

– Waldek! – zawołałam Bąka. – Jesteś nowym szefem straży. Masz tu delikwenta do wyrzucenia z Jańsborga. Wyposaż go odpowiednio, żeby nie skapiał z głodu.

– Tak jest – odpowiedział i uśmiechnął się brzydko. Odwiązał Tomczyka od fotela i wyprowadził z gabinetu. Zrezygnowany więzień nie bronił się i nie protestował.

– Stachelek, zawracaj ludzi na rynek. Coś mi się wydaje, że Staszek sprzeda dziś cały zapas. Tylko cen nie winduj. – Puściłam oko do Kani.

– Ja? Ja przecież...

– Żartowałam. Chodźmy na rynek.

Klepnęłam go w ramię i chwyciłam pod rękę.

13.

Dawno, dawno temu w Jańsborgu mieszkała moja babka. Wtedy to było małe miasto, w którym rządził zwariowany Wójcik. No i ten Wójcik to bezbożnik był straszny. Nie raz ludzie widzieli, jak jeździ dorożką ciągniętą przez diabła, z którym pakt podpisał, że ten mu do końca życia będzie usługiwał, a za to zabierze sobie do piekła duszę Wójcika. Tylko że ten szatan to taki głupi nie był i powoli chłopu duszę zatruwał, przez co ten najpierw od Boga się odwrócił, a potem od tego podszeptywania całkiem już zwariował. Ludzie się o niego martwili. Przychodzili i namawiali: idź do kościoła, wyspiewaj się i wygoń diabła, bo nie tylko sam duszę stracisz, ale i na nas jakie zło sprowadzisz. Ale Wójcik nie słuchał, tylko każdego z tych gadających w rzece topił. No i szybko ludzie przestali z nim gadać, bo się bali.

Aż pewnego razu przyjechał do Jańsborga ksiądz. Sam wlaź do kościoła, ludzi zagonił i mszę odprawia. Jak Wójcik się o tym dowiedział, to tak się wkurwił, że zaprzągnął diabła i co sił w kopytach karocką do kościoła pojechał. Wlaź do środka i księdza przegania. Mówi: choć tu, księżuniu, zaraz cię w rzece utopię. Ksiądz się krzyżem zamasyście przeżegnał, złożył ręce i ojczenaszka odmówił. Niebo od razu się czarne zrobiło, a deszcz lał tak, że po chwili każda jedna piwnica w mieście wypełniła się wodą, i to po pas. A pioruny biły, że przerażeni ludzie na ziemi się kładli i też do modlitwy dołączali. Wójcik, widząc, co się święci, że Boga nie wolno obrażać, hyc do wieży. A diabeł za nim. To musiała być wielka burza, bo normalnie to żaden bies do kościoła nie wejdzie, co nie? No i ukryli się w tej wieży, a tam jak piorun nie pierdolnie! Iskry sypnęły i zaraz cała dzwonnica stanęła w ogniu. Ludzie myśleli, że wszystko się spali, ale nie. Bo ksiądz skończył się modlić, znowu się przeżegnał i poszedł do pożaru. Tam tylko chwycił ogień, wsadził sobie na ramię jak wór kartofli i poszedł utopić w rzece. Dlatego tylko wieża się spaliła, żeby Wójcika ukarać. A temu się uciec nie udało, bo jak tylko od ognia umarł, to ten jego diabeł, też już mocno nadpalony, chwycił grzeszną duszę i myknął przez dziurę po sęku prosto do piekła.

Wyruszyliśmy przed świtem, niedługo po tym, jak miasto w końcu poszło spać. Wcześniej rozliczyłam się z Karoliną, której zapłaciłam więcej niż dobrze. Pakowanie zajęło godzinę. Dopiero po opróżnieniu kinigshauzu z naszych gratów okazało się, że Staszek sprzedał więcej niż połowę zawartości schronu, a poprzedniej nocy całą wódkę. Do ostatniej butelki. Kazałam mu zatrzymać cały utarg.

Wdowa zdecydowała się zostać w mieście. Wcześniej wieczorem burmistrz potwierdził jej decyzję.

– Kinigshauz potrzebuje gospodyni, a Kietzmanowie są moimi przyjaciółmi od dawna. Marysi niczego nie zabraknie – zapewnił.

– Zaproś mnie na chrzciny – poprosiłam dziewczynę i pogłodziłam ją po brzuchu, a Stachelkowi pogroziłam palcem. – Trzymam cię za słowo.

Po drodze zgarnęliśmy pod kościołem wielebnego, mocno jeszcze pijanego. Od strony kościoła dochodził zapach wilgotnego spalonego drewna. W mieście nie widzieliśmy już żadnego człowieka – jańsborscy odsypiali radość ze zmian. Było się z czego cieszyć? Nie miałam pojęcia, ale życzyłam Stachelkowi, żeby ten optymizm, ba, ten entuzjizm sensownie zagospodarował.

W Jeglinie wyciągnęliśmy z łóżek dwóch strażników, jednego od buta, drugiego od latarki. Przeczytałam im pismo od Stachelka, poza tym obiecałam obu jakieś fanty po wykonaniu zadania. Staszek przez cały czas milczał. Spróbowałam go pocieszyć.

– Wracamy do domu – mówiłam, autentycznie podniecona. Płułam sobie w brodę, że nie pomyślałam o żadnym upominku dla Michała. Powiedziałam o tym jego ojcu.

– Michaś najbardziej się ucieszy z twojego przyjazdu – odpowiedział z pewnością w głosie.

– Tyle nauki do nadrobienia – teatralnie załamywałam ręce. Nie mogłam się doczekać wznowienia lekcji. Myślałam o ogromie stojących przede mną zadań, zanim będę mogła powiedzieć, że wszystko jest jak dawniej. Na wiosnę trzeba będzie wezwać cieśli, żeby zajęli się dachem spalonej obórki, no i schron muszę zasypać, dom wysprzątać. Nie osobiście, ale muszę to przynajmniej nadzorować, szczególnie przy schronie.

Część planów snułam na głos, ale zamilkłam, widząc, że Staszek nie podejmuje tematu. Wielebny też siedział struty i tylko obaj strażnicy rozmawiali ze sobą, z zainteresowaniem rozglądając się po okolicy. Było

chłodno, ale wyspana, najedzona i opatulona otrzymanymi od mieszkańców swetrami czułam się komfortowo. Drobnym śniegiem przysypany, zmrożone drobiny osiadały na twarzy i rzesach, drażniąc i łaskocząc, brudziły szkła okularów. Tylko droga dłużyła mi się nieznośnie, choć starałam się tego nie okazywać. Z ulgą przyjął moment minięcia stacji dokowania dronów, radość wywołał widok Kałuży, starej sąsiadki. Do Okartowa dojechaliśmy bez przygód. Zmieniło się niewiele, tylko wielki krzyż wyrósł na placu przed kościołem. Wikary, jak widać, nie zasypiał gruszek w popiele. Gdy już zbliżaliśmy się do wioski, wydałam strażnikom instrukcje, co mają robić, a czego nie, gdyby się okazało, że mieszkańcy przywitają nas widłami. Na szczęście nikt nas nie zapowiedział, dlatego nasz powrót poruszył tylko kilkoma firankami w oknach podglądających nas okartowskich.

Zosia walczyła ze sobą, żeby nie rzucić się mężowi w ramiona. Najwyraźniej nie chciała tego robić przy mnie, a może przy księdzu, nie wiem. Rowińskich zagoniliśmy do wypakowania bagaży. Najpierw ich obejrzałam i obmacałam. Krwiak na policzku Marka ładnie się goił, kości też były całe. Tomek wciąż narzekał na bolące zębra, nierówne szwy na łuku brwiowym wskazywały, że po następnym świniobiciu trzeba będzie podszkolić Michała. Wielebnemu Staszek zaproponował gościnę, dopóki nie opróżnimy jego plebanii. Na razie posadził go w kuchni, przepraszając, że chce się najpierw zobaczyć z dziećmi. Ksiądz nie protestował, szczególnie gdy poczuł zapach wyciągniętych z beczki ogórków kiszonych. Poprosił też o sok.

Staszekowi pozwoliłam przywitać się z synem, po czym wygoniłam Kaniów z pokoju, wszak mieli jeszcze czwórkę dzieci. Ja przysiadłam na krawędzi łóżka Michała. Z radością spostrzegłam, że na bujanie nie zareagował bólem.

– No, jak rokowania? – spytałam.

– Będę żył – odpowiedział i wyciągnął ręce, żeby mnie objąć. Dopiero wtedy zauważyłam, że zdjął sobie usztywnienie ręki. Powinien oberwać po uszach. Przytulaliśmy się dobrą minutę. Pod palcami czułam niewielkie zabliznienia na plecach chłopca.

– No, opowiadaj. – Przesiadłam się na krzesło, gdzie było mi znacznie wygodniej.

– E, co ja tam mogę opowiadać? Jacyś ludzie z Jańsborga przyjechali i sprali Rowińskich. Opatrzyłem ich. Widziałaś szwy? – Dumnie wypiął

chudą klatkę piersiową. – A co było w mieście? Tam są takie duże domy jak w Londynie?

– Nie. – Uśmiechnęłam się, poprawiając okulary. – Jańsborg wcale nie różni się tak bardzo od Okartowa. Przypomina trochę targ wielkanocny: dużo ludzi, duży hałas. Poza tym jest podobnie jak u nas. Przeczytałeś *Draculę*? – zmieniłam temat.

– Tak. Bardzo fajne, chociaż straszne. Wampiry u nas są?

– Nie. To tylko taka bajka – uspokoiłam go. – Tak samo jak diabły, topichy i kłobuki. Jak przykrywanie zboża łopatą chlebową przed gradem i bieganie ze świętą Agatą w czasie burzy.

– To czemu mi to dałaś?

– A podobało się? – spytałam zaczepnie. Przytaknął zdecydowanie. – Większość książek czyta się dla przyjemności, dla zabawy. Jeśli się podobało, to dobrze, że przeczytałeś. Bo to dobra książka. Te nudne zaczniemy przerabiać od jutra, dobrze? Ja po podróży muszę odpocząć, wypaść się porządnie, no i pogadać z sołtysem o noclegu.

– Lekcje? – spytał z radością w głosie.

– Tak. Mam do zrobienia jeszcze jedną rzecz we wsi, a potem wracamy do nauki. Masz trzy tygodnie przerwy, więc będziesz musiał uczyć się więcej. – Pogroziłam palcem. – Dasz radę?

– Dam. – Odpowiedział z pewnością w głosie. Byłam przekonana, że podoła.

Sięgnęłam po leżący na pościeli, pozbawiony okładki, rozpadający się na szwach plik kartek zawiniętych w ceratową obwolutę od zeszytu. Otworzyłam w przypadkowym miejscu, ale i tak rozpoznałam fragment. Rozpoznałabym każdy.

– To moja ulubiona. – Uśmiechnęłam się. – Gdzie ją znalazłeś?

– W kartonach, co je ojciec przywiózł. Ten dziwny człowiek do nich zaglądał. Burcośtam. Czy wszyscy w mieście czytają?

– Nie, czyta niewielu. Ale każdy z nich do czegoś doszedł. Rozumiesz?

– Tak. Ja też do czegoś dojdę.

Znowu miałam pewność, że mu się uda.

Gadaliśmy do obiadu. Potem pozwoliłam sobie na krótką sjęstę, wszak wstałam wcześniej. O zmroku obudziła mnie Zosia. I pomogła wstać. Chyba będę musiała sobie nająć pielęgniarkę na kolonię. Staszek już czekał, gotowy do wyjścia.

– Gdzie są strażnicy?

– Chyba z Rowińskimi.

– Daj ich do mnie. Do kuchni – poleciałam i poszłam omówić plany.

W pomieszczeniu dołączyli do nas Staszek i ksiądz. Zosia przygotowała herbatę.

– Jeglińscy, pójdziecie na plebanię i przyprowadzicie wikarego do kościoła. Taki młody, ładny, nie pomylicie się. Ja sobie z nim porozmawiam, przekonam, żeby wyjechał dobrowolnie. Ojcie, ty go w tym czasie spakujesz, żeby go nie okraść, a jednocześnie żeby nie wziął nic nieswojego. Po rozmowie poprowadzicie wikarego do motolotni i dopilnujecie, żeby odleciał. Wszystko jasne?

– A co ja? – spytał Staszek.

– A ty nic. Zostajesz tutaj. Proszę, zostaw to mnie – dodałam łagodniejszym tonem. – Ja muszę się jeszcze przygotować. Gdzie nasze rzeczy?

– W szopie. – Kania wskazała ręką.

– Odleję wikaremu trochę paliwa, żeby mu nie zabrakło i żeby przypadkiem nie wrócił. Siedź. – Powstrzymałam go, bo już wstawał, żeby mi pomóc. – Poradzę sobie.

Przed północą w czwórkę stanęliśmy pod bramą parafii. Tym razem nie odwiedzałam przyjaciela. Nie miałam mu nic do powiedzenia. A może miałam, tylko się wstydziłam słów, które mogłabym wypowiedzieć? Świecąc sobie latarką, rozejrzałam się. Motolotnia stała za plebanią, przywiązana linami do ziemi.

– Przyprowadźcie go do kościoła – poleciałam strażnikom. – Księżu, otwórz kościół i czekaj tam na mnie.

Sama poszłam wolnym krokiem do wehikułu. Obejrzałam mocowanie skrzydła. Solidne, dobrze. Obok na ziemi postawiłam ciężący mi strasznie baniak z benzyną i przymocowałam nieforemny drobiazg na szczycie masztu, z którego w obie strony wybiegały trójkąty poszycia skrzydeł. Możliwie szybko wróciłam do kościoła – z plebanii dochodziły męskie głosy.

Poza niedawnym przywiezieniem ciał dwóch chłopaków od wielu lat nie byłam w okartowskim kościele, a już nigdy nie weszłam tu po zmroku. W pomieszczeniu było zimno, nawet mroźno. W słabym świetle latarki formowała się mgiełka z mojego oddechu. Od zimnej ławki i podłogi zaczynały boleć mnie kolana. Za chwilę walka miała się skończyć i życie

wróci do normy. Choć chyba jednak nie, jak mówił Staszek. Spróbowałam sobie przypomnieć Koślawą sprzed kilku miesięcy, sprzed pożaru obórki i pobicia Michasia. Życie było spokojne, leniwe. Co też ten jeden człowiek we mnie wyzwolił? Nie czułam się tak... od wojny, no i może jeszcze od tamtego ataku bandytów kilka lat później. Poza tymi krótkimi okresami przysiadłam gdzieś leniwie i pozwalałam sobie wycofywać się na pozycje zapewniające spokój. Pomyślałam o wikarym, praprzyczynie całego zamieszania. Jak wtedy chciałam sobie z nim poradzić? Urzędowo: niech ktoś przyjdzie i posprząta. Po co mi to było? Po Wójciku, po tych wszystkich pożarach, intrygach, kryciu się przed Tomczykiem, spontanicznym strzelaniu burgmajstra, a później przypadkowym Staszka, Dzewulski wydawał się taki niegroźny. Co on niby mógł mi zrobić? Teraz? Już nie przychodziłabym do kościoła ze Staszkiem i dwoma trupami. Rety, jaka byłam głupia! Zabrałabym pod pachę urobionego sołtysa, rozczarowanego nowym współlokatorem proboszcza, i roznieśliśmy beczelnego gówniarza. A że jest niebezpieczny? Drogi księżu doktorze, nawet nie wiesz, jaka ja jestem niebezpieczna. Do niedawna nawet ja tego nie wiedziałam. A może powinnam być mu wdzięczna? Nie, zaprzeczyłam sobie. Niszczenie jest łatwe. A ja nie lubię rzeczy łatwych.

Za plecami usłyszałam skrzypienie żelaznych zawiasów i ciężkie kroki. Nie odwracałam się. Strażnicy podeszli z ubranym w majtki i podkoszulkę mężczyzną i ustawili go dokładnie przede mną. Ładny był, choć trochę zbyt szczupły.

– Idźcie z proboszczem spakować księdza Wojciecha. Niedługo nas opuszcza – wydałam polecenie, jednocześnie informując przeciwnika o czekającej go przyszłości. Twarz mu drgnęła, ale opanował się szybko. Patrzył gdzieś przed siebie, ponad moją głowę. – Wylatujesz i już nie wrócisz. W Jańsborgu jest nowy burmistrz. Mój burmistrz. Masz strażników na dowód. Jak chcesz, mogę ci pokazać pismo z poleceniem wydalenia pewnego rzymskiego mąciwody. Przegrałeś – skończyłam bez satysfakcji.

– Nie wygrasz z dziełem Bożym.

– Tylko tyle masz do powiedzenia? – zaśmiałam się. – Wcześniej byłeś bardziej elokwentny. Nie, z Bożym nie wygram, ale z twoim jak najbardziej. Sam mnie nauczyłeś wygrywać, kiedy docisnąłeś mnie do ściany. Powinieneś wiedzieć lepiej, że ta stara wiedźma żyje tyle lat, że przeżyła wojnę, więc coś musi być z nią nie w porządku. I to nie pakt z

diabłem, zapewniam cię. Myślałeś pewnie, że wystarczy się pouczyć, postudiować, doktorat zrobić, zapakować się do motolotni i już masz wszystkich pod butem, w tym czarownicę? Tyle że to nie wystarczy. Wiesz, czemu?

– Czemu? – spytał zrezygnowanym i chyba trochę znudzonym głosem.

– Ja jestem przedwojenna. To my podpaliliśmy świat. Ty wychowałeś się na zgliszczach tego świata. W Jańsborgu też zostawiłam zgliszczka, żeby się ciebie pozbyć. Sam mi podsunąłeś pomysł tym pożarem obórki. Mieliśmy takie urządzenie, nazywało się telewizja. Widziałeś? Dobrze. I my w tych telewizorach codziennie widzieliśmy dziesiątki, czasami setki i tysiące trupów. Widzieliśmy zburzone miasta, a nawet całe państwa. Potrafisz sobie to sobie wyobrazić? Potrafisz sobie wyobrazić jedną bombę, która niszczy całe miasto, nie tylko moją starą stodołę? Nie przytakuj, bo nie potrafisz. A potem przyszła wojna i drony. I wtedy sama widziałam więcej martwych niż żywych. Przeżyłam i wiem, ile kosztuje przeżycie. Ty, dzieciaku, nie miałeś jak się tego nauczyć. Dlatego przegrałeś. Ta lekcja jest za darmo. Możemy wychodzić. Zaraz dostaniesz ubrania.

Motolotnia stała już na głównej ulicy, ustawiona wiatrakiem w stronę mostu. Obok, na ziemi, leżała nieduża torba ze skromnym majątkiem wikarego i baniaczek z benzyną.

– Przodem – poleciłam mu. Szedł zaskakująco wolno. – Leć przez jezioro, dobrze radzę. Żebyś się przypadkiem w lesie nie rozbił. Jak będziesz miał trochę szczęścia, to księżyc ci poświeci. I nie staraj się lądować na lodzie, jeśli nie będziesz musiał. Ostatnio było ciepło, więc raczej nie wytrzyma. Masz jeszcze trochę benzyny. Pięć litrów starczy?

– Starczy – odpowiedział po chwili milczenia.

Dopiero gdy zajmował miejsce pilota, dostrzegłam, jak jest zdenerwowany. Ręce tak mu tak drżały, że nie mógł trafić w przycisk zapłonu. Stanęliśmy dalej, żeby zrobić miejsce.

Huk silnika wyciągnął ludzi z łóżek, w oknach zapłonęły świece i lampy. Pojazd rozpedził się zaskakująco szybko i po chwili dźwięk uniósł się nad ziemię, wyżej i wyżej, a potem zaczął dochodzić z lewej. Był coraz cichszy, odbijał się echem od drzew i domów.

– Możecie wracać. Ja tu jeszcze zostanę.

– To było głupie tak go wypuszczać – zwrócił mi uwagę proboszcz, zanim się oddalił.

Odwróciłam się w stronę źródła ledwo słyszalnego brzęczenia. Poczekalam, aż ksiądz zniknie za drzwiami plebanii i wyjęłam z kieszeni krótkofalówkę z doczepionym dynamem. Zakręciłam korbą kilka razy – powinno wystarczyć. Głośnik trzasnął, gdy włączyłam urządzenie. Modulowany dźwięk wydawał się zadziwiająco głośny. Jak ostatnio. Nad jeziorem coś rozbłysło czerwienią. Po sekundzie czy dwóch do brzegu dotarł grzmot, jednocześnie silnik zamilkł. Kula ognia spadała powoli, żeby po chwili zniknąć, pozostawiając po sobie tylko ledwo dostrzegalne powidoki.

– Wiem – odpowiedziałam już tylko sobie i powoli poszłam do gospodarstwa Kaniów.

EPILOG

OKARTOWO

Drogi Michale,

Wiedziałaś przecież, że kiedyś ten dzień nadejdzie. Nie mam pojęcia, czy nastąpi on tydzień po napisaniu tego listu, czy rok. To nieistotne. Przed wojną ludzie pisali dokumenty, które nazywali „testament” – znajdziesz to hasło w którejś książce. W dokumentach tych wymieniali, co krewni i przyjaciele dostaną w spadku po zmarłym. Ja nie muszę tego robić, bo przecież cała wioska wie, że kolonia jest Twoja. Bunkier i zawartość bunkra też należą do Ciebie, dlatego pieniądze ze sprzedaży w Jańsborgu Staszek trzyma u siebie i z pewnością już Ci je przekazał. Nie będę pisać, że dostajesz wszystko. Dobra, napisałam.

Chciałam, by ten list był ostatnią moją refleksją, ostatnimi radami i wskazówkami od starej nauczycielki. A może spowiedzią? Nie wiem. Zobaczymy, co wyjdzie.

Żyłam w dwóch światach: w tym przed wojną i w tym po. W obu robiłam rzeczy, których się wstydziałam i z których byłam dumna. W obu zaniechanie też wywoływało u mnie wstyd. Wiedz, że Koślawa nie była dobrą lekarką o czystej duszy. Bo nie byłam, a przynajmniej nie przez całe życie. Ty też musisz się przygotować, że niektóre Twoje wybory będą złe lub tylko nie będą dobre. Wyciągaj z nich wioski, bo błędów nie popełnia tylko ten, kto nic nie robi. Pamiętaj o tym, gdy będziesz leczył. Każdy lekarz ma swój mały cmentarz pomyłek. Nie unikniesz tego, ale zawsze wyciągaj z porażek naukę.

Są rzeczy, których nie zrobiłam, bo o nich nie pomyślałam; innych nie zrobiłam, bo byłam leniwa lub już za stara. Ciebie nimi obarczam, bo co innego zrobisz z tą górą pieniędzy, którą Ci zostawiłam? Chcę, żeby w Okartowie powstały szkoła i biblioteka; żeby wszystkie dzieci uczyły się przynajmniej czytania, pisania i liczenia. Jeżeli uda Ci się coś więcej, wioska tylko na tym zyska. Wierzyłam, gdy zapewniałaś, że do czegoś dojdiesz. Bo masz wszystko, co jest Ci do tego potrzebne. Pamiętaj przy tym, że człowiek zawsze chciał iść dalej, zdobywać więcej, więcej wiedzieć. Nie siedź w kolonii, skoro masz Okartowo. Nie zatrzymuj się w Okartowie, skoro jest cała Kałuża. Szukaj partnerów, sąsiadów – ludzi, którzy będą ze wsią handlować.

Wszyscy ludzie pragną coś po sobie zostawić, dlatego płodzą dzieci, stawiają kościoły i pomniki. Mnie nie udało się nic trwałego osiągnąć,

dopóki nie przyszedł do mnie pewien przestraszony chłopiec. Jesteś moim pomnikiem. Dziękuję Ci.

Alicja Krzemińska vel Kośława

Artur „Dzikowy” Olchowy



Bezczelny gówniarz z Warszawy, któremu się wydaje, że jest pisarzem. Współtwórca GOREktywu i emerytowany stołeczny konwentorob.

Prywatnie usłużny niewolnik świnek morskich – liczy na dobrą posadę w Nowym Porządku, gdy już przejmą władzę nad światem. Nie lubi o sobie pisać w trzeciej osobie, prawda, Arturze? Prawda.

Idź i czekaj mrozów

Marta Krajewska



W świecie, gdzie puszcza włada leszy, w jeziorze żyją topielce, a nocami wśród chat przemykają zmory i strzygonie, młodzieńca Venda musi stanąć na straży bezpieczeństwa mieszkańców Wilczej Doliny. Przyjdzie jej mierzyć się nie tylko z bogami czy stworzeniami nocy, ale znacznie groźniejszymi przeciwnikami: samotnością, strachem i zwątpieniem.

Na oczach Vendy wypełnia się starożytne proroctwo. Do Wilczej Doliny powraca DaWern – ostatni z Wilkarów. Zemsta Pana Lasów za rzeź jego dzieci wydaje się nieunikniona. Czy zakazana miłość stanie na drodze przeznaczeniu, czy też pozwoli wypełnić przerażającą przepowiednię? Jak potoczą się losy zakochanego w zielarce syna karczmarza, pięknej minstrelki Stalki, towarzyszącego jej wojownika i innych mieszkańców wioski, z których każdy skrywa swoje tajemnice?

„Stare opowieści krążą między nami, a my żyjemy między nimi. Podążałem znajomymi tropami, gubiłem się w nich i dawałem oplatać pełnej grozy magii, w którą schwytała mnie autorka.”

Paweł Majka, autor *Pokoju światów*, zdobywca Literackiej Nagrody im. Żuławskiego

„Autorka wymieszała z wprawą dobrze wyszkolonej zielarki elementy demonologii i mitologii słowiańskiej, komponując własną, smakowitą mieszankę.”

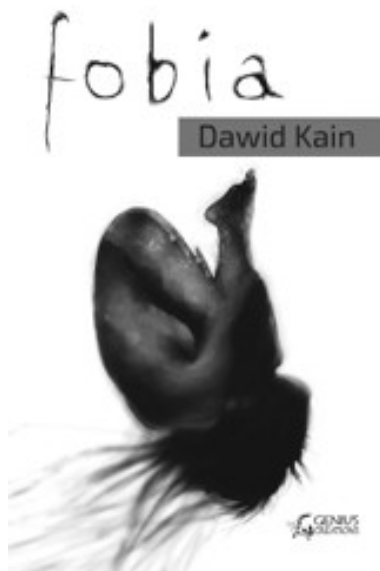
Witold Jabłoński, autor cyklu *Gwiazda Wenus, Gwiazda Lucyfer*

PIERWSZY TOM OPOWIEŚCI Z WILCZEJ DOLINY

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/idz-i-czekaj-mrozow-marta-krajewska/>

Fobia

Dawid Kain



Bliska przyszłość, w której ludzie zasłonili sobie świat nakładkami nowej sieci – Immersjonetu, żyjąc w gigantycznych kompleksach mieszkalnych, z całodobową obsługą dronów i botów.

Magdalena Kordowa musiała porzucić studia i znajomych, by zaopiekować się ojcem – pisarzem, który postradał zmysły w pogoni za arcydziełem. Ten pewnego dnia zniknął, zostawiając po sobie jedynie ostatnią powieść, „Kres Komunikacji” skrywającą wskazówki dotyczące swojej niewytłumaczalnej ucieczki.

Zrozpaczona córka rozpoczyna poszukiwania, na przeszkodzie stoi jednak pewien „drobny” problem. Magda, jak wielu jej rówieśników, cierpi na batofobię, skrajną odmianę lęku przed głębią.

Czy można przeszukać cały Kraków bojąc się wyjść z domu?

Gdzie tak naprawdę znajduje się zmierny ku zagładzie świat równoległy, dotknięty epidemią milczenia?

I jak spojrzeć w otchłań myśli szalonego ojca, wiedząc że bezpieczne jest tylko ślizganie się po powierzchni rzeczywistości?

Na te i inne pytanie odpowie wyłącznie „Fobia”.

„Fobia to zaskakująca powieść, w której z każdą kolejną stroną treść kształtuje formę i na odwrót. Można mówić, że takiego eksperymentu w polskiej literaturze jeszcze nie było, ale po co? Dawid Kain nie potrzebuje reklamy, wystarczy, że po raz kolejny udowodnia, że jego wyobraźnia nie zna granic.”

Aleksandra Zielińska, autorka powieści *Przypadek Alicji*

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/fobia-dawid-kain/>

Redlum

Katarzyna Rupiewicz



Najbardziej epickie przygody zawsze rozpoczynają się w karczmie. Dlaczego jednak nie pozostać w niej do samego końca? Zaintrygowani?!

Witajcie w Redlum, mieście potworów, gdzie rzeczywistość przeplata się z magią, a reguły wolnego rynku z brutalnymi prawami natury. Wjeździecie na własną odpowiedzialność! W naszym pięknym mieście możecie wiele zyskać, ale również w okamgnieniu wszystko stracić.

Karczma Słodkiego jest jedynym miejscem, gdzie cichną spory i waśnie, a wszyscy – zarówno mieszkańcy, jak i przyjezdni – mogą zaznać chwili spokoju. Nie dajcie się jednak zwieść pozorom. Słodki nie jest człowiekiem, a jego klienci również nie wydają się szczególnie normalni. Szczerze mówiąc, to przeważnie potwory. Ale najgorsze bestie czają się gdzieś tam... na zewnątrz.

Czy Redlum przetrwa? Wydaje się, że nawet tego nie chce!

Czytałam tę książkę dwa razy i za drugim podobała mi się jeszcze bardziej niż za pierwszym. Jest w „Redlum” humor, który w idealnych proporcjach łączy się ze scenami chwytającymi za serce, jest sympatyczny główny bohater, są tajemnice oraz oryginalny pomysł na miejsce akcji. I wreszcie jest efektowne zakończenie, które zgrabnie spina w całość rozrzucone wcześniej tropy. Polecam.

Anna Kańtoch, pięciokrotna zdobywczyni Nagrody im. Janusza A. Zajdla i zdobywczyni Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/redlum-katarzyna-rupiewicz/>

Pokój światów

Paweł Majka



I wojna światowa była tragedią, ale nie skończyła się tak, jak mówią podręczniki historii. Na Ziemi wylądowali Marsjanie. Inwazja została odparta, a uwięziony na powierzchni planety najeźdźca zasymilowany, jednak odtąd nic już nie było takie jak dawniej.

Sprowadzone przez Obcych mitbomby uwolniły energię wiary, która ożywiła postaci z mitologii, baśni i legend. Domy otoczono ochronnymi barierami, boscy patroni strzegą poszczególnych miast, po ulicach przechadzają się upiory i magowie. Miejsce dawnych państw zajęły spółki handlowe, Republika Narodów i na pół świadome państwa-organizmy: Wieczna Rewolucja, Wiekuista Puszcza czy Matka Tajga.

Czego poszukuje zorganizowana przez Nowakowskiego – bogatego krakowskiego Marsjanina – ekspedycja na wschód? Trwają lata Pokoju, ale wyprawa sterowcem nad Kresami Rzeczypospolitej nigdy nie należała do bezpiecznych... Czy barwna zbieranina indywidualności – opętany przez nienawiść Mirosław Kutrzeba, stworzony w laboratorium ślepy bóg Szuler Losu, uzależniony od czarciego mleka były inspektor kolejowy Grabiński, cyganka Sara, olbrzym Burzymur i naiwny Jasiek – wie, na co się porwała?

Zamieszkująca ciało Kutrzeby zmara dopilnuje, żeby nie zapomniano o zemście.

ZDOBYWCA LITERACKIEJ NAGRODY

IM. JERZEGO ŻUŁAWSKIEGO

NOMINACJA DO NAGRODY IM. JANUSZA A. ZAJDLA

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/pokoj-swiatow-pawel-majka/>

ZŁE

Michał J. Chmielewski



Baskin Zachodnie, miasteczko na polskim wybrzeżu, wydaje się zbyt małe, aby pomieścić całe zło, jakie się w nim dzieje. Zło czynione przez człowieka człowiekowi, gdyż w tym akurat przypadku niepotrzebna jest pomoc diabłów, demonów czy jakichkolwiek innych istot.

Jeden dzień z życia rodziny Jasińskich. Dwadzieścia cztery godziny koszmaru, jaki rozgrywa się w setkach miast, miasteczek i wsi. Andrzej – ojciec, alkoholik i oprawca swojej rodziny. Iwona – matka, ofiara przemocy domowej. Justyna, Kryspin i Michał – maltretowane i okaleczone psychicznie dzieci, dla których normalność to marzenie. Tomasz, Marcin i Krzysztof – mimowolni uczestnicy dramatu.

Polskie Fargo, bracia Coenowie nie powstydziliby się tej opowieści.

„Michał Chmielewski pisze mocno i ciekawie, ma surowy styl i nie bawi się w niepotrzebny manieryzm. Jego historia jest brutalna, tak jak brutalna może być małomiasteczkowa rzeczywistość, pod płaszczykiem prowincjonalnej nudy skrywająca historię śmierdzącej alkoholem przemocy domowej, rodzicielskiego okrucieństwa i złamanego dzieciństwa. Akcja powieści rozgrywa się w ciągu dwudziestu czterech godzin, znacznie mniej czasu potrzeba, żeby książkę przeczytać. Jednak to, co po niej zostaje, pamięta się długo.”

Jan Krasnowolski, autor Klatki

„Wystarczy, by dobrzy ludzie nic nie robili, a zło zatriumfuje” - Edmund Burke

<https://geniuscreations.pl/ksiazki/zle-michal-chmielewski/>

Dobro złem czyn – Antologia



Kiedy Geralt z Rivii miał dokonać wyboru pomiędzy jednym ZŁEM a drugim, wolał nie wybierać wcale. Uczestnicy konkursu literackiego „Dobro złem czyn” nie mieli takiej możliwości. Przedstawiamy Wam dziesięć spośród blisko dwustu nadesłanych opowiadań.

Opowiadania te są tak różne, że trudno znaleźć dla nich inny wspólny mianownik poza tym, że są DOBRE.

Czy można osiągnąć dobro, czyniąc zło? Czy cel uświęca środki? Czy dobro i zło to skrajne przeciwieństwa, czy tylko dwie strony tej samej monety? Oto dziesięć odpowiedzi na te pytania!

<https://geniuscreations.pl/ksiazki/dobro-zlem-czyn/>

Okup krwi

Marcin Jamiołkowski



Herbert wiezie spokojne życie w jednej z podwarszawskich miejscowości, gdzie nikt nie zna jego mrocznej przeszłości. Nawet przed ukochaną kobietą skrzętnie skrywa kim jest naprawdę. Bycie skromnym krawcem z Podkowy Leśnej jest spełnieniem jego marzeń.

Przeszłość jednak nie pozwala o sobie zapomnieć. Melania zostaje uprowadzona i jej życie zależy tylko od tego czy Herbert zdąży na czas dostarczyć tajemniczą przesyłkę do Warszawy – miasta, od dawna pozbawionego magii, w którym moce Herberta nie działają.

Pokonanie 30 kilometrów w kilka godzin nie wydaje się być wielkim wyzwaniem. Staje się nim jednak, kiedy jego tropem ruszają: magowie, wysłannicy tajemniczego „Bractwa Miast”, wyznawcy Bazyliuszka, najemnicy i policja. Przeszkody piętrzą się na każdym kroku i tylko poznani przypadkowo sojusznicy oraz niespodziewanie budząca się do życia magia stolicy dają szansę na ocalenie ukochanej. Czasu jest coraz mniej.

Warszawa nie miała do tej pory swojego maga.

Teraz już ma! Nazywa się Herbert Kruk!

PIERWSZY TOM PRZYGÓD HERBERTA KRUKA

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/okup-krwi-marcin-jamiolkowski/>



KUPOJ W
madbooks.pl